

Antonio Gomez Rufo

# Morza strachu

*Los mares del miedo*

Tłumaczenie

Wojciech Charchalis



*Okolo roku 1000 naszej ery odkryto dziwny tekst, w którym można było wyczytać podstawy najdawniejszej znanej nauki, zapisanej, wedle legendy, na szmaragdzie, który zgubił Lucyfer podczas walki z Bogiem w dniu swej wiecznej klęski.*

*Pochodzący prawdopodobnie z Egiptu i sprowadzony do Europy przez Arabów, tekst ten stał się esencją alchemii, nauki, która w znaczący sposób wpłynęła na średniowieczną myśl całego Zachodu.*

*Jeszcze dzisiaj alchemicy przysięgają na niego podczas rytuału inicjacji. Znany jest jako Szmaragdowa Tablica...*

**Wprowadzenie**

**W ROKU PAŃSKIM 1616  
W PEWNYM MIEJSCU  
NA OBRZEŻACH MADRYTU...**

- Może ci się to wydać nieprawdopodobne - powiedział - ale w końcu odkryłem, że śmierć nie istnieje. Mogę tego dowieść. Chodź za mną.

Delikatnie dotknął mego ramienia, aby mi wskazać, bym się za nim udał, i ruszył przede mną nie oglądając się za siebie, przekonany, że pójdę za nim po ukrytej ścieżce, prowadzącej do ciemnego lasu, czasem otoczonej wysokimi drzewami, czasem spowitej gęstymi zaroślami. Szedł szybkim krokiem, jakby znał drogę na pamięć albo przemierzył ją miliony razy.

- Chodź - powiedział ponownie, nie patrząc na mnie. - Tędy.

Jego głos był poważny, pewny, dźwięczny i czysty, kroki stanowcze i zręczne, niezwykle u staruszka, który zbliżał się do sześćdziesiątki, a oczy rozjaśnione niczym u nastolatka, lśniły wilgocią podniecenia, błyszczały. Wielki czerwcowy księżyc odbijał się w jego siwych włosach, długich i zwichrzonych, zakrywających mu tył głowy, falujących na wietrze wzbudzonym jego szybkim marszem. Czasem odwracał się, aby zobaczyć, czy się nie potknę i nie przewrócę, kiedy tak naprawdę to ja się obawiałem, że w którymś momencie swą obszerną szatą lekarza lub czarownika zaczepi się o jakiś krzak i rozłoży na ziemi. Wtedy uważnie patrzył mi w oczy i wyrazem twarzy zdawał się potwierdzać, że mnie nie oszukuje, żebym dobrze przygotował się na to, co zamierza mi pokazać. Nie uśmiechał się jednak. To, co się miało wydarzyć, było zbyt ważne, aby pozwolić sobie nawet na najlżejszy z uśmiechów.

Pamiętam, że po raz pierwszy w całym swoim życiu spojrzałem na niego z lekkim uczuciem przygnębienia, wątpliwości, obawy: przyjrzałem się jego twarzy, pomarszczonej i wysuszonej ze starości, i skórze na krawędziach policzków, ziemistych i spragnionych niczym wysuszone koryto strumienia albo wielokrotnie czytany stary pergamin. Mój pan, don Fernando, chciał okazać wielki spokój, ale wyglądał, jakby postradał zmysły: biegł podniecony niczym nowicjuszka w wigilię wstąpienia do klauzury. A ja, nie ma co kryć, nie mogłem uniknąć wielkiego niepokoju, który zaczynał brać mnie w swoje posiadanie.

Mimo że jego dusza drżała, pozwalał tylko na to, by emocje odbijały się w jego oczach z jasnością pieczęci księżyca o północy nad morzem; mnie jednak to wszystko wprawiało w stan wielkiego niepokoju: zbijała mnie z tropu duża odległość od miasta, powaga ciszy, głębia lasu, w który wchodziliśmy. Noc była jasna w tę wigilię św. Jana, co pozwalało nam bez trudu zobaczyć drogę, pewne jednak było też to, że tysiąc cieni wycinanych przez drzewa i chaszczę kreśliło na ścieżce wzory tak zagmatwane, że nie dostrzegaliśmy pod nimi dziur, w które mogliśmy wpaść, wzgórków, o które mogliśmy się potknąć, albo urwisk, na których mogliśmy skreślić sobie karki.

- Chodźmy, idź za mną - powtarzał co chwila, coraz bardziej pobudzony.

- Jestem tutaj, mój panie.

Były zapachy i świeże ślady, które zdawały się nie należeć do ludzi. Bryza głuchych szmerów przytłumiała nawoływanie nocnych ptaków i innych zwierząt, nie nawykłych do obecności intruzów na terenach, gdzie pod przykryciem ciemności zaspokajały głód. Ich skargi wydawały się szeptami niechęci i nakazu opuszczenia lasu, który był żywy, choć udawał, że śpi, i krył się pośród roślinności aż do końca ścieżki, tam, gdzie otwierała się polanka, trochę niżej, w głębi.

Obaj zaczęliśmy szybko oddychać z powodu tempa marszu, który on narzucił od samego początku, ale też z powodu wrażeń, które intensyfikowały się w naszych żołądkach. Jego wynikały z podniecenia, moje ze strachu i niepewności. Gdy na niego spojrzałem, przez kilka chwil naszło mnie uczucie zmieszania, głęboko niesprawiedliwe, nie na miejscu wobec takiego mężczyzny jak on: nie byłem pewien, czy mój mistrz nie zwariował; taka myśl kołatała mi po głowie, jakby silne uderzenie kamienia wcisnęło mi ją pod czaszkę. Odkąd go poznałem, zawsze miałem go za człowieka doskonałego, racjonalnego, mądrego, rozsądnego, a także przewidującego. Jednak wyznanie, które właśnie mi poczynił, natura tego stwierdzenia o nieistnieniu śmierci, tak kategoryczna, zburzyła mój spokój, jakby przez środek całego mego kręgosłupa nagle wzlatywało w górę stado motyli.

- Jeszcze tylko trochę, jeszcze trochę... - próbował mnie zachęcić, odkrywając mój niepokój. - Już jesteśmy.

Rzeczywiście na dole, zaledwie o sto kroków od nas, kończyła się ścieżka i las otwierał się w wielką polanę, piękną, wyściełaną niską trawą, jakby świeżo ściętą i przykrytą ogromnym sklepieniem przepelnionym gwiazdami i wszelkiego rodzaju niebiańskimi blaskami, nieruchomymi jak oczy ślepeca lub gasnącymi jak robaczki świętojańskie albo sztuczne ognie. Chciałem rozpoznać miejsce, usiłowałem je sobie przypomnieć, ale nigdy nie widziałem tej wielkiej łąki bez jednego drzewa; a może kiedyś zdarzyło mi się przez nią przejść w świetle dnia i nie zwróciłem uwagi na jej ogrom. Jednak tamtej nocy, gdy maszerowałem z przyspieszonym oddechem, strachem i niejasnymi wrażeniami, łąka wydała mi się czymś niepokojącym i jednocześnie rozkosznym, nieznanym rajem, nieodkrytym. I wizja jej harmonijnego bezruchu przywróciła mi część spokoju, który utraciłem.

Ostatnie kroki przebyłem powoli, przyciszony, zatrzymując się, by przyglądać się niebiańskim światłom i kontemplować ogrom tej utraconej przestrzeni. Zarys drzew odcinał się w półmroku, oddzielając niebo od ziemi, zaznaczając granicę zapowiadającą niebezpieczeństwo każdemu, kto odważy się porzucić ją i wkroczyć na nowo w skrytą ciszę

lasu pnącego się w górę. Księżyc chylił się w kierunku południowo-wschodnim, oświetlając wszystko i przydając cienia imponującej sylwetce don Fernanda, który nie zakończył swego biegu, póki nie wszedł przynajmniej piętnastu kroków na pozbawioną drzew przestrzeń, jakby musiał wziąć w posiadanie niedawno odkryte ziemie.

- To tutaj - powiedział, wciągając potężny haust powietrza, aby złapać oddech, i kładąc ręce na biodrach. - Już jesteśmy. Podejdź bliżej.

- Chyba nigdy nie widziałem tego miejsca - stwierdziłem, przesuając oczyma po niebie, jeszcze niespokojny, jakbym chciał się upewnić, że to niebo nie zgaśnie zniemacka, jak świeca w przeciągu. - Nigdy, jak sądzę...

- Nigdy na nie nie patrzyłeś - oznajmił, odwracając się. - To tam.

Znowu ruszył przed siebie, a tym razem kroczyłem u jego boku, słuchając jego silnego oddechu i przyglądając mu się ukradkiem, jakbym chciał się upewnić, że moje myśli nie mają podstaw, że mistrz nie zwariował. Pachniałem potem i strachem. Nie wiedziałem, dokąd mnie zabierał, ale, rzecz jasna, nie kierowaliśmy się ku drugiej stronie, bo nie przechodziliśmy polany na wprost, ale obchodziliśmy ją, zostawiając księżyc za plecami. Nie odważyłem się też go zapytać o cel naszego marszu, bo cisza była przytłaczająca, a majestatyczność miejsca zmuszała do zachowania milczenia. On również otwierał usta tylko po to, by oddychać coraz mniej głęboko, kiedy wreszcie odzyskał oddech. Dopiero po chwili powtórzył:

- Zobaczysz, że to ci się wyda nieprawdopodobne.

I skinął głową, patrząc na mnie, ale mnie nie widząc, upewniając się jedynie, że nie zostaję w tyle. Ja znowu zerknąłem na niego dyskretnie, starając się dostrzec w jego oczach gorączkowy płomień, oznakę demencji, choćby niewielki symptom szaleństwa, który pozwoliłby mi nakłonić go do zrezygnowania z podróży i zmusić do powrotu; jednak w jego błyszczących oczach utkwionych w kresie łąki spostrzegłem ten sam wyraz, który po tylekroć w nich widywałem, kiedy podniecał się przy szkle swych tygli, próbek w laboratorium albo kiedy śmiał się zadowolony nad stołem w bibliotece, zavalonym książkami i zapiskami, bo zdołał doprowadzić do końca niektóre ze swych eksperymentów albo znalazł sposób na przeprowadzenie dowodu którejś ze swych teorii.

- Dlaczego patrzysz na mnie w taki sposób? - zapytał, nie odwracając głowy, zdając sobie sprawę z mojego uporu.

- Zaskakuje mnie, że nie jesteście zmęczeni, mistrzu.

- Ja zmęczony? - Tym razem spojrział na mnie zaskoczony, a następnie lekko się uśmiechnął. - Zaraz pokażę ci najważniejsze odkrycie, jakiego dokonano od stworzenia

świata, i miałbym się męczyć? Śmierć nie istnieje, Alonso, udowodnię ci to.

- Don Fernando... - poprosiłem, ale zdawał się mnie nie słyszeć.

- Nie - powiedział do siebie. - Nie ma racji istnienia strach, który przed nią odczuwamy, ani nie mają go wszystkie inne strachy, które przez nią czynią z człowieka istotę nieszczęśliwą. Nie ma powodu...

- Zważ, panie, że brzmi to diabelsko...

- Przeciwnie... - odetchnął głęboko i mówił dalej: - Tysiące religii uznawało strach przed śmiercią, aby dać człowiekowi fałszywe nadzieje... i tysiące tyranów wykorzystywało wagę tego strachu dla własnych celów. A choć jest on poważny, najgorsze są strachy drobne, które nas osaczają i dręczą bez ustanku; te strachy tak powszechne... Lecz otwórz szeroko oczy, mój dobry Alonso, bo dzisiaj skończymy z tym wszystkim! Zmęczony? Jak możesz się dziwić, że w taki dzień jak ten moje serce nie dopuszcza do zmęczenia? Może gna szybciej niż zwykle, ale nie myl niepokoju z pośpiechem. Chcę, żebyś poznał prawdę, i to jak najszybciej, bo później nie będzie już ważne, co się ze mną stanie.

- Chcecie powiedzieć... jeśli przyjdzie po was śmierć...?

- Śmierć nie istnieje, chłopcze. Jak mam ci to powiedzieć? - i uśmiechnął się zadowolony po raz pierwszy od długiego czasu.

Mój mistrz, don Fernando Ruiz de Alcalá, zmarł tej samej nocy w moich ramionach. Jeszcze pamiętam jego szczęśliwą minę, kiedy otwierał, zamykał albo przymykał oczy, z wykrzywionymi ustami, piersiami niezdolnymi do złapania oddechu. Ja byłem na ziemi, na kolanach, obejmując jego głowę, która spoczywała na moich nogach, i błagając go, żeby doszedł do siebie i nie zostawiał mnie tam, tak samotnego w tej chatce zagubionej pośrodku lasu. Jednak wszelkie błagania okazały się bezskuteczne. Na chwilę przed wyzionieniem ducha mocno wytrzeszczył oczy, popatrzył na mnie, następnie na nią, później w niebo, wypowiedział kilka słów po łacinie, których nie rozumiałem, i stracił przytomność tak lekko, jak liście opadają we wrześniu. To była długa noc. Ale przysięgam na wszystko, co najświętsze, że całkowicie udało mi się pojąć znaczenie wieczności. Tak jak poznałem, osobiście, tajemnicę nieśmiertelności.

**Część pierwsza**

**POMIĘDZY 1576 A 1585**



## JEDEN

Zamieszkałem z nim w wieku jedenastu lat, choć równie dobrze mogłem to uczynić w dniu urodzin, bo moje wspomnienia nie sięgają tak daleko wstecz i wszystko, co wiem o swoim wcześniejszym życiu, usłyszałem, bo on sam mi to opowiedział, skąpymi urywkami jak mruganie powiek, kiedy w jakiś wieczór po wspólnym spożyciu kolacji bogatej w wino i mocniejsze alkohole rozwiązał mu się język i przychodziły na myśl historie miłosne, zdrady i żaloby, a ja dopiero po wielu latach zrozumiałem, że odnosiły się do mnie samego. Don Fernando był niesamowitym człowiekiem, drugi taki nigdy nie istniał. Teraz nie wiem z całą pewnością, czy był moim ojcem, czy nie, ale zawsze chciałem, by tak było.

Choć często poszukuję go po zaułkach pamięci, nie potrafię powiedzieć, ile miał lat, kiedy go poznałem, ani na ile go oceniałem w każdym roku spędzonym u jego boku. Wiem, bo tak mi powiedział, że w 1576 miał piętnaście lat, w tym roku gorączki i zarazy, które pozostawiły w Madrycie złe wspomnienia i blizny w postaci wytwornych grobowców i zbiorowych mogił, pierwszych w kryptach kościołów i klasztorów, drugich nad brzegami rzeki Manzanares i w okolicach dalekich ogrodów i sadów przy drodze do Alcalá, poza łąkami Świętego Hieronima. Don Fernando miał piętnaście lat, a moja matka jedenaście, ale już byli tak nierozłączni, że razem cierpieli z powodu gorączki i razem ją przeżyli. W tych dniach wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że tam, gdzie pójdzie jedno, pójdzie też i drugie, że życie ich połączyło i dzielili się tą samą gwiazdą, tą, którą można dojrzeć latem, spoglądając na południe w duszne czerwcowe noce.

Z tej gorączki pierwsza wyszła moja matka. Nie słuchając dobrych rad i okrutnych ostrzeżeń bliskich ludzi, gdy tylko wydobrzała, jęła poszukiwać sposobów na zbliżenie się do łóżka swego przyjaciela, by go pielęgnować i mu towarzyszyć oraz nakłaniać go do szybkiego zwalczania własnej choroby. Ganiła go za poddawanie się kaszlowi; robiła mu wymówki za to, że nie był w stanie uniknąć gorączki, a potem, że godzi się na puszczenie krwi, jakie mu aplikowano; łajała go, że nie starcza mu odwagi na wyrzucenie demonów z ciała, i w końcu nakłaniała go do wstania z łóżka i wyjścia na ulicę, bez względu na osłabienie.

- Nie powinienem, Klaro - bronił się, jeszcze oszołomiony i słaby.
- Złe ma prawo do mnie przyjść i nie powinno odejść, zanim nadejdzie jego pora.

- To nie problem złego, tylko twojej kurzej duszy.

- Korzystaj z mojej choroby, korzystaj sobie... - przesadzał przygnębiony. - Nie widzisz, szalona, że stoję nad grobem?

Don Fernando szybko został wyleczony - dwa albo trzy dni później. I tak, jak to było od pierwszych dni ich życia, znowu zaczęli razem biegać po placach i ulicach, bawić się i ganiać ze sobą, opowiadać sobie plotki zasłyszane od starszych na placach i śpiewać piosenki, których się nauczyli razem albo każde z osobna. Wieczorami, przed powrotem do domu i kolacją, lubili siadać na kamiennych schodach na placu Świętego Jakuba i patrzeć na wspaniałość nieba, z którego młody don Fernando potrafił wyczytywać historie i legendy; opowiadał je mojej matce z powagą i przekonaniem, aż ona traciła poczucie rzeczywistości i wchodziła w świat fantazji. Siadali jedno obok drugiego, nie patrząc na siebie, z oczyma utkwionymi w niebiańskie światła albo w pokrywą chmur, które spowijały i odsłaniały księżyc, a kiedy niebo groziło deszczem, on wymyślał coś smutnego, co sprawiało, że gwiazdy zalewały się łzami, kiedy zaś znowu się przejaśniało, układał dla niej historię o prawdziwej miłości i cudownych spotkaniach, które zawsze miały szczęśliwy koniec.

- Gwiazdy to szklane ptaszki, które latają bardzo wysoko, Klara, aż tam, gdzie nie dociera ludzkie spojrzenie - powiedział jej kiedyś. - W dzień spijają promienie słońca, bo to jest ich pożywienie; dlatego kiedy zachodzi, ubierają się w resztki światła, żeby prosić o jego pogrzeb. Wtedy pozostają nieruchome, przerażone, pełne niepokoju. Albo tańczą błagalny taniec, zanim uciekną przerażone i zgasną jak koniec knota wypalonej świecy. Niektóre przez całą noc wzywają słońce słabym głosem, bo ledwie staje im światła. Widzisz, jak drży tamta gwiazda?

- Tak.

- Gaśnie i musi pilnie napić się nowego blasku, żeby dalej żyć. Ten szklany ptaszek umrze, jeśli słońce nie powróci szybko ze swymi promieniami... Dlatego wschodzi ono raz za razem, codziennie.

- A co się stanie, jeśli któregoś dnia nie wzejdzie? - zapytała Klara, naiwna i przestraszona.

- Słońce będzie płakać z żalu, że przez nie umierają gwiazdy, a wylane łzy, wielkie jak letnie ulewy, zgaszą je na zawsze...

Klara niemal nigdy nie patrzyła na don Fernanda - poddawała się tylko pieszczotom jego głosu i wsłuchiwała w bicie serca. On, ubawiony i zwodniczy, też nie patrzył na nią wprost - przyglądał się jej kątem oka i z rytmu jej oddechu odgadywał, czy udało mu się ją przekonać do prawdziwości wymyślanych historii. W końcu, kiedy ukradkiem patrzył jej w

oczy w półmroku zapadającej nocy, znajdował potwierdzenie, że wyobraźnia przebiła się do jej fantazji i że naiwność dziewczynki jest cudowną i głęboką studnią, którą tak lubił.

- Wiesz wiele rzeczy...

- I będę ich wiedział jeszcze więcej... Moim największym pragnieniem jest poświęcenie życia nauce.

- Tylko nauce?

I wtedy Klara patrzyła na niego z takim skupieniem, że młody don Fernando tracił rezon i spuszczał wzrok zaczerwieniony.

\* \* \*

Podczas tych lat dorastania don Fernando miał szczęście cieszyć się opieką ojca, który starannie zadbał o jego wykształcenie. Dlatego od siódmego roku życia pobierał lekcje w domu, dokąd codziennie przychodził don Antonio Sánchez de Tovar, preceptor, gorliwie i zawzięcie starający się znaleźć uznanie jako wielki poeta i ceniony autor sztuk teatralnych, ale na swoje nieszczęście zepchnięty do poziomu pospolitego wierszoklety tworzącego sonety, w związku z czym musiał zadowolić się pozycją jeszcze jednego słuchacza plotek na najbardziej znanych plotkarskich placach miasta: Świętego Genezjusza i Komedii. Don Antonio nie był człowiekiem, który na pierwszy rzut oka wyróżniał się wyglądem czy siłą osobowości: nosił szarą pelerynę do połowy łydki, czarną kamizelkę z wieloma błyskotkami, białą koszulę, zielone spodnie o niewielu haftach, pończochy podarte od wielokrotnego używania i kryzę tak znoszoną jak buty o podeszwie z trzech warstw wyświechtanego korka; poza tym miał sprytne oczy medyka, rozczochrane włosy, jakby co rano wystawiał je na działanie burzy, gęste, krzaczaste brwi i cienkie usta. Był średniego wzrostu, niezbyt korpulentny, miał wyniosłe policzki i siwą, zaniedbaną brodę, a spojrzenie czasem zdawało się zawierać pragnienie gniewu, lecz don Fernando nigdy nie widział go wzburzonego. Smutnego tak, jak barkentyna w porcie w dni ciszy, ale poirytowanego nigdy, może dlatego, że potrzeba jest najbardziej zazdrosną strażniczką ciszy i roztropności.

Przychodził dokładnie o dziewiątej rano i nie pozwalał swojemu uczniowi wstawać z krzesła przed południem, kiedy obaj podnosili się i odmawiali *Anioł Pański*, podczas gdy w oddali biły dzwony kościoła klasztoru Trynitarzy. Potem, do pierwszej, zaraz po spróbowaniu szklanki białego wina z marcepanowo-migdałowym ciastkiem, które serwowano mu punktualnie jako przekąskę, przechodził do lekcji wiedzy ogólnej, jak to nazywał, i wtedy rozpierał się wygodnie na drewnianym krześle, mościł się na skórzanym siedzeniu, składał ręce na podołku, przymykał oczy i chrząkał, wilżył usta i w jedne dni uczył don Fernanda, jak witać damę, w inne objaśniał, jak się zachowywać przy stole, w jeszcze inne mówił mu o

malarzach, poetach i znanych muzykach z dworów całej Europy; a w następne przedstawiał perypetie, w których zdarzyło mu się wziąć udział, być ich świadkiem albo cierpieć przez z górą pięćdziesiąt lat swego życia przeżytych pomiędzy miastami Ciudad Rodrigo, Salamanka, Aranda, Burgos, Paryż, Gandawa, Florencja, Genua, Toledo i Madryt, gdzie w końcu trafił z nadzieją, że zostanie tu uznany jego talent poetycki, lecz gdzie na swoje nieszczęście, a powtarzał to tysiące razy, nie zaznał szczodrości swych kolegów po fachu, którzy nawet nie chcieli słuchać jego sonetów, niektórych rzeczywiście niezłych, o czym zaświadczał, nie zmieniając tembru głosu.

- Kiedy będziesz starszy - obwieszczał - wyrecytuję ci swoje wiersze, abyś mógł ocenić ich wartość. I wtedy sam uznasz, czy jestem nieszczęśnikiem, czy nie, mój młody panie don Fernando.

Don Antonio Sánchez de Tovar, który w sumie okazał się dobrym nauczycielem, nieodmiennie wzdychał w tej ostatniej chwili nauczania, kiedy wracał do niedocenia go jako literata, a dochodził do tej sprawy niemal codziennie. I don Fernando wspominał, że niemal każdego dnia wychodził z zajęć z wilgotnymi oczyma i chwiejnym krokiem, przybity, przytłoczony ciężarem melancholii, która spoczywała na jego ramionach niczym ładunek dawnych grzechów lub niewyjaśnionych klęsk. Jednakże początek lekcji zawsze był inny: energiczny, żywy i metodyczny, dlatego don Fernando gromadził wiedzę szybko i bez wysiłku. Nauczył się czytać i pisać, posiadał pierwsze zasady matematyki, otrzymał pewną wiedzę w dziedzinie fizyki, chemii i astrologii, poznał życie naszego Pana Jezusa Chrystusa, a także trochę łaciny i francuskiego, sporo historii, wiele geografii i niemal wszystko o europejskich dworach. Jeśli jednak coś pozostało wryte w głowie don Fernanda z tego okresu w odniesieniu do swego pierwszego nauczyciela, to historia, jaką opowiedział mu na temat swego pobytu w Genui, kiedy był w świcie księcia Mediny, podróżującego do Italii w poszukiwaniu jakiegoś malarza, którego mógłby zabrać do swego domu i mu patronować; pewnego wieczoru, przy kolacji w gospodzie o dobrej kuchni i jeszcze lepszym winie, kiedy zajmował się kociołkiem dziczyzny i wieprzowiny oraz smażonego czosnku, krowich racic, cebuli i rodzynek, zauważył ze zdumieniem, że do gospody wchodzi mężczyzna, który ma ze dwa razy tyle lat co on, ale rysy tak bardzo podobne do jego własnych, że zdumiony nie mógł się powstrzymać od zapytania o to, kim jest. Karczmarz wyjaśnił mu, że przybysz jest germańskim kupcem; nie pamiętał jego nazwiska, ale nie omieszkał go poinformować, że wypytuje się o niego pewien Hiszpan.

- W rzeczy samej jest to zdumiewające - powiedział Włoch, zbliżając się do stołu don Antonia.

- Wzbudzacie we mnie wątpliwości co do mojej własnej matki, panie - odparł don Antonio, nie mogąc odwrócić wzroku od tego zjawiska.

- Nie rozumiem was, panie.

- Nie byliście nigdy w Hiszpanii?

- Nie - odparł energicznie Włoch, niemal urażony. - I proszę, byście wzięli słowa. Wiedźcie, że jestem człowiekiem honoru, i nawet jeśli nasze podobieństwo zaskakuje was tak bardzo jako i mnie, nigdy nie poznałem żadnej Hiszpanki ani też nigdy nie uchybiłem w niczym swojej małżonce.

- Nawet do głowy nie przyszłoby mi was obrażać, panie - pośpieszył z wyjaśnieniami don Antonio, żałując swych pierwszych słów. - Jednak... proszę usiąść przy moim stole i razem wypijemy za to spotkanie. Jakkolwiek by było, moje słowa były wynikiem podniecenia, być może wyrażonego w sposób nazbyt donośny, rozumiem was, wszak sam też nie wątpię w cnotę swej rodzicielki doñi Sanchy; nie pozwoliłbym sobie na to, proszę zrozumieć... Pewne jednak jest to, że za młodu byliście podobni do mnie, a ja po latach będę taki jak wy teraz, stoimy w obliczu cudu czy czegoś podobnego. Pozwolicie, że poproszę o następny dzban?

- Dziękuję, ale z góry was uprzedzam, że nie zamierzam pić ponad miarę. Jutro wczesnie rano wyjeżdżam do Rzymu. I tak, rzeczywiście, przed laty moje podobieństwo do was było jeszcze większe niż obecnie. Natura, jak widać, jest skora do kaprysów...

- Powiedziano mi, że jesteście kupcem...

- Jedwabnym i bławatnym, do usług. Jeśli jednak mam być szczery, tak naprawdę chciałbym być poetą. Lecz nigdy nie znalazłem uznania.

- Poetą? Cóż za nieprawdopodobny zbieg okoliczności!

- Proszę mi nie mówić, że...!

- Ach, przyjacielu! To wymaga następnej szklanki...

- Nie, nie. Nie chcę mieć koszmarów dziś w nocy, a nasze spotkanie aż za bardzo mnie niepokoi. Zapewniam was, że przemierzyłem tysiące mórz i gór, że przebyłem jaskinie i burze, że widziałem śmierć swoich towarzyszy i sam cierpiałem z powodu odmrożenia lewej nogi w śniegach, jednak przy żadnej z tych okazji nie miałem nieszczęścia dojrzeć ręki diabła, ani z bliska, ani z daleka. Wybaczcie, panie, ale nie chcę śnić o nim tej nocy. Proszę więc się nie obrażać i pozwolić mi odejść.

- Tak, tak, jesteście usprawiedliwieni. Rozumiem. Wprzód jednak powiedzcie mi jeszcze jedną rzecz: czy podczas waszych podróży spotkaliście kiedykolwiek człowieka podobnego do nas?

- Niech Bóg broni!

- Dobrze, możecie odejść, panie. Życzę wam szczęśliwej podróży.

Don Antonio opowiedział młodemu don Fernandowi to zdarzenie i chłopak nie mógł go już nigdy zapomnieć. A także wniosków, jakie don Antonio wyciągnął ze spotkania i przekazał potem swemu uczniowi:

- Jest wiele kopii nas wszystkich na świecie, mój młody przyjacielu, nigdy o tym nie zapominaj. To tak, jakby Bóg został bez dusz i musiał je podzielić...

\* \* \*

Podczas gdy młodzieniec czynił postępy w swych studiach z mistrzem don Antoniem, znakomitą część popołudnia poświęcał na zabawy z Klarą, swoją matką, i czasami opowiadał jej o rzeczach, których się uczył, choć ona nie zwracała na to uwagi. Robił to, kiedy wieczorami, siedząc na schodach, u podnóża kamiennego krzyża, patrzeli w niebo i on wymyślał dla niej historie. Jednak moja matka nie słuchała go, bo wołała na niego patrzeć. Przebiegała wzrokiem jego rysy, cienie na jego twarzy, błyski jego oczu, wylewny uśmiech; zatrzymywała się na długości jego ramion, krzepkich i zgrabnych; na jego smukłych nogach, spiczastych kolanach; na szczupłym ciele, które z dnia na dzień pięło się ku niebu. I podziwiała go coraz bardziej, z czułością, która nie miała daty początkowej, z zachwytem rosnącym, aby przemienić się w pierwszy afekt i w końcu w miłość. Zabawy, które on proponował, nigdy nie były brutalne. Naturalne nieokrzeseanie innych chłopców w jego wieku było obce don Fernandowi. Kiedy inni młodzieńcy wołali go, by poszedł z nimi nad rzekę albo na pobliskie pola, kąpać się lub bawić w wojnę, Klara i don Fernando spoglądali na siebie porozumiewawczo i wymyślali jakieś niemożliwe do odsunięcia w czasie obowiązki: najlepiej czuli się we własnym towarzystwie, a kiedy jakiś dzieciak, radosny albo podniecony, na zbyt wiele sobie pozwalał z Klarą, nawet jeśli chodziło o dotknięcie lub odrobinę zbyt kwaśne słowo, jedno warknięcie don Fernanda wystarczało, aby postawa zuchwalca zupełnie się zmieniła. Spojrzenie ostre niczym kosa, mawiali; spojrzenie suche i przeszywające niczym katowski miecz. A chodzi o to, że don Fernando zdawał się od dzieciństwa posiadać królewski autorytet, władzę ministra i niezłomność dowódcy, mimo bladości oblicza znamionującej melancholijną słabowitość.

On zapalał się do rozmów z swoją matką o sprawach naukowych, a ona mówiła mu o podszeptach miłości. Przy różnych okazjach zabierał się do uczenia jej, lecz szybko porzucał swe zamiary, bo brak zainteresowania ze strony dziewczyny był przygnębiający.

- Ile to jest jeden i jeden, Klaro?

- Jeden i jeden czego?

- Sukienek.
- Dwie.
- Bardzo dobrze. A dwa i dwa?
- Dwa i dwa czego?
- Butów.
- Cztery.
- A sześć i sześć?
- Sześć i sześć czego?
- Jabłek.
- Koszyk.

Nie sposób było wbić jej liczb do głowy, tak więc próbował z innymi naukami, bo może te bardziej leżałyby w jej guście. Don Fernando powtarzał coś, co przeczytał, albo jakieś wydarzenia, o których dowiedział się z ust don Antonia, lecz bez względu na to, jak bardzo ważne mu się zdawały, dla niej były to sprawy, którymi nie miała zamiaru zaprzętać sobie głowy. Pamięć, nauczył się, jest plażą, która zwraca morzu to, czego nie pragnie zatrzymać.

- Wiesz, Klaro, że alchemicy uważają, iż można zamienić ołów w złoto, jeśli zmiesza się go z określoną ilością rtęci? Mówią, że będzie tak tylko wtedy, gdy uczyni się to w obecności katalizatora, który zwą kamieniem filozoficznym. Don Antonio twierdzi, że cała alchemia kręci się wokół poszukiwania tego katalizatora. Chcesz wiedzieć, jak zdobyć ten kamień filozoficzny? To bardzo proste, posłuchaj... Bierze się tuzin części...

I wtedy moja matka patrzyła mu w oczy, uśmiechała się, nachylała się do jego policzka, składała na nim pocałunek i wstawała, gotowa uciekać, aby on ją gonił.

- Twoje słowa padają jak ulewny deszcz.
- Chcę...
- Zobaczymy, czy mnie złapiesz...

I rzucała się przed siebie, ze śmiechem na wietrze, zostawiając go w pół słowa.

\* \* \*

Jesienią 1576 roku, kiedy don Fernando ukończył piętnasty rok życia, ojciec zdecydował, że don Antonio Sánchez de Tovar już nauczył go wszystkiego, co wiedział, i że nadeszła chwila, aby wysłać chłopca do ojców augustianów, do klasztoru znajdującego się na obrzeżach Madrytu, na lewo od drogi do Alcalá, aby pogłębił studia i przygotował się, o ile Bóg pozwoli, i chłopak dalej będzie zacięcie kroczył po drodze wiedzy, do wstąpienia na Uniwersytet Complutense w niedalekim mieście Alcalá. Nie była to zła decyzja, w żadnym

razie; don Fernando z radością przyjął informację o podjęciu wyższych studiów i ponowił słowem i czynem pragnienie poświęcenia wszystkich swych wysiłków poszerzaniu wiedzy. Klara, moja matka, przyjęła tę wiadomość z wielkim bólem, który zaczynał się w piersiach, a kończył w potylicy, niczym gałęzie drzewa gniewu, które skręcało swe korzenie w gardle i na dnie brzucha. Płakała łzami bezsilności i nienawiści, ale też nieobecności i miłości. Nie starała się zrozumieć przyczyn wyjazdu, wiedziała, że kobieta nie ma prawa myśleć za siebie ani przeciwstawiać się woli mężczyzn, jednak posłuszeństwo wobec zasad nie uśmierzyło niepokoju, który od tej chwili przeszkadzał jej w odpoczynku i burzył jego charakter. Miała ukończyć dwanaście lat; jej ciało, smukłe i rozwinięte, już uczyniło z niej kobietę; wiedziała dokładnie, czym jest miłość, bo czuła ją wobec don Fernanda, i życie było dla niej rutyną uczenia się prac domowych oraz nieodłącznego towarzyszenia młodzieńcowi, którego kochała. I w takiej sytuacji, pewnego dnia, zniecka, dowiedziała się, jakimi nutami pisze się melodie smutku, i już nigdy nie poczuła, że można latać.

Któregoś popołudnia, kiedy włóczyła się z don Fernandem pomiędzy drzewami na placu Oriente, a słońce prószło promieniami na dachy królewskiego alkazaru, zapytała go, czy wie, co to takiego miłość. Młodzieniec, zaskoczony pytaniem, stanął jak wryty, podrapał się po głowie i po włosach na tyle głowy i wyznał, że nie wie.

- Ty mi powiedz - rzucił.

- Nie potrafię tego wyjaśnić - odpowiedziała. - To się wie albo się nie wie.

Wtedy się zaczerwieniła. Z powodu myśli, które przebiegły jej przez głowę i z powodu bicia serca, wstrząsającego jej piersiami. Zaczerwieniła się, lecz powiedziała:

- Chodź.

Don Fernando złapał ją za rękę i poszedł z nią aż do cienia jakiejś akacji, gdzie ona na niego spojrzała, zrobiła poważną minę jak na pogrzebie i nagle pocałowała go w usta. Nie wiedział, jak się zachować, więc milczał, a milczenie to stawało się coraz bardziej hałaśliwe, bo w tej chwili wydało się obojgu, że świat zatrzymał się, aby na nich patrzeć. Don Fernando nawet nie stracił pewności siebie. Stał jedynie niemy, nieruchomy, zamysłony.

- Podobało ci się? - zapytała Klara po chwili.

- Nie wiem - odparł.

- To był pocałunek miłości - wyjaśniła.

- Pomyślę o tym...

- Czy ty zawsze musisz dzielić włos na czworo?

Klara, moja matka, oburzyła się. Nie wiedząc, w jaki sposób wyrazić swą złość, tak aby on to zobaczył i jej współczuł, nie miała innego pomysłu, jak odwrócić się na pięcie i



wspiąć się na drzewo, które ich chroniło przed słońcem. Wejście było proste, zarówno dlatego, że złość dodała jej sił, jak i dlatego, że sęki na pniu i ułożenie pierwszych gałęzi ułatwiły jej wspinaczkę. Jednak, gdy już rozsiadła się na wysokiej gałęzi ze zwieszonymi nogami i gdy odzyskała spokój, stopniowo zaczęła do niej docierać świadomość wysokości, na jakiej się znajduje, i trudności, jakie ją czekają przy schodzeniu, przez co złość zmieniała się w niepokój, a to, co początkowo było dąsami, szybko przerodziło się w strach. Don Fernando stał u stóp drzewa, starając się pojąć zachowanie mojej matki i znaleźć związek pomiędzy faktem złączenia ust, naśladujących przyleganiem przyssawki, i duchowym uczuciem miłości, opisywanym w książkach jako dążenie do tego, by kochany byt, bez względu na to jaki, osiągnął stan zadowolenia. Stał pod drzewem, jeszcze pogrążony w tej burzliwej i bezpłodnej medytacji, i nie zdawał sobie sprawy, że z Klarą działo się coś niedobrego. Ona tam, na górze, zaczęła czuć się źle, nie rozumiejąc dlaczego. Najpierw poczuła słaby i ciepły prąd wrażeń, który wskazał jej, że ma pod skórą żywe organy, burzące się i drżące: żołądek, serce, płuca. Później ugięły jej się nogi, jakby mięśnie zmieniły się w wodę, i serce nagle zabiło bardzo szybko, jak nigdy. To był jednak dopiero początek. Przestała panować nad własnym umysłem, a jednocześnie okryła się potem i wstrząsnęły nią dreszcze. Wszystko w jednej chwili. Drżenie rąk pojawiło się niebawem, a wraz z nim narastające kłopoty z oddychaniem, jakby powietrze stężało, gardło się ścisnęło albo ciało nie potrafiło pochłaniać go jak zwykle. Coraz bardziej zaniepokojona, nie mogła tego uniknąć, bała się nawet krzyknąć. Pomyślała jednak, że serce się jej zatrzyma i ta myśl była coraz silniejsza. Było jej coraz zimniej, bardziej się pocila, mocniej się trzęsła i gwałtowniej biło jej serce. I z coraz większym trudem oddychała. Nie była w stanie myśleć; wiedziała tylko, że będzie mogła zejść, jeśli poprosi o pomoc swego przyjaciela, lecz wydało jej się to przyływem myśli o znaczeniu nieskończenie mniej ważnym niż to, co rzeczywiście się z nią działo, że umrze; i w obliczu tej wszechobecnej myśli wszystkie inne dotyczyły nieistotnych drobiazgów. Dodatkowo istniało duże prawdopodobieństwo, że zwariuje w jednej chwili i w końcu rzuci się w otchłań. A ona nie chciała umrzeć. Nie, nie chciała zwariować, nie chciała, nie...

- Nie! - krzyknęła z paniką zaślepiającą jej oczy, z zaciśniętymi dłońmi, wbijając paznokcie w korę gałęzi, z pustym spojrzeniem i wykrzywioną twarzą. - Nie!

Don Fernando przeraził się i spojrzał w górę, zaskoczony najbardziej rozdzierającym krzykiem, jaki w życiu słyszał.

- Co się z tobą dzieje, Klaro? Powiedz, co z tobą?

Ona jednak wciąż krzyczała, niezdolna do odpowiedzi. Szybko zdał sobie sprawę, że

coś z nią było nie tak, i wszedł po tych samych sękach i gałęziach, aż dotarł do niej i ją przytulił.

- Spokojnie, spokojnie... Zejdziemy. Ja ci pomogę...

I tak też zrobił. Zajął to kilka sekund, zaledwie kilka sekund, ale szybkie zejście, które w rzeczywistości niczym nie groziło, wyczerpało wszystkie siły mojej matki. Poczawszy grunt pod nogami, rzuciła się na ziemię i przykrywając twarz rękoma, wybuchła płaczem, tak przeszywającym, jakiego nigdy w życiu nie słyszał. Don Fernando nie znajdował sposobu na jej pocieszenie. Przytulił ją, powtórzył uspokajające słowa i zapewnił ją, że nic się jej nie stanie, jednak jej łzy nie ustawały. I tak było przez długą godzinę.

- Obiecuj mi, że się ze mną ożenisz - powiedziała jeszcze do niego przytulona, kiedy już mogła odzyskać mowę.

- Jak chcesz - odparł don Fernando, podając jej jedwabną chusteczkę, aby otarła łzy.

- Naprawdę? Mówisz to poważnie?

- Jeśli tego pragniesz.

Klara stopniowo odzyskiwała kolory na policzkach. Odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Już się czuję dużo lepiej. Nie wiem, co się ze mną stało. Nagle pomyślałam, że umrę, i zaczęłam strasznie się bać. - Wtedy spojrzała mu w oczy z podziwem. - Dlaczego nigdy się nie boisz?

- Nie wiem, czego miałbym się bać - odrzekł i wzruszył ramionami, starając się odkryć, jakie powody mógłby znaleźć, aby zagościło w nim to uczucie, o którym wszyscy mówią.

\* \* \*

Opowiadała mu o strachu przed śmiercią, ciemnością, bólem albo wysokością drzew, jak to się przytrafiło jej samej. I o strachu, że on odjedzie do klasztoru Augustianów i zapomni o niej, że przestanie ją kochać i chcieć być u jej boku.

- I to właśnie czułaś tam, u góry? - dopytywał się.

- Nie wiem. To był strach...

- Strach czy samotność?

- Zawsze zadajesz pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć...

Don Fernando wolał nic nie mówić, ale szybko zrozumiał, że to, co czuła Klara, było aktem buntu, niezgodą na jego wyjazd, bo może myślała, że zostanie sama, bez nikogo, z kim mogłaby się bawić; i aby to okazać albo przedstawić jemu, pozwoliła się ponieść swemu uczuciu niezgody, dając się opanować strachowi. W tej samej chwili doznał czegoś

podobnego do olśnienia: strach to nic takiego, to jedynie usprawiedliwienie, które wymyślają ludzie, nawet o tym nie wiedząc, aby zaprzeczyć czemuś, czego nie pragną, czy będzie to rzeczywiste niebezpieczeństwo, czy nieuniknione uczucie. Tak, tak powinno być. Powinien więcej o tym pomyśleć. Albo lepiej, powinien to przestudiować. Zdecydował wtedy, czemu poświęci swoje życie: będzie studiował sposoby uniknięcia strachu, będzie lekarzem od strachu, uzdrowicielem dusz, odkrywcą remedium dającego ludziom szczęście.

- Naprawdę się ze mną ożenisz?

- Teraz muszę się uczyć, Klaro. Będę wiele studiował, z całych sił, wszystkimi swoimi zmysłami. Kiedy już nauczę się wszystkiego, porozmawiamy o tym. Dobrze?

- Wtedy już nie będziesz o mnie myślał.

- O tobie? Zawsze będę o tobie myślał - wziął jej dłoń z niezwykłą czułością i uniósł do swego rozpalonego policzka, wypowiadając rzekę tak niespodziewanych uczuć i w jakiś sposób tak spokojnych i szczerych, że on sam był najbardziej zaskoczony tymi słowami, wpływającymi z ukrytego źródła, które bezwiednie nosił w swej piersi. - Zawsze będziesz w moich myślach. Będę widział twoją twarz w każdym kwiecie, Klaro; w deszczu twoje łzy, w brzasku twój śmiech i w zmierzchu twoje oczy. Będę cię widział, wstając z rana i kładąc się z wieczora. Zасыpiając i budząc się. Tak będzie. I jeśli to jest miłość, nie chcę, abyś miała jakiegokolwiek wątpliwości. Kocham cię, Klaro. Bo choć może nadejdzie taki dzień, że nie będę umiał tego zrobić, nigdy nie przestanie kochać ciebie moja pamięć...

Czasem łatwo jest mówić, zawsze tak uważał. Później jednak przekonał się, że wszystkie słowa mają swoją cenę.

\* \* \*

W dniu, w którym don Fernando wyjeżdżał do klasztoru Augustianów, przed domem zegnał go szpaler ludzi składający się z matki, zarządcy don Tirsa, panien, służących, pokojówek. Była tam też panienska Klara, piękniejsza niż kiedykolwiek. Oczy lśniły jej jak księżycy, płocze i błyszczące niczym bryzgi wody w słońcu. Zebrała włosy w dwa warkoczyki według mody najbardziej dystyngowanych dam na dworze, i chciała upudrować policzki pudrem, lecz rumieńce były silniejsze i nadały jej kolory zdrowia, kiedy nadeszła chwila pożegnania. Może nawet spryskała się perfumami bursztynowymi albo anielską wodą, bo jej piękność stawała się coraz intensywniejsza w miarę zbliżania się do niej. Miała na sobie kaftanik z brokatu zakończony nakrochmalonym kołnierzykiem, marszczonym i wyciętym w dekolt; bluzka była jedwabna, a halki z tafty z lamówkami z płatków złota spięte w pasie krynoliną, która pomagała jej nadymać; pantofelki były na korkowej podeszwie ze skrzyżowanymi paskami skóry; jedwabne pończochy i rękawiczki bardzo cienkie. Jednak

przede wszystkim przystroiła się wilgotnymi, półprzymkniętymi oczyma i przybitym spojrzeniem, które mówiło, albo lepiej błagało, aby tego nie robił, aby nigdy nie odchodził od jej boku.

W powozie jechali on i jego ojciec i choć droga była krótka, chłopak odbył ją, od samego początku nie oglądając się za siebie: Klara, moja matka, została zbyt daleko. Młody don Fernando myślał tylko o przepastnym horyzoncie wiedzy, który miało mu dostarczyć jego nowe życie, i jak bardzo powinien być wdzięczny za możliwość wejścia w nie z ciekawością żeglarza i pokorą nowicjusza.

\* \* \*

Od 1576 do 1582 roku don Fernando pozostawał pod opieką mnichów. W Rzymie Grzegorz XIII strzegł boskich praw, a w Madrycie Filip II praw ludzkich. Święta Inkwizycja zajmowała się swoimi sprawami bez wytchnienia i pośpiesznie wydawała ramieniu świeckiemu, królewskim żołnierzom, rozkazy wykonania jej wyroków, a na dworze niespokojnie wyczekiwano narodzin męskiego następcy tronu, co w końcu nastąpiło w 1578 roku w wyniku małżeństwa króla z Anną Austriaczką, a tym następcą był późniejszy Filip III, nasz pan.

Na lekcjach nauczył się don Fernando wszystkiego, co wykładano, a z książek wszystkiego, na co mu zezwalano. Zarywał nocne godziny, aby ukradkiem czytywać teksty, jakie pozwalano mu wnieść z biblioteki do celi, a w przerwach, podczas gdy jego koledzy ganiłi się jak szaleni albo robili zakłady o to, kto z nich zna bardziej sprośne wierszyki, on chronił się w podcieniach, aby raz za razem powtarzać lekcje. Jadł niewiele, mało sypiał i nigdy nie pozwalał się pieścić promieniom słońca. Nic dziwnego, że w ten sposób, wraz z upływem czasu, zamiast stawać się coraz silniejszy, zdawał się coraz bardziej zdzieciniały i cherlawy. Błady, kościsty, chudy i niezgrabny, niepokoił mnichów, a szczególnie ojca przełożonego, który nakazał dokładnie sprawdzać jego odżywianie i zobowiązać go do uczestniczenia wraz ze wszystkimi uczniami w gimnastyce.

Ta decyzja, choć dla niego dobra, w sumie doprowadzała jedynie do kłótni i kpin! Szydzono z jego niezgrabności i braku wigoru, był popychany, podcinany, dręczony i ośmieszany we wszystkich grach, a kiedy tylko pilnujący mnisi się rozkojarzali, używano go jako bąka albo celu wszystkich strzałów. Jednakże don Fernando, który zdawał się wiecznie nieobecny niczym obłąkaniec, nawet nie myślał, że okrucieństwo wynika ze złośliwości, lecz że stanowi jeszcze jeden element gry. Dlatego czasem się śmiał z własnych upadków, nawet przeproszał, jeśli potykając się, przewracał jednego z kompanów. I pragnął, by przerwy kończyły się jak najszybciej, żeby mógł wrócić do sali i dalej się uczyć.

- Wydaje się taki rozkojarzony - zauważył kiedyś jeden z mnichów na zebraniu preceptorów - że myśląc o niebieskich migdałach, nie byłby bardziej.

Miał piętnaście lat, kiedy przyszedł do szkoły i jeszcze nie był mężczyzną. Wyjaśniała to jego słaba budowa, ale dużo lepiej usprawiedliwiał to fakt, że nie miał rozbudzonej natury dla nieczystych myśli, które w tym wieku po częstokroć skłaniały do grzechów ciała. Dlatego kiedy pewnej nocy obudził się i zauważył dziwną wilgotność pomiędzy nogami, spowodowaną swego rodzaju ropieniem, które wydobywało się z jego członka, pomyślał, że jest ciężko chory. I zdarzenie napełniło go takim wstydem, zwłaszcza że wydzielina została poprzedzona dziwnym diabolicznym snem, w którym objawiły mu się nagie ciała Klary i jego matki (nigdy nie wiedział z pewnością, czy było to ciało jednej z twarzą drugiej, czy na odwrót, obie te rzeczy jednocześnie), że nie odważył się zwierzyć żadnemu z kolegów, preceptorów ani nawet spowiednikowi. Od tamtej nocy modlił się rozpaczliwie przed snem do Najświętszej Pani, tyloma błagalnymi modlitwami, ile znał, aby nie nachodziły go takie sny i żeby ponownie nie zdarzyło mu się tamto; i w ten sposób postępował przez kilka miesięcy. A kiedy pewnego razu przytrafiło mu się to znowu, zawsze poprzedzane snami, w których pojawiały się prowokujące kobiety bez żadnych ubrań na sobie, spędzał dzień przygnębiony i cichszy niż zwykle.

To podczas jednego z tych dni Alfonso de Guzmán, syn hrabiów Haro, pyszałek i zawołany miłośnik kpin i prowokacji, wpadł na kiepski pomysł zignorowania przygnębienia don Fernanda i uderzył go pięścią w kark, kiedy ten wysiłał się nad elegancką kaligrafią i właśnie wyciągnął pióro z kałamarza. Na papier spadł kleks, a na oczy don Fernanda spojrzenie niezrozumienia. Jednak fanfaron uśmieł się ze swego dowcipu, a obolały odkrył gniew. Nikt nie mógł się spodziewać, zanim się to wydarzyło, jaką siłę może wywołać wściekłość potulnego, kiedy światło rozumu stapia się ze ślepotą wściekłości. Lekcja gramatyki musiała zostać przerwana i młodego don Alfonsa odprowadzono do celi, gdzie został opatrzony przez lekarzy. Przez resztę czasu, który został do końca kursu - ponad sześć miesięcy - zaczępnny hrabiowski syn szczyił się okazałym opatrunkiem na lewym ramieniu i kompresami z jedwabiu na nosie, który już nigdy nie zdołał odzyskać dawnego kształtu. Pierwszy celny cios trafił w twarz, drugi w pierś, a potężne pchnięcie rzuciło go na parapet okienny, o który złamał sobie kości ramienia w dwóch czy trzech różnych miejscach. Był to pierwszy raz, kiedy don Fernando posłużył się gwałtem, sam nie wiedząc, że potrafi to uczynić. I nie spodobało mu się to. Dodatkowo zarobił dziesięć dni izolacji w celi, z której mógł wychodzić tylko na poranne modlitwy i wieczorne pacierze.

Jednak owego dnia zdobył szacunek, którego nigdy nie utracił.

Jedyną dobrą rzeczą, jaką w jego mniemaniu dała mu kara, gdy poddano go spowiedzi i przymuszono do usprawiedliwienia swego zachowania, było to, że w końcu wyznał prawdę o chorobie, którą w sobie nosił i którą opisał jako niemożliwą do wyjaśnienia zemstę demona, co doprowadziło preceptorów do dobrodusznego śmiechu, kiwania głowami z zadowoleniem nad niewinnością chłopca i wysłania go do lekarza, aby wytłumaczył mu przyczynę rzekomego zła, dzięki czemu wyleczenie nastąpiło natychmiast. Wiadomość o tym, że już jest mężczyzną, zadowoliła don Fernanda, ale konieczność nauczenia się, jakiej siły używa natura wobec podrostków, napełniła go wstydem i przekonała o potrzebie dowiedzenia się, jak zachować godność nawet w najbardziej intymnych sytuacjach.

Tamtego roku studiował matematykę, filozofię, teologię, łacinę, astronomię, gramatykę, prawo, retorykę, nawigację, geografii i francuski; miał dostęp do studiów nad magią i nekromancją, aby potrafić je zwalczać; i przyznano mu dyżury w kuchni, pokojach i stajni jako uczniowi obserwatorowi, zwanemu tak dlatego, że uczniowie ograniczali się do przyglądania się tym pracom, aby wiedzieć o ich istnieniu i móc wymagać od swej służby poprawnego ich wykonywania.

\* \* \*

Tymczasem moja matka ledwie wychodziła z domu. Codzienna poranna msza o dziewiątej w kościele klasztoru Bosej Trójcy była jej jedyną rozrywką. Przez pozostałą część dnia uczyła się szycia i kuchennych przepisów, poszukiwała matki, aby mówiła jej o czymkolwiek, i ojca, aby pozwolił jej polerować swe szpady toledańskie, mediolańskie i z Brescii. A na koniec dnia siadywała na kamiennych schodach na placu Świętego Jakuba, aby sprawdzić, czy w którejś z gwiazd odkryje oblicze don Fernanda, coraz piękniejszego, ale też coraz bardziej odległego.

Dnie mijały tak powolnie, że czuła, jak się starzeje podczas każdego z nich. Najgorsze jednak były noce - wtedy odczuwała przytłaczającą pustkę, niemożliwe do zniesienia osamotnienie, które nie opuszczało jej nawet podczas snu. Klara miała jedwabną chusteczkę, którą don Fernando dał jej w dniu, kiedy zawładnęła nią panika na drzewie, aby wytarła sobie łzy, i jeśli nie ścisnęła jej w rękach, jakby przytulała swą miłość, nie mogła zasnąć. Noc jest śmiercią życia i wigilią zmartwychwstania, myślała Klara. Cisza powoduje szmery, które ranią; samotność dziury, które zabijają. Niezachwiana wiedza, że następnego dnia wszędzie słońce, nie jest pociechą podczas tych godzin, wlokących się jak ból żołądka, kłucie w uszach albo rwanie zęba.

Noc staje się nieruchoma, kiedy nie dzieli się jej z miłością, myślała. I nocą wzmagają się niepewność, że ta miłość, która kiedyś była, powróci pewnego dnia. Klara spędzała

poranki na poszukiwaniu sobie obowiązków przy szyciu i wieczory na poszukiwaniu szklanych ptaków na niebie, jednak pora kładzenia się do łóżka była torturą, której nigdy nie potrafiła od siebie odsunąć. Dlatego próbowała perfum, smarowała się kremami, nakładała i zmywała róż, brudziła się pomadkami, stosowała pachnące pastylki, pudrowała się i wybierała spośród kosmetyków najlepsze mieszanki z roztworami rtęci. Lecz na koniec, znudzona i smutna, odsuwała wszystkie smarowidła, myła twarz i powierzała się łóżku, gdzie przewracała się z boku na bok, aż z chusteczką w rękach zasypiała.

Z miesiąca na miesiąc coraz bardziej stawała się kobietą. Spędziła jesień, czekając na Boże Narodzenie, kiedy być może augustianie pozwolą don Fernandowi cieszyć się ze świąt w rodzinnym gronie; później strawiła zimę i wiosnę, czekając na lato, kiedy być może mnisi pozwolą don Fernandowi spędzić kilka dni w domu rodziców. Odczuwała potrzebę ujrzenia go. Jednak na Boże Narodzenie nie przyjechał, a potem zima stała się marmurowa, jak grób.

Klara, moja matka, zachowała życie i zdrowie ze względu na niego. W wieku dwunastu lat potrafiła kochać intensywnie, aż do bólu.

\* \* \*

Z dala od domu don Fernando myślał, że jedyną misją, jaką mu w życiu przeznaczono, było zdobywanie wiedzy i uczenie się, jak być uczciwym i godnym. Dlatego kiedy przeor klasztoru Augustianów obwieścił, że nie należy do zwyczajów zakonu pozwalać uczniom porzucać klasztor podczas świąt Bożego Narodzenia, aby nie powodować krzywdy tych, którzy nie mogli pozwolić sobie na podróż do domu, czy to z powodu odległości, czy jakichkolwiek innych przyczyn rodzinnych, wliczając w to kwestie natury ekonomicznej, nie wpłynęło to na zmianę jego planów. Myślał nawet, że święta go rozproszą i przerwą jego studia. I chociaż poczuł pewną tęsknotę za domem rodzinnym i uczestnictwem w obrzędach religijnych z ojcem i matką, decyzja przeora wydała mu się sprawiedliwa i właściwa. Rozwiązał problem, pisząc list do ojca, w którym przypominał mu o swej miłości i prosił, by również poinformował matkę o jego synowskich uczuciach, a w ostatniej linijce prosił go, by w przypadku napotkania panienki Klary przekazał jej wyrazy uszanowania, gdyż bardzo ją szanował z racji tak wielu chwil spędzonych u jej boku.

Te pierwsze święta Bożego Narodzenia w szkole były dla młodego don Fernanda doskonałym usprawiedliwieniem, aby rozkoszować się przyjemnymi lekturami, które polecili mu jego mistrzowie, szczególnie jego osobisty opiekun. Bawił się, czytając *crocodolites*, *sorites* i *ceratines*, te logiczne wywody o dwuznacznym i podstępym wydźwięku napisane przez Kwintyliana i Cyserona albo zawarte w księdze *Satyr* Horacego. Śmiał się z figlarnych wierszy *Appendix Virgiliana*, przede wszystkim z *Culex* i *Moretum*, poświęconych przez

Wergiliusza Maro komarom i grochowi z kapustą. Albo z tego, który Owidiusz poświęcił orzechom, zatytułowanego *Nux*. Zawsze wspominał przyjemne chwile lektury w zaciszu swej celi albo kiedy spacerował w podcieniach klasztoru w ciepłym słońcu lub delikatnym chłodzie, a także rozkoszne momenty poświęcone *Pochwałom łysości* Silesia, biskupa Ptolemaidę; *Apoteozie Klaudiusza* napisanej przez Senekę, *Diálogo de Grilo*, w którym przemieniony w świnię przez wróżkę Kirke stara się przekonać Odyseusza, że lepiej być zwierzęciem niż człowiekiem. W efekcie wiele było lektur dla poprawienia humoru w tym okresie, ale wedle tego, co wspominał don Fernando, żadna nie była taka jak *Testament prosiaka Grunnia Corocotty*, zawarty w *Wulgacie* świętego Hieronima i napisany, ale nie wiadomo przez kogo, około III wieku.

Jakkolwiek by było, żadnego dnia nie zapomniał przeglądać lekcji z fizyki i chemii, przedmiotów, które pozwalały mu zrozumieć aspekty życia i natury, pociągające go, nie wiadomo dokładnie dlaczego, w sposób szczególny. Chemia prowadziła go do anatomii i do medycyny; fizyka do pomiaru czasu i przestrzeni oraz do nauki o mechanizmach. Kiedy w ciszy nocy zaczynał myśleć o tajemnicy śmierci i o istnieniu czasu, imitując rzekomego Ateńczyka Tymona, który rozkoszował się w samotności własną wiedzą, analizował ją na tysiące sposobów i odkrywał przyczyny, których nie pojmował. Musiał studiować więcej, bo wpędyły go w obsesję rzeczy, których nie rozumiał. Dlaczego koniecznie trzeba umierać? Dlaczego człowiek nie może być nieśmiertelny, skoro został stworzony na obraz i podobieństwo Boga? A może człowiek jest nieśmiertelny, nie wiedząc o tym? Czyż czas nie jest fikcją, która myli istotę ludzką do tego stopnia, że sądzi ona, iż jest śmiertelna, a nie jest? Pytania następowały po sobie, a odpowiedzi nie. Przynajmniej jednak on sądził, że wie, gdzie się znajdują, i przyrzekł sobie, że odnajdzie je bez względu na to, jak bardzo będą się ukrywały.

Dzięki przyjemnemu upływowi dni, spacerom, nadzorowi opiekunów w kwestii odżywiania i ćwiczeń gimnastycznych bladeść, słabowitość i niezręczność don Fernanda zaczęły znikać. Także dojrzałość płciowa nadawała jego ciału bardziej męskie kształty. Studia nie pozostawiały już w nim śladów chorego zwierzęcia i ta niezdarna trzcina, która w swoim czasie była przyczyną zmartwień w klasztorze, przemieniała się w młodzieńca o małych mięśniach, lecz silnego i szanowanego, którego sam don Alfonso, obity pyszałek, pytał o opinię przy nauce i którego obecności wymagał w zabawach.

Niemal wszyscy uczniowie z tej instytucji pochodzili z rodzin szlacheckich, herbowych albo należeli do rodzin bogatych kupców; najmniej zamożni przybyli ze środowiska zbliżonego do intymnych kręgów wyższej hierarchii kościelnej, kapelanów



dworów, biskupów i kardynałów. Byli to zazwyczaj młodzieńcy dobrze wychowani, z wykształceniem nabytym od kołyski i pochodzący ze środowiska ludzi kulturalnych, choć także o gorącej krwi i zawsze gotowych do ciężkich dowcipów i do złośliwości właściwych hamowanym żądom i wiekowi. Miłośnicy szermierki i jazdy konnej, które to dyscypliny niemal wszyscy ćwiczyli praktycznie od urodzenia, na pierwszy rzut oka odróżniali kasztana araba od konia z Jerezu i od asturyjskiej chabety i nie mylili sztyletu z Albacete z toledańskim bez względu na to, jak bardzo oba będą cienkie i ozdobione. Ich rozmowy często dotyczyły sztychów rapierem, obron i sposobów na przetrzymanie ostatecznych ciosów, bo studiowali u mistrzów włoskich, francuskich i kastylijskich; debatowali przez długie godziny nad sposobem dzierżenia rękojeści, kątami i poruszaniem, kołysaniem, postawami, fortelami, cięciami, obronami i pchnięciami albo dyskutowali nad stylami dosiadanania konia i jazdy, rasami koni, końskimi głowami i wytrzymałością klaczy, koni i źrebaków.

Lecz młody wiek daje też przywilej poruszania tematów najbardziej niewybrednych, a ponieważ nie wszystko musi być z rodowodem, don Fernando poznał podczas odpoczynku w te świąteczne dni, kiedy to skrócono lekcje i wydłużono rozmowy pomiędzy uczniami, aspekty, które jeszcze były dla niego całkowicie obce i przede wszystkim takie, które nigdy nie przyszyłyby mu do głowy: zwłaszcza w odniesieniu do miłości i przyjemności ciała.

Było to wieczorem w przedostatni dzień roku, siedzieli wokół kominka, na którym płonął wysoki ogień, kiedy don Ignacio de Soto, chłopiec o rudych włosach i piegowaty, o wzburzonej czuprynie, zadał to samo pytanie, które miesiące wcześniej sformułowała Klara:

- Co to jest miłość?

Uczniowie spojrzeli po sobie najpierw z zaskoczeniem, rozglądając się dokoła, a następnie, jakby upewnili się, że żaden mnich nie pilnuje ich w pobliżu, wyrzucili z siebie kilka nieśmiałych uwag, które ustąpiły miejsca nerwowym śmieszkom i niepohamowanemu rechotowi.

- Ja też zadaję sobie to pytanie - młody Fernando zachowywał poważną minę, przyglądając się im, jednemu po drugim. - I nie chodzi mi o żarty, jak sądzę. Powiedzcie mi, jeśli któryś z was wie, co to jest miłość?

\* \* \*

To samo pytanie i mniej więcej w tym samym okresie zadała Klara swemu preceptorowi w pewne nudne i deszczowe popołudnie. Wówczas to dziewczynce złożył wizytę opat z klasztoru Trynitarzy, u którego się spowiadała. Moja matka była sama tamtego popołudnia na szezlongu w bawialni, nie mając ochoty na pogrążenie się w labiryncie nitek ani na zaprzątanie sobie głowy tamborkiem do wyszywania. Patrzyła przez okno,

przygnieciona wielką melancholią i nieobecna duchem, kiedy zaanonsowano don Gregoria.

- Proszę wejść, ojcze. - Klara pośpieszyła ucałować pierścień i posadziła gościa w fotelu przy ogniu. - Nie spodziewałam się was.

- Dobrze, dobrze... - Ksiądz zajął miejsce i ułożył sobie poły sutanny ze skromnością damy i dostojenstwem monarchy. - Twój rodzic widzą cię smutną, malutka, i poprosili mnie, żebym z tobą porozmawiał. A tak swoją drogą, czy to nie pora podwieczorku?

- Tak, tak... - Klara szybko podeszła do drzwi i wezwała służącą, którą poprosiła o podanie gorącej czekolady i ciasteczek.

- Bardzo gorącej, tak? Siadaj tutaj, żebym mógł cię widzieć. Dobrze, dobrze... Powiedziano mi, że wydajesz się nieobecna duchem - ciągnął ksiądz. - Czy to nie przypadkiem zło z powodu miłości w tak młodym wieku?

- Nie wiem, ojcze - Klara spłoszyła.

- Ze mną możesz być szczerą, wiesz o tym.

- Tak, wiem... Jednak najpierw chciałabym zapytać was o coś...

- Proszę.

- Co to jest miłość, ojcze?

Ksiądz zmarszczył brwi, zaskoczony. Szybko jednak na jego twarzy zarysował się uśmiech zadowolenia i don Gregorio poprawił się na fotelu, usadawiając się wygodniej, aby wygłosić kazanie, które zdawał się mieć bardzo dobrze wyuczone. Odetchnął głęboko i przemówił:

- Obawiam się, że będziemy musieli podwoić czujność, aby smrodliwy oddech Lucyfera nie zbliżył się do ciebie, nie zmylił cię i nie oszukał w samotne noce - don Gregorio przyjął grobowy wyraz twarzy. - Twoje pytanie to przedsięwzięcie grzechu i na to nie mogę się zgodzić. Pamiętaj, że święty Bernard napisał, iż żaden grzech nie cieszy tak bardzo diabła jak grzech rozpusty, a święty Grzegorz powiedział, że rozpusta toczy ciało, zabija duszę, odbiera dziewictwo, wykrada cześć, obraża człowieka i zatrważa Boga. Skoro tak jest, jak śmiesz grzeszyć myślą, Klaro, za ledwie wypowiedzując to pytanie? Jak to, czym jest miłość? O to chcesz zapytać? Nie! Ty chcesz mnie zapytać, tak naprawdę, o rozwiązłość, która cię toczy!

- Ależ nie, ojcze...

- Salomon! Sam Salomon, tak mądry, powiedział: „W kobiecie wszystko jest przewrotnością!” - krzyknął don Gregorio, wychodząc z siebie. I recytował coraz bardziej poirytowany: - „Ze złej kobiety narodził się pierwszy grzech, przez który wszyscy umieramy! I o ile pośród tysiąca mężczyzn można znaleźć jednego dobrego i czystego, pośród kobiet nigdy nie znalazłem jednej dobrej! Tysiąc razy lepsza jest niegodziwość mężczyzny niż

dobroć kobiety!” Ale przyniosą wreszcie tę czekoladę czy nie?

Klara, moja matka, była zaskoczona i przestraszona, nie rozumiała, dlaczego mówi do niej w taki sposób, obawiała się, że popełniła jakiś straszliwy grzech, lecz nie wiedziała jaki.

Przerażona, podbiegła do drzwi salonu w chwili, kiedy służąca wchodziła z tacą ciasta, ciastek, filiżanek z białej porcelany i dzbankiem wypełnionym po brzegi parującą czekoladą.

- No, dobrze... Co to za maniery, mały diable? - skarciła ją bona Leonarda, kołysząc się i wznosząc tacę w górę jak przy toaście, aby nie wylać czekolady.

- Przepraszam, Leonardo - rzekła dziewczynka, jeszcze przestraszona. - Zostaw, ja sama obsłużę opata.

- Nie ma mowy! Ty siadaj! - rozkazała, stawiając tacę na stole przed księdzem. - Dzień dobry, ojczu. I smacznego.

- Oby był dobry. Ale teraz zostaw nas samych, Leonardo.

- Tak jest - odpowiedziała, wychodząc i dokładnie zamykając za sobą drzwi.

- Zacziesz ją czytać jeszcze tego wieczoru. - Ksiądz wydobyl spod szerokiej sutanny książkę, którą wręczył mojej matce. Później jął jeść i pić, nie przestając mówić ani na chwilę. - *Kwiat cnót*, i mam nadzieję, że posłuży do odsunięcia od ciebie tego całego brudu, którego istnienie podejrzewam. A może powiesz mi, że nie wiesz, iż rozpusta jest przeciwieństwem czystości? Oczywiście, że to wiesz! Rozpusta objawia się na cztery sposoby: pierwszym jest spojrzenie, dotykanie i całowanie i kiedy mężczyzna i kobieta łączą się cielesnie; drugim jest cudzołóstwo, to znaczy, kiedy łączą się cielesnie mężczyzna i kobieta, którzy nie są wolni; trzeci zachodzi, kiedy mężczyzna łączy się z kobietą, która jest jego krewną; i czwarty jest grzechem przeciw naturze, którego nie ośmielałem się nawet nazwać, taki jest ciężki.

- Ja... ojczu... - Klara nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- A jeśli się nie poprawisz, nie pozostanie mi inne wyjście, jak kazać ci się nauczyć na pamięć *Disciplina Clericalis!*

Moja matka, panienska Klara, przytuliła się do książki, którą właśnie odebrała z rąk księdza, i spuściła oczy, bo czuła się brudna, a nie wiedziała dlaczego. Furia spowiednika, która zaślepiła go do tego stopnia, że nie zdawał sobie sprawy z bryzgów śliny rozsiewanych dokoła, kiedy jednocześnie przeżuwał i krzyczał, rosząc nią twarz i koszulę dziewczynki, sprawiła, iż Klara uwierzyła, że rzeczywiście niemal popełniła wielki grzech, i nie odważyła się zapytać ponownie, co to jest miłość i czy to, co czuje wobec don Fernanda, jest miłością czy zwykłą tęsknotą. Nie myślała jeszcze o cielesnym zespoleniu; nie potrafiła nawet powiedzieć, na czym polega cudzołóstwo, a już na pewno nie rozumiała, o co chodziło

księdzu dobrodziejowi, kiedy odnosił się do miłosnych stosunków przeciw naturze. Teraz jednak musiała to odkryć dla higieny własnej duszy, aby przez zwykły fakt nieznania grzechu przypadkowo go nie popełnić.

- I nie chcę słyszeć od twoich rodziców, że martwią się o ciebie! Czy mnie słyszysz? - zakończył, wkładając sobie do ust przesadnie wielki kawałek sernika. - Jeśli zapragniesz zbliżyć się do mężczyzny, weźmiesz kąpiel w zimnej wodzie przez półtorej godziny i będziesz się w tym czasie modlić do Pana Naszego Jezusa Chrystusa, który zginął za ciebie na krzyżu. Czy mnie dobrze słyszysz? Za ciebie!

- Tak...

- Co to jest miłość, pytasz... Masz na karku cień diabła...!

Nie było miejsca na dalsze rozmowy. Opat dopił drugą filiżankę czekolady potężnym haustem, energicznie wytarł usta, wstał, dał pierścień do pocałowania dziewczynce i, nie żegnając się, wyszedł z bawialni wielkimi krokami, pozostawiając swoją matkę zawstydzoną, w poczuciu winy i z oczyma pełnymi łez.

\* \* \*

W klasztorze Augustianów uczniowie też mieli oczy wilgotne od łez, ale z powodu szeregu odpowiedzi, uśmiechów i rechotu, jakie wzbudziło pytanie kolegi don Ignacia de Soto. Schronili się w próżniactwie wieczoru z dala od uszu opiekunów i każdy dorzucił do sedna sprawy to, co sam wiedział, bo się tego domyślił, podsłuchał lub wyczytał. Pyszałek don Alfonso rozpoczął turniej:

- Czy w miłości może być grzech albo obraz Boga z powodu czynienia rzeczy, które on sam nam dał? Księża wiele mówią, ale wszyscy wiedzą, że jedną rzeczą jest kazać, a drugą uprawiać rolę. A może nie jest prawdą, że największymi cudzołożnikami są duchowni, opaci, mniszki i biskupi, którzy od tego ciągłego czczenia Wenus nie mogą się obejść bez dziennej racji przyjemności? Mówiono już o tym na soborze w Yliberis, w IV wieku...

- My jednak pytaliśmy o miłość - poprawił go Fernando.

- O to chodzi - zaśmiał się kolega Justino, grubawy i rumiany.

- O miłość, o cudzołóstwo, o złe kobiety...

- Ale czy istnieją złe kobiety? - Alfonso uderzył się dłonią w udo, wybuchając głośnym śmiechem.

Wszyscy mu zawtórowali.

- Istnieją - śmiejąc się, oświadczył Diego, z wielkimi wysuniętymi do przodu zębami.

- Zawsze były złe kobiety. A może nie czytaliście Biblii? Były na pustyni w czasach Mojżesza.

- To prawda. - Juan z Segowii też przyłączył się do zabawy. - Z jedną z nich spał Zimri, kiedy zabił go dobry Fineas...

- A następną z nich była ta, co ukryła szpiegów, których Mojżesz wysłał do Jerycha...

- A czy Samson nie był z nałożnicą, kiedy o północy rozkazano zamknąć bramy miasta Gazy, aby go pojmać?

- Oczywiście! Dalila mogła być najpiękniejsza z całej doliny Sorec, a Samson mógł w niej być zakochany tak mocno, jak chciał, ale to nie zmienia faktu, że była to zwykła ladacznica...

- Ja chciałem się dowiedzieć czegoś o miłości! - upierał się Fernando, widząc, że nie otrzymuje wyjaśnienia co do swych wątpliwości.

- No, dobrze, Fernando - odparł Justino. - Nie rozumiesz, że rozmawiamy dokładnie o tym? Sam prorok Juda cudzołożył ze swą synową Tamar, sądząc, że jest z kobietą publiczną... A dowodem na to, że owo cudzołóstwo nie było złe, jest fakt, że z tego stosunku zrodził się Fares, jeden z dziadków Jezusa...

- Amen - zaśmiał się Alfonso i zapanowała powszechna wesołość.

- A co powiecie o proroku Ozeaszu? Druga kobieta, z którą Bóg rozkazał mu się zabawiać, kosztowała go piętnaście srebrnych monet i półtora korca jęczmienia...

- To pewne, tak, to pewne. - Na chwilę sam don Ignacio de Soto odzyskał powagę, bo pomyślał, że rozmowa posunęła się odrobinę za daleko i demon wykorzystał obłudę ich wszystkich, aby wśliznąć się między nich.

- Pewne jednak jest to, że Bóg nigdy nie postawił miłości żadnych barier... Błogosławione niech będzie jego święte imię!

- Amen - odpowiedzieli wszyscy.

- A co z miłością? - upierał się don Fernando, niezaspokojony, bo nie było sposobu na znalezienie odpowiedzi.

- Chcesz definicję? - stawiał mu czoło zębąty Diego. - Czy tego chcesz? Otóż żyjący w czystości infant don Juan Manuel napisał, że miłością jest pragnienie tylko jednej osoby i pragnienie jej wyłącznie z powodu miłości, a kiedy ta miłość jest prawdziwa, ani się nie zatracza, ani nie umniejsza. Chociaż, żeby powiedzieć wszystko do końca, on sam w dalszej części tego pisma zauważa, że nigdy nie widział podobnej miłości...

- Może jej nie ma - zastanowił się półgłosem Fernando.

- Może nie. Jednakowoż rozkosz... - obstawał ciężko zraniony Alfonso. - Nawet sam Koran, który jest lekturą niewierną i prowadzi do maurostwa, stwierdza, że rozkosze cielesne cieszą Boga, bo są w zgodzie z tym, co on sam dał człowiekowi.

- Wszak rozpustę Bóg ofiarował człowiekowi, aby mu dać przedsmak Raju - powiedział Ignacio i wszyscy wybuchnęli śmiechem, aż popłynęły im łzy...

\* \* \*

Tamta zima w Madrycie była zimna i deszczowa, wiosna nadeszła późno, a lato było duszące. Klara rzadko wychodziła z domu i często pogrążała się w marzeniach; don Fernando postanowił zapomnieć o świecie zewnętrznym i studiować coraz więcej i więcej, jakby nie istniała wiedza, która by go żywo nie interesowała. Kiedy w sierpniu pozwolono mu odwiedzić dom jego rodziców i pozostać z nimi przez kilka tygodni, nie porzucił swego zajęcia i dalej czytał książki z rodzinnej biblioteki o wszystkim, co było związane z wszechświatem, fizyką i chemią, które były jego ulubionymi przedmiotami, gdyż pomagały mu rozwiązywać tajemnice i otwierać dostęp do wielu nowych zagadek.

Gdy ona tymczasem popadała w zniechęcenie, on pławił się w szczęściu. Zatem w wieku szesnastu lat don Fernando nie pragnął niczego więcej niż nauki, a moja matka przed trzynastym rokiem życia marzyła jedynie o bliskim głosie i spojrzeniu swego przyjaciela, o ponownym spotkaniu go i o siadywaniu na kamiennych schodach pod krzyżem na placu Świętego Jakuba z oczyma utkwionymi w gwiazdy.

Z tych letnich dni, które spędzili wtedy razem, Klara pamiętała jedynie zniechęcenie don Fernanda, jakby uczucia mu przywiedły i afekt stwardniał z powodu zapomnienia.

Moi dziadkowie wiedzieli o melancholii Klary i o jej przyczynie, lecz uważali, że dziewczynka była jeszcze zbyt młoda, aby czuć coś podobnego do miłości, i niczego nie mówili rodzicom don Fernanda, z którymi ze swej strony utrzymywali przyjaźń, bo spotykali się często zarówno w kościele, jak i na najróżniejszych przyjęciach i salonach, a nawet na korridach, które urządzano na placu Arrabal de la Santa Cruz albo, gdy tak się zdarzyło, przypadkiem na ulicy. Byli wszak, oprócz dobrych sąsiadów, najlepszymi przyjaciółmi w wyniku tych wszystkich spotkań i z powodu czułości, jaką Klara wzbudzała od zawsze w matkę don Fernanda.

Była ona kobietą piękną, uśmiechniętą i inteligentną, zawsze gotową się śmiać i dać jałmużnę żebrakowi; jednak przede wszystkim była bardzo oddana uczuciom i szczerze je okazywała. Ojciec don Fernanda, kauzyperda i notariusz, postawny i brodaty, był dla odmiany pełen rezerwy i przezorny, ale nie nieuprzejmy czy antypatyczny. O ponurym wyglądzie, bez wątplenia stosownym do powagi jego pracy i odpowiedzialności, jaką nakładało na niego jej wykonywanie, był bardziej powściągliwy w ujawnianiu swych emocji, zawsze jednak stać go było na miły gest i dworny uśmiech przeznaczony dla mojej matki, którą znał od kołyski i uważał niemal za jeszcze jednego członka rodziny.

Może dlatego byłoby naturalne, by któregoś razu porozmawiali we czwórkę o przyszłości, kiedy w jakiejś pogawędce pojawił się temat ich dzieci i łączącej je przyjaźni. Podobne komentarze nie mogły zaskoczyć nikogo, pewne jednak jest to, że rodziców don Fernanda w tych latach zajmowała tylko edukacja syna, podczas gdy rodzice pani Klary nie sądzili, by już nadeszła pora zająć się poważnie przyszłością córki. W ten sposób moja matka cierpiała z powodu samotności i jedynie ona czuła, że niezrozumienie jest największą z tortur, bo żyła uwięziona w ciszy.

Ponowne spotkanie don Fernanda z moją matką tego lata było dziwne. Po południu, zaraz po swym przyjeździe, dał jej znać przez służącą, że chce ją zobaczyć, a ona przesłała mu wiadomość, że może przyjść do niej o wpół do siódmej, kiedy słońce zaczyna się chować za horyzontem. Tak też uczynił, punktualnie. Kiedy jednak znaleźli się jedno naprzeciw drugiego po roku niewidzenia się, chociaż Fernando uśmiechnął się i powiedział jej, że wygląda znakomicie, ona czuła się przytłoczona jego bliskością, więc stała oszołomiona i zmieszana, odległa i zimna, gotowa do ucieczki, może dlatego, że odczuwała tak wielką potrzebę przytulenia się do niego, że nie potrafiła zrobić nic innego, niż udawać, że go ignoruje, unikając jego spojrzenia i utrzymując go na dystans, aby nie odkrył, że drży, że znajduje się o krok od utraty zmysłów.

- Chcesz się przejść? - Fernando zdał sobie sprawę z zachowania Klary, ale to nie miało dla niego znaczenia.

- Dobrze - wyszeptała dziewczynka, niezdolna do reakcji.

- Czy ona też z nami idzie? - Fernando wskazał na Leonardę, bonę, która wyszła do drzwi za Klarą.

- Moja mama mówi, że już jestem dorosła...

Don Fernando wzruszył ramionami i poszedł przed siebie. Klara kroczyła u jego boku, w ciszy. On, daleki od uczuć, które rozsadzały piersi mojej matki, zaczął mówić i mówić bez ustanku, opowiadając jej o swym życiu ucznia, szczegółach przedmiotów, które studiował, o tym, jaki jest każdy z jego kolegów i preceptorów i jakie talenty posiadają mnisi, nowicjusze i ojciec przeor. Od domu do królewskiego alkazaru, od pałacu przy Puerta del Sol, przez ulicę Mayor i stamtąd aż do ulicy Alcalá, w pobliżu ogrodów augustianów, szli razem, a on nie milkł. Bona Leonarda, która była gruba i gnuśna, jakby spędzała życie na zajadaniu się ciastkami, szła za nimi zdyszana i spocona, nie tracąc ich z oczu, ale błagając Boga, żeby w końcu się zatrzymali i odpoczęli. Klara, idąc obok don Fernanda, słyszała, że mówi, lecz go nie słuchała. Wystarczała jej pieszczota jego głosu i cud tego bliskiego spojrzenia, które od czasu do czasu na niej spoczywało.

Chciała go dotknąć i czasem zwieszała rękę tak, by ocierała się o jego rękę, niejako przypadkiem. I wtedy ogarniał ją huragan uczuć, który ją obezwładniał, i musiała zamykać oczy, aby zemdlone źrenice nie wyfrunęły w niebo. On dalej opowiadał o swojej nauce, o rozmowach w szkole, pełen emocji, a ona znowu ocierała się o jego skórę i traciła zmysły tak bardzo, że nie była zdolna delikatnie się uśmiechnąć. Zapadał sierpniowy zmierzch, podczas gdy wzrastały te same uczucia w tych dwóch młodych piersiach, choć z powodów całkiem różnych.

Wracając już, zatrzymali się w końcu na pasażu Świętego Genezjusza, aby wypić lemoniadę. Leonarda z radością zapłaciła za ten kaprys, z góry wdzięczna, bo już nie dawała rady dalej maszerować. Nie skończyła jednak nawet liczyć monet za napitki, kiedy młodzi znowu ruszyli przed siebie. Gdy on pił, Klara powiedziała:

- Wciąż jesteś taki sam: dużo mówisz.

- Nie podoba ci się to, co mówię? - zdawał się dziwić.

- Pamiętam jeszcze, jak opowiadałeś mi te historie... Podobała mi się ta o szklanych ptakach...

- Idziemy na nasze schody? - zapytał Fernando.

- Bardzo bym chciała - odpowiedziała Klara.

I niemal biegiem, znowu tak samo jak wtedy, gdy byli małymi dziećmi, zaledwie kilka miesięcy wcześniej, skierowali się na plac Świętego Jakuba. Zaczynał zapadać zmierzch. Niebieskie niebo, tak oślepiające za dnia, że bolały oczy, jeśli patrzyło się w nie zbyt długo, nabierało barwy indygo, a potem, zamiast stać się czarne, ubrało się w granat upstrzony gwiazdami. Usiedli na schodach, patrząc w górę, tak jak robili przez tyle lat, podczas gdy bona, nie mogąc złapać tchu, zajmowała miejsce na kamiennym murku, o kilka metrów opodal.

- Przepraszam, jeśli byłam antypatyczna - powiedziała Klara. - Tak bardzo chciałam cię zobaczyć...

- Antypatyczna? - zdziwił się Fernando. - Może dlatego, że nie dopuściłem cię do słowa... Ale powiedz mi, co robiłaś przez całą zimę? Nauczyłaś się muzyki, jakichś prac...?

- Czytałam książki, które dawał mi ojciec Gregorio.

- Nic więcej?

- Chodziłam do kościoła...

- Ale czegoś się pewnie nauczyłaś, czegoś...

- Czułam się samotna. - Klara spuściła oczy i zasłoniła twarz rękoma, zawstydzona.

- Z rodzicami? W towarzystwie dobrodzieja don Gregoria? Nie mogę w to uwierzyć.



Klaro... Dlaczego zasłaniasz sobie twarz? - Fernando patrzył na nią, nie rozumiejąc, daleki od uczuć, które rozwijały się w sercu mojej matki. - Może nie czujesz się dobrze?

Klara uniosła twarz i spojrzała na niego. Miała oczy pełne łez.

- To była wieczność...

Chłopak popatrzył na nią oczyma medyka, jakby jakiś pacjent mówił mu o niemożliwych symptomach. Wstał i przeszedł kilka razy dokoła pomnika, wzdłuż pierwszego kamiennego schodka. Patrzył przed siebie i drapał się po karku w zamyśleniu. Potem skinął głową, zerknął na nią i usiadł obok.

- To niemożliwe. Tobie rok wydaje się wiecznością. Mnie dla odmiany czas minął zupełnie niezauważalnie. Rozumiesz znaczenie tego faktu? Każda osoba mierzy czas w inny sposób. Co sprawia, że nie można nadać czasowi takiej samej wartości. Co oznacza, że czas...

- Obejmij mnie - przerwała mu Klara, kładąc mu dłoń na ustach.

Wtedy on objął ją i wsparł jej głowę na swoim ramieniu, patrząc w niebo.

Ona chciała poczuć go jeszcze bliżej i zamknęła oczy.

- Widzisz niebo? - zapytał. - Jest takie samo jak wczoraj i przedwczoraj i poprzedniego lata. Niebo się nie zmienia, jest zawsze takie samo. Ty i ono przeżywacie życie w taki sam sposób: w wieczności. Wiesz, dlaczego gwiazdy zawsze są na niebie? Bo to szkatułki, w których przechowuje się dusze stworzone przez Boga. Każdy z nas ma szkatułkę w niebie, aby któregoś dnia nasza dusza do niej wróciła. Była tam, zanim Bóg dał nam ją przy urodzeniu. Czystsze błyszczą bardziej, widzisz? Ta należy do biednego grzesznika, dlatego bardzo drży, niemal gaśnie. Dla odmiany ta druga lśni niczym słońce, bo jest nowa, nowiutka... Pewnie należy do dziecka, które jeszcze się nie urodziło...

- Nigdy nie milkniesz! - uśmiechnęła się Klara, spoglądając na niego.

- Będę miał czas na milczenie po śmierci...

- Śmierci? - Klara wzdrygnęła się. - Proszę, nie mów o śmierci. Bardzo się boję.

- Wszyscy kiedyś umrzemy, prawda? - Chłopak wzruszył obojętnie ramionami. - Jesteśmy tego więcej niż pewni.

- Nie chcę mówić o tych rzeczach.

- Nie uważasz, że powinniśmy znać dzień naszej śmierci? Nie mówię o roku, nie... To by było okrutne. Jedynie dzień i miesiąc. W ten sposób obchodzilibyśmy go co roku jak nasze urodziny i pozbylibyśmy się strachu, jaki wszyscy czują przed fatalnym dniem. Jaki dzień wybrałabyś na dzień swojej śmierci?

- Nie słucham cię...

- Ja dwudziesty czwarty czerwca, noc świętojańska. Nie wydaje ci się, że to cudowny

dzień?

- Nic nie słyszę...

- Bo każdego dwudziestego czwartego czerwca obchodziłbym tę datę. Wszyscy moglibyśmy ją obchodzić. Każdy swoją, rzecz jasna... Jak można bać się święta obchodzonego rokrocznie? Dzień naszej śmierci byłby taki, jak dzień naszego urodzenia...

- Ostrzegam cię, że jeśli nie przestaniesz, pójdę sobie!

- Dobrze. Ale nie rozumiem, dlaczego tak się oburzasz. Właśnie ty nie powinnaś się przejmować. - Fernando uśmiechnął się rozbawiony. I dodał z ironią: - Skoro mówisz, że znasz wieczność, nigdy nie umrzesz.

- Zaraz uda ci się wyprowadzić mnie z równowagi.

Klara wstała i ruszyła przed siebie w stronę domu. Don Fernando szedł kilka kroków za nią, nie będąc pewny, czy rzeczywiście się obraziła czy nie. Bona pobiegła za nimi.

- Nie obraziłem cię, prawda? - zapytał, podbiegając do niej.

- Nie - uśmiechnęła się Klara. - Ale musisz mi przyrzec, że nie będziesz się natrząsał z tego, co ci powiem.

- Obiecuję.

- Boję się śmierci, ale jeszcze bardziej boję się wieczności. Wieczność bez miłości to jak życie na dnie pustej studni. Więzienie.

Don Fernando spojrzał na nią zaskoczony:

- Czyli wiesz, co to miłość...

- Grzech - odparła bez żadnych wątpliwości. - Miłość jest grzechem. Dlatego boję się śmierci. Jestem potępiona...

Klara zamilkła i nie odezwała się już więcej aż do samego domu. Don Fernando, zmieszany, zastanawiając się nad tym, co chciała powiedzieć moja matka, też nic nie mówił. Pożegnali się do następnego dnia jednym słowem. I żadne z nich nie spało dobrze tej nocy.

\* \* \*

Przez trzy tygodnie widywali się codziennie, spacerowali po mieście i nocami siadywali na tym samym schodku, gdzie on opowiadał o studiowaniu, a ona o uczuciach w taki sposób, że nie odnosząc się do własnych, przez cały czas je opisywała. Kiedy w końcu nadeszła pora pożegnania, chwila, w której uczeń powinien powrócić do klasztoru, ponownie otworzyła się rana, która jeszcze nie miała czasu się zabiżnić.

Don Fernando myślał tylko o studiach.

Klara myślała tylko o jego nieobecności.

I oboje, każde na swój sposób, myśleli o śmierci: dla niego była to tajemnica; dla niej

słodkie i dalekie pragnienie, choć budzące lęk...

## DWA

Pięć następnych lat nie różniło się zbytnio od pierwszego roku. Pięć lat spędzonych przez don Fernanda u braci augustianów plecami do mojej matki, która stawiała się kobietą w samotności domu i w strachu przed Kościołem i Bogiem. Myślenie, czyli to, co dla don Fernanda było obowiązkiem studenta, Klarze było zabronione jako grzech śmiertelny.

Ojciec Gregorio zabronił jej myśleć, tak jak ojciec preceptor zobowiązał do myślenia don Fernanda. Ona musiała wyznawać na spowiedzi wszystkie przypadki, kiedy poddała się pokusie zabawiania się w szczęściu, które zawsze miało oblicze jej ukochanego Fernanda, a on miał wyznawać ze wstydem wszystkie te chwile, kiedy pozwolił się ponieść lenistwu i nie oddawał się refleksjom nad tym, co zawierały książki, czy to w godzinach nauki, czy też samotności w pokoju albo w chwilach przeznaczonych na cichy spacer po korytarzach atrium. Moja matka wyrastała na kobietę, a don Fernando na mężczyznę, ale w tak odmienny sposób, że co lato, kiedy spotykali się na kilka dni, z trudem się rozpoznawali i niełatwo dochodzili do porozumienia.

W lipcu 1582 roku don Fernando skończył studia maturalne. Miał dwadzieścia jeden lat. Klara właśnie skończyła lat siedemnaście. Grzegorz XIII dalej rządził w Rzymie przeznaczeniem Kościoła katolickiego, a Filip II, z Madrytu, ziemskimi interesami połowy Europy i nowej Ameryki.

Podczas tamtego lata, które też spędzili, odwiedzając się codziennie, ale z ceremoniami wymaganymi przez ich wiek, stanowisko i dworskie maniery, rozmawiali mniej i więcej na siebie patrzyli. Zawsze znajdował się ktoś obok nich. I wiele było bali, zaproszeń i kolacji, w których musieli uczestniczyć w towarzystwie swych rodzin i krewnych. Wyrośli tak szybko i tak nagle, że przez cały czas myśleli tylko o tym, żeby uciec, jakby chodziło o coś swawolnego, usiąść sobie na kamiennych stopniach ich placu i wspominać niebo, które do nich kiedyś należało i wydawało im się coraz mniej osiągalne.

Don Fernando miał wyjechać we wrześniu do Alcalá de Henares, gdzie zamierzał studiować medycynę, nauki fizyczne, chemię i matematykę. Kiedy ona się o tym dowiedziała, zazdrzała znowu, bo nie wiedziała, czy będzie w stanie wytrzymać następne trzy lata, zszywając co rano kości swego szkieletu, aby ją utrzymywał i nie rozpadał się. Moje życie to nieobecność, myślała, patrząc na don Fernanda rozmawiającego obojętnie w salonach, do

których bywali zapraszani. Moje życie to wieczne więzienie, żaliła się nocami w samotności łóżka. Don Fernando nie potrafił zrozumieć, dlaczego moja matka czasami wpatrywała się w dal, nieruchomo, jak nieżywa, podczas gdy przez skórę na jej czole widać było poruszające się niebieskie żyły.

Pewnego wieczoru udało im się umknąć nadzorowi starszych i bez słowa pobiegli jak dzieci na placyk Świętego Jakuba i usiedli na tym samym schodku co zawsze.

- Mogą nas zobaczyć - powiedziała ona.

- Moja szpada pomoże im trzymać język za zębami - odparł on.

- Sądziłam, że nienawidzisz przemocy. Po co nosisz tę szpadę? O ile wiem, nigdy nie pozwoliłeś jej przemówić.

- Nigdy nie udało mi się zrozumieć jej języka. Przyznaj jednak, że zdania takie jak te zmieniają studenta w kawalera...

Oboje się zaśmiali.

- To potrwa trzy lata - powiedział Fernando.

- Trzy lata... - westchnęła Klara, odzyskując powagę.

- Trzy w Alcalá i wiele wiele więcej poświęconych nauce. Wiesz, że nie myślę o niczym innym.

- Kiedyś rozmawialiśmy o tym, że ty i ja się pobierzemy...

- Wtedy mówiliśmy też o szklanych ptakach i o szkatułkach z duszami. - Fernando przybrał poważny i szczery wyraz twarzy. - Zapewniam cię, że nie byłbym dobrym mężem, Klaro.

- To ja powinnam to ocenić.

Don Fernando zamyślił się. Uznał, że w sumie jej wymagania były rozsądne, bo takie sprawy powinny należeć do kobiety. Ona miała być żoną, zajmować się domem, być matką dzieciom... On miał studiować, pracować i utrzymywać rodzinny majątek. Nic więcej. Jeśli ona pragnęła mieć złego męża, on nie mógł się temu sprzeciwić. Znała sytuację, a on sądził, że nikt nie pozbawił jej możliwości wyboru. Pomyłka jest wynikiem tak samo godnym szacunku jak trafienie, mawiano; wolny wybór. Tylko umarli przestają się mylić. Tak, to było rozsądne: to ona powinna zdecydować. - Masz rację - stwierdził przekonany. - Z pewnością masz rację...

I złączyli ręce, spojrzeli w niebo i przekonali się, że wszystko jest jak dawniej: szklane ptaki, szkatułki z duszami i myśli, które ze sobą dzielili, podczas gdy na zewnątrz i w środku rosło im życie, które bez słów przyrzekli dzielić.

\* \* \*

Przyznaję, że to moja matka uknuła plan, który don Fernando jedynie zaakceptował. To ona wymyśliła sposób na oszukanie pilnujących ich rodziców, wszechobecność bony Leonardy i zaskakujące pojawianie się domowej służby, i to ona otworzyła zamki, aby on spędził z nią noc. Don Fernando o to nie prosił, jestem przekonany. Ona jednak nie mogła już dłużej czekać. O północy, kiedy zamknięto karczmy, tawerny, domy gry, burdele i wszystkie okiennice, don Fernando wśliznął się do domu Klary, odemknął zatyczkę, wszedł po schodach i przekroczył próg jej pokoju. Na zewnątrz księżyc był błękitny, a niebo mieniło się światłami. Panował taki upał, że nie sposób było oddychać. A może to serce w gardle nie pozwalało przepływać powietrzu.

Światła, w sypialni mojej matki pozostały zgaszone, ale z zewnątrz, przez okna, wpadało tyle światła, że oboje widzieli swoje sylwetki bez potrzeby przyzwyczajania oczu do półmroku. Don Fernando ujrzał, że ona stoi na środku pokoju, drżała jak szyszka w płomieniach kominka, i zbliżył się bezszelestnie. Klara przytuliła się do niego.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Nigdy nie byłam bardziej pewna - odpowiedziała.

- A jeśli nas zobaczą?

- Twoja szpada pomoże im trzymać język za zębami...

Don Fernando uśmiechnął się, lecz jego uśmiech został przypieczętowany pierwszym pocałunkiem mojej matki. Potem się całowali i obejmowali raz za razem, po twarzy, oczach, ustach. Ciepło i gwałtowność sprawiła, że zaczęli się pocić. Po długiej wymianie objęć i pocałunków nagle on się wyprostował, odchylił i zmarszczył brwi. Ona czekała, zaniepokojona.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała.

- Nie wiem - odpowiedział, odsuwając się od niej. - Chodzi o to, że nie wiem, co teraz zrobić...

- Nic - odparła Klara. - Dalej będziemy się przytulać.

- W takim upale?

Don Fernando otarł czoło chusteczką i poszukał miejsca, gdzie mógłby usiąść. Klara także była spocona, ale podniecenie nie pozwalało jej czuć żadnych innych wrażeń. Ośmieliła się powiedzieć:

- Może gdybyśmy ściągnęli ubranie...

Don Fernando skinął głową. Wydało mu się to dobrym pomysłem. Pocałunki i przytulanie podobały mu się, ale rzeczywiście było za gorąco. Okna miały odsunięte zasłony, lecz na zewnątrz nie poruszał się żaden z czterech wiatrów. Było tak duszno, że zamiast

kochać się, zdawali się wykonywać najcięższą z prac.

- Chodź - powiedziała ona, już całkowicie rozebrana. - Połóżmy się w łóżku, trzymając się za ręce. Jestem pewna, że spanie u twego boku będzie jak kołysanie się na wodzie.

- Spodnie też? - zapytał, nim stanął kompletnie nagi.

- Przy tobie nie znam wstydu. Ty też mu się nie poddawaj.

Don Fernando sądził, że tamtej nocy, zanim zasnął, kochał się z swoją - matką. Jednak nigdy nie miał co do tego pewności. Podobało mu się to, co zrobił, rozkoszował się pieścizotami, jakimi ją obsypywał, i pamiętał, że otrzymywał od niej pocałunki, pieścizoty i słyszał najpiękniejsze miłosne wyznania. Odczuwał przyjemność i słyszał, jak jęczała z rozkoszy. Może się złączyli, nie mógł sobie tego potem przypomnieć, bo wszystko, co wydarzyło się przed snem, było nowe, dziwne i niejasne. Pocili się, dyszeli, jęczeli i rozptywali się w różnorodnych płynach. A kiedy skończyli się kochać, przez długi czas nie mogli uspokoić oddechów.

Don Fernando nie pamiętał więcej. Jedynie to, że Klara, jego matka, zanim zasnęła, powiedziała:

- Tak. To ja zdecyduję.

\* \* \*

Przez sześć lat studiów w klasztorze Augustianów don Fernando ujawnił predyspozycje przede wszystkim do studiów nad fizyką i ludzkim ciałem, objawiając swą niezgodę na dotychczasowe rozumienie spraw tak istotnych dla człowieka, jak choroba i śmierć. Tak naprawdę nie rozumiał konieczności śmierci i w nie mniejszym stopniu nie rozumiał przyczyn prowadzących do strachu przed nią, z drugiej strony tak bardzo naturalnego. Jest to fakt, który choć biologiczny, nie jest nieunikniony, myślał. Chociaż jeszcze nie wynaleziono sposobu, aby temu zapobiec.

Ludzie umierali, to prawda, ale może gdzie indziej tak się nie dzieje. Może w głębokiej Afryce albo na zaśnieżonych stepach Azji sprawy mają się inaczej. Czy istnieją ludzie nieśmiertelni? A jeśli istnieją, jakież to mikstury leczą ich choroby, czym się żywią, w jaki sposób żyją, aby osiągnąć życie wieczne? Poza tym, jak mierzyć życie, skoro nie zna się parametru czasu ani długości godzin? Jeśli tylko jeden rok był dla Klary wiecznością, czy nie jest możliwe istnienie cywilizacji, dla której każda sekunda wyda się wiecznością, a życie, w konsekwencji, okaże się nieśmiertelne?

Fizyka pomogła mu zgłębić przybliżoną ideę czasu, a studia nad ludzkim ciałem ideę działania organów, przede wszystkim serca i zawartości głowy, w której spodziewał się

znaleźć duszę. Nie zaniedbując innych lekcji, przedmiotów i dziedzin, don Fernando przeznaczył wiele godzin na te studia podczas pobytu w klasztorze Augustianów i, jak to zwykle się dzieje w procesie zdobywania wiedzy, im więcej się uczył, tym więcej pragnął wiedzieć. Bardzo wczesnie zaświtała mu w głowie pewna myśl, myśl, której nie potrafił zgłębić, bo w swej własnej naturze pojmował ją jako paradoks: śmierć nie istnieje. Albo mówiąc dokładniej: śmierć znajduje się wewnątrz ludzkiej istoty; dopóki żyjemy, śmierć wzrasta w naszym wnętrzu, aż nadchodzi taki moment, w którym to ubranie już jej nie pasuje i poszukuje nowego ciała, w którym mogłaby wzrastać. W ten sposób jedyną możliwą śmiercią byłaby śmierć duszy, a skoro dusza jest nieśmiertelna, śmierć nie istnieje. Musiałby myśleć o wiele więcej, aby rozwiązać pozorny paradoks, powstały w jego rozumowaniu. Przez pięć lat studiów don Fernando stał się biegły w podstawach fizyki, w odkryciach chemii i w budowie organów wewnętrznych istoty ludzkiej.

I w wieku osiemnastu lat ukraść pierwszego trupa.

Pyszalek don Alfonso de Guzmán i on dzielili tę samą pasję co do anatomii, ale w końcu przyszył hrabia Haro okazał się niezbyt odważny. Umówili się, że razem uciekną nocą i pójdą na cmentarz przyległy do klasztoru San Jerónimo el Real, aby sprofanować grób i studiować tam świeżego trupa. Don Fernando zaplanował ucieczkę na następny wtorek po tym, jak przekonał do niej swego przyjaciela. Zdecydowali, że nastąpi to około północy, w każdym razie po jedenastej, aby mieli dość czasu na powrót do celi przed piątą rano, kiedy dzwonią na jutrznię.

Zabrawszy ze sobą łopatę i dwie nowe świece z białego wosku, wyszli w noc o odpowiedniej godzinie. W klasztorze wszyscy spali, dlatego bez przeszkód dotarli do furty prowadzącej na ulicę. Kiedy się tam znaleźli, otworzyli zamek bardzo powoli, aby nie wzbudzać hałasu, i nie zamknęli go za sobą, aby móc wrócić bez kłopotu. Noc tego szóstego lutego okazała się bardzo ciemna, zimna, wilgotna i pochmurna. Niebawem zaczęło padać. Ulice stały się wyludnione i pośród nieruchomych cieni nie znać było nawet dalekiego echa przechodzącego rontu.

Don Fernando dał znak don Alfonsowi, aby szedł za nim, i razem przeszli przez ulice, zaułki, place i przejścia, aż zobaczyli wieże klasztoru, przy którym wznosiły się żelazne poczerńiałe kraty okalające cmentarz. Nie było księżycy ani żadnego światła, które by im wskazało, gdzie znajduje się wejście. W okolicy nie świeciły też latarnie ani pochodnie.

- Będziemy musieli przeskoczyć przez ogrodzenie - zasugerował Fernando, kiedy szli wzdłuż niego, obmacując je w poszukiwaniu bramy.

- Nie damy rady. Poza tym nie będziemy mieli dość sił, żeby podnieść płytę.



- Tym się nie martw. Na pewno dziś został pochowany jakiś chrześcijanin i jeszcze nie zamknięto grobowca.

Don Alfonso przyjął informację kompana, choć zaczął już myśleć, że pomysł w takiej sytuacji nie jest zbyt błyskotliwy. Nie mógł jednak się cofnąć. Nie zdołałby się usprawiedliwić.

- Patrz. - Fernando obmacał od góry do dołu jedną ze sztachet, aż natrafił na grube zawiasy. - Tu są.

- To brama?

- Tak.

- Zapalić świecę?

- Żeby ront nas odkrył? Zamknij się i chodź za mną.

Obejrzał żelazne pręty, natrafił na zamek i upewnił się, że zamknięto go na klucz. Błyskawica pomogła mu dojrzeć, że brama rzeczywiście została porządnie zamknięta, a dodatkowo jeszcze opleciona łańcuchem spiętym zardzewiałą kłódką.

- Nie damy rady tędy wejść - stwierdził z żalem.

- I zaczyna padać. - Słów Alfonsa zupełnie nie było słychać, bo krótki grzmot zagłuszył je, zanim zostały do końca wypowiedziane.

- Pioruny i błyskawice - zaśmiał się Fernando ironicznie. - Najlepsza sceneria dla profanacji...

- Wcale nie wydaje mi się to śmieszne...

- No, to teraz jeszcze mniej będzie ci do śmiechu: musimy przeskoczyć.

Don Alfonso popatrzył w górę i skrzywił się z obrzydzeniem. Don Fernando wykorzystał następną błyskawicę, aby dobrze przyjrzeć się ogrodzeniu.

- Popatrz - powiedział, wskazując koniec furty. - To najniższa część. Przeskoczmy ją bez wysiłku.

Zaczęło mocniej padać, kiedy ruszyli po uliczkach cmentarza pośród zwałistych grobowców i grobów zwieńczonych posągami i wielkimi granitowymi krzyżami. Ciemność nie pozwalała im dojrzeć drogi i raz za razem potykali się o schody i marmurowe płyty albo kamienie. Błyskawice poruszały postaciami aniołów, które strzegły grobowców, ożywiając śmierć, a spadająca woda komponowała symfonię głuchych dźwięków i ech, które zdawały się wydobywać z wnętrza ziemi.

- Chodźmy stąd! - zażądał Alfonso, wpijając ręce w ramię Fernanda.

- Iść? A dlaczego?

- Wyraźnie widać, że tu nie znajdziemy tego, czego szukamy. Poza tym, chyba się

zaraz przeziębnię. - Alfonso starał się nadrabiać miną i ratować twarz.

- Poczekaj. - Fernando wskazał ręką przed siebie. - Popatrz tam.

Przed nimi rzeczywiście znajdował się nie zamknięty grobowiec, przykryty świeżo wrzuszoną ziemią, zalaną wodą, która spływała z coraz większą mocą. Błyskawice wyrzeźbiły w ciemności zarysy grobowca i pozwoliły zobaczyć gąbczastość nie ubitej ziemi. Trochę kopiąc, nietrudno będzie dostać się do trumny, która zawierała ciało.

- Może być pusta - Alfonso już nie wiedział, co powiedzieć, aby stamtąd uciec.

- Daj mi łopatę, a sprawdzimy. - Fernando był podniecony, jakby znalazł się w obliczu niezbadanej wyspy. - Kiedy ja będę wydobywał ziemię, ty nasłuchuj kroków, głosów, sam nie wiem czego...

- Kroków, głosów? Można tu usłyszeć kroki albo głosy? Nie ma mowy! - Alfonso nie mógł już wytrzymać. - Słuchaj, kolego, ty rób, co ci się podoba, ale ja stąd idę. W tej chwili!

- Ależ...

- Będę na ciebie czekał przy wyjściu.

I ruszył biegiem pomiędzy grobami, płytami i mauzoleami, potykając się, i przeskoczył przez płot ze zręcznością wygłodniałego kota.

Don Fernando, dla odmiany, nie bacząc na lejącą się na niego wodę ani na błyski i hałasy burzy, jał odrzucać łopatą miękką ziemię i zagłębiać się w dół, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Ledwie o metr poniżej znajdowała się trumna, którą oczyścił z ziemi i otworzył bez kłopotu. Wydobył z niej młode i wiotkie ciało mężczyzny, tak wyniszczonego, że bez kłopotów mógł go wyciągnąć na zewnątrz i położyć twarzą w górę obok odrzuconej ziemi. Następnie wbił świecę w ziemię i z resztek pobliskiej pokruszonej płyty uczynił zasłonę, aby deszcz nie zagasił mu płomienia, po czym je zapalił.

Przygotowany w ten sposób, skupiony, jakby znajdował się w najbardziej przytulnej sali laboratoryjnej, rozpoczął prace nad czaszką, naciął krawędzie twarzy ostrym sztyletem i uniósł ją, jakby otwierał okładkę książki, aby przeszukać mózg, mózdzek oraz kanały oczne i uszne. Zobaczył połączenia nerwowe oczu z mózgiem, wyglądające jak sznury; przyjrzał się końcowi wielkich żył i obejrzał zmarszczki kory mózgowej. I zrozumiał, że to ciało musiało posiadać duszę, bo nie było możliwe, by tyle włókien, końcówek, żyłek i kości działało tak doskonale bez czegoś, co by nimi kierowało. Z tego też względu wydedukował, że dusza i tylko dusza nie dopuszcza do tego, by tyle nerwów i organów trwało przy swych witalnych funkcjach, które nazywa się życiem lub brakiem śmierci.

Po upływie niejakiego czasu, kompletnie przemoczony i zadowolony ze swych odkryć, porzucił ciało, świecę i łopatę i po umyciu rąk w kałuży utworzonej przez

deszczówkę w zagłębieniu pobliskiego grobu wyszedł na spotkanie z przyjacielem, nie mogąc się doczekać, by mu opowiedzieć o tym, co zobaczył.

- Nie uwierzysz. To było fantastyczne.

- Jesteś diabłem.

Don Fernando zaśmiał się. W powrotnej drodze zamierzał mu opowiedzieć o swej idei niezbędności istnienia duszy, ale wprzód chciał poznać powody jego strachu i przyczyny, które go wzbudziły. Wyjaśnił mu, że według niego strach najpierw przejawia się pragnieniem ucieczki, ale zaraz staje się zrozumiałe, że ucieczka niczemu nie służy i wtedy przerażenie narasta, bo przytłacza wszystkie inne racje i panuje nad duchem. To, czego boimy się najbardziej, niemal zawsze jest naszym własnym strachem, mówił dalej, bo nie wiemy, jak go zwalczyć, jeśli pojawi się niebezpieczeństwo, i wtedy strach jest podstawowym nieprzyjacielem, nie niebezpieczeństwo samo w sobie.

- Poza tym nie powinniśmy się bać samotności ani ciemności, ani ciszy... - ciągnął. - Bądźmy rozsądni: czego można się obawiać w samotności, ciemności lub ciszy? Potrafię sobie wyjaśnić strach przed towarzystwem mordercy albo rozszalałym pożarem, albo grzmiotem towarzyszącym trzęsieniu ziemi. Ale spokoju tego cmentarza...

- Nie jest to rzadkością - próbował bronić się Alfonso.

- Niemycie się też nie jest rzadkością, a nie traktujemy tego jako usprawiedliwienia.

- Jakkolwiek by było, boimy się samotności, bo jeśli ktoś nas zaatakuje, nikt nie pośpieszy nam z pomocą.

- Jednak taka sytuacja jest mało prawdopodobna, kochany Alfonso. Boimy się tylko, że może się tak zdarzyć, i to ta możliwość nas przeraża. W każdym razie, jeśli się zdarzy, porządny krzyk przywołałby przyjaciół i obrońców, sąsiadów albo przechodniów. A może trzeba zamienić przyjemność bycia samotnym na strach przed tym, co choć tak mało prawdopodobne, może się wydarzyć?

- Ale ciemność sprawia, że się gubimy. Nie możesz zaprzeczyć...

- Jedną rzeczą jest gubienie się, bo nie widzimy w ciemności, a drugą jest strach. Poza tym nie zauważyłeś tego? Zawsze jest jakiś punkt światła, który pomaga nam się zorientować...

- A cisza? Cisza północy nie wpływa na zwiększenie niepokoju?

- Jedynie dlatego, że jest północ i istnieje ciemność i samotność. A może niepokojąca jest cisza w godzinie uczenia się albo modlenia? Czy nie należy być wdzięcznym za ciszę, kiedy dookoła panuje nieznośny zgiełk?

- Widzę, że na wszystko masz odpowiedź.

- Chodzi o to, przyjacielu Alfonso, że należy wzmacniać ducha, a nie czynić go płochym. Jesteśmy tak twardzi, jak bardzo potrafimy obronić się przed naszymi wymyślonymi wrogami. Nigdy nie powinniśmy przestawać robić czegoś wyłącznie dlatego, że istnieje obawa, iż robiąc to, będziemy odczuwali strach. Zwróć uwagę na to, co stało się tej nocy: chcieliśmy zdobyć ciało, aby je otworzyć, obejrzeć i przestudiować, poznać, z jakiej jesteśmy stworzeni materii i spróbować znaleźć miejsce, w którym skrywa się dusza. I ciało tam było, poddające się naszej zachciance, usługne, uległe, ciche, bez jednej skargi. Tej nocy słyszałem tylko twoje skargi.

- Nie natrzęsaj się ze mnie. Jestem przekonany, że zapadnę na płuca.

- Raczej na rozwolnienie. Wiesz, czyje to było ciało?

- Nie mam zamiaru tego się dowiadywać.

- Jeszcze młodego mężczyzny. Wydawał się zdrowy. Smacznie spał.

- Nie spał. A może spanie jest jak śmierć?

- Nie, bo śmierć zawsze czuwa. Nie obawiaj się, możesz spać spokojnie, bo kiedy śpisz, śnisz i żyjesz, odpoczywasz i odzyskujesz siły.

- A jeśli śmierć zaskoczy cię we śnie? Znałem przypadki...

- No, to jeszcze lepiej, bo byłbyś jak koty, które są szczęśliwe, gdyż nie znają idei śmierci. Nie ma lepszej śmierci niż ta niespodziewana i nie ma nic bardziej niespodziewanego niż to, co może się zdarzyć, kiedy śpimy.

Don Alfonso przez dłuższy czas szedł w milczeniu, być może zastanawiając się nad tym, co mówił jego przyjaciel, i zachwycony pewnością siebie, z jaką się wypowiadał. Wciąż padało i noc nadal rozjaśniała się błyskawicami, ale już niczego się nie bał.

- Czy ty nigdy się nie boisz? - dopytywał się, kiedy doszli już do okolic szkoły.

- Sądzę, że powinienem się bać, ale jeszcze nie miałem okazji cierpieć z tego powodu. Kiedy coś spowodowało u mnie strach, poszukiwałem przyczyn, rozumiałem je i akceptowałem albo odrzucałem. Nie było to dla mnie takie trudne...

\* \* \*

To był pierwszy trup, którego ukradł. Później wraz z upływem lat studiów uniwersyteckich wydobyl wiele innych wraz z co bardziej zuchwałymi albo dręczonymi wątpliwościami kolegami, czasem dla zabawy, ale częściej w celu studiowania ich na stołach sekcyjnych w salach wykładowych. A potem przez całe swoje życie kupował je, wynajmował, a nawet kradł. Wszystko w imię nauki.

Jednak tamtej nocy wyciągnął więcej wniosków z tchórzliwego zachowania fanfaron don Alfonsa niż z pośpiesznego zbadania ciała na cmentarzu przy klasztorze San Jerónimo el

Real, tak znanego ze swych krążganków. Nikomu nie opowiedział o tchórzliwym zachowaniu przyjaciela, który ze swej strony poprosił go o dyskrecję, ale od tych wydarzeń miał w don Alfonsie pierwszego ze swych adeptów i najbardziej lojalnego z protektorów. A wraz z nim znakomitą część uczniów, którzy nie pytali, dlaczego powinni naśladować pyszałka, ale to robili.

Don Fernando kontynuował swe eksperymenty z żabami i myszami, świerszczami i owadami wszelkiego rodzaju, z kogutami i prosiakami, do czego zachęcali go mistrzowie i preceptorzy, dostrzegający u niego zamiłowanie godne pochwały i wsparcia. Aż wiedza o ciałach żywych przekształciła się w nim w niepohamowaną żądzę, jak u ucznia cieszącego się z obrazu mistrza malarza; jakby musiał odnajdować się w sztuce mieszania krwi i ciała, które obrazowano w najróżniejszych przedstawieniach duszy.

Wiedział jednak, że anatomia i biologia nie mogą być jedynymi przedmiotami stanowiącymi jego wykształcenie. Było konieczne, by dla swego duchowego kształcenia nie zaniedbywał reszty przedmiotów, a zwłaszcza teologii, do której augustianie przywiązywali szczególne znaczenie na ostatnim roku, kiedy uczniowie mieli wyjść ze szkoły i wielu z nich planowało wstąpić na uniwersytet. Z tego względu przystąpił do studiowania *Gesta Romanorum*, moralizatorskiej kompilacji historii rzymskiej i powszechnej, spisanej w Anglii w XIII wieku. Ta lektura pozwoliła mu scementować fundamenty wiedzy teologicznej, które miały być dlań bardzo użyteczne w badaniach nad człowiekiem i jego duszą.

Mistyka i nauka religii do tamtego czasu wydawały mu się bezużyteczne, gdyż był przekonany, że chemia i fizyka są same zdolne udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania odnoszące się do chorób ducha i nieuniknionego zła śmierci. Kiedy jednak zaczął czytać historie o życiu ludzi znanych ze swej świętości, takich jak Łukasz, biskup Tuy, albo don Rodrigo, biskup Toledo, zrozumiał, że w biografii przodków także można znaleźć wyjaśnienia natury istoty ludzkiej i uzasadnienie jej skończoności. To wtedy oddał się tym nowym lekturom z gorączkowym poświęceniem, z którym rzucał się na wszystko, co rozpoczynał, i przez całe dwa miesiące nie robił nic ponad poszukiwanie w nich fundamentów wiedzy, mającej w przyszłości bardzo mu się przydać.

Szybko poznał najmniejsze nawet szczegóły życia świętego Bazylego, biskupa Cezarei, urodzonego w roku 329 i zmarłego pięćdziesiąt lat później. Potem przeczytał historie życia innych sprawiedliwych mężów, takich jak święty Hieronim, święty Franciszek, święty Augustyn, święty Tomasz i święty Antoni Wielki, wszystkie one przykładowe, a niektóre dodatkowo tak przepełnione wiedzą na temat kultury i cennymi wskazówkami, że nie tylko je zapamiętał, ale także stały mu się niezwykle przydatne w długich godzinach medytacji.

Żądny dalszej wiedzy, co było w jego zwyczaju, odszukał w bibliotece szkolnej jeszcze więcej książek i poprosił o pozwolenie przeczytania ich. I w ten sposób dowiedział się, że król Alfons II, zwany Czystym, dał pierwszeństwo czystości nad obowiązkiem przedłużenia rodu i nawet osadził w więzieniu siostrę i mężczyznę, z którym zawarła związek małżeński, bo w swej rodzinie nie dopuszczał możliwości odbywania stosunków cielesnych. Złamanie tej zasady, której konsekwencją było zrodzenie Bernarda del Carpio, doprowadziło małżonków do lochu, mimo składanych deklaracji miłości i potrzeby przedłużenia rodu.

Poznał także historię ostatniego króla Wizygotów z Toledo, o imieniu Roderyk, mężczyzny rozpustnego, o manierach grubiańskich i gwałtownym charakterze, który w swym szaleństwie poważył się zgwałcić Florindę La Cava, damę dworu swej żony, królowej Egilony; za swój grzech został ukarany podwójnie: najpierw Bóg dopuścił, że Hiszpanię zajęli muzułmanie, następnie ludzie sprawili, że wąż pożarł mu organy płciowe, którymi dopuścił się niewierności.

Czytając *Llibre de les Bésties* Raimunda Lulli, don Fernando musiał skrytykować dwór królewski za wyuzdane i bezecne pieśni oraz melodie kuglarzy, a potem zdobył informacje zawarte w dziele *Romanz del infant Garda* o ostatnim z hrabiów kastylijskich, który miał poślubić infantkę Sanchę, siostrę króla Vermuda z Leonu, z powodów czysto politycznych, bo Kastylia była zwykłym hrabstwem i z jej unii z Leonem powstało nasze królestwo. Wydaje się, że hrabia pojechał poznać damę, a ponieważ wzajemnie przypadli sobie do gustu, nie znaleźli przeciwwskazań do tego, żeby kochać się tej samej nocy; niemniej w kilka godzin później hrabia został zakatrupiony i nie odnaleziono winnego. Romanca chytrze insynuuje, że sprawcą tej dogodnej śmierci był ktoś, kto mając na względzie dobro królestwa, poprosił o rękę doñi Sanchy następnego dnia rano i został przyjęty: Ferdynand I Kastylijski.

Wiele innych książek przeszło przez jego ręce w te miesiące: *Jarchas* z XI i XII wieku; *Serranittas* markiza Santillany; *Primera Crónica General* rozpoczęta przez Alfonsa X i zakończona w 1289 roku przez Sanchę IV; historia *Siete infantes de Lara* z 1344; *Hrabia Lucanor*, *Las siete partidas*, *Cantigas d'escarnho e de mai dizer*, *Razón del Amor*, poemat *El mai arcipreste* Fernána Gonzáleza i *Cantar de la mora Zaida*; to ostatnie dzieło opowiada o ślubie króla Alfonsa IV z Arabką, która urodziła mu syna. Z Garcii Rodrigueza de Montalvy przeczytał *Amadisa z Walii*, historię kawalera zrodzonego z ukrywanej miłości, który po zdobyciu tytułu szlacheckiego ożenił się z Orianą i miał syna zwanego Esplandián; ten zaś, nie wiedząc, czym jest synem, zabił własnego ojca. I w końcu, natknąwszy się przez przypadek na książkę, której nie poszukiwał, don Fernando zabawiał się poznawaniem historii

hrabiego Garcii Fernándeza, zwanego przez wszystkich „hrabią o białych dłoniach”, gdyż musiał je chować, tak były piękne, i dodatkowo dlatego, że wszystkie kobiety zakochiwały się w nim, gdy tylko je ujrzały.

Koledzy don Fernanda coraz bardziej podziwiali zacięcie, jakie okazywał we wszystkim, co sobie postanowił i, chociaż wiedzieli, że z racji pochodzenia przyszłość przemieni ich w hrabiów, wicehrabiów, markizów, szlachtę, baronów, a niektórych z nich z pewnością w książąt, nie tylko szli jego śladem i stawali się jego adeptami, ale nawet oddawali się do jego dyspozycji jako uczniowie, naśladowcy, stronnicy i wasale. Don Fernando nie zwracał na to uwagi: wszystkich traktował z kurtuazją i ofiarował im swoją przyjaźń, ale konsternowała go ich służalczość, bo nie przyszło mu do głowy, że ktoś, kto na siłę zabiega o poklask, nigdy go nie zdobywa, a w zamian skromność jest najlepszym kluczem, otwierającym drzwi do wszelkich uczuć. Uważał się za zwykłego ucznia i nie docierało do niego, że inni mogą w nim widzieć mędrca.

Nie potrafił też zrozumieć, że wiedza jest najostrejszą szpadą władzy.

- Czego się dziś nauczyłeś? - pytali go koledzy, kiedy kończył się dzień i kiedy siedzieli naprzeciw kominka i czekali, jakby z jego ust miało wyjść prorocтво.

- Że jak powiedział wielki Erazm, nie ma większej głupoty niż nieodpowiednia wiedza - odpowiadał, aby uciec od tych zagadkowych spojrzeń uwielbienia i aby skierować rozmowę na tory bardziej odpowiednie dla godzin odpoczynku.

- Dlaczego świętego Jana nazywano Chryzostomem? - postanowił zapytać zębaty Diego, bez wątpienia wspominając jakieś lektury tego dnia.

- Zostaniesz wyrzucony za nieuczenie się greki - skarcił go grubawy Justino, rumiany i brzuchaty, podczas gdy inni uczniowie, wliczając w to Fernanda, śmiali się z ostrości odpowiedzi, jakby pochodziła od mistrza nauczyciela. - Chryzostom oznacza „złotousty”. Tak więc łatwo się domyślić, że dzielił z Demostenesem i Cynceronem dar oratorstwa i elokwencji. Czyż nie tak?

- Tak, tak, oczywiście. - Diego spuścił wzrok zawstydzony.

I w ten sposób mijał, pomiędzy nauką i miłymi chwilami, pobyt don Fernanda w klasztorze Augustianów. W lipcu 1582 roku zakończyła się jego nauka; miał już dwadzieścia jeden lat i odpowiednie przygotowanie, aby rozpocząć studia na uniwersytecie, dokąd się udał, wiedząc trochę o jednych rzeczach, dość sporo o wielu i dużo o teologii, fizyce i anatomii.

\* \* \*

Nie wiedział jednak nic o miłości, a poza tym wielokrotnie dawał do zrozumienia, że

przedmiot ten go nie interesuje. To Klara, moja matka, tak bardzo za nim tęskniła, że dla niej don Fernando był zarówno wcieleniem szczęścia, jak i paradygmatem ignorancji. On wysiłał się, aby ją przekonać o znaczeniu studiowania i cnocie wiedzy, ona słuchała z całej mocy, choć w końcu ogarniało ją znudzenie i przestawała słuchać, ograniczając się do podziwu. I to nie jego słowa wprawiały ją w zachwyt, lecz niebieskawy kolor jego oczu, rozsypane brązowe włosy i spowijający ją urok jego delikatnych i wilgotnych ust.

- Mów dalej - prosiła go. - Twoje słowa padają jak krople ulewnego deszczu...

I nie chodziło jej o to, że tak bardzo lubiła go słuchać, ale o to, z jakim zacięciem opowiadał o Linceuszu, Argonaucie o przeszywających oczach albo o Dantem Alighieri i jego *Boskiej Komedii*, co pozwalało jej cieszyć się pieszczotą jego głosu, harmonią jego rysów i atrakcyjnością tych spontanicznych gestów, które sprawiały, że czuła strumień gorącej krwi wydobywającej się z dna brzucha aż do półkuli potylicy, jakby zachwyt nad tymi słowami bez znaczenia prześlizgiwał jej się po kręgosłupie z delikatnością, z którą palce przebiegają po strunach harfy.

- Dlaczego tak mi się przypatrujesz? - zapytał ją nagle Fernando, przerywając wykład.

- Masz czerwone policzki, wyglądasz, jakbyś się dusiła...

- Dusiła? - Klara jeszcze bardziej się zaczerwieniła, czując, że ją odkrył.

- Tak, uważam, że jesteś wzburzona.

- Może to z powodu upału... - przyłożyła dłonie do policzków, starając się je zakryć.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy wspięłaś się na drzewo? - Fernando uśmiechnął się na to wspomnienie. - Nigdy nie widziałem, żebyś była tak bardzo chora.

- Dlaczego przypominasz to sobie właśnie teraz?

- Nie wiem. Może dlatego, że pamiętam słowa brata Tomasza: Bóg karze wysokości. To mądry człowiek, który skłonił mnie do myślenia, że może Bóg nie lubi wysokości i oburza się, kiedy się na nie wspinamy.

- Nie rozumiem cię...

- To oczywiste. W całym mieście kościoły i katedry muszą być najwyższymi budynkami, najbliższymi nieba. Kiedy architekci wznoszą budynki wyższe, trzęsienia ziemi je zwalają, a kiedy ludzie wspinają się jeszcze wyżej, Bóg karze ich zuchwałość. Tak zrobił z tobą i z wieżą Babel...

- Co ty opowiadasz...

- Zadawałem sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś zapadłaś na tę chorobę, tak jak tamtego dnia. A może teraz też kręci ci się w głowie?

- Nie, nie.



- No, to słuchaj. Opowiem ci, jakie są podstawowe elementy zachowania równowagi zdrowotnej istoty ludzkiej wedle tego, co wyjaśnia filozofia starożytnej Grecji...

Jednak Klara nie miała już ochoty go słuchać ani nawet siedzieć obok niego w salonie.

- Jednym jest powietrze...

Klara chciała wyjść, iść obok niego, najlepiej w ciszy. I dojść do placu Świętego Jakuba, aby wspólnie patrzeć na cud zmierzchu.

- Następnym elementem jest związek istniejący pomiędzy snem i jawą, wszak...

Znowu chciała widzieć noc nad nimi, noc i niebo, niebo i gwiazdy i szklane ptaki. - Później jest dokładna proporcja pomiędzy działaniem i odpoczynkiem ludzkiego ciała w...

Zachować milczenie, patrzeć i przyglądać się sobie, marzyć o szkatułce światła wybranej do przechowywania ich dusz, dwóch szklanych szkatułkach, które będą stać blisko siebie, najbliżej, jak to możliwe. Albo o ile to możliwe, jedna wspólna.

- Jedzenie i napitki są bardzo ważne...

Tak. Jedna szkatułka światła, tego pragnęła Klara, jedna wielka szkatułka, w której zmieszczą się ich dwie dusze, złączone na zawsze.

- I przepraszam za to, że zabrzmi to prostacko, ale dla odmiany nie jest mądrze nie przyglądać się ekskrementom i umniejszać znaczenie utrzymywania się powierzchniowych osadów, stąd konieczność oczyszczeń i puszczania krwi...

Don Fernando nie milkł. A Klara z całych sił pragnęła przytulić się do niego, całować go i robić swoje. A jeśli nie, pobiec do kamiennego stopnia, wesprzeć głowę na ramieniu don Fernanda i zamknąć oczy, podczas gdy on będzie wymyślał historie i legendy, tak jak wtedy, gdy byli mali.

- I uczucia: przyjaźń, nienawiść, zatracanie się w afekcie, miłość...

Miłość! O to chodzi! W końcu wymówił to słowo. Ale czemu? Nie słuchała go w tej chwili, toteż nie wiedziała, dlaczego słowo to zabrzmiało akurat teraz.

- Miłość? - zainteresowała się nagle.

- Tak. Zakochanie się. To jest sześć elementów koniecznych do utrzymania równowagi. Czyli higieny...

- A ty, jesteś zakochany?

- Codziennie w czymś się zakochuję - odetchnął głęboko Fernando, uśmiechnięty, z oczyma utkwionymi w nieskończoności. - Dzisiaj obserwowałem stado kosów nad akacją i piękno ich tańca zachwyciło mnie do tego stopnia, że uroniłem kilka łez. Codziennie coraz bardziej zakochuję się w naturze, którą stworzył Bóg...

\* \* \*

Pewnego dnia wyjechał obładowany kuframi do miasta Alcalá, gdzie czekały go trzy lata uniwersyteckich studiów, dzięki którym zgłębi tajemnice wiedzy i nauczy się dojrzałe przeżywać własne życie. Podróż odbył sam, w wozie, który udostępnił mu ojciec, i pierwszym wrażeniem, jakie odniósł, opuszczając Madryt, było podniecenie przygodą, o której nie wiedział, czy jest do niej przygotowany, ale która podniecała go w taki sam sposób, w jaki marynarza podnieca obranie kursu na zachód w poszukiwaniu nowych ziem do podboju.

Przybycie na uniwersytet, gdzie czekał na niego sekretarz i osobisty służący, także było emocjonujące. Dziedzińce, sale wykładowe, niekończące się korytarze i czystość pokoi gościnnych kazały mu sądzić, że będzie się tam czuł dobrze i nie zabraknie mu niczego, co konieczne, aby cały czas poświęcić na naukę. Formalności związane z zapisem i zaopatrzeniem zostały szybko załatwione i tego samego dnia oznajmiono mu rozkład godzin, przydzielono mistrzów i poinformowano o salach wykładowych, a pozdrowienia kolegów i służących z miasteczka uniwersyteckiego zabrały mu niewiele więcej czasu. Pierwszej nocy w świetle świec już mógł czytać. I dowiedział się, że najważniejszą rzeczą w trakcie studiów uniwersyteckich jest to, że ma się kompletną swobodę wchodzenia i wychodzenia, kiedy się chce, że można uczestniczyć w zajęciach lub nie w zależności od własnego uznania i że trzeba tylko zaliczać egzaminy, do których podchodzi się po każdym roku akademickim. To napęliło go tak wielką pewnością siebie, że nie potrafił zrozumieć, jak zdołał przez tyle lat żyć bez tego wyboru. Możliwość działania według własnego uznania była najwyższym dowodem dojrzałości. A także odpowiedzialności. On, który już nauczył się być odpowiedzialnym młodzieńcem, teraz powinien nauczyć się być dorosłym mężczyzną.

Spędził wiele godzin na zajęciach, studiach i doświadczeniach; popołudnia i wieczory wykorzystywał na poznawanie miasta i ich tawern w towarzystwie innych studentów; próbował wina w ograniczonych ilościach, a czasem bez ograniczeń; poznał sposób uśmiechania się dam, pisania wierszy, prowokowania niepokoju u służących i mamienia ich obietnicami; stał się panem swego czasu i swych decyzji i po kilku miesiącach potrafił już śpiewać, kłamać, jeść i pić w dostatecznej ilości, aby ogłuchnąć, popaść w oszołomienie, przejeść się i ucieszyć duszę. I kiedy się tego dowiedział, powrócił do studiów, poświęcając się im bez reszty, i rozpoczął gromadzenie wiedzy, bo odkrył, że takie było jego jedyne przeznaczenie.

I takim zajęciom się oddawał, kiedy pewnego marcowego popołudnia dostał pilny list z domu z wiadomością, że epidemia grypy szalejąca w całej Kastylii, o której z pewnością zdążył już usłyszeć, z tak szczególnym zacięciem zaatakowała jego ojca i matkę, iż oboje

znajdują się na łożu śmierci.

Don Fernando po raz pierwszy poczuł na sobie bezpośredni i wyzywający dotyk śmierci. Jakby czuła się zmuszona okazać mu swą wszechobecność i nieskrępowaną moc. Przypomniawszy sobie swych rodziców: oboje byli jeszcze młodzi i powinni przeżyć atak choroby, ale wiedział też, że zła godzina nie prosi o pozwolenie nadejścia. Może choroba nie była taka ciężka, pomyślał, jednak miał zamiar spełnić swój synowski obowiązek i być u ich boku, a w razie gdyby nadeszło najgorsze, sprawdzić, w jakie barwy zdobi się śmierć, kiedy wypełnia swoją misję. Don Fernando biegiem owinał się peleryną, zabrał kilka książek, które właśnie czytał, poprosił o osiodłanie konia z uniwersyteckich stajni i ruszył galopem w stronę Madrytu, gdzie dotarł grubo po północy.

W rodzinnym domu świeciły się wszystkie światła: lampiony przed wejściem, lampy w westybulu i świece we wszystkich kandelabrach. Na zewnątrz dwóch stangretów czekało na kozłach na rozkazy. We wnętrzach pełnych gobelinów z Brukseli, dywanów grubych na cztery palce, mebli ze szlachetnego drewna, foteli z hebanu, krzeseł skórzanych z miękkimi obiciami i stołów z nogami z kości słoniowej służące biegały z kuchni na piętro, majordomowie chodzili w tę i z powrotem, nosząc miednice i miski z czystą wodą i uryną, a ciotka Elena, starsza siostra jego matki, płakała w fotelu ustawionym w przedsionku matczynej alkowy. Kiedy ujrzała, jak don Fernando wbiega po schodach, błyskawicznie wstała, rzuciła się w jego ramiona i podniosła lament.

- Czy moja matka nie żyje? - zapytał, oszołomiony takim okazywaniem rozpacz.

- Jeszcze nie - odparła ciotka Elena, zeszywniała od płaczu. - Ale jest z nią bardzo źle.

- A ojciec?

- Nie wiem. Medycy puszczają mu krew.

Don Fernando najpierw wszedł zobaczyć matkę i w jednej chwili zrozumiał, że nie przeżyje. Płonęła z gorączki, twarz miała pociągłą, bladą i zroszoną potem, a pod zamkniętymi oczyma zarysowały się dwa wielkie czarne koła. Ledwie mogła oddychać i kiedy z wysiłkiem wciągnęła powietrze, wypuszczała je wraz z obłąkanymi zdaniami bez sensu; raz wzywała swą nieboszczkę matkę, kiedy indziej prosiła rozsierdzona, żeby podano gorącą zupę, by nie rozczarować zaproszonych gości. Don Fernando podszedł do niej powoli, ujął jej rozpaloną rękę, pocałował i potem dotknął jej czoła.

- Matko - wyszeptał.

Ale ona go nie rozpoznała; nawet nie otworzyła oczu. Jeden z medyków, który wszedł w tej chwili, poklepał go po plecach i ze smutkiem pokręcił głową.

- A mój ojciec? - dopytywał się don Fernando. - Idźcie go zobaczyć, panie.

- Czy też umrze?

- Tylko Bóg to wie.

Ojciec leżał z otwartymi oczyma, obudzony, z nagimi piersiami i ramionami pokrytymi pijawkami, które zajmowały się zaspokajaniem swych potrzeb gastronomicznych bez najmniejszego skrępowania. Utkwił martwe spojrzenie w najwyższym punkcie baldachimu, oddychał z trudem i niezmordowanie odmawiał ojczenasze i avemarie.

- Jestem tutaj, ojcze - powiedział don Fernando.

Wtedy chory przerwał swe modlitwy i popatrzył na syna niespokojnie, jakby jego obecność wydawała mu się urojeniem, diabelską marą.

- Nie wiem, dlaczego tu jesteś. Nie kazałem cię wezwać.

- Powiadomiono mnie o twoim stanie, ojcze.

- Mam się świetnie - i wrócił do swych modlitw.

Medyk i don Fernando spojrzeli po sobie. Ten pierwszy wskazał młodzieńcowi, by się zbliżył, i obaj podeszli do drzwi wielkiej alkowy.

- Nie zwracajcie na niego uwagi. Ma bardzo wysoką gorączkę.

- Powinienem wyjść?

- Być może. Później każę was powiadomić.

Don Fernando wyszedł z pokoju, przy którego drzwiach stał don Tirso, zarządca, z obliczem pełnym rozwagi; don Fernando pozdrowił go płytkim ukłonem, schronił się w fotelu bawialni, w której jego matka spędzała popołudnia, szyjąc lub przyjmując wizyty najbliższych przyjaciółek. Było zimno, ale odemknął okno, bo chciał poczuć świeżość nocy. Na dole wciąż stały powozy doktorów i chłopcy stajenni, w razie gdyby trzeba było nagle pojechać po jakieś nowe remedium. Na niebie chmury zasłaniały światło gwiazd. Okna w całym mieście były ciemne, panowała cisza zakłócana jedynie szumem wiatru, bieganiem kotów i niezmordowanym dalekim płaczem nowo narodzonego dziecka.

Salon był bardzo mocno oświetlony. Na podwyższeniu ograniczonym barierką z rzeźbionego egzotycznego drewna stały miękkie krzesła, małe meble i leżały dywany albo niewielkie kobierce, a przy stole - tamborek, na którym matka wyszywała pawia, zanim naszła ją choroba. Fernando usiadł na niskim krześle, wsparł głowę na rękach i pomyślał, że niebawem zostanie sierotą: śmierć weszła do domu, a jemu nie przychodził do głowy sposób na jej przegnanie.

Znowu usłyszał dobiegający z dala gwałtowny płacz noworodka.

I wychylił się przez okno, aby zobaczyć, czy z nieba spływa dusza dla tego dziecka,

które na pewno tak płakało, bo jeszcze jej nie miało.

\* \* \*

Dwa następne dni spędził w towarzystwie Klary, podczas gdy jego ojciec i matka byli w agonii, a lekarze okazywali się niezdolni do przyniesienia im ulgi. Nawet sam wielki notariusz królestwa, przyjaciel rodziny, kazał wezwać swego osobistego lekarza, a inni przybyli z Valladolid i z Toledo. Grypa tego roku była okrutna w Kastylii, ale szczególnie pośród chłopów i dzieci o najpodlejszej kondycji, naznaczonych słabym odżywianiem i ubogimi warunkami życia. Szlachetnie urodzonych i pozostałych dobrze zbudowanych i odżywionych nie kosztowało zbyt wiele wysiłku wyjście z niej po kilku dniach gorączki i leżenia w łóżku. Dlatego lekarze byli zaskoczeni siłą, z jaką choroba rzuciła się na rodzinę Ruiz de Alcalá, rodziców don Fernanda, a ten przypadek stanowił w ich praktyce wyzwanie, któremu chcieli stawić czoło.

Don Fernando czuwał przy rodzicach przez dwa następne dni. Klara towarzyszyła mu w ciągu dnia, a don Alfonso de Guzmán, pyszałek, nocami. Kolega ze szkoły don Fernanda zamieszkał w Madrycie w oczekiwaniu na otrzymanie nominacji na stanowisko, które pozostawało nie obsadzone w osobistym gabinecie jego wysokości króla, jako nadworny rachmistrz.

Tymczasem ćwiczył jazdę konną, wprawiał się w szermierce i powtarzał ćwiczenia z matematyki, aby dokładnie wypełnić swą pracę, gdy nadejdzie pora. Kiedy jednak dostał wiadomość o nieszczęściu swego przyjaciela, nie zawahał się przybyć osobiście do jego domu i oddać się do dyspozycji.

- Powiedz pannie Klarze, że może udać się na spoczynek, mój kochany Fernando - mawiał wieczorami, zawsze w dobrym humorze. - Od tej chwili wasze zdrowie zależy ode mnie.

- W takim razie odchodzę spokojna - odpowiadała. - Wiem, że przy was nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Wrócę o brzasku, gdy tylko zawita jutrzienka, Fernando. Odpoczywaj.

- Dziękuję, Klaro.

Don Alfonso składał niewinny kurtuazyjny ukłon, oboje śledzili siebie wzrokiem, dopóki nie opuściła salonu, a potem pyszałek siadał przy don Fernandezie.

- Mówią, że pewien Maur świeżo przybyły do Madrytu, José de Córdoba, wynalazł nowy napar, który leczy wszelkie gorączki - poinformował don Alfonso przyjaciela z oczyma pełnymi nadziei. - Jutro będziesz miał flakon. Zobaczysz, jak zostaną wyleczeni twoi rodzice.

- José de Córdoba? - don Fernando spojrział na niego z ciekawością.

- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Al-Razi. Nazywał się Ben al-Razi, zanim przyjął naszą wiarę.
- Nie znam go.

I nie miał też okazji poznać go następnego dnia. O świcie matka don Fernanda wyzionała ducha, a przed wieczorem skonał jego ojciec. Medycy przegrali dwie bitwy tego samego dnia, a don Fernando, wściekły, zanim słońce jęło chylić się ku zachodowi, wypowiedział śmierci wojnę.

Uroczystości pogrzebowe trwały trzy dni. Zarządził, by pogrzeb jego rodziców odbył się w krypcie kościoła klasztoru Augustianów, gdzie studiował, z mszą *corpore in sepulto*, podczas której śpiewają hymny i modlitwy wszyscy uczniowie ze szkół przyklasztornych, w sumie dziewięćdziesięciu sześciu chłopców i młodzieńców. Obie trumny, z hebanu i kości słoniowej, przewieziono wozami z domu do klasztoru, a na egzekwie zaproszonych zostało czterysta szlachty z miasta i około setki krewnych przybyłych z Salamanki, Aranjuezu, Segowii, Toledo i Alcalá, skąd pochodziła rodzina jego ojca.

Don Fernando wytrwale przyjmował kondolencje od wszystkich, którzy przyszli do domu podczas czuwania, dwa pełne dni bez przerwy, z don Alfonsem u boku i moją matką, którą eskortowali moi dziadkowie. Otrzymywał też pocztę, która nie przestawała przychodzić, a dostał nawet list napisany własnoręcznie przez infantkę Izabelę Klarę Eugenię, kobietę o wielkim posagu i oczywistym talencie, we własnym imieniu i, jako pierworodnej, w imieniu jej ojca króla Filipa II, naszego pana. A we mszy i następującym po niej złożeniu do grobów, wliczając w to zapiecztowanie grobowców, wziął udział, nie wylawszy ani jednej łzy, w towarzystwie swego przyjaciela don Alfonsa, zarządcy don Tirsa i innych licznych dalekich krewnych, przybyłych z Alcalá, których w większości przypadków w ogóle nie znał.

Po zakończeniu wszystkich ceremonii don Fernando wydał zarządzenie don Tirsowi, aby przygotował kompletne zestawienie jego dóbr, po czym, uściskawszy swego przyjaciela don Alfonsa, udał się do swych pokojów i rozkazał, by go nie budzono, aż nie zrobi tego sam z siebie. Spał trzydzieści dwie godziny, z przerwami jedynie na oddawanie moczu.

Don Fernando powiedział mi kiedyś, nie pamiętam kiedy, że don Alfonso i moja matka poszli odpocząć, lecz ponieważ ich czuwanie było krótsze, spali tylko jedną noc i część następnego dnia. I że tego popołudnia don Alfonso odwiedził Klarę w jej domu pod pretekstem przeprowadzenia rozmowy o don Fernandzie, ale w rzeczywistości rozmawiali o samych sobie przez całe popołudnie, bez wytchnienia. Kiedy don Fernando odzyskał siły po torturze bólu i zapał dzięki pożywieniu i trosce Klary i don Alfonsa, ponownie wyruszył na uniwersytet do Alcalá. Moja matka upierała się, by został kilka dni, nawet zasugerowała mu,

by porzucił studia, bo już samo zajmowanie się rodzinnym majątkiem, za który teraz był odpowiedzialny, zabierze mu mnóstwo czasu. Przekonywała go, że teraz jego obowiązkiem jest doglądanie domu i ziem uprawnych rodu, aby chłopci i pasterze nie czuli się nie pilnowani i ze swej strony nie zaniechali obowiązków; dodała też, że z łatwością znalazłby w Madrycie zajęcie dające mu zadowolenie, tak jak spodziewał się jego przyjaciel don Alfonso. Jednak don Fernando nie słuchał argumentów, powtarzał, że jego poszukiwania nie mają nic wspólnego z ziemiami ornymi, lecz z wiedzą zawartą w książkach, i nie pozwolił jej więcej mówić na ten temat.

- Doprowadzisz do tego, że pęknie mi serce - łkała, widząc go tak nieugiętym. - Serce mi pęknie od tego czekania...

- Zszyję ci je, nie bój się, kawałek po kawałku - uśmiechnął się.

- Nie. Ty nigdy nie będziesz w stanie tego dokonać.

Don Fernando wyjechał tej samej nocy w kierunku Alcalá, cicho jak złodziej i uciekinier, polecając don Alfonsowi, by dbał o to, żeby mej matce niczego nie brakowało.

Nie bacząc na to, że to, czego potrzebowała, mógł jej dać tylko on.

## TRZY

Wróciwszy w mury uniwersytetu, don Fernando dalej grzebał w organach wewnętrznych ludzkiego ciała i w elementach zewnętrznych, które w sposób witalny wpływają na przyczyny chorób umysłu. Niezbędna do tego była znajomość nauk medycznych w ogólności i anatomii w szczególności, a najbardziej przydatne okazały się sekcje robione trupom biedaków, które alkad miasta oddawał katedrze, aby uniknąć wydatków na rzecz pogrzebów w zbiorowych mogiłach; trupom, które pozyskiwał, aby wyszukiwać ich dusze w najbardziej ukrytych zakamarkach i zagłębieniach. Jednak po przebadaniu ciał o różnej płci i wieku zrozumiał, że bez nabycia głębokiej wiedzy w dziedzinie teologii, fizyki, matematyki i chemii każdy z jego wniosków będzie chybiony, bo brak im będzie obiektywnego fundamentu.

Bardzo szybko zapomniał, że posiada majątek rodzinny, o który powinien dbać. Tylko od czasu do czasu, kiedy zarządca don Tirso przynosił mu rachunki do zaakceptowania, myślał, że kiedyś będzie musiał wrócić do Madrytu i sprawdzić ich zgodność z tym, co podpisywał, zawsze jednak oddalał podróż i ograniczał się do wnikliwego przeglądania otrzymanych stron i przesyłania pozdrowień, zapowiadając nieodwołalną wizytę, która nigdy nie dochodziła do skutku. Nie martwił się tym - oderwanie od ziemskich forteli, jak mawiał, przybliżało go do prawdy duszy.

Największym jego nieszczęściem było to, że niebawem zapomniał też o Klarze, choć otrzymywał od niej listy, czytał je i niechętnie poszukiwał chwili, aby na nie odpowiedzieć. Lecz nie zawsze znajdował. Kiedy w końcu, a zdarzało się to nader rzadko, zasiadał do pisania, obiecywał jej w listach rychłą wizytę, jednak zanim nadejdzie ten dzień, prosił, by na siebie uważała i dobrze się bawiła, a następnie opisywał jej naturę swych studiów i postępów, zatrzymując się nad wszelkiego rodzaju wyjaśnieniami, których moja matka nie rozumiała ani w ogóle się nimi nie interesowała. Każdy jej list był krzykiem, każda jego odpowiedź była pomnikiem egoizmu. Ona sugerowała, że powinien zająć się swym majątkiem, doglądać go z bliska, pomnażać i dobrze spożytkować. Powtarzała mu, że w jej mniemaniu studia rozmiękczają kości mózgu, wysuszają rozum i zatrują duszę i ostrzegała go, że przez to, iż nie dogląda osobiście swych dóbr, w końcu je utraci, choćby don Tirso był człowiekiem Bóg wie jak honorowym. I tak mu powtarzała miesiąc za miesiącem przez dwa długie lata, w



których stopa don Fernanda nie powstała w Madrycie.

Jednak don Fernando nigdy nie czytał tej części listu. Przeciwnie, coraz bardziej był gotowy poświęcić swe życie studiom nad ludzką duszą, choćby to przedsięwzięcie wymagało roztrwonienia wszystkich obecnych dóbr oraz tych, które zdobędzie w przyszłości, o ile podejmie takie postanowienie. Był tak zdecydowany i tak bardzo cieszył się zgromadzoną wiedzą i doświadczeniami, że ze studentami chemii, jego najbliższymi przyjaciółmi, zabawiał się poszukiwaniem formuły kamienia filozoficznego, tego, który, jak mawiano, wszystko przemienia w złoto. I to, co rozpoczęło się jako żart, gdyż wszyscy wiedzieli, że taki katalizator nie istnieje ani nie można go wymyślić, zmieniło się w swego rodzaju wyzwanie, które ich zaślepiło do tego stopnia, że zakładali się, kto pierwszy go odkryje.

Wszystko zaczęło się od tego, że pewnej nocy w tawernie musieli wyciągać z sakiewek resztki pieniędzy, aby zebrać sumę wystarczającą na pokrycie rachunku.

- Nie wierzę, że brakuje nam monet - lamentował Wawrzyniec.

- Studenci i biedni, brak nam godności - stwierdził Ezechiel.

- Tyle wiedzy i tak mało złota - narzekał Froilán.

- Tak, tak, wiele wiedzy... - żartował Fernando. - Tyle, że nikt z nas nie potrafi odkryć formuły kamienia filozoficznego...

- Bo nie postawiłem przed sobą takiego zadania - pochwalił się pierwszy.

- A ponieważ jesteś zwykłym osłem, i tak byś niczego nie odkrył - zaśmiał się drugi.

- Jak to nie? Ośmielasz się mnie wyzywać? - Wawrzyniec poczuł, że piją do niego. -

W jeden miesiąc, za ledwie w jeden, przedstawię ci formułę...

- Żartujesz sobie - uśmiechnął się Fernando.

- Nie postawicie stu marawedów? - podjudzał ich ten pierwszy.

- Postawimy - stwierdził Fernando. - Ale umawiamy się na trzy miesiące.

- Stoi - zgodził się drugi.

- Więcej o tym nie będziemy mówić - trzeci wytarł sobie rękę.

- Zgoda - zawyrokował Fernando. - Postawimy sto monet każdy i pierwszy, który odkryje formułę, weźmie czterysta.

- Ależ... to absurd - zauważył ten drugi. - Jeśli którykolwiek z nas odkryje formułę kamienia filozoficznego, w co, mniemam, należy wątpić, ta suma będzie śmieszna w porównaniu ze złotem, które moglibyśmy wyprodukować za jego pomocą.

- Absurd, nie absurd - zaśmiał się Fernando, wychylając kolejny kielich. - Bo obiecujemy, że pieniądze zostaną wydane na wino. W tej samej tawernie.

- W takim razie zgoda! - krzyknęli wszyscy.

I unosząc kielichy, wychylili je do ostatniego łyka, po czym udali się do swych pokojów na spoczynek. I od następnego poranka wszyscy czterej zamknęli się w bibliotece i laboratoriach, aby poszukiwać niemożliwej do odkrycia formuły, istniejącej jedynie w ich wyobraźni.

\* \* \*

Klara w końcu zrozumiała, że niepotrzebnie wylewa łzy. Nie mogła przestać tego robić, ale każda z nich była zbitym wazonem w porze suszy. Niecierpliwie oczekiwała wiadomości od niego, a kiedy nadchodziły, biegła do pokoju, gdzie spijała litera po literze słowa, które don Fernando kreślił dla niej atramentem. Zwyczajny fakt otrzymania listu ożywił zwiędłe drzewo nadziei, bo oznaczał, że don Fernando nadal ją pamięta i pragnie się z nią komunikować; kiedy jednak kończyła pić, pragnienie, miast zelżeć, coraz bardziej ją trapiło. W listach nie było wzmianki o powrocie, miłości czy chęci ujrzenia jej; przeciwnie, daleki student utwierdzał się w swym powołaniu na przyszłość, i te ciężkie zdania jak ołów zatapiały ją jeszcze bardziej w morzu, po którym dryfowało jej szczęście, morzu, które nie kołysało swymi falami dla nikogo. Ona pisała do niego raz w tygodniu; on odpisywał raz w miesiącu, a nawet rzadziej. I nigdy nie odpowiadał na jej pytania. Ta wymiana listów była tak nierówna, jak od zawsze nierówne były ich uczucia.

Łzy dalej były wylewane na próżno. Podczas gdy pragnienie rosło.

Od chwili wyjazdu don Fernanda do Alcalá po śmierci jego rodziców don Alfonso de Guzmán często odwiedzał Klarę i obsypywał ją komplementami. Nie przyszło mu do głowy zastąpić swego starego kolegę, a i ona widziała w don Alfonsie tylko dobrego przyjaciela, który wypełniał polecenia tamtego. I tak było aż do wiosny 1584 roku, kiedy mój mistrz kończył drugi rok swego pobytu na uniwersytecie.

Bo tego samego roku don Alfonso otrzymał stanowisko w gabinecie królewskim. Ponieważ rodzice, po których miał odziedziczyć hrabstwo Haro, jeszcze żyli, brak mu było tytułu, dlatego Jego Wysokość Filip II nadał mu tytuł kapitana z należnymi prawami i obowiązkami. Od tego momentu don Alfonso zajmował uprzywilejowane miejsce na dworze i, jak się należało spodziewać z racji pozycji i obowiązków kawalera, zaczął krzątać się wokół zapewnienia sobie przyszłości.

O tych kłopotach rozmawiał z Klarą, która nie zawahała mu się doradzić, aby poszukał sobie dobrej żony i stworzył dobrą rodzinę. Pograżeni w dyspacie, przeanalizowali wady i zalety wszystkich znanych sobie panien i pośród śmiechu opisując jedne i krytykując inne, spędzali popołudnia na przyjemnych pogawędkach i niewinnej rozrywce, tak jak polecił don Fernando Klarze i przyjacielowi.

- Doña Elvira jest zezowata - zauważył don Alfonso.

- Nie jest zezowata, Alfonsie, tylko czasem rozpraszają się jej oczy - współczuła ona.

- No, mnie się wydaje, że za wiele mają rozrywki te jej bure oczy - stwierdzał on i nie mógł się pohamować od zaraźliwego śmiechu.

- A co mi powiesz o doñi Sol? Ma piękne liczko - kontynuowała Klara po uspokojeniu się i chwilowym namyśle.

- Niewiele z nią rozmawiałaś, nieprawdaż?

- Rzeczywiście.

- No, to ciesz się swoim szczęściem - oznajmiał on i robił zboląłą minę. - Gdyby jadła tylko zgniłe cebule, jej oddech nie byłby tak odpychający.

- Przesadzasz...

Dla don Alfonsa wszystkie miały jakąś wadę. Do tego stopnia, że Klara przepowiedziała mu, że zostanie kawalerem.

- Jakaś pewnie się znajdzie - odparł.

- Może jeśli będziesz podróżował kilka miesięcy po Europie - ironizowała ona.

Don Alfonso wypełniał swe zadanie, dotrzymując Klarze towarzystwa, a także wywiązując się z roli *chevalier sernant*. Kiedy nie chwalił jej uczesania, podkreślał kolor jej policzków, a jeśli, wyjeżdżając, nie dziękował jej po pięć razy za wspaniale spędzone popołudnie, to dlatego, że robił to dziesięć razy. Jeśli zaś ona podejmowała jakąś rozmowę na temat don Fernanda, on ją kontynuował i razem omawiali jego poczucie przyjaźni, wytrwałość w studiach, żądze nauki i powołanie do poświęcania życia dla innych.

- Zdaje się, że jego jedynym celem jest uczynienie szczęśliwym całego świata - kiwała głową ona, okazując niewiarę.

- Jeśli to możliwe, na pewno mu się uda - odpowiadał on z przekonaniem.

- Świat czasem jest znacznie bliżej - szeptała wtedy ona i Alfonso w jednej chwili zmieniał temat rozmowy, bo wiedział, że Klara ukuła się kolcem róży.

Popołudniami, w które don Alfonso przynosił słodkie cytryny albo kandyzowane, bo wiedział, jak bardzo jej smakują, zajadali się nimi z taką radością, że wydawali się brać udział w uczcie. Wtedy matka Klary serwowała słodkie wino, przechowywane na wielkie okazje, i po zjedzeniu słodyczy i wypiciu alkoholu wszyscy mówili jeden przez drugiego. Szczególnie moja babka, która powiedziała:

- No, nie wiem, co moja córka mogła zobaczyć w tym tam Ruizie de Alcalá...

- Matko...!

- Alfonso. Alfonso, oto dobry przyjaciel...

Zapadła cisza. Don Alfonso uśmiechnął się kurtuazyjnie i nalał sobie kieliszek wina; Klara odwróciła się i patrzyła przez okno. Jej matka zrozumiała, że wino przemówiło za nią, i poczuła się zawstydzona. Przez resztę popołudnia rozmawiano niewiele i o sprawach bardzo wyszukanych, aż don Alfonso poczuł się tak niezręcznie, patrząc na zakłopotanie dam, że pod pretekstem jakiegoś pilnego zajęcia, o którym był zapomniawszy, pożegnał się do następnego dnia, kiedy miał zamiar ponownie je odwiedzić, jeśli nie będzie to stanowiło kłopotu, rzecz jasna, i jego obowiązki mu na to pozwolą.

Tej nocy wiele osób nie mogło zasnąć, a potem męczyły je dziwne sny. Dla don Alfonsa Klara byłaby idealną żoną; dla niej on był dobrym przyjacielem i mógł stać się odpowiednim mężem. On jednak szanował don Fernanda i nie dopuszczał możliwości zdrady: w żadnym razie nie dopuściłby do tego; a ona kochała don Fernanda i tej miłości nie chciała nigdy zmienić, za nic w świecie.

Kiedy jednak rani nas bezsenność, sny zabijają. I oboje śnili tej nocy o wielkim ołtarzu oświetlonym tysiącem pachnących świec.

\* \* \*

Nie upłynął wyznaczony czas, kiedy studenci zebrani przez don Fernanda zasiedli wokół stołu w tawernie, w której przyjęto zakład, a na środku leżała sakiewka z czterystoma marawedami. Don Froilán także przyszedł na spotkanie, ale oświadczając, że nie tylko nie wynalazł formuły, ale nawet się do niej nie zbliżył.

- Ponadto mogę was zapewnić, że ona nie istnieje - dodał. - To bezsensowny zakład...

- A ja o mały włos bym ją odkrył - zaśmiał się Ezechiel, pokazując w ten sposób, że ma swoim kolegom coś do powiedzenia.

- Żartujesz? - zainteresował się Froilán.

- Oczywiście, że nie - do zabawy wmieszał się Wawrzyniec, który tak samo dobrze jak Ezechiel wiedział, że ta formuła nie istnieje.

- Jestem przekonany, że żaden z was trzech nie odkrył formuły kamienia filozoficznego - odezwał się Fernando, przywołując ręką karczmarza.

- A ty tak? - zapytał go Ezechiel.

- Oczywiście! - Fernando zwrócił się do karczmarza tryumfalnie.

- Przynieście wino, karczmarzu! Przy nas staniecie się bogaci!

- Wasze miłości? - kpił karczmarz, z rękami na biodrach. - Nagle okazuje się, że jacyś studenci mnie wzbogacą?

- Przynieście wino i na nic nie zważajcie. - Fernando położył rękę na sakiewce. - Tutaj jest czterysta monet, które będą wasze, jeśli dacie nam jeść i pić tyle, ile zdołamy wchłonać.

Zatem już możecie zacząć.

Karczmarz zmarszczył czoło z niedowierzaniem, jednocześnie mając wielką ochotę na te pieniądze. Nie wiedział, co o tym sądzić, lecz znał studentów zbyt dobrze, aby im ufać.

- Zrobimy tak - powiedział. - Pokażcie mi, wasza miłość, te monety, tylko dziesięć, a ja zaraz przyniosę wam najlepsze wino z ostatnich dwudziestu francuskich zbiorów.

Don Fernando uśmiechnął się szeroko, rozwiązał sznurek sakiewki, sypnął na szorstkie drewno strumień marawedów i spojrzał na karczmarza, który nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Mój Boże!

- No, to do roboty. A teraz wróćmy do naszej sprawy...

- Już lecę, jakby mnie gonił sam szatan - powiedział karczmarz, biegnąc do piwniczki.

- Dobrze, Fernando, ty nas wezwałś - odezwał się Wawrzyniec.

- Doskonale wiesz, że ten katalizator nie istnieje - dodał Ezechiel.

- A jeśli chodzi o pijaństwo, trochę mniej pieniędzy też by wystarczyło. - Froilán wzruszył ramionami.

- Widzę, że mi nie wierzycie. - Fernando nalał sobie z pierwszego dzbana. - I dobrze robicie. Jednak powinniście wiedzieć, że od wielu lat znam formułę; zupełnie inną sprawą jest to, czy ją wypróbowałem. Kiedy jednak będziemy jedli i pili, co nam dobrze robi, opowiem wam, jak się otrzymuje kamień filozoficzny wedle nauk pewnego nieznanego, lecz wielce zmyślnego alchemika, którego imienia nie wymienię, gdyż zmarł przed wielu laty i nie wydaje mi się słuszne teraz go ujawniać.

- Czyli znałeś bezsens tego zakładu... - skarcił go Froilán.

- Dużo pić i dobrze zjeść w dobrej kompanii to chyba nie jest bezsensowne - odparł Fernando.

- Dobrze powiedziane! - zgodził się Wawrzyniec.

- Ale opowiadaj, co wiesz - niecierpliwił się Ezechiel.

- No, to naprzód. - Fernando otarł usta i poprosił o więcej wina. Spojrzał po kolei na każdego z nich, aby nadać swej opowieści więcej dramatyzmu, i powoli przemówił: - Wedle starej formuły, o której wam wspomniałem, kroki, jakie należy podjąć do stworzenia kamienia filozoficznego, są następujące: należy wziąć dwanaście części rozpuszczalnika z dziewczki sprzedajnej i jedną część doskonale umytego ciała niższego. Następnie trzeba to wszystko wymieszać w owalnym naczyniu o wysokiej szyjce, aż cała materia stanie się jedną substancją, lecz wprzód należy dodać do ciała dwie lub cztery części rozpuszczalnika i odstawić to na mniej więcej piętnaście dni, czyli na czas, w którym następuje proces

rozpuszczenia. Karczmarzu! Będzie to mięso czy nie?

- Mów dalej - błagał Wawrzyniec, który już nie mógł wytrzymać ze śmiechu.

- No, dobrze - kontynuował Fernando. - Weźcie później trochę tej materii i wyciśnijcie ją, aby wydobyć z niej rozpuszczalnik, który zachowacie na zwartym ciele pozostałym po wygnieceniu; dodacie jedną lub dwie części nowego rozpuszczalnika i odstawicie to na następne osiem dni, po czym powtórzycie od początku dokładnie te same działania, aż całe ciało przemieni się w wodę. Wszystko to, rzecz jasna, robi się na małym żarze i w dobrze zamkniętym naczyniu.

- I już? - zapytał Froilán.

- Czekaj, czekaj... - Fernando popił łyk wina, zanim zaczął mówić dalej. - Później weźcie całą wodę, która nazywa się wodą życia, i umieśćcie ją w zamkniętym naczyniu, takim jak to poprzednie, i na tym samym żarze, który jest pierwszym stopniem ognia, i przypadkiem ich nie pomylcie. Po ośmiu dniach i przez następne tygodnie tworzyć się będzie czarny kożuch, który będzie pływał po wierzchu; to tak zwana krucza głowa, którą zmieszacie z czarnym proszkiem zebrany na dnie naczynia, kiedy zleje się z niego wodę.

- Jesteś szaleńcem - pokiwał głową Wawrzyniec, wybuchając śmiechem.

- Mów dalej, nie zwracaj na niego uwagi - wtrącił Froilán.

- Do tego zmierzam, ale najpierw wypijmy... Później znowu wlejecie wodę do naczynia i będziecie działać w taki sam sposób tyle razy, ile to będzie konieczne, aż nie wytworzy się więcej osadu. Wtedy weźmiecie całą kruczą głowę, którą wymieszacie i umieścicie w jajku filozoficznym na ogniu z dębowego żaru...

- Jakim jajku? - zapytał ze śmiechem Ezechiel.

- Filozoficznym, ignorancie - zaśmiał się Fernando. - Cóż za brak wiedzy u tak znakomitego uczonego! Mówię dalej: a kiedy już zostanie umieszczona w jajku filozoficznym, trzeba szczelnie zamknąć jego krawędzie, lecz używajcie pasty tylko przy jednym z zamknięć części jajka, aby można je było łatwo otworzyć.

- To jajko trzeba będzie posadzić na ścianie, rzecz jasna - zaśmiał się Wawrzyniec.

- Nie. I skup się, bo to, co teraz nastąpi, jest bardzo ważne. Słuchajcie: przez pierwszych osiem dni, mniej więcej, nie skrapiajcie więcej waszej czarnej i martwej ziemi, bo jeszcze pełna będzie wilgoci. Potem, kiedy zostanie wysuszona i zmieniona, polejecie ją wodą życia w dokładnie takich samych proporcjach. Otwierając jajko w tym celu, będziecie musieli dobrze wszystko wymieszać, a następnie ponownie je zamkniecie i odstawicie nie do całkowitego wyschnięcia, uważajcie na to, ale do stanu koagulacji. Później musicie polewać materię, aż cała woda zostanie wchłonięta.

- To zasługuje na następne cztery dzbany! - krzyknął Froilán.

- No, to niech je tu postawią! - dorzucił pośpiesznie Fernando. Wypił i mówił dalej: - Weźcie później tę materię i znowu umieśćcie ją na ogniu drugiego stopnia, zostawiając ją tak przez kilka miesięcy, aż w końcu, kiedy przejdzie przez różne kolory, stanie się biała.

- Miesiący? - zapytał Wawrzyniec.

- Miesiący - potwierdził poważnie Fernando, który już zaczynał zauważać, że wino uderza mu do głowy. - I teraz następuje najlepsza część: kiedy ziemia stanie się biała, będzie miała wystarczającą potencję, aby przyjąć nasienie, ponieważ została użyżniona dzięki poprzednim działaniom. Weźcie więc ziemię po jej zważeniu i podzielcie na trzy części. Weźcie jedną część zaczynu, którego waga będzie taka sama jak jednej części waszej podzielonej materii, i cztery części rozpuszczalnika ze sprzedanej dziewczki i stwórzcie mieszanekę z rozwałkowanym zaczynem, jak wcześniej, i z rozpuszczalnikiem, i róbcie roztwór na małym ogniu przez czternaście dni, aż ciało zostanie zredukowane do delikatnego wapna, bo tutaj nie chodzi o wodę życia. Rozumiecie, co wam mówię, czy mam powtórzyć od początku? Bo wydaje mi się, że jesteście trochę rozkojarzeni...

- Od początku? Nie, na rany Chrystusa, nie...! Mów dalej...!

- Ten dzban też już się skończył? Karczmarz ryzykuje swoje pieniądze!

- Fernando odczuł, że kołkowacieje mu język. - Potem weźcie rozpuszczalnik z wapnem z ciała i trzy części waszej białej ziemi, i utrzymajcie to wszystko w marmurowym moździerzu (ważne jest, żeby był marmurowy, bardzo ważne, rozumiecie?); i tę mieszanekę będziecie trzymać w szklanym naczyniu na ogniu drugiego stopnia przez miesiąc.

- Jeszcze jeden miesiąc! - obruszył się Froilán. - Zestarzejemy się...

- I w końcu dajcie ogniowi trzeci stopień, aż materia stanie się bardzo biała i otrzymacie grubą i twardą masę, niczym pumeks, ale ciężką.

- I to jest kamień filozoficzny? - Ezechiel wybuchnął śmiechem, uderzając dłonią w stół. - Pumeks!

- Nie, osle! Jesteś... zwykłym osłem! - don Fernandowi plątał się język. - Tutaj zaczyna się tworzenie katalizatora! Wielu otrzymało ten kamień, nie wiedząc, do czego go używać. Ten kamień na nic się nie zda, żadna przemiana nie zaistnieje, jeśli nie wejdzie w ciało. Nie staraliśmy się go mieszać z ołowiem, aby ten przemienił się w złoto? Aby więc to osiągnąć, rozbijcie kamień na kawałki, zmielcie go i umieśćcie w naczyniu zaciemnionym aż po szyjkę, aby mogło wytrzymać wielki ogień, jak ogień czwartego stopnia, i umieśćcie je w ogniu węglowym tak mocnym, że piasek osiągnie taką temperaturę, iż kiedy wyleje się nań kilka kropel wody, słychać będzie syk, i tak mocnym, że nie będzie można dotknąć ręką

szyjki naczynia, które będzie stać na piasku, z powodu wielkiej temperatury. W półtora miesiąca wasza materia przemieni się w bardzo delikatny i lekki pył.

- Ty już majaczysz, Fernando - zaśmiał się Froilán.

- Jutro... z samego rana... zaczynam... - powiedział bardzo poważnie Wawrzyniec, nie mogąc już niemal wypowiadać słów, kompletnie pijany. - Jeśli poczekam choćby jeszcze jeden dzień, chyba nie zdążę zakończyć całego procesu przed śmiercią.

- To wino jest... doskonałe - przyznał Fernando, patrząc na dno dzbanka.

- No, ale ja żądam końca historii! - krzyknął Ezechiel.

- Ależ to bardzo proste! - Fernando objął go ramieniem i zaczął mówić do niego z bardzo bliska, niemal w twarz: - Kiedy kamień już jest gotowy, możesz go rozmnażać w nieskończoność bez potrzeby robienia go od początku...

- Jaki kamień? - obruszył się Ezechiel. - Skoro zmieniliśmy go w pył...

- Nie, nie. - Fernando przesadnie pokręcił głową. - Kiedy skończysz kamień, ten ciężki pumeks, połowę używasz do przygotowania procesu, a drugą połowę chowasz, by ją rozmnażać...

- Ach... Teraz rozumiem - przyznał Ezechiel. - Czyli że potrzebuję jeszcze łyku wina...

- Wtedy ważysz część przekształconą w pył - Fernando niemal już nie mógł mówić. - No, więc zważ tę część, rozumiesz? Jeśli waży trzy części, weź jedną część, ale nie rozpuszczalnika, tylko wody życia. Rozumiesz? Powiedz, że rozumiesz... Czy ty mnie rozumiesz? W ten sposób uzyskasz cztery części, które będziesz podgrzewał w jajku na małym ogniu drugiego stopnia przez miesiąc, prawda, że tak? Po czym przejdziesz na trzeci stopień ognia aż do końca... Tak samo... jak się robiło... żeby otrzymać... biały kamień...

Don Fernando zasnął na stole. Obudził się dopiero, kiedy karczmarz przyniósł ser.

Oczywiście nigdy więcej o tym nie mówiono. Prawda jednak jest taka, że podał właściwą formułę, być może o tym nie wiedząc...

\* \* \*

Rok 1585 był ostatnim, który don Fernando spędził w Alcalá, gdzie ukończył studia uniwersyteckie. Aż do lipca, kiedy to otrzymał dyplom, poświęcił się studiom nad fizyką do tego stopnia, że ledwie wychodził ze szkoły, dzieląc czas pomiędzy pokój, salę lekcyjną, bibliotekę i laboratorium. Nie zaznawał odpoczynku: badał ciężar duszy, jej dokładne umiejscowienie, związek pomiędzy materią i duchem oraz możliwości oderwania jej od ciała, i kilka razy zdawało mu się, że znajduje się tak blisko osiągnięcia celu, iż zapominał pójść spać, podczas gdy w inne dni popadał w tak wielką rozpacz w obliczu trudności, że nie mógł zmrużyć oka. W trakcie swych uniwersyteckich studiów poznał wszystko, co wiedziano na



temat anatomii, medycyny i ludzkiego ciała w ogólności. Nauczył się też podstaw chemii i wszystkich kierunków badań, jakie rozwijano w Anglii, Flandrii, Italii, Pradze i Hiszpanii, zarówno sposobów suchych, jak i wilgotnych, w których, z tego, co się mówi, ptak Hermesa zapewnia niebiański przepływ alchemicznemu smokowi, a dodatkowo poznał podstawy teologii, które do tamtej chwili określały przyczyny wiary i strach przed Bogiem, choć wszystko, co się tyczyło prawdziwej religii, było nauką tak zmienną, że zawsze miał wątpliwości, czy powinien publicznie wyrażać swoje poglądy na wypadek, gdyby z Rzymu przyszły nowe normy, albo od Świętej Inkwizycji, a do niego jeszcze nie dotarła ta wiadomość. Jakkolwiek by było, spędzał dni i miesiące tak pochłonięty swymi studiami i dociekaniem, że jego chód był przyspieszony i nieobecny, higiena wątpliwa, a powierzchowność tak zaniedbana, jak u starego, pogrążonego w szaleństwie mędrca.

- Popatrzcie na Fernanda - mawiali niektórzy koledzy, kiedy przechodził. - Zapomniał, że jest studentem, a nie mistrzem.

- Zostawcie go w spokoju - bronili go przyjaciele. - Stara się zbawić nasze dusze i być może któregoś dnia będziemy musieli mu za to podziękować.

- Nasze dusze? - zawsze znalazł się jakiś obrońca wiary, gotowy wszcząć polemikę. - Nie wiesz, że to sprawa boska?

Jednak jego przyjaciele nie wdawali się w kłótnie i przemilczali fakt, że Fernando w tajemnicy oddawał się studiom nad sztukami nekromancji, czarownictwa, magii, wróżbiarstwa, fetyszyzmu, rzucania uroków, jasnowidztwa, przepowiadania przyszłości i przeróżnych form zauroczania, i wiedzieli też, że inkwizycja nie miałaby dla niego litości, gdyby to odkryła. Każdy z tych studentów, szczególnie ci najbardziej wierni Kościołowi, mógł go zadenuncjować bez najmniejszych skrupułów, sprowadzając na niego oddziały Świętego Oficjum, żeby go osadzić w więzieniu, poddać procesowi i przeznaczyć na autodafę.

- Bez wątpienia, bez wątpienia. Ale ten Fernando jest taki uparty... - odpowiadali ze śmiechem jego przyjaciele, aby uchronić go przed gniewem. - To prawdziwy wariat. Przyjechał na studia, żeby studiować... i studiuje.

- Lepszy wariat niż heretyk...

Minęły pierwsze dni marca, kiedy don Fernandowi złożono niespodziewaną wizytę. Powiedziano mu, że pragnie go zobaczyć pewien przybyły z Madrytu kawaler zwany don Alfonso de Guzmán. Don Fernando przygotowywał właśnie jakąś nową mieszankę w mózdzierzu i w pierwszej chwili nie wiedział, o kogo chodzi. Kiedy jednak przypomniał sobie, że to jego stary przyjaciel, pyszałek, spadkobierca hrabstwa Haro, zostawił

eksperyment w połowie, wytarł ręce w brudną szmatę i pobiegł do sieni, żeby go powitać.

Widok przyjaciela, stojącego pośrodku wielkiej sali, tak okazałego i wytwornego, tak postawnego, zrobił na nim wrażenie: Alfonso zapuścił sobie pejsy i dobrze utrzymaną bródkę zabarwioną szafranem, jak teutoński rycerz, i miał kapelusz z wysokim piórem, jedwabny kołnier, kamizelkę z haftowanym przodem i buty z cielęcej skóry z długim językiem, zawiniętym niemal do czubków, cały okryty był czarną peleryną ze złotymi lamówkami i jawił się niczym monarcha. Don Fernando nagle zdał sobie sprawę z własnej powierzchowności, poszarpanego i brudnego ubrania, i przez chwilę poczuł się zawstydzony i zobowiązany do udzielenia wyjaśnień. Jednak brak zainteresowania jego ubraniem ze strony przyjaciela był tak ewidentny, że w jednej chwili też o tym zapomniał.

- Wyglądasz znakomicie, Alfonso. Dobrze widać, że na dworze dbają o ciebie.

- Muszę z tobą pomówić, przyjacielu Fernando.

- Tak, tak... Przepraszam za swoje niechlujstwo - powiedział, wskazując swe ciało od góry do dołu. - Byłem w laboratorium, a wiesz przecież...

- Możemy usiąść w jakimś dyskretnym miejscu?

- Oczywiście. - Fernando gestem kazał mu iść za sobą. - Tutaj, w tej komnacie będzie nam dobrze.

Weszli do wielkiego pomieszczenia, które w tej chwili było puste. Słońce południa wpadało przez ogromne okna o ukośnych kształtach, podkreślając piękno gobelinów zwieszających się ze ścian po prawej stronie i powagę wysokich półek ustawionych po lewej, pełnych książek oprawionych w skóry ze złotymi inkrustacjami. Fotele, ustawione po dwa w czterech narożnikach sali, wykonane były z rzeźbionego drewna, a pośrodku stał wielki stół, także drewniany, wypolerowany i pusty. Na świecznikach tkwiły wielkie świece, które o tej porze pozostawały nie zapalone, a przez witraże w oknach, oprócz światła, wpadały też promienie słoneczne, które swą delikatnością zapraszały do intymnej rozmowy.

- Latem skończysz studia.

- Tak jest.

- I pewnie masz jakieś plany na przyszłość.

- Mam.

- Klara cieszy się dobrym zdrowiem i jest bardzo piękna.

- Wiesz, że cieszy mnie ta wiadomość.

Don Alfonso zamilkł. Nie wiedział, jak kontynuować.

- Przyjeżdżasz z Madrytu? - zapytał Fernando.

- Tak, z Madrytu.

- Co się mówi na dworze?

- Niewiele. Na placach jest tak cicho, że raczej zdają się zapraszać do drzemki w porze sjeisty...

Don Alfonso nie znajdował sposobu na rozpoczęcie rozmowy o sprawie, która go sprowadziła. Don Fernando widział, że przyjaciel miętosi kapelusz w rękach w absurdalny sposób, bez ustanku, a błotne spojrzenia zdradzały mu, że coś się stało, coś, o czym nie miał odwagi mówić..

- Czy wydarzyło się coś złego?

- Nie! - szybko wyjaśnił don Alfonso. - Dzięki Bogu nasze rodziny cieszą się dobrym zdrowiem.

- To dobrze. - Fernando wstał z miejsca i stanął naprzeciw przyjacielowi. - No, to mów, ulży ci. Co się dzieje?

- Tak naprawdę to nic. - Alfonso spojrział na kraniec kamizelki. - Dobrze, przyjechałem, żeby zadać ci pytanie.

- No, to musi być bardzo ważne, skoro aż przyjechałeś...

- Tak, dla mnie jest bardzo ważne. Chciałem się dowiedzieć, czy masz już plany co do swojej przyszłości, kiedy skończysz studia i wrócisz do Madrytu.

- Nigdy nie skończę swoich studiów, drogi Alfonsie.

- Chodzi mi o plany... osobiste.

- Całe życie poświęcę studiom i badaniom. Tak, poczyniłem już plany. I oto one.

- Ale... nie myślałeś o małżeństwie?

- O małżeństwie? - Don Fernando wydawał się naprawdę zaskoczony. - Z kim? Nie, nie...

- Myślałem, że doña Klara i ty...

- Klara? - Fernando uśmiechnął się. Jednak szybko pomyślał, że to ona go wysłała, aby wypytał o jego zamiary co do małżeństwa, i zmarszczył czoło. - Wysłała cię, żeby wybadać, jakie są moje intencje? Doskonale je zna.

- Nie, to nie ona mnie przysłała. - Alfonso też wstał i przyjął postawę obrońcy damy - Ona nic nie wie o mojej wizycie. To ja chcę poznać twoje zamiary. Bo musisz wiedzieć, że doña Klara to osoba wyjątkowa.

- Wiem o tym.

- Tak jak ty jesteś człowiekiem wyjątkowym i przyjacielem, którego kocham.

- I wzajemnie, Alfonsie.

- Dlatego w imię tej szczerzej przyjaźni chcę, byś wiedział, że ja także kocham pannę

Klarę.

- Spodziewałem się tego, kochany przyjacielu. Kochamy ją obaj.

Don Alfonso przez chwilę milczał. Jednak wkrótce nabrał powietrza w płuca i powiedział:

- Ale ja kocham ją tak bardzo, Fernando, że jestem gotów się z nią ożenić.

- Naprawdę?

- Jeśli ty nie masz zamiaru tego uczynić, rzecz jasna. W takim przypadku ja ustąpię, wiesz o tym...

- Ustąpisz? Przecież dopiero co powiedziałeś, że ją kochasz!

- A czy ty jej nie kochasz? - Alfonso patrzył na niego wyczekująco, błagając wzrokiem, by jego odpowiedź była przecząca. Jednak Fernando ograniczył się tylko do kiwania głową i uśmiechania. Alfonso mówił dalej:

- Zawsze wiedziałem, że doña Klara należy do ciebie. Wiesz, że nigdy bym nie wchodził ci w drogę...

Don Fernando znowu się uśmiechnął i tym razem wszystko zrozumiał. Podszedł do przyjaciela i objął go ramieniem, głośno poklepał go po plecach.

- Kochany Alfonsie! Klara doskonale wie, że ja nigdy nie byłbym dobrym mężem, a poza tym nie mam zamiaru wchodzić w związek małżeński ani z nią, ani z nikim innym! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Gratuluję! Żeń się, żeń się z nią i bądźcie szczęśliwi! Mnie nie musisz prosić o jej rękę, nie jestem jej ojcem! Napijmy się! Ta wiadomość zasługuje na toast!

- Ale ona jeszcze... - chciał wyjaśnić don Alfonso, lecz Fernando już odszedł w poszukiwaniu lokaja, który ich obsłuży.

\* \* \*

Klara leżała w łóżu tego poranka, cierpiąc na wysoką gorączkę wywołaną wczesnowiosennym przeziębieniem. Poprzedniego wieczoru, wygrzewając się w lutowym słońcu, usiadła na kamiennym stopniu placyku Świętego Jakuba, aby powspominać coraz bardziej odległy obraz don Fernanda, aby przypomnieć go sobie i czcić, jak niewierni czczą pogańskiego boga. Z zamkniętymi oczyma i głową przechyloną w tył wystawiała się na delikatne ciepło słońca niczym miłosną pieszczotę i całe jej ciało przepełniały przyjemne uczucia, co sprawiło, że straciła poczucie czasu i zdrowy rozsądek. Bona Leonarda ostrzegła ją przed chłodem, lecz ona zapewniła, że kiedy znajdzie się w cieniu, zasłoni się peleryną i szalem, i że nic się jej nie stanie. Jednak w zamyśleniu zapomniała o środkach ostrożności i złapała przeziębienie. Tej nocy miała dreszcze i poty. O świcie woda nie potrafiła ugasić jej

pragnienia, a w południe miała dziwne sny i wymawiała słowa bez sensu, jakby straciła zmysły albo jakby komik naśladował jej głos, żeby wypowiadać jakieś bzdury. W pewnej chwili zaskoczyło ją, że wzywa don Fernanda; potem płakała w ciszy po wydaniu okrzyku przerażenia, jakby szczur gryzł ją w nogi. Widziała też węże, nagie kobiety, dworaków z jelenim głowami, gnomy, krasnale, błędne ognie, osły z ludzkimi ciałami, żmije, ropuchy, wiewiórki, widziadła, czarownice, gąsienice i ryby, a przez cały czas była dręczona różnymi przygnębiającymi wizjami, w których jej ciało było wleczone pod chmurami, skąd mogła spoglądać na obsiane pola, ośnieżone góry, zamki obwieszane flagami, wioski w szarych kolorach i wiele dzików, jeleni, zajęcy, owiec, psów, niedźwiedzi, kaczek, gazel, lisów, koni, osłów i różnych innych zwierząt, wszystkich brudnych, brzydkich i agresywnych, o barwach martwych i smutnych, mglistych i wyblakłych. Wiele kwiatów pleniło się na wszystkie strony, tak samo jak liście, kiście i baldachogrona traw, lili, akantów, żarnowców, narcyzów, kolokazji, fiołków, ligustrów i mirry, ale wszystkie wydawały się marnieć, były podeschnięte, niemal zwiędłe. Pośród nich i ponad nimi, w brudnym błocie bagiennej ziemi, walczyły smoki, syreny, gryfy, minotaury, stwory o psich głowach, wieloogoniaste, gorgony i inne fantastyczne zwierzęta, nie rozumiejąc, dlaczego dla niej tańczą, skoro jest to taniec żałobny. I jeszcze bardziej się przerażyła, kiedy poczuła, że zaczyna padać deszcz, ale to nie woda spadała z nieba, lecz diamenty, agaty, jaspisy, onyksy, szafiry, topazy, rubiny, szmaragdy, akwamaryny, perły, korale, ametysty, turkusy, karbunkuły, samorodki i inne szlachetne kamienie, które choć przez nią upragnione, nie padały dla niej. Don Fernando ze szczytu drzewa, na którym po raz pierwszy poczuła przyływ paniki, zrzucił je do jej rąk, śmiejąc się z wyższością, wyzywająco, szydząc z jej niezręczności, lecz bez względu na to, jak się wysilała, nie była w stanie pochwycić ani jednego. I wtedy zaczęła płakać.

Don Alfonso nie mógł zobaczyć się z nią tego popołudnia. Ani następnego. Dopiero kiedy gorączka ją ustępować, a ona dochodzić do siebie, pozwoliła mu na wizytę. Przez te trzy dni kosztem zimnych kompresów przykładanych na czoło, obfitości płynów podawanych w postaci lemoniad i mięsnych wywarów spływających jej do gardła Klara, moja matka, miała czas na zastanowienie. Zdecydowała, że nigdy więcej nie pokocha żadnego innego mężczyzny, jedynie don Fernanda, ale uznała też za niesprawiedliwość pozostawanie starą panną, jeśli on nie poprosi jej o rękę. Pisał do niej wprawdzie listy, ale mówił w nich wyłącznie o sobie, jeśli już raz na jakiś czas je przesyłał, nigdy nie napisał do niej żadnego miłego słowa, a z tego pisania nie sposób było wyczytać żadnych intencji co do sakramentu małżeństwa. Logiczne więc było przypuszczenie, że przez jego umysł na razie nie przebiegają żadne myśli dotyczące małżeństwa. Ona mogła czekać - była gotowa czekać tyle, ile było

trzeba (czekać na wyznanie miłości jest tak wspaniale, jak kochać, zwykło się mawiać), jednak jeśli po powrocie nie okaże żadnych zamiarów, dalej będzie go kochać i szanować jak nigdy nikogo, ale na odległość. Pomiędzy małżeństwem i klasztorem, jedynymi możliwościami, jakie przynależą dobrze urodzonej damie, powiedziała sama sobie, wołała wychowywanie dzieci niż składanie ślubów zakonnych. O tym wszystkim myślała, leżąc w łóżku i popijając lemoniadę, kiedy jednak trzeciego dnia wstała z łóżka, złożyła na karb gorączki lawinę głupich pomysłów, których nigdy by do siebie nie dopuściła, będąc zdrową, i więcej nie pozwoliła, by mieszały jej myśli.

W końcu przyjęła don Alfonsa zaraz po obiedzie na czwarty dzień. Kapitan przybył szarmancki i energiczny, pewny siebie, bo miał wolny dostęp do damy, pełen werwy i konceptów, bo wreszcie mógł rozpocząć zaloty do kobiety, którą kochał. Wszedł niczym ambasador na królewskie salony, czyniąc głęboki ukłon kapeluszem ozdobionym piórami, którym kręcił w rękach jak baletmistrz, i przyklęknął na jedno kolano przed Klarą, którą pocałował w rękę.

- Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek - powiedział przesadnie słodkim głosem.

- Przepraszam, że przez te dni nie mogłam cię przyjąć - usprawiedliwiła się. - Zła gorączka...

- Nie potrzebuję usprawiedliwień - przerwał jej Alfonso, zajmując miejsce obok niej na niskiej kanapie. - Muszę z tobą porozmawiać.

- To aż tak pilne?

- Cóż - pohamował się, tracąc nagle animusz. - Zawsze pragnę słyszeć twój głos...

Klara zaśmiała się lekceważąco, a jemu zaczerwieniły się uszy, bo nie był pewien, czy też powinien się zaśmiać, czy poczuć się urażony.

- Proszę, jakiej to galanterii uczysz się na ulicach - pokiwała głową, odzyskując powagę. - Wydaje mi się, że ćwiczysz galanterię, bo już znalazłeś sobie jakąś damę do ożenku...

- Co do tego trafiłaś - wyszeptał.

- Naprawdę? - Klara otworzyła szeroko oczy i poprawiła się na miejscu, podpierając się i okazując wielką radość. - O kogo chodzi? Znam ją?

Don Alfonso zmarszczył czoło, bardzo rozczarowany. Rzeczywiście nie robiło jej to żadnej różnicy. Może ceniła go jako przyjaciela, ale nie było w niej ani krztyny miłości. Złudzenie trwa w miłości tyle, ile trwa nadzieja. Oczy don Alfonsa, do tej chwili lśniące jak szkło w słońcu, nagle zostały przyćmione patyną smutku. Nie było w niej ani trochę zazdrości; żadnej oznaki miłości. A jednak zdołał zapanować nad głosem, aby kochana

kobieta nie odkryła dławiącej go słabości..

- Nie powiedziałem ci, że wykorzystałem niedogodność twojej choroby, aby odwiedzić psiarnie mojego wuja, don Diega, o którym ci mówiłem. Są wspaniałe, wierz mi: charty, wyżły, dogi, brytany... Wiesz, że don Diego to mistrz w polowaniu z psami i arkebuzem? Inni wolą sokolnictwo, jak wiesz...

- Alfonso... - przerwała mu, bo aż za dobrze potrafiła odczytać szczerłość w tonie głosu.

- Tak?

- Mów.

- Pozwól, że ci opowiem... - Alfonso poczuł się niezręcznie i postanowił ugryźć się w język. - Dla odmiany nasz pan don Filip II, oby Bóg miał go w swojej opiece, woli sokolnictwo: jastrzębie, sokoły... Najbardziej lubi białozory, oczywiście, bo są najodważniejsze, są bystrymi norweskimi burzami, jak je znakomicie określa don Luis de Góngora; choć nie odrzuca też kobuzów ani rarogów, równie cenionych we Flandrii, co w Madrycie, a nawet sokołów afrykańskich przybyłych z Oranu i hodowanych w Berberii, trochę mniejszych, to prawda, ale tak niezastąpionych w polowaniu na kuropatwy i zające, że...

- Mów - ponownie mu przerwała. - Co cię trapi?

- Nie wiem, o co ci chodzi...

- O to ściśnięte gardło, które prawie nie pozwala ci mówić. A może sądzisz, że tego nie widzę? Sama tak cierpiałam przez zbyt wiele nocy...

- Musisz mi wybaczyć... - Alfonso zawahał się przez chwilę, zanim wstał i ucałował dłoń mojej matki. - Teraz muszę już iść. Czy będę mógł przyjść jutro?

- Mam taką nadzieję.

I wyszedł z salonu, nie oglądając się za siebie, z twarzą purpurową jak u tolekańskiego pasterza i zdecydowanym krokiem żołnierza, pilnie spełniającego królewską misję.

\* \* \*

- Myślę, że jest we mnie zakochany.

- A ty w nim?

- Nie.

- Pokochasz go...

- To niemożliwe.

- Mimo to wyjdź za niego.

- Żadne z nas nie mogłoby zdradzić Fernanda.

- Fernando, Fernando... Ciągłe ten Fernando! To wariat. A wariatów się nie zdradza: zamyka się ich i modli za nich...

- Nie mów tak matko, proszę cię.

- Twój ojciec chce z tobą porozmawiać tego wieczoru, po kolacji. Wysłuchaj go.

Słowa wypowiedziane przez Klarę i jej matkę tego samego popołudnia były wstępem do rozmowy, którą mój dziadek zamierzał przeprowadzić z córką po kolacji. Klara wiedziała, że żaden członek rodziny nie wierzy w powrót don Fernanda i że nikt z nich nie chciał też widzieć, jak cierpiała w bezsensownym oczekiwaniu. Niedawna gorączka córki, w której wypowiedziała imię don Fernanda, zanim zaczęła się rzucać w łóżku i łkać, a do tego jeszcze fakt, że właśnie ukończyła dwadzieścia lat i żaden inny młodzieniec nie przychodził do niej ani się do niej nie zalecał, poza kapitanem Alfonsem de Guzmánem, który zawsze jasno przedstawiał swe czyste intencje przyjaźni i lojalności wobec don Fernanda, zmusiły ojca do przejęcia inicjatywy i bezpośredniego wyłożenia córce swych pragnień.

- Uważam, że nadeszła chwila wydania cię za mąż, moja córko - rozpoczął. - Jako ojciec chcę dla ciebie jak najlepiej i nie znajduję lepszego sposobu na zapewnienie ci dobrobytu na resztę życia. Nie jestem tego pewien, choć twoja matka często to powtarza, podobno masz nadzieję wyjść za mąż za don Fernanda Ruiza de Alcalá, kiedy tylko skończy studia, lecz bladość twego oblicza, skąpość pożywienia, bredzenie w gorączce i smutek, który zbyt często dostrzegam w twoich oczach, każą mi sądzić, że ani on nie jest gotowy poprosić cię o rękę, ani ty nie jesteś pewna, że kiedyś to zrobi. Dla odmiany z tego, co mówi twoja matka, jak również sądząc ze spokoju, z jakim odnosisz się do don Alfonsa de Guzmána, skłaniam się do przypuszczenia, że miałabyś w nim godnego i wiernego męża, opiekuńczego i rozsądnego, bliskiego królowi, którego niech Bóg chroni, i na poziomie naszej rodziny. Nie chcę niczego ci narzucać, moja córko, ale nie dopuszczę też do odkładania decyzji w nieskończoność. Tak więc za tydzień dokonam odpowiedniego wyboru, jeśli ty wcześniej nie uczynisz tego sama. Jeżeli wybierzesz don Fernanda, niech tak będzie, a jeśli don Alfonsa, też bardzo dobrze. Jeśli zaś wybierzesz drogę powołania, możesz liczyć na moje błogosławieństwo i konieczny posag. Dobrej nocy.

- Dobranoc, ojczu.

Klary nie zaskoczyły te słowa. Czekwała na nie od dawna. Nie spodziewała się jednak, że będzie miała tak mało czasu, tylko tydzień. Tej nocy nie spała, a następnego ranka wstała z łóżka z mocnym postanowieniem - napisze do don Fernanda, wyjaśniając mu sytuację, i jeśli wystarczająco szybko nie otrzyma odpowiedzi albo don Fernando się jednoznacznie nie zdeklaruje, włoży habit zakonu, który wyda się opatowi don Gregoriowi, jej dobremu



spowiednikowi, najbardziej właściwy.

Jeszcze przed południem siedziała przy stole i pisała list, który pilną pocztą miał zostać dostarczony do miasta Alcalá, kiedy bona Leonarda wbiegła do salonu.

- List! Właśnie przyszedł do was list, panno Klaro!

- Daj mi go, szybko!

Klarze zapłonęły oczy i pierś. Z daleka rozpoznała niedbałe i niekształtne pismo don Fernanda, krople laku i smugi brudu na kopercie. Kazała Leonardzie odejść, prosząc, by jej nie przeszkadzano, i niecierpliwie rozcięła pismo, krusząc lak i drąc część papieru. Usiadła przed oknem z rozwiniętym listem, na chwilę przymknęła oczy, aby wycisnąć z nich łyzy emocji, i przeczytała z taką chciwością, z jaką wygłodzony łązik łyka kawałki chleba moczonego w mleku.

*Moja Kochana Klaro!*

*Czytam Twe słuszne skargi, gdyż niewiele piszę, a kiedy to robię, sporządzam zapiski w moim zeszycie, zamiast pisać do Ciebie, bo bardziej na to zasługujesz. Wiem jednakże, że mi wybaczysz, bo czas szybko upływa w tym przybytku: jest tyle do nauczenia się, że nawet w tysiąc lat nie zdołam nauczyć się wszystkiego i doskonale o tym wiesz, bo piszę Ci w swych listach o rozlicznych zajęciach, którym się oddaję. Wiesz, że zacząłem rozważać nową teorię o kolistym czasie? To odkrycie, które choć nie podobałoby się świętemu Augustynowi, bo jest mu przeciwne, może okazać się niezwykle użyteczne do wyleczenia niektórych dusz chorych na strach. Muszę ci to wyjaśnić powoli, co obiecuję zrobić następnego lata, kiedy w końcu powrócę do Madrytu. W zamian nie mogę się oprzeć pokusie opowiedzenia Ci o pewnym eksperymencie, który zrealizowałem w ostatnich dniach, a który pozwolił mi dowieść, jak bardzo różni się my, ludzie, w zależności od otaczających nas okoliczności. Wykonałem dwa rodzaje soczewek, jedne, które pozwalały widzieć rzeczy znacznie większe, niż są w rzeczywistości (osoby, meble, korytarze, kolumny, drzwi, wszystko...), i drugie, które pokazywały je znacznie mniejsze. Przekonałem młodych studentów, żeby je założyli, i po kilku godzinach nastąpiła u nich nieprawdopodobna reakcja. Student, który czuł się gigantem, bo był otoczony przez osoby i sprzęty znacznie mniejsze niż on je znał, zaczął się garbić, mówić ciszej, chodzić drobnymi kroczkami i bać się, że zniszczy to, czego dotykał, zachowując się jak tchórzliwy szaleniec, niepewny siebie i nieśmiały. Dla odmiany ten drugi, przytłoczony ogromnymi kształtami, które go otaczały, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się wyciągał, aby być wyższym, jak przesadnie wielkie susy stawiał i jak tubalnym głosem przemawiał! Co dowodzi, że przestrzeń jest spostrzeżeniem osobistym, że czujemy się dobrze w naszym otoczeniu, kiedy wszystko ma rozmiary, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni, i że oczy są drogą*

*uczenia się dla naszego umysłu. I jeszcze jedna nauka: to my, ludzie, zawsze staramy się dostosować do naszego otoczenia, a nie ono do nas.*

*Jednak nie piszę tego listu, by mówić o sobie, ale aby życzyć Ci całego szczęścia, jakie zdołasz pochwycić. Był tu z wizytą w zeszły piątek nasz wielki przyjaciel Alfonso i wszystko mi opowiedział. Jakże się cieszę, że w końcu zdecydowaliście się pobrać! To dobry człowiek, prawy, uczciwy i honorowy, nie mogłaś lepiej wybrać. Niemal mógłbym powiedzieć, że jestem o niego zazdrosny i czuję zawiść. Okazał się tak pełen szacunku i skromności, oświadczając, że jeśli mam w planach małżeństwo, nie odważy się stawać mi na drodze, że ta niewinność wzbudziła we mnie czułość. Kocha Cię, tak mi powiedział, a ja w to wierzę. Cieszę się, że Ty także się w nim zakochałaś. Musisz jednak mi przyrzec, że zawsze zachowasz w sercu jeden zakątek dla mnie. Ty na zawsze pozostaniesz w moim.*

*Chciałbym się dowiedzieć, na kiedy zaplanowaliście zaręczyny. I proszę Cię, byś nigdy nie przestała mnie kochać z takim oddaniem, z jakim ja kocham Ciebie.*

Fernando Ruiz de Alcalá

Klara uroniła na papier kilka łez, które kleksami zaplamiły podpis. Następnie spojrzała przez okno i westchnęła najgłębiej, jak mogła, czując, że zemdleje. Te słowa przeszyły ją na wskroś niczym klinga sztyletu i dotarły do miejsca, którego don Fernando bezskutecznie poszukiwał, do serca jej duszy.

I tego samego dnia w marcu 1585 roku zmarł w Rzymie jego świątobliwość papież Grzegorz XIII, napelniając żałobą cały chrześcijański świat. Jednak żadna łza, którą wylano za niego, nie była tak bolesna jak ta, którą Klara zachowała lśniąca w kąciku swego oka, zmienioną w szmaragd, aby nikt się nie dowiedział, że już umarła z miłości, śmiercią najokrutniejszą, bo pozwalającą na dalsze życie.

Bez sił, aby przeciwstawić się przeznaczeniu, Klara oświadczyła ojcu, że dogłębnie się zastanowiła i zdecydowała się wyjść za don Alfonsa, choć zwróciła uwagę na to, że kapitan jeszcze nie okazał w tej kwestii żadnych zamiarów, a ona nie ma ochoty prowokować oświadczyn. Ojciec znalazł słowa córki rozsądnymi i zgodził się, że wszyscy cierpliwie poczekają na ośmielenie się don Alfonsa, a matka uśmiechnęła się do siebie, dając do zrozumienia, że potrafi sprawić, by spadł śnieg w środku lata, jeśli wpłynie to na wcześniejsze zbiory.

- Bardzo was proszę, żebyście mocno się zastanowili nad tym, co będziecie robić - ostrzegła Klara matkę, rozpoznając jej uśmiech.

- Nie zrobimy nic, czego byś musiała się wstydzić, córko - tym razem matka

uśmiechnęła się otwarcie. - Jak słusznie mówi twój ojciec, cierpliwie poczekamy, aż don Alfonso się ośmieli.

- Nie wierzę wam.

I Klara miała rację. Bo od tamtej chwili nie było dnia, żeby don Alfonso nie został zaproszony na obiad albo na kolację; ani nie było tygodnia, w którym nie pojechałby z ojcem Klary odwiedzić ziem ornych w Chinchón albo Pinto, które posiadała rodzina, aby mógł zdobyć wiadomości na temat jej wiana. Kiedy indziej zapraszano go na przyjęcia w domu, na których bywali jedynie najbardziej wpływowi przyjaciele rodziny.

- Czujcie się jak u siebie, don Alfonso - powtarzała matka przy stole, zwracając się do gościa.

- To dla mnie zaszczyt, pani.

- A jutro na kolację będziemy mieli pieczone gołąbki z cytrynami, migdałami, cynamonem i cukrem. Przyjdziecie, panie?

- Skoro tak pięknie prosicie...

Don Alfonso wobec takiej krzątaniny ledwie miał czas, aby zostać z Klarą sam na sam i pomówić z nią o swoich zamiarach. Nie rozumiał zbyt dobrze intencji rodziców dziewczyny, bo wydawało mu się, że bardziej chcą go zaadoptować, niż przyjąć do rodziny jako zięcia, i za każdym razem, kiedy już miał nadzieję, że zostanie z Klarą sam na sam przez kilka minut, pojawiał się ojciec albo przychodziła matka i zapraszali go do tego czy owego z taką swobodą, że młodzieńcowi skręcały się wnętrzności, przez co dość często nie tryskał najlepszym humorem. A ponieważ w żaden sposób nie chcieli, aby czuł się źle, postanawiali mu towarzyszyć, co jeszcze bardziej wzmagало jego irytację. Moja matka, która zdawała sobie sprawę z niezręcznych sytuacji, w których był stawiany potencjalny pretendent, bawiła się jego zmieszaniem, lecz przyjemność nigdy nie trwała długo, bo w zakamarkach pamięci doñi Klary raz za razem pojawiała się postać don Fernanda, kiedy mówił o szklanych ptakach, kiedy mamił ją szklanymi szkatułkami albo kiedy dawał jej pozwolenie, aby zadecydowała za nich oboje, i wtedy odwracała głowę i patrzyła w dal, aby jej łzy skamieniały, zanim ktoś je zobaczy; odczuwała potrzebę płaczu, tak jak się odczuwa potrzebę oddychania.

Zawsze, zawsze będę go kochać, powtarzała sobie. Nigdy nie będę kochać nikogo innego...

W końcu, pewnego dnia o zmierzchu, młodzi otrzymali pozwolenie przespacerowania się razem od murów, które rozkazał pobudować don Filip II, nasz pan, w 1566 roku, trzecich w historii Madrytu, aż do wieży Lujanes, a wraz z nimi miała pójść bona Leonarda; i chociaż spacer nie był krótki, dla odmiany był powolny, przez co tym razem nie wystawił na

niepotrzebne cierpienie kości jej nóg. Don Alfonso zachowywał ciszę przez długi czas i zdawał się tak nieobecny, że Klara to uszanowała, bo była pewna, iż stara się ułożyć długą przemowę, i pragnęła dowiedzieć się, jak w końcu wybrnie z tej kabały. Poza tym przy okazji mogła poświęcić się myślom o tym, kogo naprawdę kochała, przez co spacer nie był nudny dla żadnego z nich.

Nagle coś rozjaśniło twarz don Alfonsa, jakby doznał olśnienia, spadając z konia, jak to zdarzyło się Saulowi. Klarze gwałtowniej zabiło serce.

- Może powinienem był kiedyś zbliżyć się do słońca, żeby zmierzyć jego temperaturę - powiedział.

- Włóż rękę do ogniska, a mniej więcej się dowiesz, jak to jest - odparła, nie rozumiejąc jego słów, lecz ciesząc się ich skromnym tonem.

- I być może powinienem też był zanurzyć się w najgłębsze wody rzeki, aby poznać spazmy duszenia się - ciągnął, jeszcze bardziej zmieszany.

- W dużej miednicy możesz dowiedzieć się tego samego - uśmiechnęła się, aby nie myśleć, że całkowicie zwariował. - Ale, Alfonso... Czy ty chcesz mi coś powiedzieć?

- Poczekaj. Być może potrafiłbym opisać samotność, gdyby najokrutniejsza z bitew pozostawiła mnie jako jedyne żywego, otoczonego poległymi i spowitego smrodem krwi.

- Nie domyślam się, o co ci chodzi - westchnęła Klara, zmęczona już tyloma tajemnicami. - Nie wiem, czy to przedstawienie teatralne, czy piosenka.

- Czy nie rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

- Właśnie, że nie - zaprzeczyła, kołysząc głową i zaciskając usta, jakby rzeczywiście było jej żal.

- Chodźmy na placyk Świętego Jakuba, to ci wszystko wyjaśnię.

- Nie! - wzdrygnęła się Klara. - Tamto miejsce już ma swojego właściciela. Usiądźmy tutaj.

- Jak chcesz.

Na kamiennym murku, naprzeciw królewskiego alkazaru, don Alfonso wyznał jej swą miłość.

- Pali mnie twoja nieobecność, z okrucieństwem płomieni słońca; dusi mnie twoje oddalenie, jak powietrze dusi rybę wydobytą z rzeki; bez ciebie czuję tylko samotność, jak człowiek, który przeżył bitwę. Klaro, nie mogę dłużej czekać, pragnę pojąć cię za żonę.

- O to chodziło? A co powiesz Fernandowi? - postanowiła zbić go z tropu w chwili tak nieodpowiedniej.

- Poprosiłem go już o pozwolenie.

- Widziałeś się z nim?

- Tak.

- Czy jesteś mu coś winien?

- Nic ponad przyjaźń. - Alfonso zdawał się mocny niczym wojownik walczący o słuszną sprawę. - Czy wybaczysz mi lojalność, tylko w tym przypadku, postawioną ponad miłością?

- Wybaczam - odpowiedziała Klara, po raz pierwszy postrzegając go jako mężczyznę, którego mogła zacząć szanować. - Tak, wyjdę za ciebie. Możesz poinformować swych rodziców, że nadeszła pora, by spotkali się z moimi.

\* \* \*

Klara wysłała krótki list do don Fernanda, w którym napisała:

*Mój drogi Fernando: ustaliliśmy datę naszego ślubu na dwudziestego dziewiątego czerwca, w południe. Ceremonia odbędzie się przy głównym ołtarzu kościoła Klasztoru Bosej Trójcy. Klara.*

Odpowiedź przyszła niemal po miesiącu i była jeszcze bardziej lakoniczna: *Nie zapomnę. Fernando.*

O wyznaczonej godzinie wszystkie lampy w kościele zostały zwieszane w głównej nawie i przy głównym ołtarzu, który ozdobiono różami i kwiatami pomarańczy. Ojciec Gregorio w towarzystwie dwunastu księży i sześciu ministrantów czekał przed ołtarzem na zakończenie ceremonii okadzania, aby rozpocząć rytuał zaślubin. Dzwony wzywały wiernych, a goście stali w ławkach, przyglądając się sobie w uroczystej ciszy, podczas gdy doña Klara i don Alfonso modlili się po łacinie lub udawali, że to robią. Świadkowie byli przybrani złotem i srebrem, uzbrojeni w szpady włożone do pochew z lśniącej skóry; świadkowie byli poważni, jakby uczestniczyli w transakcji kupna-sprzedaży, podnieceni i dyskretni, a dzieci śpiewające w klasztorze, ubrane w czerwone ornaty i białe koszule, przepłatały ewangeliczne psalmy śpiewami gregoriańskimi, intonowanymi z prostotą i harmonią. Przez witraże spływały promienie słońca zabarwione wszystkimi kolorami tęczy. Kiedy Bóg obiecał Noemu, że nigdy nie ześle następnego potopu, jako potwierdzenie obietnicy zesłał mu tęczę, przypomniała sobie Klara historię don Fernanda, opowiedzianą pewnego wieczoru na stopniach ich placyku. Don Fernando. Jednak gdzie jest don Fernando? - zadała sobie pytanie. Ceremonia miała się rozpocząć, a jego jeszcze nie było. Czyżby zapomniał o uroczystości? A może zdecydował się nie przyjść?

- Myślę, że Fernando jeszcze nie przyszedł - wyszeptała Klara.

Don Alfonso odwrócił głowę i próbował go odszukać pośród obecnych.

- Może jest w jakimś zakamarku kościoła - odpowiedział tym samym tonem. - W takim tłumie nie sposób go dostrzec.

- Już powinien tu być...

Smutne były jej oczy ukryte pod ślubnym welonem. Miała ochotę stamtąd uciec, lecz nie mogła tego zrobić. Nie ośmieliła się też odwrócić, aby odszukać go pośród gości. Została jej tylko myśl, że w chwili potwierdzenia zamiarów odpowie don Alfonsowi, jakby odpowiadała don Fernandowi.

Coraz bardziej bolał ją ten szmaragd.

Zapytano ich o intencje i oboje odpowiedzieli twierdząco. Potem nastąpiła radość i błogosławieństwa, pośród życzeń i zaleceń, i małżonkowie udali się w towarzystwie ślubnego orszaku do rodzinnego domu, gdzie miało się odbyć weselne przyjęcie.

Don Fernando nie wziął w nim udziału. Nie było go w kościele i nie przyszedł też na ucztę. Nie zapomnę, napisał. Ale zapomniał. I w jakimś zakątku swego domu, przez chwilę, kiedy została sama, Klara złamała swe postanowienie i zapłakała.

Były to krwawe łzy niczym przepowiednia tego, co później miało się stać, kiedy ponownie się z nim spotka.

**Część druga**

**POMIĘDZY 1585 A 1597**

## JEDEN

Don Fernando wjechał do Madrytu konno w ostatnich chwilach popołudnia dnia szesnastego lipca 1585 roku. Torował drogę wozowi, ciągnionemu przez muły złane potem, które ledwie radziły sobie z ładunkiem i zmuszały go do pokrzykiwania raz za razem na mulnika, aby nie przyspieszał kroku, aby zwracał uwagę na wypadki po drodze, aby przytrzymał ładunek i powoził z wielką uwagą. Upał był przytłaczający mimo późnej pory. Słońce jeszcze nie zaszło i niebo na zachodzie miało wszystkie odcienie czerwieni, od lekko pomarańczowego do złotego, od różowego do cynamonowego, od fiołkowego do koloru malwy, lawendowego i śliwkowego, a wszystkie one ułożone warstwami, niczym namalowane pociągnięciami pędzla, poszarpane i rozmyte, jakby zostały nałożone przez najdelikatniejszego malarza dworskiego lub stworzone przez wściekłe drapanie pazurami.

Szybko zapadał zmrok, lecz panował nadmierny upał. Na ulicach centrum mieszkańcy miasta zaczęli gromadzić się w zwartych grupach, w których przekazywano sobie plotki i wznoszono radosne okrzyki, a niektórzy bogato ubrani kawalerowie, ze służącymi idącymi w pobliżu, maszerowali pośpiesznie, okazując niepokój nie pozbawiony pyszałkowatości, jakby nieśli wiadomość, którą tylko oni byli godni poznać. W jednej z grupek stojących u zbiegu placu Puerta del Sol i ulicy Arenal przekrzykiwano się, a robili to wszyscy zebrani jednocześnie, nie słuchając siebie wzajemnie, jak to było w zwyczaju pośród sąsiadów. W oknach siedziały właścicielki domów, służące, bony i majordomowie, wsłuchując się w komentarze z żywym zainteresowaniem, starając się nie stracić wątku. Koń w galopie przebiegł przez ulicę, jakby ponosił, o mało nie wpadł na muły, które się przestraszyły i uniosły pyski i przednie kopyta, parskając z ostrością leońskiego karczmarza.

Oburzył się don Fernando na nierozważność jeźdźca i wyrzucił z siebie potok złorzeczeń niemożliwych do powtórzenia przez dobrego chrześcijanina, lecz nie zauważył zdumienia, w jakie wprawił zebranych ludzi, a ograniczył się do powstrzymania konia w dworski sposób. Trzy lata w mieście Alcalá, z daleka od zgiełku Madrytu, i intensywność studiów sprawiły, że zapomniał o impulsywnej i krzykliwej naturze swych ziomeków, a przypomniawszy sobie o niej, stwierdził, że życie jest wygodniejsze z dala od nerwowości i kłótni sąsiadujących z władzą, które pewnie powodowały ból języka. Jedynym powołaniem świeżo upieczonego bakałarza było jak najszybsze przybycie do domu, przespanie nocy i



przygotowanie wszystkiego, aby rozpocząć, zaraz następnego poranka, nowe życie.

Przywitali go u drzwi, pośród ukłonów i przemów, zarządca don Tirso i cała domowa służba. Dom zastał takim, jakim go pamiętał, oświetlony i czysty, z przymkniętymi oknami i bramą otwartą na oścież, w oczekiwaniu, aż właściciel przekroczy próg. Odnosił dziwne wrażenie, że w każdej chwili pojawią się jego rodzice, aby go powitać, lecz natychmiast powrócił do rzeczywistości i, nie zsiadając z konia, rzucił okiem za siebie na wóz, jakby chciał się upewnić, że dotarł w nienaruszonym stanie.

Pierwszą rzeczą, którą nakazał po wylewnym przywitaniu z don Tirsem, było zaprowadzenie wozu do stajni z wielką pieczołowitością. Rozkazał też oporządzić muły, nakarmić je i napoić i przygotować miejsce odpoczynku dla mulnika, któremu musiał zapłacić za transport dwa eskudy w złocie. Zawartości wozu, powiedział na głos z wielką stanowczością, nie mógł dotykać nikt; on sam i tylko on miał się zająć następnego dnia jego rozładowaniem i wskazać odpowiednie miejsce dla każdej rzeczy.

Poza tym nie chciał nic wiedzieć o rachunkach domowych. Don Tirso z wielką starannością przygotował spis rachunków, ale podczas kolacji don Fernando ograniczył się do zapytania go o to, czy uważa się za dobrze opłaconego i czy rodzinny majątek wymaga jakiejś szczególnej uwagi.

- Nie - wybełkotał don Tirso.

- Nie uważacie się za dobrze opłaconego czy mój majątek nie wymaga szczególnej uwagi?

- Och, nie, nie... Chodzi mi o wasz majątek, oczywiście. - Don Tirso zaczerwienił się i pogrzebał w papierach. - Żadnych kłopotów, panie.

- Cieszę się. A wasze wynagrodzenie?

- Sprawiedliwe, panie. - Don Tirso ponownie się zaczerwienił i dodał szeptem: - W każdym razie zbyt sprawiedliwe, może...

- Dobrze. - Fernando popił łyk wina i umieścił w ustach kolejną porcję gotowanych krowich nówek z ciecierzycą, cebulką i słoniną, które bardzo mu smakowały. Po przeżuciu i połknięciu ponownie popił. - Dobrze. Skoro wydaje się wam nazbyt sprawiedliwe, możecie podwoić sobie pensję już od dzisiaj. W zamian jednak narzucam wam jeden warunek: nigdy mnie nie niepokójcie swoimi rachunkami. Informujcie mnie tylko, jeśli zyskacie przekonanie, że przed upływem roku popadnę w ruinę. Tymczasem daję wam pozwolenie na powtarzanie mi wyłącznie pałacowych plotek i tych, które usłyszycie na co bardziej znanych placach, o ile coś tam się będzie mówiło. Oraz oczywiście o zdrowiu waszym i całej waszej rodziny. Rzecz jasna...

- Jak rozkażecie, wasza miłość. I bardzo dziękuję. - Don Tirso zebrał papiery, złożył je i schował w okładki z byczej skóry, z których uprzednio je wyciągnął. Następnie pośpieszył z udzielaniem informacji na bieżące tematy. - Zgodnie z waszym życzeniem poinformuję was, panie, że właśnie dziś dowiedzieliśmy się, kto został wyznaczony przez synod na stanowisko papieża całego chrześcijańskiego świata. Ma na imię Sykstus i będzie rządził jako Sykstus V. Może zwróciliście uwagę na wrzawę, jaką w całym Madrycie spowodowała ta nowina...

- Ach...! - wykrzyknął don Fernando. - O to chodziło? Myślałem, że chodzi o nerwowość wywołaną upałem...

- Jego wysokość król, nasz pan, nakazał miesięczne festyny jako dowód wierności wobec Rzymu i jako oznakę radości. Proszę jutro z rana nie dziwić się, jeśli obudzi was bicie wszystkich dzwonów. Bo będą dzwonić w całym mieście. A przewiduje się wiele innych uroczystości, o których lud jeszcze nie słyszał...

- To zrozumiałe. Niecodziennie wybiera się papieża... - westchnął don Fernando.

- Oby Bóg dał mu długie życie - dodał w skupieniu don Tirso.

- Amen.

Don Fernando dalej spożywał kolację, podczas gdy don Tirso towarzyszył mu, nie jedząc, bo już zjadł w swoim gabinecie. Don Tirso był mężczyzną postawnym, o wielkiej głowie, orlim nosie i bardzo żywych oczach, skrywanych za okrągłymi okularami bez oprawek, takimi, jakich używał ceniony poeta don Francisco de Quevedo. Miał wielkie usta, mięsiste wargi i krzywe zęby, z których jednego brakowało w dolnej szczęce, nosił starannie przystrzyżone wąsy i skąpą bródkę, zbyt długą, o kolorze dębowej kory. Ogólnie rzecz biorąc, jego głos był przygaszony i służalczy, lecz do podwładnych zwracał się tonem oficera gwardii, którego zirytował zwierzchnik. Don Fernandowi nie podobał się ten człowiek, bo poza tym, że miał zbyt przezroczystą skórę, co w męskiej twarzy powodowało chłód i skręcanie się duszy, nie budził zaufania, zmieniając charakter w zależności od rozmówcy; jednak don Fernando potrzebował go do zarządzania majątkiem i do pilnowania rachunków, a w obu tych sprawach zdawał się wybornym znawcą.

- Coś jeszcze. - Fernando spojrzał mu w oczy bez ogródek. - Co wiecie o pani Klarze? Czy cieszy się dobrym zdrowiem?

- Z tego, co wiem, w tych dniach podróżuje do Logroño, panie. Jej mąż, kapitan Alfonso de Guzmán, pokazuje jej swoje włości. Wyjechała w podróż przed miesiącem i nie znam daty jej powrotu. Jeśli takie jest wasze życzenie, mogę spróbować się dowiedzieć...

- Jeśli nie będzie to dla was problemem... - powiedział Fernando opryskliwie, jakby nie przywiązywał do tego znaczenia.

- Oczywiście, panie.

I don Fernando dalej jadł i pił, myśląc o swoich sprawach, aż syty, otarł usta i wrócił do pokoju, gdzie spał ciągiem do rana.

\* \* \*

Otworzył oczy, zanim zapały koguty. Panowała jeszcze ciemna noc o głębokiej i chłodnej barwie granatu. Gwiazdy zmniejszyły się daleko na północy, a przez wschód otwierały sobie przejście chmury światła rozjaśniające horyzonty. Jeszcze nie świtało, a upał już nie pozwalał spać. W domu jedynie dwa kandelabry były zapalone gdzieś w sieni. Wszystko zapowiadało kolejny dzień dusznego upału.

Człapanie don Fernanda chodzącego po pokojach, korytarzach i salonie obudziło cały dom. Kuchnia została uruchomiona, a reszta służby ruszyła do swych obowiązków. Jasność nowego dnia, przebijająca mrok, sprawiła, że nie trzeba było zapalać lamp oliwnych, świec, kinkietów, kaganków, kandelabrow, lichtarzy i menor. Kogut wahał się, lecz po chwili zapał, podczas gdy don Fernando bez apetytu popijał filiżankę gorącej czekolady, a mulnik w kuchni zanurzał w swojej kawałki chleba, bardziej skupiony na tym, co kryło się pod pasiastą spódnicą kucharki, niż na maśle, którym obficie posmarował chleb.

- Nie gap się tyle, drągalu, bo materiał mi się zużywa...

Ignacia pokiwała głową, parszając śmiechem.

- Od samego patrzenia się nie zużyje - odpowiedział furman chrapliwym głosem. Nie miał jednego górnego zęba i był nieogolony od kilku dni.

- Od samego patrzenia nie, ale od tego, co mam na myśli, na pewno.

- No, to nie gap się tyle i nie strzép jęzora. - Ignacia z przesadną groźbą uniosła garnek. - Czekaj na dyspozycje w sprawie przeprowadzki.

Mulnik otarł usta rękawem bluzy i wstał, trzymając między zębami pół kromki chleba.

- A myślisz, że po przeprowadzce będę mógł cię znowu zobaczyć? Że tak powiem, żeby dalej zużywać materiał. - Drągal próbował uszczypnąć Ignację w obfite pośladki, ale mu się wywinęła.

- Lepiej uważaj i wyjdź z kuchni, zanim utnę ci te łapy, żeby wrzucić je do gara! - złorzeczyła kucharka, wywijając chochlą z taką samą zręcznością, z jaką kat operuje toporem.

A mulnik pobiegł w stronę drzwi ścigany niezgrabnymi krokami grubej kucharki pośród śmiechów dwóch podlotków, które były świadkami ostatniej sceny, i szczerego śmiechu Ignacji, rozbawionej ucieczką potykającego się drągala.

Kiedy mulnik wszedł do domu, don Fernando już zastanawiał się, gdzie urządzić laboratorium i pokój przeznaczony do badań i studiów. Usytuowany w północnym skrzydle

domu, przy stajniach, z wielkimi drzwiami na ulicę, stary spichlerz był pomieszczeniem, jakiego potrzebował. Przestronnym, dobrze umeblowanym i nie wymagającym wielkich prac adaptacyjnych. Przyglądał mu się raz za razem, wychodził na ulicę i wracał, zanim się zdecydował. Nauczył się już, że dla prowadzenia swych działań potrzebuje pomieszczenia czystego i dobrze usytuowanego, aby ściągać do siebie życiodajne fluidy natury; czytał w jakiejś starej księdze, że dobre laboratorium musi być położone w taki sposób, aby mogło absorbować emanacje duchowe ziemi i ciał niebieskich, przede wszystkim działanie sił kosmosu. I to miejsce wydawało mu się doskonałe. Kiedy poganiacz podszedł do niego, wydał mu odpowiednie polecenia; miał on też pokierować pracą służących i pomóc im wysprzątać spichlerz.

- Chcę mieć to pomieszczenie wyczyszczone, jakby to był królewski salon. Jeśli będzie trzeba, wywiórkujcie podłogi, pokryjcie je bejcą i wymieńcie spróchniałe deski. Ale przede wszystkim, śpieszcie się. Kiedy skończycie, przyjdźcie po mnie.

Don Fernando poszedł do jadalni i rozłożył na stole ogromną płachtę pergaminu. Węgłem wyrysował plan tego, co chciał zbudować, nie zapominając o najdrobniejszych szczegółach: sala przy wejściu, gdzie będzie przyjmować pacjentów, gdyby takowych miał; z tyłu gabinet z biblioteką, gdzie znajdą swoje miejsce jego liczne książki, oraz ze stołem, na którym ustawił dwa wielkie kandelabry o grubych świecach, by móc czytać przy ich świetle; a w jeszcze dalszym pomieszczeniu, z tylko jednym oknem wychodzącym na wewnętrzne patio, trudno dostępnym i chronionym przed wścibskimi sąsiadami, ze studnią z cegły i ceramiki, zrobi laboratorium, w którym będzie prowadził swe badania i eksperymenty. Nikt nie powinien wiedzieć, ani w domu, ani poza nim, czym zajmuje się w wolnym czasie. Mieszkańców miasta miano jedynie powiadomić, że don Fernando Ruiz de Alcalá jest lekarzem od głowy, medykiem od chorób mózgu, uzdrowicielem dusz i że leczy strachy.

O zmierzchu następnego dnia spichlerz został przemieniony w nieskazitelne pomieszczenie, nie do poznania. Podłogi uzupełnione deskami zostały wyheblowane, wygładzone i wypolerowane, żeby nie wychodziła żadna drzazga. Ściany świeżo pobielono, a w okna wprawiono szyby bez skaz w ramach z polerowanego drewna. Trzeba jeszcze było tylko postawić kilka ścianek, aby oddzielić od siebie poszczególne pomieszczenia, i wstawić drzwi wejściowe, jednakowoż ekipa budowlana doskonale się spisała.

- Jutro będziemy działać dalej - powiedział Fernando, dokładnie się przyjrawszy wykonanym pracom. - Potem, kiedy skończymy, rozładujemy wóz.

- Robota się przedłuży, panie - zauważył mulnik.

- Nie rozpaczaj. Jestem pewien, że jeszcze dwa eskudy w złocie ci to wynagrodzą.

- I dobra kolacja - uśmiechnął się poganiacz. - Przy tej kobiecie trudno się skarżyć.

- Ignacii? - Fernando dostrzegł odbicie księżycy w delikatnych oczach tego nieokrzesanego mężczyzny. - Chodzi ci o kucharkę?

- Jeśli na imię jej Ignacia, no to chodzi mi o Ignację, panie.

Don Fernando roześmiał się szczerze i poklepał go po plecach.

- Chodźmy, zakochany chłopcze, chodź ze mną - powiedział, nie przestając się śmiać.

- Patrzcie no tę Ignację, taka wiecznie wydaje się zrzędliva, a taka jest pociągająca...

- Podoba mi się, panie. Jest bojowa jak locha.

- A ty chcesz się żenić, łotrze?

- Jestem kawalerem i mam cztery muły. Dwa już znacie. Do tego mam własny dom, odziedziczony po rodzicach, oraz bat, żeby zmuszać wszystkich do zachowania ciszy w czasie sjesty.

- No, to wobec bata nie ma ludzi odważnych. Porozmawiam z nią.

- Proszę jej powiedzieć, że ja ożeniłbym się choćby jutro.

- No, to zróbmy inaczej: sam idź i jej to powiedz. Jak dla mnie, nie zostanie żaden proboszcz bez parafii...

Po kolacji owego dnia, kiedy don Fernando wyjaśniał zarządcy don Tirsowi, jakich przeróbek dokonał w spichlerzu, aby rozpocząć praktykę lekarską, oraz jakie koszty pociągało to za sobą, kucharka poprosiła o pozwolenie porozmawiania z panem. Don Fernando, który znał przyczynę, pozwolił jej wejść.

- I niech wejdzie też ten mulnik - rozkazał. - Lepiej usłyszeć od obojga to, co mają do powiedzenia.

Ignacia nie zaczerwieniła się, gdy prosiła don Fernanda o pozwolenie wyjścia za mąż za tego, kogo nazywała Luisón, a o którym powiedziała, że jest przyjemnym mężczyzną, bo nie śmierdzi, choć całe życie spędza wśród mułów. On powtórzył przed obliczem don Fernanda, że ożeni się z nią, gdy tylko dostanie na to zgodę, i że pan może być spokojny, bo bata używa wyłącznie do poskramiania zwierząt; dodał, że Ignacia jest słodka jak talerz bez. Don Fernando zgodził się pośród śmiechu i żartów, dając jej posag wysokości dwudziestu pięciu eskudów w złocie i stawiając jako warunek, że żadne z nich nie opuści domu, zanim nie zostaną zakończone prace, a ona nie znajdzie na swoje miejsce dziewczyny, która dobrze gotuje.

- Moja siostrzenica, panie. Każę ją zawołać jutro z samego rana.

- Masz siostrzenicę? - zdziwił się wozak, uśmiechając się dwuznacznie.

- Dla ciebie jakby jej nie było. - Ignacia popchnęła mulnika z taką siłą, że ten stracił

równowagę. - Za pozwoleniem, panie, chyba będę musiała wyjaśnić temu dragalowi parę rzeczy - stwierdziła, zwracając się do don Fernanda ze zmarszczonym czołem i wyraźną zapowiedzią burzy na twarzy.

Don Fernando i don Tirso nie przestali się śmiać aż do późnej nocy.

Tamtej nocy, kiedy dom pogrążył się w ciszy, słychać było chrobotanie myszy w stajni, parskanie muła i szmery ciał. I było goręcej niż zwykle.

Dwa dni później izba chorych, gabinet i laboratorium były gotowe. Don Fernando kierował operacją meblowania izby chorych; następnie rozkazał ustawić stoły w gabinecie i bibliotece, gdzie miał studiować, i w końcu wydał konkretne zarządzenia w kwestii odpowiedniego wyładowania instrumentów laboratoryjnych z wozu, jak również ich doskonałego rozlokowania. W ten sposób ustawiono na swoich miejscach przy ujęciu wody piece, aparaty do destylacji, miechy, kotły do topienia i hartowania, palniki o różnych stopniach ognia, aparaty do filtrowania, węzowniki, retorty, tygle z ogniotrwałej gliny, garnki i pojemniki ceramiczne, kule, alembiki, kleszcze, moździerce, łyżki o szerokiej rękojeści, różne dzbany, flakony na sól, siarkę i rtęć i, wreszcie, wszystkie narzędzia, aparaty i przybory niezbędne do funkcjonowania kompletnego laboratorium, takiego, w którym będą badane najbardziej zawile tajniki życia.

\* \* \*

Klara, moja matka, wróciła pośpiesznie do Madrytu, bo tego lata w 1585 roku przybrała się w szaty żałobne dla niej niewczesnie i niespodziewanie, jak wznosi się burza piaskowa na mesecie. Poszła po okolicy wiadomość, że jej ojciec padł ofiarą ciężkiej choroby w konsekwencji wypicia wielkiego dzbana zimnej wody po długiej i kosztującej go wiele wysiłku podróży galopem, i natychmiast przerwała swą wędrówkę po ziemiach La Riojy. W pierwszych dniach sierpnia przybyła do miasta w towarzystwie swego małżonka, Alfonsa, kiedy gorączka wzmogła się do tego stopnia, że już żaden medyk nie był w stanie znaleźć lekarstwa na to zło.

Kiedy dotarła do domu, wszystkie pokoje spowijał półmrok. Klara pobiegła do pokoju ojca i napotkała tam kohorty lekarzy, a w kącie dostrzegła postać matki, która poruszała ustami, szepcząc modlitwy. W powietrzu unosiła się woń uryny i kwaśnego potu, żywej krwi i roztopionego wosku. Podbiegła przytulić się do matki, lecz ta się nie poruszyła. Patrzyła tylko na swego męża, który zlany potem, miał zamknięte oczy i od czasu do czasu krzyczał w delirium. Nagi tors pokrywały pijawki, a z jego naprężonych dłoni wznosiły się palce poskręcane jak gałęzie winnej latorośli, poruszające się z góry na dół, jakby poszukiwały powietrza, którym mógłby oddychać.

Don Alfonso de Guzmán po ucałowaniu ręki teściowej podszedł do medyków i spytał:

- Umrze?

- Jeszcze jest młody.

- I jest silny.

- Ale... tak. Umrze.

Klara usiadła przy matce, uczepliła się jej ręki i pozwoliła, by łzy popłynęły jej po policzkach. Noc była ciemna i panował wielki upał. Po pokoju, w którym otwarto i drzwi, i okna, starając się dobrze go przewietrzać, krzątały się służące i pokojówki, wnosząc dzbany lemoniady i tace z miskami zimnej wody i czystymi ścierkami, którymi lekarze wycierali pot z czoła i nagiego oraz owłosionego torsu chorego. Klara przyzwyczajała się do idei śmierci, ale nie chciała się jej poddać. Kiedy don Alfonso zbliżył się do niej, kładąc jej rękę na ramieniu z zamiarem pocieszenia jej, ona popatrzyła na niego i powiedziała:

- Niech zawiadomią Fernanda.

- Niedoświadczony bakałarz nie może wiedzieć więcej niż ci lekarze tutaj - odparł Alfonso. - To wezwanie wydaje mi się niepotrzebne.

- Chcę go zobaczyć.

- Może jeszcze jest w Alcalá.

- Nie. Wiem, że jest w Madrycie - stwierdziła kategorycznie Klara, unosząc dłoń do piersi, jakby tam właśnie odczuwała jego bliską obecność.

Ledwie w godzinę potem, kiedy noc przekraczała próg poranka, don Fernando Ruiz de Alcalá został zaanonsowany. Klara puściła dłoń matki, wyszła z pokoju i zbiegła po schodach, a za nią don Alfonso. Na dole, w wejściu do głównego salonu, czekał Fernando.

- Przykro mi z powodu tej choroby - powiedział, całując dłoń Klary. - Nie wiedziałem, że twój ojciec jest chory.

- Umiera - Alfonso pośpieszył z informacją, obejmując towarzysza.

- Znowu śmierć... - Fernando tak samo objął przyjaciela. - Zdaje się, że nigdy nie odpoczywa. A jednak istnieje tylko dlatego, że jej na to pozwalamy.

Klara, moja matka, spojrzała na niego zaniepokojona. Nie rozumiała tych słów, tak samo jak nie zrozumiał ich don Alfonso, a jednak zostały wypowiedziane z tak wielką rezygnacją, jakby były prawdziwe, co pozwoliło im wierzyć, iż istnieje jakaś nadzieja.

- Przejdźmy tutaj. - Klara weszła do salonu i kazała zapalić wszystkie świece. - Nie rozumiem, co mówisz, Fernando, ale pragnę się dowiedzieć, czy twoje studia pozwoliły ci poznać sposób na uratowanie jego życia.

- Nie.

- Zatem nie ma ratunku?

- Niestety, ku twemu wielkiemu żalowi, nie ma ratunku.

Don Fernando zajął miejsce. Naprzeciw niego don Alfonso zrobił to samo. Klara, moja matka, po przejściu kilka razy z jednego końca salonu na drugi zatrzymała się przy oknie i stała w ciszy, spoglądając w noc. Po jakimś czasie głęboko westchnęła:

- Nie przyszedłeś na nasz ślub.

- Byłem zajęty.

- Tak bardzo tego pragnęłam...

Don Alfonso odczuł te słowa, jak gdyby złe trawienie wywołało nieznośne palenie w jelitach, nie mógł jednak pozwolić, by to dostrzeżono, bo był z kobietą, którą kochał, i z najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miał. Spojrzał na oboje, schylił głowę i znowu na nich popatrzył. Następnie wstał, napełnił dwa kieliszki winem i podał jeden don Fernandowi.

- Wypijmy, przyjacielu. Za czas, kiedy się nie widzieliśmy i który musimy nadrobić.

- Tak, wypijmy.

- Lekarze mówią, że on jest młody i silny - kontynuował Alfonso, pociągnąwszy solidny łyk z kieliszka - ale nadzieje są nikłe. Ledwie może oddychać...

- No, to ma opuchnięte płuca - postawił diagnozę Fernando. - Na zapalenie płuc nie wynaleziono lekarstwa. Tylko natura może je przewyciężyć.

- Nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat! - oburzyła się Klara. - To takie niesprawiedliwe!

- Życie jest przestrzenią, Klaro. - Zbliżył się do niej, kładąc jej rękę na plecach i przytulając ją. - Tylko przestrzenią. My upieramy się, by je mierzyć, jakby było czasem, przeliczamy bez ustanku jego lata, jego dni... Dlaczego tak się przy tym upieramy? Pamiętasz swoje dzieciństwo?

- Jedne rzeczy tak, inne nie... - Klara nie wiedziała, do czego zmierzał.

- Jestem jednak pewien, że nie pamiętasz go jako czasu, tylko jako przestrzeń. Pamiętasz jedynie przestrzeń, którą zajmowało twoje dzieciństwo, bo jeszcze nie znałaś pojęcia czasu, nie miałaś świadomości upływu tych wszystkich lat, nie wiedziałaś, czy trwają długo, czy krótko. Dzieciństwo to przestrzeń, przestrzeń naszej niewiedzy, naszego szczęścia...

- Jednak życie nie. - Klara zaprzeczyła ruchem głowy.

- A dlaczego nie? - Fernando popatrzył na Alfonsa, starając się, by chociaż przyjaciel zrozumiał to, co chciał powiedzieć. - Życie jest inną przestrzenią, większą niż ta, którą na ogół zajmuje dzieciństwo, ale w gruncie rzeczy tak szeroką jak tamta. Chodzi o to, że wraz z



rośnięciem i dojrzewaniem poznajemy trwanie czasu, mamy ideę czasu i upływu dni i nocy, tygodni i miesięcy. I wtedy zaczynamy liczyć dni, jak skąpiec liczy monety, i chcemy mieć więcej i więcej i nie ma dla nas znaczenia, czy są złote, srebrne czy ołowiane. Jedna więcej, tylko jedna więcej, oto nasza wielka ambicja. A jeśli któregoś dnia umrzemy, dzień ten jest dniem wielkiej kradzieży, dniem, w którym złodziej sprofanował naszą szkatułę i wyrwał nam wszystkie nasze monety niepotrzebnie przechowywane, przeliczone bez sensu. Po co nam jednak pieniądze, które gdy je mieliśmy, przechowywaliśmy, a kiedy je nam kradli, już nie mogły zostać przez nas użyte? I po co je liczyć? Gdybyśmy tego nie robili, byłibyśmy nieśmiertelni, bo podczas gdy żyjemy, jesteśmy żywi, a kiedy umieramy, przestajemy wiedzieć, że istnieje śmierć. Gdyby udało nam się tak myśleć zawsze, odczulibyśmy naszą nieśmiertelność...

- Mój ojciec jest w pokoju na piętrze i umiera...! - odparła Klara zirytowana i pełna lekceważenia, wyciągając rękę w górę, bez wątpienia oburzona wysłuchiowaniem pustych słów, kiedy życiowa tragedia spadała na nią jak zimowy śnieg. - Może jemu wyjaśnisz te słowa...? Myślisz, że by ci się udało...?

- Nie, ale myślisz, że on może o tym wiedzieć? - Fernando znowu pociągnął z kieliszka. - Ani tego nie wie, ani nie chce nic o tym wiedzieć. Nikt nie jest pewien, że umrze, nigdy, to nadzieja utrzymuje nas przy życiu, przywiązanych do czasu jak do cumy, kiedy przychodzi przyptyw. Kiedy jednak umrze, nie będzie nic czuł, gwarantuję ci to.

- A ja...? Chcesz, żebym ja...?

- Ja niczego nie chcę, Klaro. - Fernando znowu ją objął i szeptał do ucha. - Pamiętaj, że znam śmierć: widziałem, jak przechodziła obok mnie, bo wydarła mi rodziców z mych własnych ramion. Jednak nieszczęście spotyka ciebie, nie jego. Młody? Nie, nigdy nie jesteśmy dla niej zbyt młodzi. Twój ojciec zajął przestrzeń jednego życia, a życia nie mierzy się latami, tylko doświadczeniami...

Klara odeszła od don Fernanda, usiadła w skórzanym fotelu przy oknie i rozplakała się rozdierającą. Te słowa być może miały coś znaczyć, ale nie koły jej bólu ściskającego piersi. Don Fernando też o tym wiedział i zajął miejsce po drugiej stronie salonu przy don Alfonsie, który napełnił swój kieliszek trzy razy.

- Na uniwersytecie uczy się tylko teorii, prawda? - uśmiechnął się kapitan, pozwalając, by jego słowa nabrały niemal niezauważalnego tonu ironii albo zrezygnowania.

- Któregoś dnia dowiodę ci, że mam rację.

- Tego dnia wszyscy będziemy martwi...

Po chwili jedna ze służących weszła do salonu, aby poinformować, że chory przestał

bredzić w malignie i gorączka odrobinę ustąpiła. Don Alfonso pobiegł pierwszy po schodach do góry, aby potwierdzić wiadomość. Klara, moja matka, wyszła za nim, jednak don Fernando przytrzymał ją za ramię.

- Odwiedź mnie.

Klara nie odpowiedziała. Uwolniła się od przytrzymującej ją ręki i wbiegła po schodach. Jednak w połowie drogi zatrzymała się, jakby dostała zadyszki i potrzebowała odpoczynku, odwróciła głowę, uśmiechnęła się do don Fernanda i spojrzawszy mu przez kilka chwil w oczy, znowu się odwróciła i pobiegła dalej.

\* \* \*

O świcie don Fernando chodził rozkojarzony, czytał jakieś książki odnajdywane w najciemniejszych zakątkach biblioteki, kiedy miał przecucie, że tego samego poranka odwiedzi go Klara. Może diabły rozpusty latały uwolnione z piekła tego dnia, podniecając go lekturami, które przeglądał, a może sierpniowy upał nappełnił jego ciało grzesznymi pragnieniami, których wcześniej nie zaznał; jakkolwiek było, pewne jest to, że jeszcze nie wybiła jedenasta na wieży klasztoru Trynitarzy, kiedy odczuł żywą potrzebę ujżenia jej i myśląc pragnienia z rzeczywistością, zyskał przekonanie, że pech połączy się ze szczęściem i przed wieczorem będzie ją miał blisko siebie.

Przez znaczną część poprzedniej nocy i część dnia czytał *Filocola*, *Filostrata*, *Tezeidę*, *Fiammettę*, *Corbaccia* i *Dekameron* Giovanniego Boccaccia; zachwycił się też jednym z *Trzystu opowiadań* Franca Sachettiego i kilkoma dziełami Chaucera, pośród nich *Czytaniem o dobrych paniach*, *Słynną żoną*, *Boecjuszem*, *Troilusem* i *Kresydą* i *Opowieściami kanterberyjskimi*. Od wieczora zajmował się lekturą dzieł Giovanniego Sercambiego, kolekcją opowiadań ludowych zatytułowanych *Złośliwość niewiernych kobiet* i *Rozwiązła wdowa*, a pomiędzy *Dysputą ośla* Anselma Turmedy, *Stu nowymi opowieściami*, skompilowanymi przez Philippe'a le Bona i *Novellino* Masuccia Salemitana po raz pierwszy w życiu odczuł niezdrową potrzebę, tę, która skłania najbardziej cnotliwych mężów do rozkoszowania się przyjemnościami ciała. A ponieważ tak było, zagościła w jego w głowie myśl, myśl, która nabrała kształtów i zapachów tej jedynej kobiety, jaką miał blisko siebie w całym swoim życiu: mojej matki.

Minęły trzy dni od chwili, kiedy widział ją po raz ostatni w jej domu, opiekującą się ojcem złożonym chorobą, a mimo jego nieczystych pragnień zrozumiał, że nie może oczekiwać, iż pojawi się w południe w domu wolnego mężczyzny, ryzykując swoją reputację. Wielka była cnota Klary, a jeszcze większy rozsądek. Dlatego, odłożywszy lektury, które zżerały mu umysł naukowca i uczciwość kawalera, umył sobie twarz zimną wodą i

postanowił dalej porządkować swe medyczne narzędzia.

Jednak nie doceniał zdecydowania mojej matki, może dlatego, że chłód, który cechował jego uczucia, nie pozwalał mu zrozumieć, że miłość nie zna barier ani nie znajduje raf, których w swym impecie nie potrafiłaby usunąć z drogi. I rzeczywiście mimo ostatnich wniosków na temat rozwagi i dyskrecji Klary najbardziej ekstrawaganckie z jego przeczuć okazało się trafne: przed południem bona Leonarda trzy razy zastukała palcami do drzwi sieni wychodzącej na ulicę Świętego Jakuba, naprzeciwko ulicy Cruzada.

Drzwi otworzył sam don Fernando, ubrany w obszerną jedwabną tunikę marszczoną w pasie i z jeszcze bosymi stopami. Natychmiast rozpoznał bonę, którą tylekroć widział w domu mojej matki, i zanim zdołał wymówić choćby jedno słowo, ona obwieściła, że jej pani cierpi na migrenę i potrzebuje doktora. Don Fernando nie uczynił żadnego gestu, jedynie patrzył na zewnątrz i ledwie odsłonił wejście, aby pozwolić Klarze przejść, podczas gdy bona została na ulicy i przechadzała się tam i z powrotem, zwracając uwagę na wszystkich, którzy mogli byli zobaczyć wejście jej pani do gabinetu albo zostać świadkami jej wyjścia, kiedy to nastąpi.

Brak jakiegokolwiek podniecenia w jego wzroku i zupełny spokój zdawały się świadczyć o tym, że don Fernando nie odczuł żadnego zaskoczenia.

- Można by powiedzieć, że się mnie spodziewałeś - stwierdziła Klara z uśmiechem, zamykając za sobą drzwi.

- Poprosiłem cię, żebyś przyszła.

- No to jestem.

- Alfonso o tym wie?

- Mój mąż o tej porze jest zawsze bardzo zajęty w pałacu.

- Jesteś z nim szczęśliwa?

- To dobry człowiek.

- Kocha cię?

- Tak.

- A ty go kochasz?

- To dobry mąż.

- Chcesz, żebym pokazał ci bibliotekę?

- Nie.

- Chcesz zobaczyć laboratorium?

- Nie.

Rozpięła sobie pierwsze guziki koszuli i usiadła na skórzanym fotelu.

- Duszno dzisiaj - stwierdziła.

- Nie powinnaś była wychodzić z domu.
- Chciałam cię zobaczyć.
- Ja też tego pragnąłem - rzekł, zajmując miejsce naprzeciwko niej.
- A teraz, kiedy tutaj jesteś, chciałbym ci pokazać moje miejsce pracy.
- Nie przyszedł, żeby oglądać węzownice albo alembiki, Fernando...
- Więc?

- Nie przyszedł też pozbyć się honoru. - Klara spuściła wzrok. - Jestem tutaj, bo zamierzam powiedzieć ci coś, czego żadna dama nie powinna mówić. Żadna, Fernando. Ja jednak nie chcę być dla ciebie damą, lecz kobietą. A ta kobieta, która spędziła życie blisko ciebie, która czuła się z tobą tak złączona jak śnieg z zimą, korzenie cyprysa z ziemią, chce ci powiedzieć, że nie zniosłaby, gdybyś o niej zapomniał. Zawsze będę szanować Alfonsa, wiesz o tym ty, ale Bóg wie, że kochać będę tylko ciebie. I że będę twoim cieniem, choćby nie było światła, i twoimi śladami, choćby twoje stopy nie tknęły ziemi.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy, Klaro.
- Nie powinnam ich czuć.
- Klaro...
- Jednak nigdy nie przestanę być taka właśnie...

Pozostanie tajemnicą, co wydarzyło się w tamto południe w cichym upale sierpniowego dnia, kiedy psy na rogach ulic siedziały w cieniu ze zwieszonymi językami, głośno dysząc. Przez godzinę albo dłużej Klara informowała go, jak mi wyjaśniał pewnej nocy nadmiernego pijaństwa, kiedy język już zbyt mocno spuchł mu w ustach, że stan zdrowia jej ojca nie poprawiał się, że mężczyzna był coraz słabszy i że dobry don Alfonso kazał zawiadomić pewnego lekarza, który zwał się José de Córdoba i był świeżo nawróconym Maurem o prawdziwym imieniu Ben al-Razi.

- Chciał go sprowadzić do mego domu, kiedy zachorowali moi rodzice - wspomniał don Fernando. - Alfonso musi mu ufać...

- Mówi, że jest bardzo uczony. I że wymyślił jakieś maści i napary, które...
- Muszę go poznać.

Klary, moja matka, nigdy więcej nie odwiedziła don Fernanda w jego medycznym laboratorium.

\* \* \*

Ojciec Klary, mój dziadek, zmarł nad ranem czternastego sierpnia Roku Pańskiego 1585. Trzech lekarzy, maści Al-Raziego i setki modlitw odmawianych z wielkimi zapalem nie zdołały zapobiec fatalnemu końcowi. Moja babka od tego dnia nigdy nie była już taka sama,

powiedziała mi matka. Zamknęła się w domu, przywdziała ścisłą żałobę na ten rok, o który go przeżyła, i ledwie się ruszała z fotela stojącego przy kominku, w który wpatrywała się pustymi oczyma, a także odmawiała przyjmowania jedzenia.

Co zaś okazało się najdziwniejsze, nie umyła sobie więcej żadnej części ciała, ani w dni świąteczne, ani na Wielkanoc, ani po nadejściu upałów, ani przed zapowiedzianymi wizytami. Moja babcia była przedwczesną staruszką, która nie zainteresowała się już więcej tym, co się dzieje na świecie, i która żywiła się wywarami ze zjełczałych kości wydobywanych z pamięci i melancholii.

Była martwa ponad rok. A jednak przez cały ten czas nigdy nie zamknęła oczu. Po powrocie z egzekwii po śmierci mojego dziadka, po pogrzebie, mszach i następujących po nich ceremoniach don Alfonso oświadczył don Fernandowi, że jego mauretański przyjaciel Ben al-Razi dowiedział się o jego przybyciu do miasta i że pragnie go poznać, bo słyszał, iż posiada gabinet medyczny w domu. Don Fernando nie miał nic przeciwko temu, chociaż fakt posiadania laboratorium i biblioteki utrzymywał w tajemnicy, gdyż oczy Świętego Oficjum były szeroko otwarte, a uszy długie i psie, lecz przed spotkaniem się z Al-Razim chciał się upewnić, czy może mu zaufać.

- To naprawdę dobry lekarz i dobry przyjaciel - wyjaśnił Alfonso. - I wielce uczony.

- Nie chcę cię urazić, wszak chodzi o twojego przyjaciela, Alfonsie, ale powiedz mi, z czego żyje?

- Leczy chorych.

- Kościół wie o tym?

- Jest ochrzczony.

- Ma jakieś problemy ze Świętym Oficjum?

- Nie. Ale widzę, że mi nie dowierzasz... - Alfonso pokręcił głową rozczarowany. - Jeśli nie chcesz go poznać, nie przejmuj się. On to zrozumie i ja też.

- Po twoich zapewnieniach nie mogę się już doczekać, by go poznać - odparł Fernando, biorąc pod rękę don Alfonsa. - Chodźmy.

Wzajemna prezentacja spełniła wymogi najbardziej wyszukanej ceremonii. Obaj skłonili głowy, obaj wymienili zapewnienia o wzajemnym ofiarowaniu swoich usług, a następnie zajęli miejsca w odsuniętych od siebie fotelach w salonie domu nieboszczyka, gdzie siedziały kobiety, nie przestając ronić łez, a służba serwowała zebrany marcepanowe słodycze, rodzynki i słodkie wina. Don Alfonso po dokonaniu prezentacji odszedł, aby usiąść przy Klarze, swej żonie, a nowi znajomi przyglądali się sobie przez kilka chwil, zanim zaczęli rozmawiać.

Ben al-Razi był człowiekiem chudym, wysokim, o ostro zarysowanym nosie, policzkach i podbródku, jeszcze bardziej wyciągniętym dzięki rzadkiemu długiemu zarostowi, który sięgał mu aż do połowy piersi, zmieniając jego twarz w sztylet. Miał wąskie brwi, małe, okrągłe oczy i żywe spojrzenie, garbaty nos i długie ciemne włosy, co nadawało mu wygląd bardziej żydowskiego kupca niż arabskiego medyka. Jego maniery były szorstkie, eleganckie i powolne, nigdy nie krzyżował nóg, gdy siedział, i miał na sobie różowe sztylpy, pasiasty kubrak i białą koszulę rozpiętą pod szyją, jak gdyby wyniosłość jego grdyki wymagała obszernych ubrań. Jego buty zakończone były czubkami zakręconymi w stronę nieba.

Bez wątpienia był człowiekiem roztropnym i cierpliwym, pomyślał don Fernando. Mężczyzną, który potrafił zachowywać milczenie, jeśli go o nic nie pytano. Wyraźnie było widać, że nie niepokoiła go cisza, kiedy go obserwowano, co oznaczało, że jego wiedza na temat spraw świata była wielka i już go nie interesowała, chyba że był autentycznym wariatem. Po chwili, dobrze to przemyślawszy i wyszedłszy z założenia, że chodzi o człowieka szalonego, don Fernando zapytał:

- Czy to prawda, że wynaleźliście napar, który leczy wszelkie zło? Powiedział mi don Alfonso, że...

- Nie. Przykro mi to przyznać...

- Tak przypuszczałem, - Fernando poruszył się w fotelu. - Nie dopuścilibyście do tej śmierci, gdyby tak było...

- To oczywiste.

- A wasi pacjenci na co się uskarżają?

- Ogólnie na to, że żyją.

- Nie rozumiem...

- Wszyscy w pewnej chwili odczuwają niechęć do życia. Wyrażają to w formie bólu, przygnębienia lub żalu. Zęby, plecy, brzuch, głowa... Czasem też się ranią, a z rzadka umierają. Zdarza się to dokładnie wszystkim. Przychodzą do mnie wtedy, żebym im ulżył w cierpieniu, kiedy jedyną pewną rzeczą jest to, że wcześniej czy później umrą, że na nowo poczują ból i że żal jest przejawem duszy, tak koniecznym jak rozkosz. Dlatego mówię, że uskarżają się na to, iż żyją, na normalne okoliczności towarzyszące każdemu życiu. Bo można zatamować krwotok, ale nie można zapobiec przemijaniu życia aż do starości.

- Przypuszczam, że to już przyjmują za pewnik... - uśmiechnął się don Fernando zarozumiale.

- Nie! To jest najbardziej zaskakujące w tym wszystkim! Nie wiedzą tego! - rzucił poważnie Maur. A potem, po kilku sekundach milczenia dodał cicho, przygnębiony, jakby

sam do siebie: - A najciekawsze jest to, że mają rację...

Don Fernando spojrział na Al-Raziego z niepokojem. Poruszył się w fotelu. Co chciał mu powiedzieć? Czy może obaj dzielą to samo przecucie albo ten sam sekret? Co wie ten Arab i do jakiego stopnia można próbować pogłębić w rozmowie z nim ten tak niebezpieczny temat? Nie. Jeszcze było zbyt wcześnie, aby okazać tak wielkie zaufanie. Niemal go nie znał i każda niedyskrecja mogła mu zaszkodzić. Fakt, że Al-Razi był przyjacielem don Alfonsa de Guzmána, nie oznaczał, że Maur nie był wysłannikiem inkwizycji, mającym wybadać prawdziwe intencje młodego bakalarza, choć z własnej woli nie chciałby tego robić. Czasy jednak były ciężkie i być może Al-Razi zobowiązał się odkryć jego zamiary w zamian za pozwolenie na spokojne pozostanie w mieście.

- Jak mam się do was zwracać? José czy Ben al-Razi?

- Moi pacjenci zwaą mnie don José de Córdoba, a moi krewni Ben lub Al-Razi. Byłbym jednak wdzięczny, gdybyście mnie nazywali przyjacielem.

- Tak uczynię.

- Pozwolicie, że zaproszę was do swego domu? Bez wątpienia znajdziecie tam pewne rzeczy, które wzbudzą wasze zainteresowanie.

- Z największą przyjemnością. Proszę przesłać mi zaproszenie w chwili, którą uznacie za najbardziej odpowiednią.

- Jutro o zachodzie słońca. Żeby uciec przed tym upałem... Czy to dobry moment?

- Przyjdę.

\* \* \*

Maur mieszkał w wielkim domu stojącym przy końcu Cuesta de la Vega, z fasadą wychodzącą na ulicę i z wielkim ogrodem na tyłach, w którym rosły różnorodne zioła i rośliny lecznicze; wielu z nich don Fernando zupełnie nie znał. Al-Razi mieszkał sam, korzystając z usług garbatej kobiety, starej i głuchej, która nie tylko nie mówiła, ale nawet poruszała się bezgłośnie. Ponoć kilka lat wcześniej opowiedziała mu o wygnaniu Żydów w roku 1492 i o getcie na Lavapiés, a jeśli była świadkiem tych wydarzeń i nie chodziło o starczą demencję, powinna mieć ponad sto lat, co jako żywo wydawało się niemożliwe.

- Ale już wiadomo, że w sprawach wieku - dodał - wszystko, co napisano, to iskry wystawione na działanie wiatru.

Dom wyglądał skromnie i był porządnie wysprzątany, umeblowany skromnymi sprzętami, a składał się z jadalni połączonej z kuchnią, salonu i dwóch sypialni na wyższym piętrze. Jednak gabinet lekarski był tak przestronny, jasny i dobrze wyposażony, że sprawiał wrażenie, iż żaden chory nie mógł go opuścić, nie pokonawszy choroby. Pojemniki

wypełnione instrumentami chirurgicznymi; miednice, zlewki, słoiki i lśniące garnki; dwa wysokie łóżka przykryte prześcieradłami o nieskazitelnej bieli; ściany pokryte aż pod sufit ceramiką białą i czystą... Niewiele książek, trochę pergaminów z ilustracjami wnętrza ludzkiego ciała przyczepionych do ścian stwardniałym płynem klejącym i nieduży stolik, na którym leżał papier, kałamarz i pióra do pisania. Na podłodze mata z ostnicy wygłuszała kroki. Na ścianie widniał obraz z podpisem: „Prawda jest prosta”. Don Fernando był tak zafascynowany wyglądem tej sali, że niewiele dni później nakazał wykonanie koniecznych robót w swoim gabinecie, aby stał się on dokładną repliką gabinetu Al-Raziego.

Jednak najbardziej zaskakujące i znaczące podczas tej wizyty było oglądanie wielkiego pieca filozoficznego, który Al-Razi posiadał w przyległym pomieszczeniu; don Fernando w końcu został tam zaproszony. Pozostałe narzędzia laboratoryjne i szklane naczynia, pośród których nie zabrakło fiolek o różnorodnej pojemności, były takie same jak te, które posiadał w swoim laboratorium; jednak ten piec z błyszczących cegieł, o ogromnych proporcjach, z kwadratowym wejściem do paleniska, z którego wydobywał się blask o osłepiającej jasności, wprowadził go w zdumienie do tego stopnia, że jego zainteresowanie nie zostało niezauważone przez Maura.

- Studiuję stapianie metali - rozpoczął wyjaśnienia Al-Razi, zacierając ręce, jakby je mył, a zachowując się tak, jakby kłamał.

- Nie wystarczyłby wam do tego zwykły moździerz i piec pierwszego albo drugiego stopnia? - Fernando nie chciał mu wierzyć.

- Chodzi o to, że zajmuję się też studiami nad czterema żywiołami: wodą, powietrzem, ziemią i ogniem... Proszę spojrzeć, na tym rysunku geometrycznym i progresywnym sympatii kosmicznych znajdują się arkana...

- W takim razie powinny wam wystarczyć tygle, węzownice i kotły do kalcynowania... - Fernandowi wyjaśnienia Maura wydawały się coraz mniej szczerze.

- Czasem studiuje ludzkie ciało...

- Mnie wystarczają lancety, nożyczki, szczypce, cęgi, skalpele i igły do szycia... Pergaminy z rysunkami i traktaty anatomiczne...

- I być może pewnego dnia zacznę studiować duszę...

Don Fernando zmarszczywszy brwi, spojrzał mu prosto w oczy. Dotarli tam, gdzie chciał dotrzeć. Ben al-Razi analizował duszę tak jak on i w tym celu, tak samo jak on, musiał zachować wszelkie środki ostrożności.

- Duszę? Chcecie studiować ludzką duszę? Ale co możecie studiować w duszy? - Fernando wziął do ręki łyżkę o szerokim uchwycie, aby się jej przyjrzeć i móc odwrócić



wzrok od oczu drugiego uczonego. - Nigdy się nie dowiemy, gdzie jest siedziba duszy.

Nie było to stwierdzenie, lecz wyzwanie. Al-Razi zrozumiał, że don Fernando wyzywa go do walki, a on jeszcze nie był przekonany, czy kastylijski kawaler zasługuje na odpowiedź albo nawet na kontynuowanie rozmowy. Dlatego ograniczył się do zadania innego pytania:

- A wy czemu macie zamiar się poświęcić? - Al-Razi szeroko się uśmiechnął. - Czy też będziecie lekarzem?

- Lekarzem tak. Chcę zwalczać strach i leczyć choroby umysłu.

- Chcecie zwalczać strach? - Al-Razi znowu się uśmiechnął z niedowierzaniem. - Istota ludzka nie mogłaby żyć bez strachu. Byłaby... nie wiem, jak to określić, nieśmiertelna...

- Może to prawda - odparł Fernando i w jednej chwili pożałował tego, co powiedział. - To znaczy, chciałem rzec... że...

- Doskonale wiem, co chcieliście rzec. - Arab objął go za ramiona i poprowadził uprzejmie, lecz stanowczo do gabinetu lekarskiego, gdzie poprosił go, by usiadł, i ugościł go szklanką chłodnej lemoniady, którą nalał z wielkiego dzbana. - Zdaje mi się, że mamy sobie wiele do powiedzenia. Sądzę, że skoro chodzi o dwóch ludzi nauki, powinniśmy sobie wzajemnie ufać.

- Oczywiście - zgodził się Fernando, raczej przez dobre wychowanie niż z przekonania. - Oczywiście, przyjacielu...

- No, to wypijmy za to.

- Wypijmy. - Fernando uniósł szklankę.

- Jeszcze się zobaczymy.

- Z pewnością.

W drodze powrotnej don Fernando przypominał sobie, że w laboratorium, które właśnie odwiedził, na ścianach wisało wiele obrazów i grawiur z symbolami, które widział w jakiejś książce, lecz nie znał ich znaczenia: smok pokryty łuskami, globus ziemski z krzyżem na szczycie, czarna ropucha, dwie ryby w wodzie, kruk, róża i orzeł, trzy korony... Zbyt wiele symboli, które chciałby pamiętać, ale które zapomniał, bo jego głowę zaprzętała teraz myśl, by swoje laboratorium urządzić tak samo jak to, które właśnie ujrzał. I temu podporządkował następne dni, aż wszystko stało się takie, że zaspokoilo jego oczekiwania.

\* \* \*

Klara i jej mąż, don Alfonso, nie pozwalali upłynąć zbyt wielu dniom bez zapraszania go na obiad lub kolację w swoim domu, gdzie przeciągali rozmowy do późna, a w jego przypadku aż do północy. Don Fernando podczas tych długich pogawędek opowiadał im o

swych studiach i natychmiast zapoznawał ich ze szczegółami na temat zaskakującego życia mitologicznych bogów. Zatem lekko odurzony wspaniałym winem, jakie przechowywano w piwniczkach hrabstwa Haro, rozprawiał o czynach Apolla, Tetis, Kupidyna, Achillesa, Parysa, Amaltei, Ate, Junony, Eneasza, Afrodyty, Marsa, Feba, Priapa, Jowisza, Diany, Herkulesa, Minerwy, Prometeusza, Pallasa, Ajaksa, Fortuny, Bachusa, Pana, Wulkana, Anchizesa, Merkurego, Saturna, Neptuna i wielu innych bogów, herosów, genialnych i brutalnych, którzy rządzą Olimpem, jakby zostali obdarzeni jakimiś boskimi atrybutami; wielokrotnie powtarzał historię Bachusa, chłopca o bujnych włosach, lekkomyślnego i pijanego, który spędzał życie na ucztach, balach, zabawach i przyjęciach. Był to słaby bóg, który wedle tego, co opowiada Owidiusz w *Metamorfozach*, zrodził się z uda Jowisza. Czasem jednak winne opary przywodziły Fernandowi do głowy myśli mistyczne, a wtedy rozprawiał o cherubinach, serafinach, aniołach, archaniołach, tronach, dominacji, władzy, cnotach, podmuchach, płomieniach i iskrach albo o ustanowieniu zakonu braci franciszkanów, benedyktynów lub cystersów; gadał bez przyczyny i celu, jedynie po to, by podtrzymać rozmowę, która nie przestawała sprawiać przyjemności gospodarzom.

Klara słuchała go z uwagą i śmiała się z wielu rzeczy, które przychodziły mu do głowy. Czasem don Alfonso prosił go o więcej szczegółów i wypytywał o życie świętych albo o czyny bitewne, których był wielkim miłośnikiem. A pomiędzy tymi i innymi rzeczami deser przeciągał się tak bardzo, że kiedy chcieli już go zakończyć, albo zapadała noc i była pora kolacji, albo zaczynało świtać i don Fernando musiał iść w towarzystwie służących, aby znaleźć drogę do domu i nie wystawiać się na niepotrzebne niebezpieczeństwo, bo w tamtych czasach czyhało ono w nieoświetlonych i niestrzeżonych zaułkach Madrytu.

Lecz jedna z tych kolacji była inna. Od chwili jego przybycia do domu don Alfonso poinformował go, że po deserze zarówno Klara, jak i on mieli mu do przekazania bardzo ważną wiadomość, i przez cały czas, który spędzili przy stole, żadne z całej trójki nie błyszczało w rozmowie i wymieniali między sobą jedynie słowa pełne znużenia, odnoszące się do pogody, rozkazów królewskich, nad którymi pracował don Alfonso, i pacjentów, którzy stopniowo pojawiali się w gabinecie don Fernanda.

- Nie będziesz więcej jadł? - zapytała Klara, widząc, że Fernando bawi się widelcem, przewracając jedzenie na talerzu, niemal go nie spróbował.

- Ani kawałka więcej.

- Owoce? Słodycze? - Nie. Chcę wreszcie położyć kres tej bezsensownej kolacji i poznać obiecaną wiadomość. Nie wiem, po co tyle tajemnic...

- Alfonso zamierza ci ją wyjawić przy deserze. - Klara spojrzała na męża, a potem na

Fernanda, który dostrzegł lekkie zaróżowienie na jej policzkach.

- A więc spodziewasz się dziecka...

- Ależ...! - Klara popatrzyła na Alfonsa, który wlepił wzrok w Fernanda, zadziwiony. -

Nie mieliśmy mu tego powiedzieć razem, mężu?

- Nie puściłem pary z ust, przysięgam - usprawiedliwił się Alfonso.

- Dobrze. - Fernando wytarł usta serwetką i odłożył ją na stół. - Nie kłóćcie się o coś tak nieistotnego. Wcale nie było trudno się domyślić... Moje najszczerze gratulacje.

- Dzisiaj zyskaliśmy potwierdzenie lekarzy. - Alfonso nie mógł się pohamować od okazania dumy. - Urodzi się na wiosnę, w czasie kwietniowych deszczów...

- O ile Bóg nie zadecyduje inaczej - dodała Klara.

Don Fernando uśmiechnął się, aby okazać, że wiadomość sprawiła mu przyjemność i że dzieli ze swymi przyjaciółmi szczęście. Jednak coś w jego wnętrzu pękło, a on nie wiedział dokładnie, dlaczego bolało go tak bardzo. Gdyby musiał wyrazić swój ból, opisałby go jako silnie naprężoną strunę lutni zerwaną nagle w brzuchu, niczym uderzenie bata. Może zabolowało go nagłe odkrycie czegoś, nad czym nigdy się nie zastanawiał: że Klara należy do don Alfonsa; albo coś jeszcze bardziej rozdzierającego: że ona była w jego ramionach i że to jego dziecko. Ze wszystkich sił starał się nie zdradzić swego bólu grymasem twarzy i przerwał ciszę narzuconą oszołomieniem i poczuciem osierocenia, w jakie wtłoczyła go rzeczywistość, napełniając kieliszek wina i wznosząc toast za nich i za tego, który miał się urodzić. Don Alfonso i Klara przyłączyli się do toastu i wypili aż do dna. Jednak podczas gdy don Alfonso napełniał kielichy, Klara spojrzała głęboko w oczy Fernanda i zobaczyła wyraźnie intensywność jego bólu i barwę jego żalu. I poczuła ten sam ból, ale jednocześnie nieopisaną przyjemność płynącą z odkrycia, że ją kocha.

Don Fernando niebawem pod pretekstem jakichś poważnych obowiązków, które musiał wykonać w domu, przeprosił ich i wyszedł wcześniej, niż miał w zwyczaju, Don Alfonso zrozumiał pośpiech i pożegnał go wylewnymi uściskami, a Klara odprowadziła go oczyma, aż wyszedł z pokoju; dzieliła jego smutek, ale jednocześnie ogarnęło ją uczucie satysfakcji, od którego nie mogła się uwolnić przez wiele miesięcy.

A don Fernando kroczył powrotną drogą do domu rozdarty, nie rozumiejąc, dlaczego tak bardzo cierpi, i uświadamiając sobie, że gdyby tego zapragnął, dziecko należałoby do niego. Smutek jest uczuciem odmiennym od zazdrości, lecz podobnym do żalu po stracie czegoś. I on czuł, że coś stracił, coś, czego nigdy nie pragnął posiadać, ale w tamtej chwili odkrył, że w głębi duszy może był przekonany, iż Klara do niego należy. Celowo szedł okrężną drogą, bo chciał spokojnie przemyśleć to wszystko, czego się dowiedział i co poczuł.

Dwie godziny później, nie podejmując świadomie takiej decyzji, znalazł się w pobliżu dawnego domu Klary i usiadł na placu Świętego Jakuba, na jednym z tych kamiennych stopni u stóp krzyża, który dominował nad placem.

Patrzył w gwiazdy i odkrywał w nich szklane ptaki i szkatułki z duszami, które wspomnienia przywiodły mu na myśl. Oddychał z trudem, może z powodu upału albo gorączki, która zaczynała go męczyć. A od takiego uporczywego spoglądania w niebo odczuł zmęczenie w oczach i patynę wilgoci, która chroniła je przed zamknięciem się w sobie. Oddychał ciężko i sporo kosztowało go przełykanie śliny, kiedy już ją zebrał. Wówczas pomyślał, że nie ma powodu, by tak się czuć, więc wstał, napełnił płuca powietrzem i, porzuciwszy stary stopień, ruszył w stronę domu.

I właśnie wtedy zupełnie nagle i nie wiadomo dlaczego doznał olśnienia. Przeliczył dni i zdał sobie sprawę z czegoś, co gdyby było prawdą, mogło okazać się zarówno przerażające, jak i istotne dla studiów, które prowadził: Klara stała się brzemienna w te same dni, kiedy zmarł jej ojciec, to znaczy w dni, kiedy jej matka straciła duszę. Według jego koncepcji matka powinna umrzeć, gdy urodzi się dziecko Klary. Jeśli wydarzenia nastąpią po sobie w takiej kolejności, nie będzie już miał wątpliwości: tego samego dnia rozpocznie ostateczne studia, które zmienią ideę świata i istotę natury ludzkiej.

\* \* \*

Podczas jesieni i zimy don Fernando często odwiedzał moją matkę i z uwagą śledził rozwój jej ciąży, otaczając ją troską niczym dbały mąż, za co don Alfonso był mu wdzięczny, a Klara zachwycona. Nigdy nie czuł pociągu do dzieci, a już na pewno nie do kobiet w błogosławionym stanie, jednak coś w jego wnętrzu kazało mu codziennie zasięgać informacji na jej temat i towarzyszyć jej chociaż przez chwilę każdego popołudnia, obsypywał ją wówczas rodzynekami, migdałami i piniolami, a czasem kupował świeże melony, ochłodzone, kiedy je przywożono z pobliskich południowych wiosek.

I w te miesiące on i Ben al-Razi, Maur bardziej znany jako José de Córdoba, często składali sobie wzajemne wizyty. Wiele odbyli rozmów na temat fizyki, matematyki i teologii, które obu im posłużyły do wymiany wiadomości i zorientowania się w nowych teoriach, nierzadko heretyckich i tępionych przez inkwizycję, a więc niebezpiecznych. Idee rodziły się podczas spokojnych rozmów po południu i przekazywali je sobie nawzajem; jedne pochodziły z dawnych lektur, inne były efektem bieżących studiów, a najczęściej owocem swobodnej spekulacji. Medyk Ben al-Razi milkł i słuchał młodego licencjata, który wykładał swe teorie; starszy uczoney czasem lekko przytakiwał głową, a innym razem zaprzeczał, jakby odrzucał słabość argumentacji. Jednak nigdy nie przerywał młodszemu. Później, kiedy don

Fernando kończył mówić, milczał z zamkniętymi oczyma, pozwalał, by młodzieniec przyjął postawę wyczekującą, po czym wygłaszał swoją opinię, ale nie wypowiadał jej w sposób kategoryczny, aby don Fernando nie poczuł się zraniony czy natchnięty próżnością.

- Być może, być może... - powtarzał. - Ale może niezupełnie tak jest. Będę musiał o tym pomyśleć...

- Mnie to się wydaje oczywiste - utwierdzał się w swym przekonaniu don Fernando. - Wiemy, że Grecy już przed dwoma tysiącami lat, około 450 roku przed Naszym Panem Jezusem Chrystusem, sądzili, iż materię można podzielić w sposób nieokreślony, otrzymując coraz bardziej miłą piasek. Proszę pamiętać o słowach Leucypa z Miletu i jego ucznia Demokryta z Abdery... Upierali się przy nieskończonym podziale materii. Sam Demokryt nadał najmniejszemu cząstkom nazwę atomu, co, o ile dobrze pamiętam, oznacza w grece „niepodzielne”, i zasugerował, że wiele rodzajów materii jest wynikiem kombinacji atomów lub uporządkowania ich w odmienny sposób. Kto nas zapewni, że mimo swego etymologicznego znaczenia atomy te nie składają się z jeszcze mniejszych cząstek?

- Nikt. Bo ja sądzę, że tak jest - zgodził się Al-Razi.

- A gdyby tak było, czy nie mieściłyby się w tych atomach prawdziwe wszechświaty? Bo w taki sam sposób mogę powiedzieć, że wszechświat, który oglądamy, tworzony przez Słońce i Księżyc, gwiazdy i planety, może być tylko jednym atomem innej istoty albo materii stworzonej przez miliony milionów atomów.

- Nie widzę, dokąd zmierzacie, don Fernando?

- To proste! - Fernando uderzył dłonią w oparcie fotela i podparł się z oczyma rozpalonymi podnieceniem. - Skoro ciało ludzkie składa się z tkanek, kości i wody, każdy z tych rodzajów materii jest stworzony z coraz to mniejszych elementów, czy to komórek, czy organizmów niższego rzędu, aż dochodzimy do atomów i do jeszcze mniejszych cząstek. No, to ja uważam, że tę drogę można też przebyć w drugą stronę: że wszystkie byty na Ziemi, wliczając w to cztery podstawowe żywioły (wodę, ogień, powietrze i ziemię, jak wiecie), tworzą naszą planetę. A nasza planeta w połączeniu z innymi planetami i gwiazdami tworzy ogromny atom, który w połączeniu z innymi ogromnymi atomami przechodzi w komórki, wodę, tkanki i kości nieprawdopodobnie ogromnej istoty, która ze swej strony mogłaby być bazą innej tworzonej jednostki, w połączeniu z innymi jednostkami, istotą jeszcze bardziej kolosalną. Może ta istota będzie Bogiem, istotą najogromniejszą i niepojętą...

- To możliwe, to możliwe... - zgodził się Ben al-Razi. - Jednak pozwólcie mi coś zauważyć...

- Mówcie, proszę.

- Czyż wasza religia nie mówi, że Bóg jest dobrocią?

- Tak mówi.

- Że jego nieskończone dobro nie ma żadnej skazy?

- Tak jest.

- A czy nie jest pewne, że na tym świecie, takim jakim go znamy, istnieje zło, i to nie w małych dawkach? Morderstwa, kradzieże, zawiść, pycha i inne grzechy główne?

- To oczywiste.

- W jaki sposób mógłby więc stanowić element istoty nieskalanej? - Al-Razi uśmiechnął się zadowolony ze swej argumentacji. - Pewna część tej istoty wyższej, Boga, będzie zawierać zło, bez względu na to, jak nieznaczna będzie to proporcja w odniesieniu do jego ogromu.

Don Fernando zachował milczenie, zastanawiał się nad tokiem rozumowania swego przyjaciela. Maur miał rację, lecz don Fernandowi nie podobała się niezbitość jego odpowiedzi, jak również i to, że sam nie doszedł do identycznej konkluzji. Jego duma została zraniona i nie potrafił tego ukryć.

- Ależ przyjacielu Al-Razi, nie wierzycie w naszego Boga, jestem o tym przekonany...

- Na to wam nie odpowiem, choć przypuszczam, że dla was nie ma żadnego znaczenia, czy wierzę w waszego Boga, czy w któregośkolwiek innego. Powiem wam jednak, że bez względu na moją wiarę prawda się nie zmieni. A może wy nie uważacie za prawdziwą religię waszego Kościoła katolickiego?

- Jak śmiecie? - Fernando udał oburzenie. - Wyrosłem w jego doktrynie i zostałem wykształcony w jego naukach...

- Nie oburzajcie się, proszę. - Maur pokiwał głową, udając smutek. - Nie takiej jednak odpowiedzi oczekiwałem... Dla uczonego prawda leży ponad doktryną.

- Za mniej istotne wypowiedzi Święte Oficjum każe codziennie rozpałać stosy.

- A co wy o tym sądzicie?

Don Fernando nie był pewien, czy powinien odpowiedzieć, był jednak poruszony i postanowił zaryzykować.

- Będę z wami szczerzy, ufając waszej dyskrekcji. - Rozparł się w fotelu, z oczyma utkwionymi w przestrzeń. - Boli mnie niesprawiedliwość i cierpię z powodu udręki i tortur narzuconych przez imperium idei bez względu na to, jakie one są. Niemniej jeszcze bardziej boli mnie prześladowanie idei, choćby zdawały się najbardziej przewrotne. W gabinecie lekarskim, takim jak wasz, jak sądzę, często pomaga się dzieciom cierpiącym na straszliwe schorzenia, niewinnym istotom żyjącym na tym świecie zaledwie od kilku miesięcy, które

jeszcze nie zdołały nikogo obrazić, ani Boga, ani ludzi, a są przynoszone do lekarza pokryte wrzodami, skręcające się z bólu lub w agonii z powodu nędzy, głodu czy niezaspokojenia innych potrzeb. I wtedy zadaję sobie pytanie o to, co jest przyczyną tego zła, gdzie tkwi prawda: zmusza się nas do wierzenia, że Bóg jest wszechmocny i nieskończenie dobry. No, cóż, w obliczu cierpienia tych dzieci nie mogę dojść do innego wniosku niż ten, że Bóg nie posiada jednocześnie obu tych cech. Albo jest wszechmocny, a w tym przypadku nie jest nieskończonym dobrem, wszak nie jest sprawiedliwe dopuszczanie do takiego cierpienia, albo jest nieskończenie dobry, lecz nie wszechmocny, bo gdyby taki był, nie zgodziłby się na to, co się dzieje z niewinnymi istotami. Później jednak zadaję sobie pytanie, kim ja jestem, aby oceniać Boga i starać się zrozumieć w swej ignorancji, jakie są jego zamiary. Skąd mogę wiedzieć, jakie ma plany, skoro nawet nie znam planów mego sąsiada nosiwody, który ma mniej rozumu niż bydłeta w stajni. Nauka, Benie al-Razi, jest naszą domeną, ale skoro Bóg nie potrzebował nauki do stworzenia świata, nauka również nie powinna uzurpować sobie prawa do wyrażania opinii o racjach prowadzących Boga do tworzenia lub niszczenia.

- Niech tak będzie - zgodził się Al-Razi, skłaniając głowę na znak poddania się albo szacunku, lecz w jego oczach doskonale było widać, że daleki jest od pokory i religijności przyjaciela.

\* \* \*

W następnych miesiącach po mieście zaczęła krążyć pogłoska o don Fernandzie Ruizie de Alcalá, że jest lekarzem skutecznym i sprawnym i o ile z jednej strony odsyła do Al-Raziego chorych skarżących się na bóle ciała, to z drugiej strony z wielką atencją zajmuje się tymi, którzy skarżą się na problemy duchowe, do tego stopnia, że na całym dworze mówiło się, nie szczędząc pochwał, o cudownym uzdrowicielu dusz, który otworzył gabinet na ulicy Świętego Jakuba, naprzeciwko zaułka Cruzada, młodym lekarzu znającym sekrety złych snów i mającym remedia na strachy, choćby te największe. Don Fernando, który od don Tirsa dowiadywał się tego, co o nim mawiano na mieście, nie słuchał pochwał i obojętny na wszelkie opinie spędzał poranki w gabinecie, starając się zaradzić złu trapiącemu sąsiadów, wieczorami odwiedzał moją matkę, a nocami wysiłał się nad znalezieniem kluczy do drzwi, których istnienie przeczuwał i które tak żarliwie starał się odkryć. Przy tym wszystkim jednak ani jednego dnia nie opuścił wizyty u Klary i nie porzucił, pod żadnym pozorem, najbardziej potrzebujących pacjentów.

I tak wielką renomę zyskał w tak krótkim czasie, że nawet do pałacu dotarły wieści o jego wiedzy, co nie umknęło uwagi samego króla. Don Filip II, nasz pan i władca, był człowiekiem prawym i nieugiętym, monarchą o żelaznej ręce, wszystko to trzeba przyznać;

był jednak też wrażliwy. Miał dwóch synów, don Carlosa i don Filipa, i nie zawahał się poświęcić tego pierwszego, zrodzonego z małżeństwa z dołą Marią Portugalską, z twardością zimnego i przewidującego władcy, który potrafi przedłożyć powinności wobec państwa nad osobiste uczucia, robiąc to nie tyle dlatego, że miał informacje o spiskowaniu przeciwko sobie, ile dlatego, że ujrzał u swego syna słaby charakter, uległy, chory i wadliwy, być może upośledzony; na dodatek wpadł tenże syn w ręce ambitnych buntowników ogłaszających swą zdradę po ulicach Flandrii, Valladolid i Madrytu niczym błazny, kryjące się za maskami pod osłoną ciemnej nocy. Mówi się, że infanta don Carlosa tak bardzo poirytowało wyznaczenie księcia Albę na gubernatora Flandrii, iż nie przyszło mu nic lepszego do głowy, niż zbiec tam i walczyć przeciwko księciu. Jego ojciec, król, gdy tylko to odkrył, nie wahał się go zatrzymać i więzić w leżących na uboczu komnatach królewskiego alkazaru, gdzie sześć miesięcy później, w połowie 1568 roku, nieszczęsny więzień zmarł. Niewiele wiadomo o tym, czy król rozpaczał po śmierci syna; niewątpliwie większą rozpacz okazał po śmierci jego przyrodnych sióstr doñi Izabeli Klary Eugenii i doñi Katarzyny Michaliny; jednak w głębi duszy odczuwał tak głęboką udrękę, że nigdy później nie był w stanie zrobić nic złego swemu synowi don Filipowi, zrodzonemu dziesięć lat później, w 1578 roku, ze swego ostatniego małżeństwa z Anną Austriaczką. Jakkolwiek by było, pewne jest, że don Filip II, król nasz pan, dowiedział się o osiągnięciach nowego medyka i wysłał wiadomość przez don Alfonsa de Guzmána, że jego działania miłe są królewskim oczom, nalegając, by przestrzegał praw boskich i kościelnych, dla których każda wyteżona praca zasługuje na pochwałę.

Także kiedy później wiadomości o uzdrowicielu dusz dotarły do uszu Świętej Inkwizycji, w pierwszej chwili inkwizytorzy nie znaleźli nic złego w pracy don Fernanda, ale nadzorowali dyskretnie jego działalność na wypadek, gdyby jednak demon, który nie śpi, zdecydował się odwiedzić młodego bakałarza i pozostać dłużej przy jego boku.

Jedynym, któremu nie podobały się altruistyczne i mało rentowne działania don Fernanda i który czasem dawał mu to jasno do zrozumienia, był don Tirso, zarządca; i nie ze względu na pracę swego pana, którą szanował i chwalił jak reszta mieszkańców miasta, lecz z powodu nikłych dochodów, jakie jego pan uzyskiwał w zamian za swe działania, i przesadnych wydatków poniesionych na urządzenie gabinetu lekarskiego, biblioteki i laboratorium oraz na zakup lekarstw i ziół. Strofował go też, z szacunkiem, lecz stanowczo, za liczbę pacjentów odsyłanych do Maura, za jeszcze skromniejsze sumy pobierane od tych, których przyjmował, co w żaden sposób nie przyczyniało się do wzrostu dochodów domu. Postępowanie jego pana było lekkomyślne i nie potrafił tego zrozumieć, co czasem doprowadzało go do rozpacz, a kiedy indziej przysparzało mu wielkich trosk, zwłaszcza gdy



nadchodziła pora przedstawiania rachunków, a on mógł przekazać swemu panu wyłącznie złe wiadomości. Lecz don Fernando, odległy od przychylnych spojrzeń królewskich i podejrzliwych obserwacji Kościoła, a jeszcze bardziej od szeptanych trosk don Tirsa, którego skąpstwem gardził, koncentrował uwagę na nauce i pogłębianiu wiedzy, przekonany, że znajduje się na słusznej drodze, która bez wątplenia zawiedzie go W odpowiednie miejsce. Studiował więc dziewięć elementów towarzyszących szaleństwu, konkretnie *Filautia*, *Kolakia*, *Lethe*, *Misoponia*, *Hedone*, *Anoia*, *Tryfe*, *Komos* i *Negretos Hypnos*, to znaczy - miłość własną, pochlebstwo, zapomnienie, lenistwo, lubieżność, demencję, gnuśność, zabawę i senność, a z analizy każdego z nich otrzymał informacje, które objawiły mu przyczyny zmian zachodzących w mózgu i doprowadzających ludzi do choroby. Przez jego dom przewinęły się dusze zniszczone nadmiarem wina i nadmiernym zażywaniem laudanum; ludzie, którzy utracili rozum z racji zaawansowanego wieku albo od uderzenia się w głowę; ludzie, którzy zapomnieli nawet swego imienia, i inni trapieni nieprzewycięzalnym strachem przed ciemnością, miejscami zamkniętymi, wysokością lub otwartymi przestrzeniami. Przynoszono mu też dzieci nienormalne od urodzenia i przyprowadzano młodzież opóźnioną w rozwoju, osoby niezdolne do przebywania z kotami, gołębiami albo owadami, a także dziewczyny przerażone możliwością samotnego przebywania w domu i młodzieńców, którym obmierzłe były dziewczęta w ich wieku, a dla odmiany pragnęli cielesnego złączenia z młodzieńcami tej samej płci. Przede wszystkim poznał jednak chorobę strachu.

Strach był irracjonalnym uczuciem, którego nie potrafił zrozumieć mimo wyteżonych studiów, bo nie miał żadnej przyczyny. A prawda jest taka, że niemal wszyscy jego pacjenci cierpieli z powodu niemożliwego do przewyciężenia strachu. Spędzał miesiące na ustawicznych studiach i zauważał, że ludzie bali się tego czy owego, tej czy innej sytuacji, ale bez względu na swe wysiłki nie umiał znaleźć lekarstwa na owo uczucie, które było tak powszechne i tak wiele przydawało cierpień. Prawdę mówiąc, większość z chorych ulegała strachowi, którego sedna nie potrafiła opisać, strachowi, którego nie potrafiła wyrazić, choć skrywała go pod strachem przed pewnymi zwierzętami, określonymi sytuacjami albo przed czymś tak naturalnym jak ciemność. Poszukiwał odpowiedzi w książkach i ich nie znajdował; badał wiedzę starożytnych i nie natrafił na sposób zwalczania strachu. Zarówno filozofia, jak i teologia jedynie opisywały strach i przyjmowały jako towarzyszący naturze ludzkiej. Gdyby jednak tak było, myślał, wszyscy baliby się tego samego i tak samo cierpieli, a przecież tak się nie działo. Na przypadłości wynikające z nadmiaru wina, nawet w najgorszych stanach delirium, miał odpowiedzi i znajdował rozwiązania, zawsze jeśli proces zniszczenia mózgu chorego nie był zbyt zaawansowany; podobnie umiał wyleczyć uzależnionych od laudanum i

chorych na ciele, choć choroba zakorzeniła się w głowie: kiedy chodziło o przypadki natury, on sam aplikował remedium i nie wysyłał pacjentów do Al-Raziego, który jeśli ich nie potrafił wyleczyć, przynajmniej przygotowywał ich na śmierć. A gdy chodziło o opóźnionych w rozwoju, ludzi w demencji albo nieuleczalnie chorych, wyjaśniał sytuację rodzinie czy opiekunom i dawał im lekarstwa oraz rady, aby mogli przetrwać nieszczęście bardziej dotyczące ich niż chorego. Strach to było jednak coś innego: wrażenie, którego nie potrafił potraktować w sposób odpowiedni. Uzdrowiciel dusz, mimo swej sławy, nie był usatysfakcjonowany i czasami trawiła go desperacja, gdyż wiedział, że istnieje remedium, ale choć zapamiętał go poszukiwał, nie umiał go znaleźć.

Wiele nocy, znużony i rozczarowany brakiem wyników, przesiadywał w oknie i patrzył na niebieskie sklepienie, usiłując pod jego ogromem znaleźć odpowiedź. Zadawał sobie pytanie, dlaczego on nigdy nie odczuwał strachu, i w jego wspomnieniach pojawiała się Klara siedząca na drzewie i jego dobry przyjaciel Alfons uciekający w przerażeniu z cmentarza owej burzowej nocy. Czego bali się jedno i drugie? Bali się wysokości i zmarłych czy reakcji własnego umysłu, jeśli nagle zostaną zaatakowani przerażeniem, paniką czy strachem? Don Fernando wpatrywał się w bezkres nieba i aby wzbudzić w sobie uczucie strachu, chciał sobie wyobrazić, co by czuł, gdyby się tam znalazł, zagubiony w pustce ogromnych przestworzy, spadając z samej góry. I choć wysiłał się, aby to sobie wyobrazić, zdołał jedynie doznać przyjemnego wrażenia szybowania w eterze lub latania. W żadnym razie strachu, jak sobie życzył. Czegóż więc mógł się bać? Jaka sytuacja mogłaby go wpędzić w przerażenie?

Sama śmierć, pomyślał. Tylko sama śmierć.

Tego jednak też nie był pewien.

A samotność? A ból? A starość? A nędza...? Nie, żadna z tych rzeczy. Śmierć. Ale dlaczego śmierć?

Śmierć znajduje się w nas samych, wyjaśnił mu kiedyś Al-Razi. Wzrasta w nas samych, kiedy się starzejemy, tak jak dusza. No, to czyż nie było możliwe, żeby śmierć i dusza były tymi samymi rzeczami i obie były nieśmiertelne? Ludzie nosiliby w sobie wieczność... Cóż za wielki paradoks! Dlaczego więc bać się śmierci, skoro jest naszą własną duszą? I aby wzbudzić w sobie strach, aby sprawdzić, czy mimo tych nauk może jeszcze bać się śmierci, mówił do siebie samego: „Umrę w tej chwili, właśnie w tej chwili umrę”, usiłując się doprowadzić do takiego stopnia sugestii, zyskać tak wielkie przekonanie, że wszystko inne przestawało mieć znaczenie, pozostawała tylko sama śmierć. Nawet jednak w tych chwilach, kiedy był przekonany co do natychmiastowego i nieuchronnego zgonu, i strach musiał

odmalować się na jego obliczu, zimny pot zrosić czoło i rozdarcie dręczyć ciało, nawet wtedy nie odczuwał wielkiego strachu. „No to umrę”, mówił sobie w końcu znużony. „Umrę, pewnie tak zostało postanowione”.

\* \* \*

Pewnej kwietniowej soboty, jak przewidzieli lekarze, Klara powiła dziecko, które w chwili urodzin ważyło niewiele ponad dwa i pół kilograma i miało siną twarz jak śliwka oraz czoło pomarszczone jak u staruszka. Było płaczące i nie miało apetytu, było tchórzliwe i strachliwe, ale ciekawskie i o żywych oczach. Dziecko o naturze chorobliwej przez pierwsze miesiące, ale później zdrowe i nie wzbudzające troski u nikogo. Czujne i chętne do nauki.

Tym dzieckiem byłem ja.

Dano mi na imię Alonso, bo matka nie ośmieliła się mnie nazwać Fernando i nie chciała (nie znam powodów), abym odziedziczył kompletne imię swego ojca, don Alfonsa. Mam przeto na imię Alonso i niech będzie wszem wiadome, że mi się podoba to imię, że zawsze tak było i że noszę je z dumą, bo nadała mi je ona.

Jak mówiłem, od małego dawałem powody do zmartwień swoim rodzicom i przysparzałem pracy Benowi al-Raziemu, który zajmował się moimi przypadłościami z pozytywnym skutkiem, z wielką cierpliwością i odrobiną irytacji; kiedy jednak minął sierpień, mój charakter uległ przemianie, skończyły się płacze i wybuchy gniewu, nauczyłem się solidnie jeść i spać i nigdy więcej nie stałem się powodem zamieszania ani niepokojów w domu, w którym się wychowałem.

Przypadkiem, jak później mi powiedziano, śmierć mojej babki nałożyła się na tę przemianę charakteru tak dobrą dla wszystkich. Śmierć matki Klary - która zgodnie z tym, co się mówi, była już martwa od roku, od chwili, kiedy została wdową - była powolna i oczekiwana, w pewien sposób uwalniająca dla tych, którzy cierpieli z powodu jej nieobecności i zubożenia, i bolesna, ale nie okrutna. Żyła zatopiona w zapomnieniu albo we wspomnieniach, którymi z nikim się nie dzieliła; traciła wagę i blask oczu, zyskiwała zmarszczki pergaminu na skórze i godziny czuwania, których nie potrafiła z nikim dzielić. Zdawała się niema, ślepa i głucha. W rzeczywistości martwa. Dlatego, gdy któregoś dnia poszli ją obudzić, a ona nie odpowiedziała na pukanie, wzmogła się cisza, ale łez nie było zbyt wiele. Pogrzeb był uroczysty, ceremonia kompletna i obrzędy długie, lecz zniknięcie babki ze świata żywych ledwie zostało zauważone. Stojący przed kominkiem fotel pozostał pusty i ciemny, jednak zmiana nie była jakoś szczególnie znacząca. Zauważono ją natomiast we mnie. Wydawało się, jakby zwolniono przestrzeń, której ja potrzebowałem, aby czuć się dobrze.

Albo słowami don Fernanda, wypowiedzianymi nie wiem, z jaką intencją, jakbym przestał dzielić duszę, której potrzebowałem tylko dla mnie samego.

## DWA

Od roku moich urodzin, 1586, don Fernando Ruiz de Alcalá zyskał przekonanie, że dusze się dzielą i że mój przypadek jest najbardziej ewidentnym tego dowodem. Wtedy już jednak owładnięty był inną obsesją: chciał odszukać przyczyny strachu. Od Bożego Narodzenia tamtego roku, kiedy moja matka nabrała wigoru i powróciła do normalnego życia, dawno już odzyskawszy siły po porodzie i daleka od macierzyńskiego kieratu mych pierwszych miesięcy życia, jego jedyną rozrywką było odwiedzanie jej i obserwowanie kątem oka, jakby się upewniał, że jest szczęśliwa. W ten sposób minęły ostatnie dni 1586 roku i cały rok 1587.

Stosunki z Benem al-Razim na tyle się zacieśniły, że z czasem obaj zaczęli otwarcie przyznawać się do wiernej przyjaźni, odkrywając niebawem, że mają wiele cech wspólnych i że odrobina nieufności obecna przy ich pierwszych spotkaniach została niczym mgła rozwiana delikatną poranną bryzą. Al-Razi był nie tylko człowiekiem uczonym, lecz także człowiekiem dobrym. Kiedy don Fernando zrozumiał, że Al-Razi jako Maur, zmuszony był do zachowania daleko idącej ostrożności i ukrywania wiedzy, aby nie zwracać na siebie uwagi Świętego Oficjum, otworzył ramiona dla swego nowego przyjaciela i gotów był wymieniać się doświadczeniami, teoriami i ideami, co okazywało się niebezpieczne z powodu presji, jaką Kościół w owych latach wywierał na myśli i działania. Jego Świątobliwość Sykstus V nadal zarządzał przeznaczeniem dusz, a coraz bardziej choleryczny i łatwo wpadający w irytację Filip II, wdowiec i samotnik, powierzając inkwizycji obronę katolicyzmu przed ekspansją protestantyzmu z Anglii i Francji, nadal skutecznie zarządzał imperium po obu stronach wielkiego morza, jak również wolą swych poddanych. Ani kostyczny wygląd tego, tak skromnie się odżywiającego, ani bolesna choroba owego, tak lubiącego jeść, nie stanowiły przeszkody, aby jego władza rozciągała się na wszystkich wasali, z ciała i ducha. Jedynie niektórzy mędrcy i uczeni, odpowiednio ukryci przed oczyma władzy, pozwalali sobie na badanie i odkrywanie nowości, o których mimo ortodoksyjnego błogosławieństwa musieli szeptać sobie wzajemnie na ucho, i starali się nie rozpowszechniać tej wiedzy, gdyż to sprowadziłoby na nich trudne do wyobrażenia ryzyko.

Al-Razi, do którego don Fernando zawsze zwracał się jego prawdziwym imieniem, choć wszyscy pozostali nazywali go don José de Córdoba, szybko okazał się człowiekiem

uprzejmym, który nigdy nie chełpił się swą wiedzą ani nie ośmielał się szydzić z niewiedzy innych, lecz starał się ich naprowadzić na drogę odpowiedniej refleksji, aby poprzez własne dociekania dotarli do prawdy. „Prawda jest prosta”, miał napisane w swoim gabinecie i bez przerwy powtarzał tę maksymę, kiedy przedstawiano mu skomplikowane wytłumaczenia dla najprostszycich spraw. Miły, dobrze wychowany i bardzo tolerancyjny, przemawiał w sposób wyważony, z przyjemnym tembrem głosu i przedstawiał argumenty w sposób, który nie dawał możliwości obrazy lub zaproszenia do sporu. Ponadto uśmiechał się oczyma i kiedy don Fernando czasem dawał się ponieść gwałtowności i upierał się przy błędnych stwierdzeniach, Al-Razi wypowiadał zdanie, które przywracało go na drogę logicznego rozumowania:

- Wydaje ci się tak piękną różą, że nie boli cię ranienie jej kolcami...

I wtedy don Fernando uśmiechał się, pojmując, że tak bardzo chciał, aby było prawdą to, czego tak zażarcie bronił, że nie dostrzegał błędu w swoim rozumowaniu, kolców raniących opuszki jego palców, bezboleśnie, bo potrafił tylko docenić piękno róży.

Lubił z nim rozmawiać. Jego ruchy, spokojne i pewne, emanowały bardzo przyjemnym uczuciem spokoju. Wydawało się, że nigdy się nie denerwuje, a kiedy miał nadmiar zajęć albo musiał się spieszyć z dokończeniem jakiejś pracy, zazwyczaj poświęcał kilka minut na przyglądanie się w bezruchu, jak upływa życie, siadając w najbardziej wygodnym ze swych foteli, oddychając powoli i głęboko w poczuciu pewności, że świat nie zawali się, jeśli on przeznaczy chwilę dla siebie, ani tymczasem nie wydarzy się nic takiego, czego nie będzie mógł rozwiązać. Bo jeśli tak nie było, poddanie się niepokoju również nie było użytecznym lekarstwem. Zwykł polecać swym pacjentom, bez względu na ich przypadłość, aby chodzili powoli, oddychali głęboko i pili tyle wody, ile są w stanie wypić, zapewniając ich, że choroba czuje się lepiej pośród potoków fluidów i humorów wzburzonego ciała i że on ma za zadanie ją zwalczyć, a nie dodać jej skrzydeł.

Wiele godzin poświęcili rozmowom. Początkowo zarówno jeden, jak i drugi przemilczali najbardziej ryzykowne teorie, z rozsądku; jednak upływ czasu i wzajemne poznanie doprowadziły ich do zwierzeń, które bardzo szybko przemieniły ich w przyjaciół. Don Fernando żałował dnia, w którym z powodu zajęć jednego czy drugiego nie mogli się zobaczyć; Al-Razi usprawiedliwiał się z prawdziwym żalem, jeśli to przez niego nie mogli się spotkać. I to, co rozpoczęło się jako debata naukowców, po kilku miesiącach przerodziło się w potrzebę, z której ani jeden, ani drugi nie potrafił zrezygnować.

Zaczęli od dyskusowania o matematyce i wymieniać się najważniejszymi przypadkami pacjentów, których przyjmowali. Niektóre rzeczywiście godne były

wspomnienia ze względu na swoją rzadkość albo kłopoty, jakich nastęrczały, a inne były przyczynkiem do wymiany poglądów, wszak Al-Razi lepiej wyznawał się na przypadłościach ciała, a don Fernando z coraz większą intensywnością zagłębiał się w problemach duszy, tak więc doszli do tego, że polecali siebie wzajemnie pacjentom i pomagali sobie ich leczyć, kiedy w określonych przypadkach choroby ciała i ducha okazywały się nierozzerwalnie powiązane.

Jednak pierwsza nić porozumienia została zawiązana dzięki dysputom o matematyce. Do tego stopnia, że w pewnej chwili obaj stwierdzili, iż wiedzą o niej wszystko.

\* \* \*

Tymczasem Klara czuła się szczęśliwa ze swym dzieckiem i okazywała wielką czułość mężowi don Alfonsowi, jednak jeśli kończył się dzień, w którym ani razu nie spojrzęły na nią błękitne oczy don Fernanda, tej nocy źle spała i kręciła się w pościeli, łącząc bezsenność z pólsmem i dziwacznymi majakami. Może nie pragnęła go jako mężczyzny, ale potrzebowała jego bliskości. A może go pragnęła i nie odważyła się o tym myśleć. Miłość rozbudzona u progu życia nie ginie, kiedy horyzont uparcie maluje nadzieję poranka. Być może nie istnieje wieczna miłość, myślała, ale była przekonana, że wieczność może zostać wryta na wypolerowanej powierzchni szmaragdu miłości.

- Wczoraj nie przyszedłeś, Fernando.

- Bardzo tego żałowałem.

- Alfonso i ja spodziewaliśmy się twojej wizyty...

Ale to ona tak naprawdę na nią czekała. Don Alfonso spędził wieczór w gabinecie, porządkując pliki papierów i dokumenty, które były spóznione z powodu nadmiaru pracy w pałacu, a nawet był zadowolony z tych kilku godzin, aby móc pchnąć do przodu zaległe sprawy; tak bardzo jednak cenił przyjaciela, że wspólnie z małżonką go strofowali.

- Smakowałaby ci kolacja. Mieliśmy udziec barani z cytrynami, winem i ziołami, paszteciki i ciastka.

- Strasznie wczoraj padało... - Fernando nie znajdował innego usprawiedliwienia.

- Tak nisko nas cenisz, że kilka kropel wody nie pozwala ci nas odwiedzić? - Alfonso śmiał się, nalewając kolejny kieliszek wina.

- Doskonale wiecie, że znakomicie mogę obejść się bez waszego towarzystwa - Fernando ze śmiechem włączył się do gry - ale z udźcem to już inna sprawa... Gdybym wiedział...

- Zostaniesz dzisiaj, żeby spróbować prosiaka? - Klara popatrzyła na Alfonsa, jakby potrzebowała jego pozwolenia. - Nie sądzę, żebyśmy musieli obawiać się deszczu.

- Za nic nie zrezygnowałbym z prosiaka ze smażonym czosnkiem i rodzynkami, jakiego się przygotowuje w kuchni tego domu. Co do mnie, to już może zacząć padać...

Słowa w salonie domu mojej matki często nabierały tego humorystycznego tonu, lecz nawał myśli, jakie się za tym kryły, był zupełnie inny. Don Fernando z dnia na dzień zauważał, że Klara jest coraz piękniejsza, a moja matka odbierała jego spojrzenia jako coraz bardziej gorące. W niektóre noce modliła się, aby wysłannicy Lucyfera albo sam Lucyfer osobiście, w towarzystwie Rasisa, położyli kres jej kuszeniu, kiedy jednak widziała, jak Fernando się pojawia, kiedy patrzyła na niego, gdy siedział naprzeciw niej przy kolacji, a przede wszystkim, kiedy o północy opuszczał ich dom, odczuwała ścisnięcie w gardle, nad którym nie potrafiła zapanować. I tak się działo dzień za dniem, a ciągła rutyna nie zmniejszała tego uczucia, wręcz przeciwnie. Don Fernando ze swej strony nigdy nie usprawiedliwiał podobnego wzburzenia w swych piersiach, choć bez względu na to, jak by je skrywał, był zmuszony zwalczać nie mniejszy żar przez tyle dni i tyle lat podczas powrotów do domu, albo później, w samotności swych pokoiów, kiedy gasił świece i zostawał w ciemności i ciszy spowity nocą.

I jeszcze bardziej intensywne były ognie tych niemych serc, kiedy przy deserze, po obfitej kolacji i nadmiarze wina i innych napitków, don Alfonso zadał pytanie, którego nigdy nie powinien był zadać:

- Ty i ja jesteśmy w tym samym wieku, Fernando, a ty jeszcze nic nie mówiłeś o sprawach miłości. Czy do tej pory nie spotkałeś kobiety, którą mógłbyś pokochać i pojąć za żonę?

Klara, zaskoczona pytaniem, popatrzyła na męża zmieszana. Następnie, czując pod nogami trzęsienie ziemi, a w płucach przyływ gorąca, popatrzyła na don Fernanda, który odpowiedział spojrzeniem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu, bez wątplenia dlatego, że szukał w głowie jakiejś odpowiedzi.

- Aż za dobrze wiesz, że nie mam czasu na miłość. Zawsze powtarzałem, że moim jedynym powołaniem jest nauka.

- Ale na wszystko jest czas - nalegał Fernando, nie przestając się uśmiechać.

- Może masz rację. - Fernando znowu popatrzył na Klarę, która czekała na jego słowa.

- Gdybym jednak był przekonany, że tak jest, od dawna miałbym żonę.

- Czy chcesz powiedzieć, że kochasz jakąś kobietę? - Alfonso podskoczył na krześle. - Oto zaskakująca wiadomość.

- To nigdy nie była wiadomość ani nigdy dla nikogo nie była zaskakująca, przyjacielu Alfonso. - Fernando nie chciał być nieuprzejmy i udzielił niejasnej odpowiedzi, natychmiast



uznając rozmowę za zakończoną. - Jeśli kochałem, nie była to kobieta przeznaczona dla mnie. Nie stawiaj jednak kabał ani nie snuj domysłów, kiedy nie jest to konieczne. Miłość przechowuje się tutaj, w piersi, dobrze ukrytą pośród ścian serca. I nie pozwolę, by je przekroczyła, bo w tym celu musiałbym je rozerwać, a to by mnie zabiło. Powiedzmy więc, że nie ma miłości. A teraz porozmawiajmy o czymś innym. Co się mówi w alkazarze o chorowitym księciu? Czy lekarze znaleźli odpowiednie lekarstwa?

Klara spłoniła się i pod jakimś pretekstem na chwilę wyszła z salonu. Don Alfonso, znawca stanu zdrowia infanta, nie widział przeszkód, aby rozpocząć długi monolog na ten temat, a don Fernando starając się udawać, że tego słucha, myślał, iż jego przyjaciel jest głupcem, niezdolnym do zrozumienia niczego, choć na koniec stwierdził, że tak jest lepiej, w przeciwnym bowiem razie otwałyby się drzwi dla niepotrzebnego cierpienia, którego żadne z nich nie chciało.

\* \* \*

Pewnego dnia przyszedł do gabinetu don Fernanda jakiś ojciec zaniepokojony swoją córką, dziewczyną zaledwie osiemnastoletnią, która odczuwała nieprzewyciężony strach przed wyjściem na ulicę i od ponad roku przesiadywała w domu, nie przyjmując zaproszeń, i pozostawała głucha na napominania rodziców, którzy nie potrafili zrozumieć przyczyn takiego zachowania. Mężczyzna, krawiec z zawodu, człowiek majątny, gotowy był zapłacić, ile będzie trzeba, za wyleczenie córki. Kiedy dowiedział się o istnieniu licencjata Ruiza de Alcalá, którego zaczynało znać w całym Madrycie jako uzdrowiciela dusz, nie zawahał się przed złożeniem mu wizyty. Strapiony ojciec obawiał się, że córka została opętana przez szatana, i przerażała go myśl, że Święte Oficjum, nabrawszy podejrzeń, mogłoby zainteresować się sprawą.

Don Fernando zajął się tym przypadkiem i po uspokojeniu ojca co do interwencji inkwizycji, oczywiście nie mając w tej kwestii żadnej pewności, powiedział mu, że musi porozmawiać z dziewczyną, aby poznać przyczyny jej strachu, tak więc oczekuje jej w swoim gabinecie. Dobry człowiek upierał się jednak, że ani on, ani jego małżonka nie są w stanie przekonać dziewczyny do wyjścia na ulicę, a kiedy raz im się to udało i razem jej towarzyszyli, ona przez całą drogę płakała, z wytrzeszczonymi oczyma, i uczepliła się ich, trzęsąc się i chowając twarz. Poprosił więc, by don Fernando odwiedził ich w domu, aby sprawdzić, czy zdoła domyślić się przyczyny takiego schorzenia i znaleźć na nie remedium.

Don Fernando uznał za rozsądną propozycję strapionego ojca i zdecydował się przyjąć zaproszenie. Kiedy jednak przyszedł do chorej, ona początkowo nie chciała wyjść, a następnie, kiedy została do tego przymuszona, nie chciała też przemówić. Była to młoda

dziewczyna o niezbyt pociągającej urodzie, blada z powodu zamknięcia, w jakim żyła, i nie bardzo dbająca o wygląd. Miała osiemnaście lat, ale zmarszczki, jakie się jej zrobiły wokół oczu, w połączeniu z wzrokiem rozbieganym, jeśli nie agresywnym, sprawiały, że wyglądała na starszą. Don Fernando zajął miejsce w salonie, tuż przy niej, i rozpoczął wypytywanie, lecz dziewczyna odmawiała odpowiedzi.

- Jak ona ma na imię?

- No, powiedz, Francisca. - Matka gładziła ją po ramieniu. - To don Fernando, jest naszym przyjacielem.

- Powiedziano mi, że niedługo skończysz dwadzieścia lat - spróbował don Fernando, licząc na to, że ona zaprzeczy, ale nawet nie pokręciła głową. - Ach, nie, osiemnaście, teraz sobie przypominam. I powiedz mi, Francisco, nie przykro ci, że twoi rodzice cierpią z twojego powodu?

- I to jak cierpimy - westchnęła matka.

- Przestań się wtrącać, kobieto - strofował ją mąż. - Doktor przyszedł rozmawiać z naszą córką...

- Jak chcesz, jak chcesz... Ja tylko...

- Czy ty nie możesz się zamknąć, kobieto...?

- Pozwolicie mi zostać z waszą córką sam na sam? - poprosił Fernando, patrząc na nich oboje. - Może tak będzie łatwiej.

- Oczywiście, oczywiście - zgodził się krawiec. - Chodź, kobieto, wyjdźmy...

- Ależ, mężu... Zgodzimy się zostawić ją samą?

- Idziemy! - rozkazał, biorąc ją pod rękę i wyprowadzając.

- Bądź dzielna, córko! - matka wyszła ciągnięta przez męża, zatykając sobie usta rękoma i z oczyma pełnymi łez.

Kiedy zostali sami, don Fernando spojrzał twardo na dziewczynę i westchnął ciężko. Począł, aż popatrzy na niego, chociaż kątem oka, aby jej powiedzieć:

- Zawsze tak nad tobą skaczą? Ja nie mógłbym oddychać... To przytłaczające, jakby człowiek był więźniem nadmiaru miłości...

Dziewczyna ponownie na niego spojrzała, tym razem bardziej zainteresowana. Nie wiedział, czy rozumiała, co do niej mówił, ale przez chwilę wydawało mu się, że widzi w nim młodego mężczyznę, z którym może porozmawiać.

- Są rodzice, którzy nie chcą zrozumieć, że rośniemy, że dorastamy i potrzebujemy trochę więcej powietrza do oddychania. Nie podobają mi się tacy rodzice... Powiedzieli mi, że jesteś chora. Może dlatego tak się zachowują i tym można ich usprawiedliwiać. Bo nie sądzę,

żeby przez całe życie traktowali cię z tak przytłaczającym nadskakiwaniem...

Francisca znowu na niego spojrzała i w niemal niedostrzegalny sposób poruszyła głową, najpierw z jednej strony na drugą, zaprzeczając, a później z góry na dół.

- Chcesz powiedzieć, że tak czy że nie?

Nic na to nie odrzekła, ale przynajmniej usłyszała wszystko, co powiedział. Wtedy don Fernando spróbował inaczej.

- Francisca, powiedz mi coś. Nie widziałaś jeszcze straganów z materiałami, które kupcy rozstawili na Arrabal de Santa Cruz? Powinnaś je zobaczyć: pełne są skrawków materiału i jedwabi... Pewien stary handlarz z Genui sprzedaje czerwony materiał wyszywany kamieniami, bardzo ładny... Można by powiedzieć, że najbardziej nadaje się do sporządzenia peleryny dla anioła. Myślę, że przy tych twoich kruczych włosach ładnie by ci w nim było...

- Nie interesują mnie suknie! - Dziewczyna spojrzała don Fernandowi agresywnie prosto w oczy i poruszyła się, jakby chciała wstać i wyjść.

- Nie, nie, proszę, nie! - Fernando ujął ją za rękę. - Zostań, proszę...

Ona zerknęła na rękę młodzieńca, leżącą na jej ręce, i przez krótką chwilę ani drgnęła. Potem gwałtownie wyrwała dłoń, ale dalej siedziała.

- Posłuchaj mnie, chcę z tobą porozmawiać. - Fernando popatrzył na nią ze słodyczą w oczach, - Wiem od twojego ojca, że boisz się wyjść na ulicę, że przez cały czas chcesz siedzieć tutaj, w domu, aby uniknąć niebezpieczeństw, które, twoim zdaniem, na ciebie czyhają. I pewnie myślisz, że dzieje się tak tylko z tobą, że ten strach jest chorobą, która przytrafiła się tylko tobie. Powinnaś więc wiedzieć, że tak nie jest. Gdybyś wiedziała, ile znam przypadków takich jak twój... I wszystkie je wyleczyłem! - Fernando popatrzył z ciekawością na Francisce, aby sprawdzić, czy mu uwierzyła. I wydawało mu się, że jego kłamstwo zrobiło na dziewczynie wrażenie, bo także ona spoglądała na niego z ciekawością. Jeśli się nie mylił, zainteresowanie, jakie budziły jego słowa, oznaczało, że pragnie się wyleczyć, i to był doskonały początek. Zatem mówił dalej: - Miałem przypadki dziewcząt w wieku piętnastu lat i kobiet w wieku lat trzydziestu; mężczyzn, którzy byli odważni, nawet żołnierzy z wojen w dalekich krajach; niektórzy byli krzyżowcami; mogę opowiedzieć ci przypadek pewnego księdza z Avili, którego musiałem odwiedzić, żeby wyciągnąć go z jego parafii... Strach to coś normalnego, to sposób, jakiego używa nasze ciało i, przede wszystkim nasz umysł, aby bronić się przed sytuacjami, których nie potrafi opanować. Odczuwanie strachu jest normalne...

- Normalne? - Francisca ponownie się oburzyła. - Wam wydaje się normalne nie móc robić tego, co wszyscy inni robią, od świniopasów do książąt? Czy to jest normalne? Z wami

jest gorzej niż ze mną, bo bredzicie...

- Jeśli człowiek traci nogę w dzieciństwie i przez całe życie jest kulawy, powiedziałaabyś, że to jest nienormalne?

- Oczywiście, że nie.

- A jeśli jakiś kawaler traci oko w pojedynku o honor, to normalne?

- Będzie jednooki, ale normalny.

- A jeśli człowiek chory na ospę się wyleczy i dalej żyje, chociaż na twarzy ma pełno blizn, wydaje ci się to normalne?

- Tak - Francisca nie wątpiła.

- No, to ty też jesteś normalna. Teraz masz ospę, której nie widać na twarzy, bo zagnieździła się w twoim mózgu, tu, w środku, ukryta; kiedy jednak się z tej ospy wyleczysz, wrócisz do normalnego życia i wtedy zrozumiesz, że wszystko staje się normalne. Bo pomyśl o jednej rzeczy: nigdy nie przestaniesz odczuwać strachu, trzeba się czegoś bać, odczuwanie strachu jest dobre. To głos ostrzegawczy ciała przed nieznaną sytuacją. Zła jest nieumiejętność życia z tym strachem...

- A kiedy ja się wyleczę? - Francisca spojrzała na niego z nadzieją.

- Najpierw trzeba się dowiedzieć, czego się boisz...

- Nie wiem. - Francisca zwiesiła głowę.

- Wiesz to dobrze. Każdy wie. Przypomnij sobie. Najpierw poczułaś strach przed ciemnością, w nocy... prawda?

- Tak.

- A później, kiedy wracałaś sama do domu pewnego dnia, kiedy...

- Pewnego dnia, kiedy była burza! - Francisca bardzo szeroko otworzyła oczy, patrząc przez okno, przestraszona. - Nagle zrobiło się ciemno, wszystko pociemniało...! Pomyślałam, że się zgubię...

- Ale nie bałaś się burzy ani ciemności...

- Bałam się. - W jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie. Tak naprawdę bałaś się tego, że się zgubisz.

- Nie, nie!

- Bałaś się, że umrzesz!

- Tak... - Francisca wybuchnęła płaczem, zakrywając twarz rękoma.

- I nie było twoich rodziców...

- Nie, nie!

- I nikt nie mógł cię uratować.

- Nie...!

- A później pomyślałaś, że któregoś dnia, kiedy będziesz sama na ulicy, burza może się powtórzyć i znowu będziesz bezbronna, po ciemku, sama...

Francisca była przerażona, głośno łkała. Klęknęła przed don Fernandem i objęła jego nogi, szukając schronienia.

- Tak bardzo się boję!

Don Fernando uśmiechnął się, bo już wiedział to, czego chciał się dowiedzieć. Pogładził ją delikatnie po głowie i próbował uspokoić.

- Już dobrze, dobrze... Musiałaś powiedzieć o swoim strachu, poznać go. To, że mi o tym opowiedziałaś, jest pierwszym krokiem do twojego wyleczenia. Teraz musisz odpocząć. Jutro wrócę i wyjaśnię ci, co zrobimy. Kiedy nauczysz się zwalczać przyczyny strachu, będziemy mogli go przezwyciężyć. Ufasz mi?

Francisca wzruszyła ramionami, dochodząc do siebie, i wróciła na miejsce, ocierając łzy chusteczką.

- To się jednak nie stało nagle... - przemówiła znowu, jakby sobie przypominała. - Najpierw bałam się wychodzić nocą; później w czasie, kiedy na ulicach było mało ludzi; później chodzić ciemnymi zaułkami, choćby w środku dnia; później przechodzić przez plac, nie mając obok ścian budynków... Coraz więcej rzeczy napawało mnie strachem...

- Nauczysz się zachowywać spokój, nie pozwalać, by strach tobą zawładnął.

- Nigdy mi się nie uda... - Zobacysz, że tak, Francisco. Nauczysz się nie poddawać, ja ciebie obronię.

Don Fernando uśmiechnął się, wstał i uznał wizytę za zakończoną. Ona także się uśmiechnęła, jakby znalazła się przed swym błędnym rycerzem. Kiedy szedł w stronę drzwi, zapytał:

- Chciałabyś, żebym jutro wrócił?

- Jeśli nie będzie to kłopotem...

- Przyjdę. Ale chciałbym też, żebyś któregoś dnia poznała mój dom. Z przyjemnością zaproszę cię na podwieczorek. Pomyśl o tym.

\* \* \*

Ben al-Razi lubił siadywać z don Fernandem i toczyć naukowe dysputy. W roku 1587 tak wiele godzin przeznaczyli na debaty nad matematyką, że pierwszą rzeczą, którą robili po powitaniu, było przedstawianie nowej teorii, która rozbija tę wyłożoną poprzedniego dnia, jak gdyby chodziło o namiętą grę w kości szulerów żołdaków, którzy wzajemnie się licytują.

- Nie było lepszych matematyków nad Greków - rozpoczął swój dyskurs don

Fernando. - Gdyby cesarz Justynian nie zamknął szkół, w VI wieku...

- Wy, z kręgu kultury łacińskiej, nigdy nie znajdowaliście upodobania w tej gałęzi wiedzy. Moi przodkowie musieli przywrócić jej splendor w VIII wieku, tłumacząc na arabski wszystkie znane greckie dzieła.

- Zbyt szybko się dziś chełpisz... Na nic zdałby się ten cały wysiłek, gdyby nasze państwa nie potrzebowały matematyków, żeby rozwijać handel, stawiać budowle, nawadniać pola i rozwijać rzemiosło.

- Czy insynuujesz, że my, Arabowie, nie mieliśmy handlu ani nie stawialiśmy budowli? W ten sposób zaraz mi dowiedziesz, że przybyliśmy do Hiszpanii, żeby uczyć się od was, biednych pasterzy... A może chcesz zanegować, że istnieją odniesienia do zaawansowanej matematyki w Babilonie i Egipcie, na trzy tysiące lat przed początkiem waszej ery, tej, którą zwiecie chrześcijańską?

- Nie, na Boga. Przyznaję to. Jak również przyznaję, że chodziło o pewną dość znaczną wiedzę z dziedziny arytmetyki i geometrii. Ty jednak zdajesz się nie wiedzieć, że dużo wcześniej istniały już inne sposoby pojmowania matematyki. A może uważasz, że nie należy odnajdować ewidentnych przesłanek geometrycznych w tysiącu dzbanów, przedmiotów z ceramiki i relikwii z początku dziejów, które możemy nazwać erą pierwszego człowieka?

- Zgadzam się. Zgódź się jednak także, że pierwsze egipskie księgi, napisane około 1800 roku przed narodzeniem Pana Naszego Jezusa Chrystusa, wykazują już liczbowy system dziesiętny z oddzielnymi symbolami dla wielokrotności 10, bardzo podobny do tego, jaki później wykorzystywali Rzymianie z 1, 10, 100 i 1000...

- Jedni używali liter, a inni cyfr. To wyłącznie różnica formy...

- No, różnica jest taka, że dzisiaj już nikt nie używa X, C albo M, mogąc to samo wyrazić poprzez 10, 100 albo 1000. A ten system wyrażania liczb pochodzi z Egiptu. Wiedziałaś, że liczby w tych pismach były przedstawiane poprzez pisanie symbolu I tyle razy, ile jednostek posiadała określona liczba, symbol 10 tyle razy, ile miała dziesiątek i tak dalej? A wiesz, w jaki sposób sumowano? Oddzielnie. Podliczano jedności, dziesiątki, setki każdej z nich, a mnożenie opierało się na sukcesywnym podwajaniu.

- A dzielenie było pewnie procesem odwrotnym... - Fernando uśmiechnął się, zadowolony z siebie. - Dobrze, dobrze, zgadzam się. Ale pierwszych obliczeń dokonywano na bazie 5 i 10, liczby palców u rąk, bez wątplenia. Ci pierwsi mieszkańcy ziemi...

- Którzy przybyli z Afryki, przypominam ci - zauważył Al-Razi sarkastycznie.

- Przybyli stworzeni przez Boga - zdawał się oburzać don Fernando.

- Myślałem, że rozmawiamy o nauce - rzucił ironicznie Maur.

- Dobrze, poddaję się - zgodził się Kastylijczyk.

I w ten sposób spędzali całe popołudnia, czasem jeden z nich mówił o wiedzy, której drugi nie posiadał, choć zaraz zapewniał, że już to wie, i natychmiast poruszał kwestie nieznanne temu pierwszemu, dzięki czemu wzajemnie się uczyli rzeczy, o których nic nie wiedzieli, i brali to za dobrą monetę. A ponieważ obaj wiedzieli, że uczą się rzeczy nowych podczas tych rozmów, mimo pozorów pychy za nic nie chcieli opuścić owych spotkań.

- Zgadzasz się, że matematyka polega na studiowaniu związków pomiędzy ilościami, wielkościami i właściwościami, czyż nie?

- Nie zapominając o operacjach logicznych używanych przy kalkulowaniu ilości, wielkości i właściwości nieznanych, rzecz jasna.

- Bez wątplenia. Czyli możemy uznać matematykę za naukę o ilościach...

- Jeśli chodzi o wielkości, to geometria...

- A co do liczb, to arytmetyka.

- A ich obu? Wtedy nazywa się algebra.

- Tak jest! Algebra! Wiesz, że została stworzona przez Muhammada ibn Musę al-Chuwarizmiego? Mojego przodka!

- Czy to prawda, zarozumiały Al-Razi...?

- Wątpisz w to, zarozumiały Kastylijczyk? - Przechrztą pochylił się w fotelu i przyjął majestatyczną pozę. - Otóż tak, mój niedowierzający przyjacielu. Kiedy utworzono szkoły w całym imperium muzułmańskim, aby zachować i przetłumaczyć greckie teksty, działo się to około VIII wieku, najważniejsza była szkoła zwana Bait al-Hikma albo Dom Wiedzy, zbudowana w Bagdadzie i rządzona przez Braci Czystości i Towarzyszy Wierności, utrzymywana przez rządzących kalifów i własne fortuny braci. Najwybitniejszym z tych uczonych był sam Al-Chuwarizmi, który napisał sześć książek na temat matematyki i astronomii, sześć podstawowych dzieł, które powinieneś znać.

- Nie jestem pewien, czy znam je wszystkie...

- No, to przynajmniej powinieneś przeczytać dwie z nich: w pierwszej, w której opiera się na tłumaczeniu starej *Brahmagupty*, oryginalnego tekstu z Indii, wyjaśnił dokładność systemu liczbowego Hindusów, bo powinieneś wiedzieć, że to, co wy nazywacie liczbami arabskimi, pochodzi nie od nas, lecz od Hindusów, z wyjątkiem liczby 0, niczego, równowagi, która jest naszym wynalazkiem. Dlatego oczywiste jest zamieszanie przy ustalaniu pochodzenia tego systemu liczbowego, którego dzisiaj używamy, bo myślano, że pochodzi od mistrza, nie wiedząc, iż pochodzi z tłumaczonej księgi. Tak, przyznaję, nie

przeczyliśmy, kiedy mawiano, że system Al-Chuwarizmiego jest systemem arabskim...

- Tak, a wspominaliśmy o pysze... - uśmiechnął się Fernando. - Kordoba poetów, Granada wojowników, Toledo kupców... Nawet matematykę sobie przywłaszczyliście...

- To nieprawda - bronił się Al-Razi. - Nigdy nas nie pytano, nigdy nie musieliśmy temu przeczyć.

- Ale ta pomyłka dobrze wam pasowała...

- Nie wiń mnie. Zapytaj swoich kastylijskich przodków, nie mnie... Było tak do tego stopnia, że w Kastylii poznano je najpierw jako *algorismi*, a dzięki zniekształceniu terminu, jako algorytm. A ty doskonale wiesz, co to oznacza.

- Sposób i metodę obliczania... - zgodził się Fernando.

- Tak jest. To wy nadaliście tę nazwę, nie my. Ale słuchaj dalej: ten sam Al-Chuwarizmi napisał jeszcze jedno podstawowe dzieło, może najważniejsze, zatytułowane *Hisab al-jabr wa-al-maqabala*, w którym przedstawia aż sześć rodzajów równań kwadratowych i wiele elementów greckich. Dlatego ogólna nazwa, jaką jej nadaliśmy, brzmi algebra, jako skrót i adaptacja terminu al-jabr.

- Dobrze, dobrze, zrozumiałem. - Don Fernando otrząsnął się z danych, które już zaczęły go przytłaczać. - Jednak nic z tego, co powiedziałaś, nie wyjaśnia, że ten mędrzec był twoim przodkiem, jak utrzymujesz...

- Cierpliwości, jeszcze nie skończyłem. Mój przodek wyprowadził algebrę z wielomianów, jak ci mówiłem. Później Al-Karayi dokończył studia nad wielomianami nieskończoną liczbą terminów, a Ibrahim ben Sinan, geometra, pogłębił teorię ideami i studiami Archimedesza nad polami i objętościami. I wobec tej nieznaczącej zdolności do studiowania nie powinno cię dziwić, że Kamal al-Din zdołał zastosować teorię brył stożkowych do rozwiązania problemów optycznych, soczewek i lup, a inni wielcy matematycy, o których pewnie nigdy nie słyszałaś, Habas as-Hasib i Nasir al-Din al-Tusi, stworzyli trygonometrię na płaszczyźnie i w przestrzeni, wykorzystując funkcję sinus Hindusów i twierdzenie Menelaosa. Poza tym...

- Dostyc, na miłość boską! - Fernando wstał, nie chcąc więcej słuchać. - Chętnie byś się swymi przodkami do rana, gdybym ci pozwolił, ale to wszystko nie dowodzi, że pochodzisz od Al-Chuwarizmiego.

- Ach nie? - Al-Razi przybrał poważny wyraz twarzy. - Jak więc wyjaśnisz mój pęd do matematyki?

- Nie wierzę! - Fernando desperacko rozłożył ramiona. - Na takiej podstawie opierasz swoją wiarę?



- Tak, i na elementarnej prawdzie, że wszyscy Arabowie są braćmi...

- Spójrz, Al-Razi - Fernando tracił cierpliwość - na dzisiaj już mi wystarczy słuchania. Teraz to ja wyjaśnię prawdziwe pochodzenie matematyki, której rzecz jasna nie zawdzięczamy tobie ani twoim arabskim braciom, jak ich nazywasz. Już Babilończycy znali systemy liczbowe, które ryli na glinianych tabliczkach rylcami, a znaki te miały kształt klinów, o czym słyszałeś, bo ty sam zgadzasz się, żeby je nazywać klinowymi. A to był tylko początek: później Grecy wynaleźli matematykę abstrakcyjną, podstawę dla ich studiów, i w tym celu używali wyobraźni, aż natrafili na strukturę logiczną aksjomatów, definicji i dowodów. Pamiętasz Talesa z Miletu? A może nie czcisz Pitagorasa z Samos?

- Bez wątpienia...

- No to dalej go czcuj, bo to on pokazał nam potrzebę studiowania liczb w celu zrozumienia świata. Nie trzeba tu chyba cytować filozofa materialisty Demokryta z Abdery, który wynalazł wzór na obliczanie pojemności piramidy, albo Hipokratesa z Kos, odkrywcy prawa, które mówi, że pole figur geometrycznych w kształcie półksiężyca ograniczonych przez łuki jest równe polom pewnych trójkątów. Problem kwadratury koła już znasz.

- Znam - zgodził się Al-Razi.

- A nie będę ci mówić o Eudoksosie z Knidos, Euklidesie albo Archimedesie z Syrakuz, zakładając, że znasz ich dokonania. Jeśli brak ci wiedzy na ten temat, nie śpiesz się: pożyczę ci *Elementy*, największe dzieło Euklidesa, wielkiego kompilatora całej matematyki znanej do jego czasów. A później, jeśli poznasz dzieła Ptolemeusza, Apoloniusza, Herona z Aleksandrii i Diofanta, mniej się będziesz chełpił swoimi przodkami.

- Sądzę, że mnie źle zrozumiałeś, przyjacielu Fernando. A raczej nie rozumiałeś w ogóle. Dlatego widzę na twojej twarzy irytację. - Al-Razi uśmiechnął się i wstał, aby nalać dwie szklanki lemoniady. - Czy nie słyszałeś, jak mówiłem, że wszystko pochodzi z arabskich przekładów greckich matematyków? Jedno, co musisz przyznać, to że gdyby nie nasze przezorne ich zachowanie, wiedza ta zostałaby stracona, na pewno.

- Skoro tak, zgadzam się - przyznał Fernando.

- Nad czym więc dyskutujemy? Gdzie jest kwestia sporna?

- Jest nią twoja pycha, stary Maurze.

- Jedyne staram ci się dorównać, młody Kastyljczyku. Kurtuazja zobowiązuje...

Don Fernando zaśmiał się z tej ironii i z przyjemnością przyjął orzeźwiający napój, obejmując przyjaciela. Pili powoli i uśmiechnęli się raz jeszcze, odpoczywając po niepotrzebnej polemice. Po jakimś czasie jednak don Fernando odzyskał powagę i zapytał wprost:

- Wiesz coś o Kaszim, który zdołał wyliczyć wartość liczby  $n$  z siedemnastoma cyframi po przecinku? Niepokoi mnie taka precyzja...

- Mówi się, że otrzymał ją dzięki pięciokątom wpisywanym i opisywanym na okręgach, czego dokonał sam. Nie odrzucaj udziału w tym fenomenie niektórych matematyków z Chin. Oni są bardzo uczeni...

- Nie poznałem żadnego.

- I nic w tym dziwnego. Chińczycy nigdy nie pozwalają sobie dostrzec.

\* \* \*

Wiosna, lato i jesień 1587 roku minęły don Fernandowi pomiędzy wizytami u Klary, rozmowami z Al-Razim, nieustającymi studiami i uwagą poświęcaną wielu chorym, którzy zaczęli się do niego zwracać o pomoc. Don Fernando był tak zajęty, że nawet nie znajdował czasu, aby poświęcić go don Tirsovi, księgowemu, który niekiedy przychodził do niego, aby zasięgnąć opinii albo poinformować go o nowościach w zarządzaniu domem. Jednak ani pan nie chciał go słuchać, ani don Tirso nie nalegał z obawy przed jego gniewem, tak więc perypetie na łonie domowej służby, niezbędne naprawy, bilans budżetu i dogłębne wydatków spadły na barki zarządcy, który znowu podwoił sobie wynagrodzenie, nawet nie kłopotując się uzyskaniem na to pozwolenia.

I dobrze zrobił, bo don Fernando żądał tylko, aby z rocznym wyprzedzeniem poinformował go, kiedy będą na granicy bankructwa; i choć don Fernando pobierał niewielkie opłaty od swych pacjentów i nie za bardzo upierał się przy ich ściąganiu, pomiędzy tymi niedużymi przychodami i nieznacznymi wydatkami majątek rodzinny pozostawał prawie nie naruszony. Nie siląc się na głębsze roztrząsanie tej kwestii, trzeba zauważyć, że don Tirso ubierał się coraz lepiej, nierzadko wydawał krocie na obiady w tawernie Lepre, w której bywał Quevedo, i w tej mistrza Francisco, Sewilczyka, w której ludzie pozdrawiali go nie tyle z powodu jego fortuny, ile z podziwu dla zręczności, z jaką ją zdobywał; nie szczydzili mu przy tym sarkastycznych uwag na temat naiwności jego pana.

Jednak don Fernando nie wiedział o tym wszystkim, dlatego nie czuł się urażony. Widział, jak śmieje się Klara, i uśmiechał się do mnie, bezustannie wychwalając moje dobre wychowanie i szybkie dorastanie. I wielokrotnie patrzył, jak moja matka chodziła po salonie, i zachwycał się jej urodą, słabo ukrywając pragnienia, które tak bardzo go dręczyły, a jednak nigdy nie doczekały się urzeczywistnienia. Wielokrotnie pytałem siebie później, dlaczego jej nie powiedział, że ją kocha, zwłaszcza kiedy miał po temu okazję. Lecz don Fernando zawsze taki był: kochał wszystko w milczeniu, jakby się bał, że ktoś inny pozna jego uczucia. Zawsze do czasu, kiedy stawiał czoło prawdzie.

W Boże Narodzenie 1587 roku Klara zaprosiła don Fernanda i Bena al-Raziego na uroczysty obiad, podczas którego wydarzyły się rzeczy znaczące dla przyszłości ich wszystkich. Pierwszą było to, że Maur od razu odkrył bez cienia wątpliwości naturę skrywanej miłości, która istniała pomiędzy obojgiem; a następnie don Alfonso przeżył zamroczenie, które trwało zaledwie kilka sekund, ale w tym czasie zarówno jeden, jak i drugi lekarz zrozumieli, że kapitan cierpi na ciężką chorobę, że jego zdrowie podupadło i że w ciągu roku lub dwóch śmierć zapuka do jego drzwi, aby wskazać mu dalszą drogę. Nic nie powiedzieli, nawet nie wymienili żadnych uwag, ale obaj wiedzieli, że chodzi o chorobę, na którą medycyna nie może nic zaradzić.

Po dłuższej chwili, kiedy mój ojciec dochodził do siebie, przysł dobry nastrój i obiadu nie przedłużono. Don Alfonso szybko się położył i Klara, która była zaniepokojona, posłała po don Fernanda, który już wracał do domu, aby odwiedził ją jeszcze tego samego wieczoru. Kiedy przyszedł, Klara opowiedziała mu o swoich niepokojach, lecz on, aby nie powiększać jej troski, ograniczył się do złożenia wszystkiego na karb nadmiaru przypraw, które spowodowały zaburzenie ciśnienia i utratę przytomności.

- Czyli niebawem wyzdrowieje - powiedziała.
- Bez wątpienia - odparł don Fernando.
- Kłamiesz - stwierdziła, bo znała go aż nadto dobrze, by to zauważyć.
- Jutro się dowiesz - zakończył.
- Jutro... Z tobą zawsze trzeba czekać na jutro...

W trakcie świąt Bożego Narodzenia don Fernanda spotkała niespodzianka: Francisca bardzo wczesnie rano przyniosła mu w prezencie konfitury jabłkowe smażone przez nią samą. Cztery miesiące trwało jej leczenie, które doprowadziło do uzdrowienia jej duszy. Metoda, której użył uzdrowiciel, polegała na częstym odwiedzaniu chorej najpierw w salonie domu, potem w drzwiach, a w końcu na spacerowaniu po ulicy w tę i z powrotem, tak by nie tracić z oczu wejścia do domu. Później, kiedy don Fernando zaczął jej opisywać uliczny zgiełk, nowości wystawiane przez kupców i kpiarskie dyskusje na najbardziej znanych miejskich placach, ona ponownie odczuwała łaskotanie ciekawości. I pewnego dnia zgodziła się pójść z nim na spacer w towarzystwie matki, a następnie udała się z ojcem na rynek tylko po to, żeby wybrać materiał na suknie, które włoży, kiedy znowu będzie się przechadzać u boku swego młodego lekarza. W ten sposób któregoś poranka ośmieliła się wyjść z domu w towarzystwie ojca i zanieść don Fernandowi konfitury z jabłek.

Jej wyleczenie nie pozostało niezauważone, bo krawiec nie przestawał o tym mówić i podkreślał, że jest tak wdzięczny don Fernandowi, iż chętnie zmieniłby go w swojego zięcia.

Powtórzył to tak wiele razy i tak głośno, że po całym mieście zaczęła krążyć plotka o tym, że uzdrowiciel dusz i córka krawca mogą niebawem przysporzyć wiele tematów do rozmowy.

Kiedy wiadomość dotarła do uszu Klary, nagle zapadła noc w jej sercu i na kilka dni dziewczyna zapomniała się uśmiechać. Jednak nie odważyła się o nic zapytać don Fernanda. Istnieją odpowiedzi, których lepiej nie znać, bo zawsze łamią serce.

\* \* \*

Don Fernando i Ben al-Razi wymieniali się opiniami i spierali się o rozwój matematyki na kontynencie europejskim, kiedy otrzymali pilne wezwanie z mojego domu. Klara przynaglała ich do przyścia, bo jej mąż, don Alfonso, znowu zemdłał i tym razem nie dochodził do siebie tak szybko jak za pierwszym razem.

Don Fernando obstawał przy tym, że to centra naukowe, jak powołane do życia w Reims przez Sylwestra II około 950 roku, pobudzały rozwój matematyki, czemu przeciwstawiał się Al-Razi, twierdząc, że tylko niektórzy mnisi poświęcali się studiom nad nauką dawnych mistrzów, dopóki w XII wieku Arabowie nie przełamali barier językowych, co zaowocowało zalewem przekładów i przyczyniło się do znaczącego rozwoju matematyki.

- Zważ - powiedział przechrta - że dopiero wielki Gerard z Cremony do 1187 roku, kiedy umarł, przetłumaczył ponad osiemdziesiąt dzieł. I trzeba było czekać do Leonarda z Pizy, bardziej znanego jako Fibonacci, który w 1202 roku napisał swą znakomitą *Liber abaci*; wyłożył w niej między innymi system liczenia, którym dzisiaj się posługujemy; także operacje na ułamkach i obliczenia handlowe jako zasadę trzech prostych i złożonej; nie zapomniał o dzieleniu proporcjonalnym, określaniu jakości monet, zagadnieniach postępów i równań, pierwiastkach kwadratowych i trzeciego stopnia i, co dało mu największą sławę, stworzył tzw. ciąg Fibonacciego i naszkicował słynny problem z królikami.

- Widzę, że doskonale znasz naszą historię - pochwalił go Fernando.

- No, to z pewnością wiesz, że to Regiomontano oddzielił trygonometrię od astronomii, co tak korzystnie wpłynęło na nawigację, i że usystematyzował wszystkie zagadnienia związane z określaniem trójkątów płaskich i sferycznych. Pamiętasz, że to on wprowadził ideę liczby, tworząc pierwiastki i działania, które dzięki nim można wykonywać, i poszerzając w ten sposób możliwości rozwiązywania równań?

- Tak, ale tylko do pojawienia się dobrego Hieronima Cardana, przyjacielu Fernando - zaśmiał się Al-Razi. - Przeczytałeś jego *Ars Magna*? Znajduje się w tej księdze metoda uporządkowana rozwiązywania równań trzeciego i czwartego stopnia.

- Nie muszę cię prosić, abys przyjął do wiadomości, że wcześniej był Kopernik, Tartaglia, Fiore i Scypion Żelazny...

- A teraz niejaki François Viète. Mówią o nim, że zrewolucjonizuje matematykę...

- Zrewolucjonizuje? Nie, Al-Razi, nie sądzę, by wiele zostało do wymyślenia - zaryzykował don Fernando. - A może jednak zostało jeszcze wiele?

- Wszystko - stwierdził Maur. Następnie westchnął i powtórzył: - Właściwie wszystko. Jesteśmy u zarania przyszłości.

Dnia 1 listopada 1588 roku, w dzień Wszystkich Świętych, dom pokrywały ciężkie chmury, był otoczony zimną mgłą, jakby przykryła go ciężka płyta poważnego starego grobowca. We wnętrzu panowała przejmująca cisza. W głównym pomieszczeniu, przy łóżku mojego ojca, stali nieruchomo don Fernando, Ben al-Razi i jeszcze dwóch lekarzy, jeden z nich był osobistym lekarzem króla. Milczeli, podczas gdy moja matka wylewała ciche łzy, które nie zakłócały spokoju. Don Alfonso właściwie jakby nie żył od czterech dni, ale jeszcze oddychał i dwa dni wcześniej jęczał z bólu, targającego wszystkimi jego kośćmi. Później nie wydawał już z siebie żadnych dźwięków. Stracił przytomność i zamknął oczy, ale oddychał i poruszał ustami, nie wiadomo, czy modlił się, czy przemawiał w ciszy i cierpieniu.

Minęły już dwa lata, odkąd don Fernando i Al-Razi zobaczyli na dnie jego oczu znamię śmierci. Od tamtego momentu mój ojciec cierpiał na coraz częstsze utraty przytomności, popadł w apatię i czuł się coraz bardziej zmęczony. Pyszałek don Alfonso de Guzmán, w innych czasach tak żywy i niepoohamowany, w niektóre dni nie miał nawet sił, by podnieść się z łóżka, a kiedy udawało mu się to uczynić, siadał w wielkim skórzanym fotelu i patrzył przez okno na mijające godziny, jakby czekał na nadejście ostatniej.

Stracił też apetyt. Bez przerwy prosił o wodę, żeby zaraz ją zwymiotować. Bolała go głowa, ramiona, nogi i wszystkie kości, ale w końcu przyzwyczał się do bólu i bolała go tylko wieczność oczekiwania. Skóra przyklejała mu się do kości twarzy, urosła mu grdyka i uwydatniły się policzki, oczy się zapadły, ale źrenice coraz bardziej się wytrzeszczały, nadając mu rybi wygląd. Chodził powoli, krótkimi krokami, bolesnymi i niepewnymi, i zawsze pomagali mu żona i służący, zobowiązani do ciągłego doglądania go dzień i noc. Klara patrzyła na niego z żalem kogoś, kto zna przyszłość i nie może zrobić nic, aby ją zmienić.

Don Alfonso umierał, moja matka zrozumiała to w tej samej chwili, kiedy don Fernando ją okłamał w tamto Boże Narodzenie, przed dwoma laty, i poczuła żal z powodu cierpienia tego mężczyzny, któremu okazała najwięcej czułości i który był ojcem jej dziecka.

Tego pierwszego listopada żona i przyjaciele otaczali don Alfonsa, czekając na jego śmierć. Ja, który ukończyłem dwa i pół roku, też wiedziałem, że mój ojciec umiera, pamiętam to doskonale, z ostrością, którą wypala się ogniem na młodej skórze, ale nikt nie pomyślał, że

ja cierpiełem tak bardzo albo jeszcze bardziej niż pozostali, bo nie pozwolono mi go zobaczyć. Gdybym panował nad swoim rozumem, poszedłbym do niego. Gdybym zdołał wyrazić słowami, których jeszcze nie znałem, to, co czuję, gdyby wysłuchano wodospadu wzburzonych wód, rozlewających się po mym wnętrzu, może któryś służący albo matka zrozumieliby, że chcę koniecznie zobaczyć go żywego po raz ostatni, ale jednak zobaczyć, i może stałoby się możliwe zaspokojenie moich najskrytszych pragnień. Lecz w wieku dwóch lat, jak sądzą wszyscy, nie ma się rozumu i zdolności panowania nad okolicznościami. Nigdy nikomu nie wyznałem tego, co wtedy czułem, co można czuć w tak młodym wieku w takich chwilach, i nikt by nie uwierzył, gdybym kiedyś umiał to wyrazić. Mój ojciec zmarł, nie widząc mnie, choć wiem, że przywoływał mnie, wypowiadając moje imię, a ja tego nie słyszałem. Jego nieszczęście dobiegło kresu; moje powtarza się zbyt często, kiedy przypominam sobie tamte dni i zalewa mnie wściekłość na to, że nie znalazłem sposobu, by stać u jego boku, gdy konał.

Skulony, wymizerowany, skurczony i nieruchomy, don Alfonso oddychał przez całą noc i większą część swego ostatniego dnia. Na bóle zażywał laudanum aż do poprzedniego czwartku, a bez względu na to, jak wielkie dawki przyjmował, nie sposób było ich ukoić. Al-Razi napoił go wywarem stworzonym przez siebie samego, który zawierał substancje z laboratorium i nieznanne zioła, przypuszczam teraz, że z rodzaju uśmierzających. Jakkolwiek by było, wraz z naparem przyszła cisza i spokój. Aż don Alfonso przestał oddychać z tą samą delikatnością, z jaką pióro osiada na wodzie uśpionego stawu.

Zmarł spokojnie i słodko. Pies zawył gdzieś daleko. W oddali zapłakało po raz pierwszy nowo narodzone dziecko.

Dom spowijały szare chmury i mgła oraz chłód przedwczesnej zimy. Moja matka płakała w ramionach don Fernanda. Maur Al-Razi także płakał ukradkiem, a służba wypełniła obowiązek przesadnego lamentowania, czego od niej oczekiwano, biegając z miejsca na miejsce, polecając się Bogu i jęcząc. I wtedy zaczął padać deszcz, trwał aż do 2 stycznia 1589 roku, czyli dwa miesiące, zamieniając Madryt w morze błota, czego efektem było mnóstwo kłopotów, katarów i połamanych kości, wspominanych jeszcze po wielu latach.

Hrabiowie Haro, moi dziadkowie, przybyli na pogrzeb z Logroño. Przybyli po raz pierwszy, aby ożenić syna, i ostatni - na pogrzeb. A ponieważ przez dwanaście dni, które spędzili później w Madrycie, w domu swego syna, w towarzystwie Klary i moim, nie zdołali zaprzyjaźnić się z moją matką, nigdy więcej jej nie odwiedzili. Poza tym w jakiś czas potem dowiedzieli się, że ona nigdy nie kochała don Alfonsa, że okna parowały od jej oddechu tylko wtedy, gdy wzdychała z miłości do don Fernanda, a wiadomość, fałszywa czy nie, na zawsze

oddaliła ich od niej i ode mnie. Nigdy więcej ich nie zobaczyłem i nigdy nie dostałem wiadomości o jakimkolwiek spadku. Może jeszcze żyją. Albo łyzy po ich śmierci zostały podzielone pomiędzy inne ich dzieci i wnuki, tak samo jak ich tytuły i majątek, kohorty spadkobierców analfabetów, którzy - o ile pewne są moje wiadomości - nigdy nie wyjechali z samego Haro nawet po to, by sprzedawać owoce ze swych winnic.

Obrzędy pogrzebowe odbyły się w głównej nawie kościoła klasztoru San Jeronimo el Real, a pogrzeb na przykościelnym cmentarzu, tam, gdzie don Fernando ograbił swój pierwszy grób. Klara nakazała odprawienie tysiąca mszy za duszę męża w tym samym miejscu i po drugiej stronie miasta, w dominikańskiej pustelni Naszej Pani z Atocha i w kościele Świętego Izydora, który kazała zbudować cesarzowa Izabela w 1528 roku; nawet dwa lata później nie odstąpiła od ścisłej żałoby w ubiorze, zawsze nosiła twarz zasłoniętą czarnym welonem, który symbolizował ból i udrękę. I z rzadka tylko wychodziła z domu, do którego jednak zapraszała don Fernanda, aby utrzymywać kolor swych policzków i unikać zimnej samotności.

Podczas pobytu teściów w Madrycie jej dyskrecja była niezachwiana: nigdy nie wyrażała opinii ani nie odpowiadała nie pytana. Dlatego teść ją chwalił, lecz z hrabiną sytuacja miała się inaczej, gdyż intrygował ją spokój Klary i suchość jej oczu. Czasem zadawała jej chłodne pytania i wtedy matka odpowiadała szybko i lodowato; innymi razy wypytywała o szczegóły, które małżeństwa utrzymują w tajemnicy, a Klara wzruszała ramionami i prosiła o pozwolenie odejścia. Za drugim razem, kiedy don Fernando pojawił się w domu, nie anonsując wcześniej wizyty, hrabina zamknęła się w pokoju, rozkazała przygotować kufry i wyszła dopiero, by wsiąść do powozu, który zabrał ją wraz z małżonkiem w powrotną drogę do Logroño.

Wyjazd teściów sprawił Klarze ulgę. Tak samo jak ulgę przynosiły jej wizyty don Fernanda, który czasem zjawiał się w towarzystwie Al-Raziego, i razem spędzali wieczory na miłej pogawędce. Przez te lata, dla odmiany, on nigdy nie został na kolacji, ani kiedy odwiedzał ją sam, ani w towarzystwie Maura. Ona potrafiła zachować dyskrecję, a don Fernando pomagał jej zachowywać pozory przez pamięć najlepszego przyjaciela, którego oboje mieli: mojego ojca.

\* \* \*

Francisca, córka krawca, w końcu została wyleczona z choroby strachu. Nabrała kolorów, zadbała o włosy i ubranie i poprawiła sylwetkę, i wielokrotnie kazała matce towarzyszyć sobie do gabinetu don Fernanda, którego, być może z wdzięczności, a może za matczynymi podszeptami, zaczęła postrzegać jako młodzieńca eleganckiego i... wolnego

stanu. Każdy pretekst był dobry, aby go odwiedzić; każda błażostka nabyta na wiejskim rynku Świętego Michała zmieniała się w prezent, który zanosila mu do gabinetu. Wielokrotnie bywał zapraszany na obiad albo podwieczorek przez rodziców Franciski, gdyż pragnęli zapewnić przyszłość córce, a młodzieniec im się podobał, lecz zawsze roztropnie albo zręcznie się wymigiwał i odkładał wizytę na inny dzień.

- Stare chińskie przysłowie mówi, że skoro masz powiedzieć nie, lepiej powiedz to jak najszybciej - polecił mu Al-Razi.

- Nie potrafię tego zrobić, nie będąc niegrzecznym - odpowiedział don Fernando.

- I tak w końcu będziesz niegreczny - podsumował Maur, kiwając głową z żalem. - Tak zostało zapisane.

Wyleczenie Franciski przyniosło korzystne efekty nie tylko dla niej: od tamtego czasu wielu chorych czekało w kolejce do uzdrowiciela dusz. Umysłowo powolni, opóźnieni w zdobywaniu wiedzy, skarżący się na delirium i cierpiący na wszelkie znane i nieznanne lęki prosili o jak najszybsze przyjęcie ich przez don Fernanda. W niektórych przypadkach nie było sensu się wysilać; dla innych nie istniał sposób na wyleczenie. Jedynie miłośnicy wina, których poddawał ścisłej diecie, aż demon alkoholu porzucał ich ciała, i uzależnieni od laudanum, którzy byli leczeni tą samą metodą albo jeszcze bardziej energicznie, odzyskiwali zdrowie w krótkim czasie, choć wracali do nałogu w jeszcze krótszym. Jednak najbardziej interesowali don Fernanda chorzy na duszy, przerażeni i strachliwi. Oni byli jego naukowym celem, przedmiotem jego studiów i nieprzespanych nocy.

Tymczasem musiał wyperswadować młodej Francisce przekonanie, że jest w nim zakochana i, jak to obwieścił Al-Razi, porozmawiać poważnie z jej rodzicami, aby wybili z głowy dziewczyny podobne niedorzeczności, zwracając im uwagę, że ryzykują nawrót choroby, jeśli będą uporczywie mylić uczucie miłości z wdzięcznością.

- Nie wierzycie, że moja córka naprawdę was kocha? - zgańla go jej matka.

- I że jej uczucia są szczere? - upierał się krawiec. - Nie chodzi o to, że nie wierzę - odpowiedział. - Ale ja nie szukam żony. Proszę, żebyście to zrozumieli.

- Zdarzają się chwile, w których Bóg podejmuje decyzje wbrew naszej woli... - uśmiechnęła się matka.

- W takim razie dbajcie o córkę, żeby przypadkiem wola boża nie stanęła wbrew waszym pragnieniom i zamiast w żonę przemieniła ją w kochankę.

- Nie pozwolę wam...! - oburzył się krawiec.

- Spokojnie, spokojnie... - Fernando zrozumiał, że zachował się nieelegancko i przemówił szeptem, nie podnosząc głosu: - Chcę tylko zwrócić waszą uwagę, że wasza córka



jest bardzo piękna i że nie będzie miała kłopotów ze znalezieniem odpowiedniego męża. Zapewniam was jednak, że nie będę nim ja. Nigdy się nie ożenię, drodzy przyjaciele. Nigdy.

- Złamiemy jej serce, jeśli jej to powiemy - rozżalił się krawiec.

- Poza tym, jak się wyleczyć z miłości, jak...? Skoro wszystko wiecie... - zapytała matka.

- O miłości nic nie wiem - oznajmił Fernando. - Nawet nie udało mi się zrozumieć, czym jest. A wiele na ten temat czytałem...

- Więc nigdy nie kochaliście? - zadziwił się krawiec.

- Może. - Fernando zamyślił się na chwilę. - Zakończmy jednak, proszę, tę rozmowę.

- Jak chcecie. - Oboje wstali. - Ale nigdy więcej nie zobaczycie naszej córki. Nigdy!

- Skoro tak, to powinniście się cieszyć. - Fernando odprowadził ich do drzwi, zachowując największy spokój. - Będzie to znaczyło, że nie będziecie nigdy potrzebować moich usług, a to byłaby najlepsza z wiadomości...

Po jakimś czasie Klara odważyła się zapytać don Fernanda o dziewczynę zwaną Franciszą, o której mówiono, że na pewno zostanie jego żoną. Don Fernando musiał się zastanowić, żeby ją sobie przypomnieć, po czym potrzebował następnych kilku chwil, aby wyjść ze zdumienia, w jakie wprawiło go pytanie. Wtedy dowiedział się, że ojciec dziewczyny, ten krawiec, który pewnego dnia zjawił się u niego przygnębiony, rozpowiadał po całym mieście o jego zaletach i o swym przekonaniu, że kiedyś zostanie jego teściem. Kiedy Fernando poznał całą historię z ust Klary, bo on sam był od niej bardzo daleki, uśmieł się serdecznie i stwierdził, że istota ludzka skłonna jest do budowania solidnych budowli z ulotnego materiału marzeń, płonnych nadziei i bryzy, która powiewa nad morzem w spokojne dni w pobliżu wybrzeża.

\* \* \*

Spędził też wiele godzin w swoim laboratorium przez te lata, przygotowując napary i mikstury z lipy i waleriany i wymyślając syropy dla chorych na bezsenność i dla znerwicowanych. Mieszał słodkie wino z uspokajającymi ziołami, sporządzał pastylki, susząc w piecu mieszanki anyżu i waleriany, i wymyślił napary z roślin, które dostarczał mu Ben al-Razi albo które sam zbierał na zboczach nieodległych od miasta wzgórz. Leczył bezsenność, zmuszając chorych do biegania aż do kresu możliwości na chwilę przed udaniem się na spoczynek albo przepisując im łyżkę wina zmieszanego z miodem i kilka kropel bezbarwnego i bezwonego płynu, destylowanego w skomplikowanych procesach, w których wykorzystywał alkohol, zioło rumianku i rozmarynu oraz nieznaną ilość laudanum. Nadmiernie pobudzonych, nerwowych, którzy rano wstawali niespokojni i nie mogli pozbyć

się przygnębienia, zmuszał do przychodzenia do siebie przez wiele dni, aż w końcu opowiadali mu dokładnie, co czuli, kiedy zaczęła się ich dolegliwość, i z jakiego według nich powodu trapieni są takim niepokojem. Początkowo zapewniali, że niczego nie pamiętają, lecz z czasem wszystko sobie przypominali i wskazywali mu, jakie lęki ich dręczyły, od kiedy i jakie okoliczności mogły na to wpłynąć.

Jeden fakt był szczególnie znamienity, a wymieniały go zwłaszcza samotnie żyjące kobiety: że nie mogą udać się na spoczynek bez dokładnego zamknięcia drzwiczek, zamków, zasuw i rygli domu, zarówno w drzwiach, jak i w oknach oraz okiennicach, a mimo to kilkakrotnie w ciągu nocy budzą się ze strachem, gdyż nie są pewne, czy wszystko zostało dokładnie zamknięte, i muszą wstawać, wiele z nich przewyciężając przerażenie, aby to sprawdzić. I robiły to dwa albo trzy razy każdej nocy, a czasem częściej. Pierwsza, która opowiedziała mu o swoich lękach, była kobietą mniej więcej trzydziestoletnią, która twierdziła, że niczego się nie boi poza tym, że ktoś wejdzie pod osłoną nocy i uczyni jej jakąś krzywdę. Odczuwała to od kilku miesięcy, nigdy wcześniej nic takiego jej się nie przytrafiło, i codziennie było coraz gorzej, bo w ostatnie noce wstawała sześć czy siedem razy, ciągle nie mając pewności, że zamknęła wszystkie zamki. Don Fernando chciał wiedzieć, czy kiedyś ktoś na nią w nocy napadł, i odpowiedź była przecząca.

- Dlaczego więc teraz myślicie, pani, że ktoś może wejść?

- Nie wiem.

- Boicie się o swój honor.

- Nie wiem - zaczęła się zastanawiać. Następnie dodała: - Tak, być może.

- I boicie się jeszcze czegoś, pani?

- Że mnie zabiją.

Śmierć; zawsze strach przed śmiercią. Po wielu latach wysłuchiwania z ust pacjentów zwierzeń o naturze ich przypadłości don Fernando zrozumiał, że ludzi ogarnia strach z powodów różnorodnych i odmiennych; małe lęki towarzyszą im przez całe życie i przybierają na sile, kiedy ciało słabnie. Tak zatem występuje strach przed samotnością, starością, niepowodzeniem, nocą, ale przede wszystkim ten największy: strach przed śmiercią, w obliczu którego wszystkie inne rodzaje strachu bledną. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego istoty ludzkie w sposób tak gwałtowny boją się śmierci. Jedyne wyjaśnienie, które mu przychodziło do głowy, był egoizm, niemożliwa do zniesienia i do zaakceptowania świadomość, że kiedy jedni umrą, inni dalej będą żyć.

- Nie znasz natury ludzkiej - powiedział mu Al-Razi, kiedy o tym rozmawiali. - Chodzi o to, że wszyscy myślimy, iż jesteśmy środkiem wszechświata, i sądzimy, że po

naszym zniknięciu on także zniknie. To podejście szczodre, nie egoistyczne.

- Trudno mi w to uwierzyć - powątpiewał Fernando.

- Mnie też wydawało się to niemożliwe, ale lektura dzieł moich przodków mnie oświeciła. Wiesz, dlaczego stworzono liczbę zero? Bo zero to nic, idea, która pojawiła się w Domu Wiedzy w Bagdadzie. Bracia Czystości doszli do wniosku, że śmierć nie istnieje, że podczas gdy żyjemy, umieramy; a kiedy kończy się życie, zaczyna się nicość, to znaczy zero.

- Ale jak to możliwe, że śmierć nie istnieje? Widzimy ją na co dzień...

- To, co widzimy na co dzień, to coś, co nazywamy śmiercią...

- Ponadto - Fernando zdawał się nie słyszeć Maura - śmierć to coś, co nadaje życiu prawdziwy sens. Wyobraź sobie, że znamy dokładną datę naszego zejścia z tego świata. Czy pracowalibyśmy, czy wysilalibyśmy się, aby wypełnić nasze obowiązki z uporem takim jak teraz, czy raczej poświęcilibyśmy pozostały nam czas na rozkosze i zabawy możliwe tylko w tym życiu? Nie mogę zgodzić się z twoimi mistrzami, nie...

- Nie jesteś do tego zobowiązany... - Al-Razi nie miał ochoty dyskutować. - Obawiam się jednak, że zapominasz o duszy...

- Czyli - Fernando dalej snuł refleksje, jakby był nieobecny - chcesz powiedzieć, że jeśli zniknie strach przed śmiercią, znikną także inne strachy, które nazywamy strachami mniejszymi...

- Może... Nie wiem.

- Dziękuję, uczony Al-Razi - Fernando wyciągnął rękę do swojego przyjaciela. - Sądzę, że ta rozmowa była bardzo owocna...

Trochę później tego samego wieczoru Fernando starał się wyłożyć Klarze wszystkie swoje myśli na temat strachu i wszystko, co mu powiedział Al-Razi w odniesieniu do śmierci. Mówił i mówił niepoohamowanie, coraz bardziej się zapalając i utwierdzając w przekonaniu, że niebawem znajdzie sposób na wyleczenie swych chorych. Aż Klara, z tym swoim ironicznym uśmiechem, który potrafiła przyjąć, gdy tak było dla niej korzystnie, przerwała mu:

- Teraz przypominam sobie, że kiedy byłeś mały, zwykłam mówić, że słowa płyną z twoich ust, jakby lał deszcz. Minęło tyle lat, a muszę przyznać, że jest dokładnie tak samo.

- Przepraszam cię. Byłem podniecony tą sprawą i...

- Nie wydaje mi się to złe - usprawiedliwiła się. - Jeśli jednak któregoś razu będziesz mówił o materiałach i modzie, będę ci wdzięczna. Albo o tym, co się dzieje na dworze lub pośród naszych sąsiadów. Od śmierci Alfonsa, naszego dzielnego kapitana, wiesz, że ledwie wychodzę...

- Ja też nie biorę udziału w życiu socjety, znasz mnie przecież...

- Znam cię dobrze, Fernando. Oczywiście, że cię znam...

Pewnego zimowego wieczoru 1590 roku Klara zgodziła się wyjść na spacer. Na przedmieściu Santa Cruz, gdzie urządzano corridy, właśnie skończono budować Casa de la Panaderia, z podcieniami, w których stawiano stragany z najróżniejszymi towarami pochodzącymi z połowy Europy. Moja matka była ciekawa nowego budynku oraz oferty kupców, przez co nie wahała się zerwać zasad żałoby i wyszła z domu.

Prowadziła mnie za rękę, a towarzyszył nam don Fernando, bona Leonarda, jedna służąca i jedna sąsiadka, aby nie było wątpliwości co do niewinności tego spaceru i aby mieszkańcy nie wzięli na języki ani Klary, ani don Fernanda. Po dość długim przechadzaniu się w podcieniach i dokonaniu kilku zakupów wróciliśmy pieszo ulicą Mayor, kiedy z daleka dostrzegliśmy placyk Świętego Jakuba. Klara i don Fernando popatrzeni na siebie bez słowa, ale natychmiast zrozumieli znaczenie tych spojrzeń. i jakby przypadkiem szli dalej w kierunku placzyku w towarzystwie całego orszaku. Kiedy się tam znaleźli, bona Leonarda zajęła się mną, służąca pilnowała moich zabaw, a sąsiadka, zmęczona, usiadła na kamiennym murku, za nic mając dobre maniere.

To wtedy moja matka i don Fernando, jakby popchnęła ich fal wspomnień, nie zdołali się powstrzymać przed podejściem do kamiennego krzyża, górującego nad placem. Oboje z nostalgią popatrzyli na stary kamienny stopień.

- Nie odważysz się - prowokowała go ona.

- Gdybym miał przy sobie szpadę, zmusiłbym cię do odszczekania tych słów - odrzekł kpiąco.

- Nigdy nie potrafiłeś jej używać.

- Nigdy nie musiałem tego robić.

- Usiądziesz ze mną?

- Nigdy nie odmawiam zaproszeniu damy...

Zapadała noc i niebo było pokryte chmurami, ale oni na nie spojrzeli i wierzyli, że widzą przez nie gwiazdy, które wisiały nad nimi w czasie ich dzieciństwa i podczas pierwszych lat młodości. Przypomnieli sobie szklane ptaki i szkatułki z duszami, zerknęli na siebie kątem oka i zaczerwienili się. Może było im zimno i zanosilo się na deszcz, ale oboje odczuwali trudną do opanowania potrzebę dotykania swoich dłoni, aby ponownie policzyć nie istniejące gwiazdy. Pragnęli tego, ale tego nie uczynili z poczucia przyzwoitości i szacunku: przyzwoitości wynikającej z tego, że znajdowali się na ulicy, i szacunku, którym darzyli być może mnie. Ja zaś daleki od tych uczuć, wspinałem się w ramiona mojej matki, choć bona

mnie powstrzymywała, albo może sąsiadka i służąca, które już wystarczająco były zaszokowane. Klara przemówiła pierwsza:

- Nigdy nie zdołam zapomnieć tamtych dni.
- Żadne z nas nie będzie mogło ich zapomnieć.
- Czy sądzisz, że w którymś momencie się pomyliliśmy, Fernando?
- Czasem myślę, że tak.

Klara spojrzała na niego i uśmiechnęła się. W jej piersiach wzrosła fala ciepła, a do oczu napłynęły łzy. Don Fernando poczuł na sobie to spojrzenie i usłyszał bicie wzburzonego serca w piersi Klary, ale nie odważył się popatrzeć na kobietę, bo gdyby to zrobił, nie potrafiłby się powstrzymać od objęcia jej, tak od razu, pod krzyżem, i w obecności tych wszystkich ludzi. I aby nie uczynić niczego, czego później by żałował, postanowił się uspokoić, poszukać innego tematu rozmowy i wyznać jej coś, o czym nie mógł przestać myśleć od jakiegoś czasu.

- Wiesz, Klaro, że doszedłem do wniosku, iż śmierć nie istnieje?

Klara spojrzała na niego zbита z tropu, bardziej z powodu nieprzystawania tej wypowiedzi do sytuacji niż przez jej treść, w ewidentny sposób szaloną. Popatrzyła na don Fernanda, aby upewnić się, że rzeczywiście powiedział to, co chciał powiedzieć - i pozbyła się wątpliwości. Don Fernando zdawał się normalny, mówił normalnie i nie sposób było dostrzec żadnych tików ani nienormalnych gestów, nawet nie patrzył zezem, ale najwyraźniej oszalał. Wzgardzona, jak już tyle razy w przeszłości, nagle wstała, stwierdziła, że nadeszła chwila powrotu, i poszła po mnie do miejsca, w którym bawiłem się z boną Leonardą, żeby mnie zabrać. Idąc szybkim krokiem do domu, odwróciła się jeszcze do don Fernanda i powiedziała:

- Może śmierć nie istnieje, jak mówisz, ale twoje serce jest martwe, zapewniam cię.

## TRZY

Kiedy skończyłem trzy lata, na wiosnę 1590 roku, poznałem biologiczny fakt mojego sieroctwa i nie mogłem go ignorować, jednak te naturalne potrzeby, tak oczywiste w przypadku małego dziecka, sprawiły, że zastąpiłem postać ojca postacią najbliższego mężczyzny, jakiego miałem w swoim otoczeniu, czyli don Fernanda; skoro cieszył się pełnym zaufaniem mojej matki, co rzucało się w oczy, było dla mnie jasne, że to jego powinienem szanować, bo to on miał się nami zająć, gdyby zaszła taka potrzeba. Ze swej strony don Fernando zawsze wykazywał wobec mnie cierpliwość i zrozumienie: nie irytował go mój upór, kiedy prosiłem, żeby bawił się ze mną w to czy owo, ani nie wchodził czy nie wychodził z domu bez pozdrowienia mnie, uściśnięcia i spytania, schyliwszy się do poziomu moich oczu albo ukucnąwszy przy mnie, czy dobrze się zachowuję, czy pomagam mamie i czy kiedy będę dorosły, chcę zostać lekarzem tak jak on. Czasem widziałem, że się ze sobą kłóca, moja matka i on, ale nigdy szorstkimi albo podniesionymi głosami, a potem niedługo znowu się uśmiechali i rozmawiali o sprawach, które mnie nie interesowały, bo ich nie rozumiałem. Tylko raz usłyszałem pytanie mojej matki, czy zajmie się moim wykształceniem, czy zgodzi się zostać moim preceptorem, a don Fernando nie tylko się zgodził, ale przyrzekł, że tego samego dnia, w którym ukończę sześć lat, będzie do mojej dyspozycji.

Tego samego roku zmarł Sykstus V, którego na rzymskim tronie zastąpił Urban VII. Ten zmarł po kilku miesiącach, zanim rok dobiegł kresu, dlatego świat chrześcijański nazwał rok 1590 „rokiem trzech papieży”. I rzeczywiście na Boże Narodzenie rządził Grzegorz XIV, który w nieco większym stopniu cieszył się boską cierpliwością i przeżył do następnego roku. Król don Filip, nasz pan, mimo swych bolesnych niedomagań, dalej rządził imperium, w którym panował ogólny dobrobyt dzięki przywożonemu z Ameryki złotu i ciągłości władzy; korona miała przypaść synowi obecnego władcy, choć lud nie darzył na razie zaufaniem młodego następcy.

Chętniej oddawał się on zabawom rycerskim i sokolnictwu, niż rozrywkom z udziałem młodych dam, choć te nie starały się wcale ich unikać; jego indolencja i apatia w przepełnionym lubieżnością Madrycie tej epoki były powodem licznych plotek. Chodziło wszak o coś dziwnego, o czym rozmawiano w całym mieście, co przyczyniło się też do powstania licznych wierszy satyrycznych na najstydniejszych placach plotkarzy, i nie tylko

przypisywanych zuchwałemu Quevedo, co do pewnego stopnia byłoby zrozumiałe, lecz wielu innym poetom niezdolnym do ich napisania, takim jak don Tirso de Molina, don Lope de Vega, don Luis de Góngora, pan Vélez de Guevara, don Miguel de Cervantes i sam don Juan Hurtado de Mendoza. Nie było pewne, rzecz jasna, czy im należy przypisywać autorstwo, czy poetom mniejszym, którzy potrafili imitować ich styl z wielką precyzją i prawdopodobieństwem, nie był to jednak powód, by ludzie na dworze nie dowcipkowali i nie składali uszanowania ich domniemanym autorom bez względu na to, jak bardzo ci się od nich odzegnawali, a niektórzy nawet się na nie oburzali. Przyszły król don Filip III nic o tym nie wiedział, lecz mając apatyczne usposobienie, z pewnością nie zainteresowałby się szczegółami, które tak bardzo zajmowały jego poddanych. Taki był zawsze, wyobcowany i ulegający wpływom, do tego hedonista. Jednak Filip II wyznaczył go na swego następcę w przekonaniu, że to wystarczy, by zachować imperium w całości.

Charakter młodego następcy uformował się, kiedy tego samego 1590 roku, w którym skończył dwanaście lat, zachorował na melancholię, a w alkazarze nie rozumiano przyczyny tej przypadłości. I choć wkrótce go wyleczono, lud już nigdy nie przestał stroić sobie z niego żartów na ludowych zabawach, co ze swej strony zasmucało ministrów: don Francisca de Sandovala y Rojasa, księcia Lermę, jego syna don Cristobala, nieudolnego księcia Ucedę i don Rodriga Calderona, markiza Siete Iglesias.

Sława don Fernanda Ruiza de Alcalá jako uzdrowiciela dusz już dawno przekroczyła mury królewskich komnat, toteż kiedy infant don Filip zachorował, infantka doña Izabela Klara Eugenia, za przyzwoleniem królewskim, wydała odpowiednie rozkazy, aby to don Fernando przywrócił zdrowie jej przyrodniemu bratu. I wezwanie nadeszło we właściwym momencie, bo w gabinetach Świętego Oficjum opracowywano akurat raport o działaniach don Fernanda, podejrzanego o herezję, i tak zwani dworacy powstrzymali inkwizytorów, którzy, aczkolwiek niechętnie, musieli poczekać na lepszą okazję.

Infant miał dwanaście lat i wyraźnie było widać, że nie cierpi na melancholię, ale na rzeczywiste i głębokie znudzenie. Uzdrowiciel dusz nie musiał przeprowadzać żadnego badania ani snuć żadnych spekulacji, aby postawić celną diagnozę. Kiedy zapytał go, jakie były jego codzienne zajęcia, czemu poświęcał dni i jaką goryczą przepelniała go rutyna protokołu, zrozumiał, że ten chłopak, chociaż przyszły król, powinien uwolnić się od nudy i bawić się, przede wszystkim się bawić. Zawarł z nim więc cichy układ, którego infant przyrzekł dotrzymać, i z wielką pompą zapisał mu łyżkę truskawkowo-pomarańczowego soku, którą miał zażywać na śniadanie i na kolację, i zalecił, żeby codziennie przez dwie godziny bawił się z chłopcami w swoim wieku, których sam sobie dobierze; ponadto

powinien poświęcić jeszcze jedną godzinę na jazdę konną w dni przez siebie wybrane i jeden pełny dzień w tygodniu na polowanie z sokołami i jastrzębiami albo z arkebuzem wedle swego upodobania. Melancholia chorego niemal natychmiast ustąpiła, ale według zawartego układu musiał udawać przez kilka tygodni i, za poradą lekarza wyszeptaną na ucho, tę grę jeszcze przedłużyć. Po miesiącu, jeśli przyrodnie siostry, królewscy pomocnicy albo sam król będą coś podejrzewać. Tak też zrobiono. Od tej chwili nie martwiono się już infantem, a w nim nie było śladów smutku, dopóki nie przedstawiono mu doñi Margarity i nie nakazano, by w najlepszy znany sobie sposób pozdrowił swą przyszłą żonę.

Kiedy rozeszła się wieść o błyskawicznym wyleczeniu infanta przez don Fernanda, jego gabinet równie szybko wypełnił się synami i krewnymi biskupów, szlachty, poetów, filozofów, prawników, dydaktyków, teologów, ludzi wiary, zarządców, sędziów, skrybów, kopistów, notariuszy, adwokatów, promotorów, sekretarzy, bankierów i żołnierzy, a nawet nimi samymi, którzy zyskali odwagę do wyjawienia swoich przypadłości, tajonych aż do wtedy dla zachowania pozorów zdrowia i rzetelności. Uzdrowiciel nie był w stanie poradzić sobie z ich przyjmowaniem, więc mimo protestów don Tirsa, rozentuzjasmowanego zarządcy, który wreszcie widział, jak napełniają się szkatuły domu, przez tak długi czas tylko opróżniane, udał zapadnięcie na lekką chorobę, lecz wymagającą długiego leczenia, i obwieścił wszystkim, że powróci do praktyki dopiero za rok. Dzięki temu wybiegowi mógł odzyskać utracony spokój i poświęcić się swym pracom badawczym i studiom nad teoriami, które dopełniał uczonymi uwagami Al-Raziego, zawsze tak cenionymi.

I, jak mawiał, nie zważając na zdanie don Tirsa, mógł znowu przyjemnie spędzać wieczory na rozmowach z Klarą i na zabawach ze mną.

- Skąd ta niechęć do ożenku? - zapytała go pewnego dnia moja matka, odczuwając potrzebę usłyszenia konkretnej odpowiedzi. - Wiele młodych i pięknych kobiet chciałoby za ciebie wyjść...

- To nie niechęć, Klaro. Może powołanie.

- Ale czy ty rzeczywiście nie myślałeś kiedyś o ożenieniu się? - nalegała, niezdolna zrozumieć tego, co mówił. - Nie wiem, jak możesz myśleć o starości bez żadnej kobiety u swego boku.

- Nie zdajesz sobie sprawy z ogromu pracy, która mi towarzyszy i wypełnia mi czas...

- odrzekł z przesadą, otwierając ramiona, jakby chciał objąć uciekające powietrze.

- Mówi się, że czasu starczy na wszystko...

- Tak? Nie w moim przypadku... Z rana studiuję, w południe przyjmuję pacjentów, na deser pracuję, o zmierzchu odwiedzam ciebie, a nocami prowadzę badania w laboratorium.



Znasz jakąś kobietę, która chciałaby męża po to, by go nie oglądać?

- Wszystkie i każda z osobna - odpowiedziała z uśmiechem, który zapowiada wschód słońca. - Wszystkie i każda z osobna...

- Jesteś dzisiaj bardzo zabawna...

- Według mnie to bardziej celna uwaga niż zabawna...

- A swoją drogą, skąd to zainteresowanie moim ślubem? - Fernando uniósł do ust kieliszek słodkiego wina. - Tak mi dobrze.

- Samotność mogą kochać tylko zwierzęta albo bogowie...

Don Fernando zachował milczenie przez kilka sekund, po czym opróżnił kieliszek i odpowiedział:

- Ja nie kocham samotności: potrzebuję jej, na razie jej potrzebuję... Ale nie zwracaj na mnie uwagi... Nie jestem sam. - Znowu zamilkł, a następnie dodał: - Jakże mógłbym być samotny, skoro ty istniejesz?

\* \* \*

Następne lata upłynęły mi jak z bicza strzelił. W wieku sześciu lat codziennie przychodziłem do pracowni don Fernanda, który pokazywał mi to, co uważał za odpowiednie dla mojego wieku. Podobnie był wychowywany on sam w dzieciństwie przez strapionego poetę Antonia Sáncheza de Tovarą, zmarłego w 1583 roku w taki sam cichy i gderliwy sposób, w jaki żył, dalekiego od znalezienia uznania dla swej liryki i poszanowania jego osoby. Jedynie don Fernando wyrażał dlań uznanie, lecz dopiero po jego śmierci, czyli za późno, jak to zwykle bywa. Zawsze wymyślał dla mnie lekcje, żebyśmy mogli wytrzymać w laboratorium długie godziny, kręcąc się, przekładając słoiki i wężownice albo bawiąc się w wykonywanie prostych doświadczeń, które mi pokazywał, podczas gdy jako uzdrowiciel dusz przebywał w gabinecie, gdzie przyjmował pacjentów, albo siadywał w bibliotece i oddawał się pogawędkom z Benem al-Razim, swoim przyjacielem. Klara, moja matka, nie miała nic przeciwko temu, żebym zostawał w miejscu pracy don Fernanda, bo sądziła, że przy nim byłem tak bezpieczny, jakby to ona sama mnie pilnowała, a nawet powiedziała Teresie, mojej opiekunce, że jeśli don Fernando jej na to pozwoli, może wrócić do domu i dopiero o oznaczonej godzinie pójść mnie odebrać. Sam don Fernando jej to zaproponował:

- Zostaw chłopaka, niech sobie tutaj poćwiczy, to może zostanie mu w głowie trochę wiedzy.

- Ale będzie ci przeszkadzał... - zauważyła.

- Jeśli tak się stanie, natychmiast ci o tym powiem. W każdym razie bardziej przeszkadza obecność opiekunki niż jego.

- Powiem jej więc, żeby nie zostawała u ciebie, niech go tylko odprowadza i przyprowadza - zgodziła się Klara. - Co o tym sądzisz?

- Powiedz jej, że ja jej wskażę, kiedy może sobie pójść, a kiedy powinna zostać, ona niech będzie posłuszna.

- Dobrze. Tak zrobię.

W ten sposób minął okres pomiędzy rokiem 1592 i jesienią nieszczęsnego roku 1597, kiedy skończyłem jedenaście lat. Nauczyłem się wielu rzeczy, wliczając w to znajomość materii, których żadne dziecko w moim wieku nie miało okazji opanować, i od małego odróżniałem retortę od tygla i węzownicy. Przyrządy laboratoryjne wprawiały mnie w zdumienie; kiedy pozwalano mi rozdmuchać ogień albo zapalić piec, zdawało mi się, że wykonuję najpoważniejsze zadanie człowieka dorosłego i tym samym czułem się jak człowiek dorosły. Z tamtych lat pamiętam laboratorium, tak jak inni ludzie mogą pamiętać pokój zabaw, i pamiętam też, jak wiele godzin don Fernando i Al-Razi spędzali na rozmowach, siedząc na fotelach w salonie albo pracując pośród mózdzierzy, aparatów filtracyjnych, alembików i miechów, i nigdy nie dali mi do zrozumienia, że im przeszkadzam, ani nie musieli mnie strofować z powodu przerwania ich pracy.

A przez te lata oddawali się doświadczeniom, o których później się dowiedziałem, i podczas gdy don Fernando poprawiał swą znajomość arabskiego, Al-Razi uzupełniał swą wiedzę w języku hiszpańskim. Obaj poznali chemię, fizykę, matematykę i teologię w stopniu wyższym niż którykolwiek inny uczony w ich czasach, dlatego też nie rywalizowali ze sobą w tych dziedzinach Klara, moja matka, była jedyną osobą, która tęskniła w tych latach za bliskim ciepłem, kiedy co noc kładła się do zimnej pościeli. Nic nie mówiła ani nigdy nie wykonała żadnego gestu, który zdradziłby jej potrzeby. Jednak z czasem jej spojrzenie stawało się coraz bardziej matowe, uśmiech coraz mniej radosny, a oddech urywany. Im bardziej dostrzega się nieobecność kochanego mężczyzny, tym silniejsze jest przyciąganie do niego. Klara nie mogła przestać kochać don Fernanda, ale już nie poszukiwała sposobów na zaskarwienie sobie wzajemności. Lata dowiodły, że tylko ona go kochała i musiała ukryć tę miłość w trumnie swej duszy, aby nikt jej nie skradł; i przyjęła to uczucie bezwarunkowo, jak się przyjmuje przyjemność płynącą z oglądania obrazu, przywiązanie do ziemi albo poświęcenie Bogu.

Czasem wymawiała przez sen jego imię, chociaż nikt tego nie słyszał, lecz nigdy się nie zaczerwieniła, kiedy je wypowiadała przy nim lub przy mnie. Imię don Fernanda wymawiano też coraz częściej w mieście i w pałacowych sieniach. Od wyleczenia infanta i zachwytów nad szybkością, z jaką do tego doszło, często wzywano go do pałacu, gdzie jego

wysokość infantka doña Izabela Klara Eugenia zapraszała go na pogawędki przy filiżance gorącej czekolady i tacy ciasteczek przyniesionych z ciastkarni mistrza cukierniczego Pedra Gaspara, zaopatrzeniowca królewskiego domu. W Madrycie szybko dowiedziano się o tych wizytach, wzbudzających powszechną ciekawość pośród mieszkańców i dworzan, bo z zainteresowaniem śledzono wszelkie banalne wydarzenia w tej pogrążonej w znudzeniu społeczności. W gabinetach Świętego Oficjum nie ufano królewskim faworytom, brat Tomasz od Wszystkich Świętych, spowiednik infantek, otrzymał zadanie poinformowania ich, jak bardzo podejrzane są działania medyka w zaciszu jego laboratorium, na co infantki mimo zaufania, jakim darzyły braciszka, pozostały głuche; hierarchia kościelna wiedziała, że dopóki trwa przychylność rodziny królewskiej, nie sposób działać przeciwko don Fernandowi, a pragnęła tego coraz goręcej i podejmowała wysiłki w celu zdobycia nakazu aresztowania, ale zwlekała do czasu, aż będzie można przedłożyć go do podpisu samemu królowi. Zdecydowano się też zdobyć dowody, przesłuchując Al-Raziego; przemyślano nawet nad oskarżeniem go o spowodowanie, współnictwo i autorstwo herezji, ale po długich dyskusjach uznano to za bezsensowne w przekonaniu, że jedna wizyta don Fernanda w alkazarze wystarczyłaby, aby obalić podejrzenia i przywrócić Maurowi należną mu pozycję.

Hierarchia kościelna przez wszystkie wieki nigdy nie mogła zostać oskarżona o głupotę. Kościół z Rzymu pomylił się tysiąc razy i następny tysiąc pomylił się później, ale o ile początkowo miał w biednych swe królestwo, później miał je w przebiegłych, wybitnych i mądrych. I odkąd mnisi wzięli w swe posiadanie źródła wiedzy, zamknięci w klasztorach i opactwach jako skrybowie i kopiści, jako tłumacze i ilustratorzy, cała nauka znalazła się w ich posiadaniu i, co najważniejsze, mieli także prawo podejmowania decyzji co do tego, kto może mieć do niej dostęp, a kto nie. Wiedza dała im klucze do władzy i dzięki nim otwierali lub zamykali kufer wedle tego, co najbardziej im pasowało w danej chwili. Papieże, biskupi, opaci i mnisi, nawet najskromniejsi z braci, mogli liczyć na strumień bogactwa nieporównywalny z niczym, i wielu potrafiło dodać do wiedzy wyćwiczoną inteligencję i praktykę przenikliwości, dzięki czemu stali się zarówno właścicielami dusz, jak i rządcami wielu królestw. Nic więc dziwnego, że w roku 1590 i następnych cieszyli się lisimi uszami, psim węchem i sokolim wzrokiem. Zmysły zaś mieli tak wyostrzone, że niepotrzebna im była intuicja, by dojrzeć w don Fernandezie niebezpieczeństwo, a w jego mużułmańskim przyjacielu demona.

Bo jego działania nie były im obce.

Wystarczyło się dowiedzieć, jakie kupuje minerały, jakie uprawia rośliny, jakie posiada narzędzia i ile czasu spędza w sekretnych pomieszczeniach swego laboratorium, aby

zacząć go podejrzewać. I po przesłuchaniu don Tirsa, zarządcy, który nie stanowił dla kleru żadnego problemu ani nie oponował przy odpowiadaniu na wszelkie pytania, członkowie Świętego Oficjum nie mieli najmniejszych wątpliwości, jakie niebezpieczeństwo może stanowić dla wiary Fernanda Ruiza de Alcalá, i postanowili poczekać do pierwszej nadarzającej się sposobności, aby wydać nakaz jego aresztowania i rozpocząć odpowiedni proces.

Jak należało się spodziewać, Święte Oficjum w tej sprawie również się nie pomyliło. W żadnym razie nie powiem, niech Bóg broni, że don Fernando stwarzał jakieś niebezpieczeństwo dla naszej wiary, jak również, że diabelska była natura Bena al-Raziego, jego przyjaciela. Jednak ani jeden, ani drugi nigdy się nie pogodzili z ustaloną prawdą, a ponieważ byli uczonymi, nigdy nie odrzucili możliwości chodzenia po drogach innych niż te wyznaczone przez hierarchię, nawet ryzykując oskarżenie o herezję; przede wszystkim mieli bowiem na względzie, że złym uczonym jest ten, kto przyjmuje prawdę bez sprawdzenia jej albo odrzuca jej sprawdzenie ze strachu, że odkryje nieprawdziwość czegoś, co uważane jest za prawdę. A ponieważ byli mądrzy i niespokojni i tworzyli dziwne teorie w granicach wąskiej ścieżki wytyczonej przez Rzym i jego strażników, w tych samych latach rozpoczęli starania, aby te granice przekroczyć i dotrzeć do własnego przeznaczenia, którego wtedy nie byli w stanie sobie wyobrazić.

Wszystko rozpoczęło się podczas jednej z tych rozmów przy deserze, kiedy Al-Razi, zamyślony, zapytał don Fernanda:

- Czy udało ci się zrozumieć, po co żyjemy i dlaczego umieramy?

Pytanie nie było nowe dla don Fernanda, wiele razy je sobie stawiał, ale zaskoczyło go, że wyszło z ust Al-Raziego, którego uważał za człowieka znającego na nie odpowiedzi.

- A czy ty nie znasz powodów takiego stanu rzeczy?

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że tak - przyznał Al-Razi.

- Znam jednak sposób na przybliżenie się do ich poznania.

- Czy ten sposób ma jakąś nazwę, zarozumiały Maurze? - uśmiechnął się don Fernando, nie hamując grymasu niedowierzania.

- Tak. Nazywa się alchemią.

- Odpowiadasz mi bardzo poważnie.

- Nie ma rzeczy bardziej poważnej - stwierdził dobitnie Maur. - Gdyby istniała, też bym ją wykorzystał.

- Alchemia, powiadasz? Niewiele o niej wiem...

Don Fernando słyszał o tej dawnej nauce, nawet posiadał pewną podstawową wiedzę

na ten temat w szkolnych latach, ale przede wszystkim słyszał o jej potępianiu, ponieważ zbliżona jest do czarownictwa, rzucania uroków, tworzenia fetyszy i innych kultów satanistycznych. Słowo wzbudzało w nim lekki niepokój, który wzrastał wraz z wyuczonymi dogmatami wiary, jednak ciekawość była silniejsza. Dlatego chciał się dowiedzieć, co jego przyjaciel myśli na ten temat.

- Ja w nią wierzę, Fernando - powiedział po cichu Al-Razi. - I mam nadzieję, że jako mój przyjaciel nigdy nie będziesz rozpowiadał o tym przekonaniu.

- Przypuszczam, że groziłoby ci wielkie niebezpieczeństwo... - przyznał don Fernando.

- Na każdego alchemika, który wyjdzie poza dopuszczalną wiedzę, czeka rozpalony stos. A ja już bardzo dawno temu przekroczyłem tę granicę...

Don Fernando spojrział na niego zaintrygowany, nie do końca rozumiejąc, co chce powiedzieć. Jeśli Maur wiedział o czymś, czego on jeszcze nie wiedział, chciał to poznać. Tysiące religii, ze wszystkimi ostrzeżeniami i groźbami, nie powstrzymałyby go przed tym.

- Opowiedz mi o tym, proszę - poprosił Kastylijczyk.

- Wiele ryzykuję - wahał się Maur.

- Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie?

- To nie jest powód. Mógłbym o tym mówić spokojnie tylko wtedy, gdybyś mi powiedział, że prawda znaczy dla ciebie więcej niż przyjaźń.

Kastylijczyk zawahał się kilka sekund. Przypomniał sobie zdanie opracowane w ramki w gabinecie Al-Raziego: „Prawda jest prosta” i pomyślał, że skoro jest tak prosta, ważniejsza jest przyjaźń, tak skomplikowana i trudna do zbudowania.

- Nie rozumiem... Wolisz prawdę od uczucia?

- W nauce nie ma sentymentów, tylko fakty.

- Ale... nie rozumiem. Czy może alchemia jest nauką?

- Nie, Fernando, przyjacielu. Alchemia nie jest nauką, jest Nauką przez duże N.

Don Fernando nie mógł tego więcej znieść. Wstał z fotela, podszedł do szafy, w której trzymał książki i niektóre ze swych świętych przedmiotów, otworzył szufladę i wyciągnął z niej drewniany krzyż oraz sztylet ze srebrną rękojeścią, zwieńczoną rubinem, który należał do jego ojca. Pokazał oba przedmioty Al-Raziemu, unosząc je z wielką pieczołowitością, i powiedział:

- Na krzyż czy na szpadę?

- Nie wymagam, byś przysięgał.

- Chcę to uczynić.

- No, to przysięgnij na sztylet - zdecydował Maur. - Będzie ci bardziej użyteczny, żeby wyrwać z siebie życie, jeśli na ulicy zaczną krążyć plotki, że jesteś alchemikiem.

Ostrożnie zamknęli drzwi i podparli je. Sprawdzili, czy nikt nie podsłuchuje, a mimo to mówili po cichu. Maur westchnął głęboko, a Kastylijczyk wstrzymał oddech.

Był wtorek, 11 listopada, i była to najcichsza godzina w świecie, kiedy Al-Razi wypowiedział pierwsze słowa:

- Na moc, której udzielił mi Hermes Trismegistos, na Szmaragdową Tablicę i mój honor uczonego, dowiodę ci, że największa z prawd, a nie jest ona inna niż ta, której musisz się nauczyć, to prawda tchnięcia ducha w materię i materializowania ducha.

- Kontynuuj.

Al-Razi odetchnął głęboko. Jeszcze się wahał, ale Kastylijczyk był człowiekiem godnym zaufania, a musiał się przed kimś otworzyć.

- Słuchaj, mój dobry przyjacielu: alchemia zawiera cztery podstawowe cechy, które musisz przyjąć. Pierwszą jest to, że w powstaniu Wszechświata brała udział pewna inteligentna świadoma energia.

- Bóg?

- Dla jednych jest to Bóg, dla innych nie. Wystarczy, że zgodzisz się, iż ta energia istniała i działała jako przejaw tego, co było na początku, oraz tego wszystkiego, co powstało potem.

- Zgadzam się. - Fernando skinął głową na potwierdzenie swych słów.

- Dobrze. Po drugie, musisz wierzyć w istnienie pewnej możliwej formy nieśmiertelności fizycznej istoty ludzkiej.

- Naprawdę? - Fernando nie potrafił pohamować radości. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chcę w to wierzyć! Bo choć jeszcze nie mogę tego dowieść, od dawna to podejrzewam. Muszę przeprowadzić pewne badania na tym polu, aby moje przekonanie wesprzeć na naukowych fundamentach, zapewniam cię jednak...

- Prowadź badania, jakie chcesz - przerwał mu Al-Razi - tymczasem jednak musisz w to głęboko wierzyć. Nadejdzie czas, że będziesz mógł tego dowieść.

- Tak zrobię, możesz być tego pewien. A trzecia?

- Trzecią cechą, którą musisz zaakceptować jest to, że można przedstawić świat w postaci materialnej, opierając się na prawach zarówno nieuchwytnych, jak nieuchronnych i nieuniknionych, przeciwko którym nie można walczyć.

- Każde prawo jest nieuchwytnie - zauważył Fernando.

- Ale nie każde jest nieuniknione. Zważ, jak wiele wojen i zwycięstw obaliło prawo aż

do tego czasu niewzruszone. Jednak prawo alchemiczne jest nieuchronne, nie można walczyć przeciw niemu.

- Musisz mi to wyjaśnić.

- Będziesz musiał w nie uwierzyć.

- Uwierzę. A czwarta?

- Czwarta jest bardzo prosta: zgodzisz się, że alchemicy, tak samo jak wszyscy uczeni, wiedzą o istnieniu pewnych technik metalurgicznych, bardziej zaawansowanych, niż chce to przyznać kościelna hierarchia i niektórzy uczeni posłuszni władzy świeckiej.

- To oczywiste. Oni nigdy nie dopuszczają do siebie myśli, że istnieje większa wiedza niż ta, którą posiadają. Ze swej natury każdy mędrzec jest konserwatystą: nie może dopuścić myśli, że istnieje jakaś inna gałąź nauki niż ta, którą sam reprezentuje, bo w takiej sytuacji musiałby oddać swe stanowisko mędrca innemu uczonemu. Nie wątpię w twoje słowa...

- No, to dobrze. - Al-Razi rozparł się na krześle. - Skoro te cztery fundamenty istniały już w cywilizacji egipskiej, mezopotamskiej, hinduskiej i chińskiej, a do tego jeszcze pośród nas, Arabów, i w samej Grecji, nie ma powodu, by nie istniały w naszych czasach. Ukrywamy to, bo zabrania się o tym mówić pod karą śmierci, jednak nauka nie może się zatrzymać przed groźbą stosu czy lawiną religijnych zakazów. A już na pewno nie z powodu starych mędrców, którzy nie dopuszczają do jej rozwoju. Tak więc musisz tylko zdecydować, czy chcesz przyjąć nasze zasady, czy też wolisz pozostać w ignorancji.

- Nasze? - Fernando zmarszczył czoło zaintrygowany. - Do kogo się odnosisz, kiedy mówisz o nas?

- Do alchemików, rzecz jasna.

Don Fernando zamyślił się. Ben al-Razi, widząc go w takim stanie, zaproponował zakończenie rozmowy w tym punkcie i kontynuowanie jej kiedy indziej, w przypadku gdyby postanowił oddać się studiom nad prawdziwą wiedzą.

Don Fernando uznał propozycję przyjaciela za słuszną, odetchnął głęboko i zaczął się zastanawiać, obiecując udzielić mu odpowiedzi najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Nie ma pośpiechu - uśmiechnął się Maur. - Jeśli chcesz otworzyć drzwi do prawdziwej nauki, tej, która rozwija się od ponad czterech tysięcy lat, czas nie ma znaczenia. Ważne jest tylko to, czy pragniesz poznać prawdę.

- Tę prostą prawdę? - ironizował don Fernando.

- Gdyby nie była prosta, nie byłaby nią - odpowiedział Al-Razi poważnie.

\* \* \*

Don Fernando obawiał się reakcji najbardziej radykalnych członków inkwizycji, jeśli

zaakceptuje nauki alchemii, a bardziej jeszcze prześladowań, których celem byli alchemicy traktowani na równi z heretykami, gdyż znajdowali w alchemii elementy wypaczające chrześcijańską wiarę. Niemniej, aby zamknąć na kłódkę swe strachy i zyskać pewność, że nie obraża Boga ani ludzi, odszukał w literaturze odpowiedzi, które mogły wesprzeć jego decyzję, choć od pierwszej chwili jego pragnienie było tak oczywiste, że do przyjęcia tej nowej nauki potrzebował tylko dobrej zachęty mistrza, którego by szanował i który swymi argumentami dostarczyłby mu usprawiedliwienia przed samym sobą.

I bardzo szybko je odnalazł. Kiedy dowiedział się, że król Filip II nakazał kanonikowi Juanowi Segui z Majorki napisać *Życie i czyny chwalebnego doktora i męczennika Ramona Llulla* i że jego ojciec, król Karol V, także był zapalonym lulistą (lulizm mógł być uważany za gałąź alchemii przez swą ścisłą geometryczną strukturę i był uznawany przez Kościół), natychmiast został przekonany do doktryny Llulla, który był entuzjastą nauki hermetycznej w aspekcie nie tylko teoretycznym, lecz także praktycznym, tak jak i sam Segui, a nawet don Pedro Dagui, mędrzec, który towarzyszył w podróżach Królom Katolickim, Ferdynandowi Aragońskiemu i Izabeli Kastylijskiej. I kiedy don Fernando dowiedział się w końcu, że architekt don Juan de Herrera buduje Escorial zgodnie z teoriami mającymi swe podstawy w doktrynalnej alchemii, jakie wykładał w swym kabalistycznym *Traktacie o ciele przestrzennym wedle pryncypiów i opinii sztuki Raimunda Lluli*, postanowił zgłębić tajniki tej dziedziny wiedzy, nie znajdując przeciwwskazań zmuszających go do jej odrzucenia lub zignorowania.

Gotów był poinformować Al-Raziego o swej decyzji, kiedy wezwała go Klara, prosząc, by przybył natychmiast. Zaskakujące było to wezwanie nie tyle z powodu niezwykłej pory, ile z racji powagi sytuacji, jaką zdawało się sugerować. Natychmiast udał się do jej domu i stwierdził, że naprawdę istniały powody do pośpiechu: zastał ją na kanapie w salonie, przygnębioną i bardzo bladą, z zapadniętymi oczyma i białymi ustami. Kiedy wszedł do salonu, ona nie powitała go uśmiechem i miłymi słowami, jak to miała w zwyczaju, lecz nadal siedziała z poważnym i nieruchomym obliczem. Don Fernando się przybliżył, ucałował jej dłoń i popatrzył głęboko w oczy.

- Jesteś chora - powiedział.

- Być może - odparła znużona. - Dzisiaj znowu poczułam atak paniki. Jestem przerażona.

- Następny atak? Kiedy miałaś poprzedni?

- Ach, Fernando... Jak niewiele o mnie myślisz. Może nie pamiętasz, że kiedy byliśmy dziećmi i weszłam na drzewo, musiałeś mnie z niego ściągać?



- Oczywiście, że pamiętam - odpowiedział Fernando. - Ale tamto... nie wiem, byliśmy mali...

- I nie pamiętasz, że miałam atak przerażenia?

- Doskonale pamiętam.

- Dzisiaj rano się to powtórzyło, kiedy wychyliłam się przez okno na poddaszu. Co to takiego, Fernando? Myślisz, że umrę?

- Umrzesz...? Oczywiście, że nie. - Fernando usiadł u jej boku i wziął ją za rękę, żartując, aby dodać jej otuchy. - Nie umrzesz, chyba że zamiast odczuwać strach, nabierzesz ochoty, żeby sobie polatać, jakbyś była jaskółką, i rzucisz się z góry na ziemię. Można jednak wiedzieć, co takiego robiłaś na poddaszu?

- Patrzyłam w niebo, żeby zobaczyć, czy jakiś szklany ptak przyniesie mi od ciebie wiadomość - uśmiechnęła się Klara. Don Fernando również się uśmiechnął i ponownie pocałował ją w rękę. Następnie znów spojrzął jej w oczy i dostrzegł chmurę, która mu się nie spodobała.

- Śpisz dobrze?

- Nie.

- Co czujesz?

- Samotność.

- I strach?

- Też.

- Czego się boisz?

- Samotności.

Don Fernando zamyślił się, wahając się, czy odpowiedzieć na ten krzyk, który Klara wznosiła swym ledwie dosłyszalnym szeptem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że lekarstwem na tę samotność był on sam, zbyt wiele razy sugerowała to bez słów. Nie widział jednak możliwości, by spełnić to jej pragnienie. W zamian przybrał postawę profesjonalisty, przez co zburzył atmosferę zauroczenia, którą przez chwilę można było oddychać w salonie.

- Z dzieckiem w domu i przyjacielem takim jak ja w mieście nigdy nie powinnaś czuć się samotna - powiedział beznamiętnym tonem. I dodał:

- Tej nocy wypijesz szklankę gorącego mleka z łyżką miodu. I jeśli nie będziesz spać jak dziecko, jutro przyniosę nalewkę, którą sam przygotowałem. Uśpi cię, zobaczysz.

- Ja nie chcę lekarstwa na spanie, Fernando... Nie znasz jakiegoś innego lekarstwa na samotność?

Don Fernando umilkł. Klara, moja matka, przymknęła oczy i słabo się uśmiechnęła,

odwracając głowę w stronę okna wychodzącego na ulicę, po której w tej chwili nikt nie przechodził. Na samotność nie ma lekarstwa, pomyślał. A gdyby takie lekarstwo istniało, to nie on by je przepisywał...

I miał rację. Wszak uzdrowiciel dusz wynalazł wiele lekarstw przeciwko bezsenności, wszystkie na bazie ziół. Lipa, waleriana i rumianek były najbardziej skuteczne, ale udało mu się sporządzić też użyteczne napary z chmielu, szaławii, dzikiego hiacyntu, malwy, mięty, koniczyny i pierwiosnków; ponadto posiadał pewne eliksiry otrzymane z mieszanek octu, miodu i malwy albo z mleka, waleriany i wina, które doskonale nadawały się do przywoływania snu. Jednak lekarstwo na samotność Klary nie powstawało w laboratorium, ale wzrastało z nasienia zasadzonego w woli don Fernanda, tak zakorzenione, że zabraniał mu rosnąć. Na bezsenność istniały mikstury, ale na samotność jedynie uczucia. I don Fernando nie odważył się zapisać jej tych ostatnich, kiedy jeszcze istniały te pierwsze.

Jeśli Klara dalej nie będzie sypiać, poda jej jeden z tych medykamentów, bo dojrzał chmury w jej oczach, których nigdy wcześniej nie widział i które sprawiły, że poważnie zadrżał o jej zdrowie.

Przez kilka następnych miesięcy Al-Razi wprowadzał don Fernanda w tajniki hermetyzmu. Zdrowie mojej matki nie chciało się poprawić, ale dzięki lekom don Fernanda zaczęła przynajmniej sypiać po kilka godzin i zdawała się bardziej wypoczęta, choć ten błysk spojrzenia, uśmiech, który nigdy nie schodził z jej ust i pragnienie wyrwania życiu okruczeństwa, kiedy siedziała przy stole lub rozmawiała ze swym przyjacielem, straciła chyba na zawsze. Don Fernando poinformował Al-Raziego o swych niepokojach związanych ze zdrowiem mojej matki, lecz Maur tak samo jak i on wiedział, że jedynym lekarstwem byłaby odwzajemniona miłość, i wołał nie wpływać na działanie swego przyjaciela, którego stosunek do małżeństwa doskonale znał.

- Jej choroba nazywa się melancholią - wyjaśnił. - Kiedy nadejdzie ładna pogoda, wszystko się zmieni.

- Nie podoba mi się to, co zobaczyłem w jej oczach - powiedział Fernando.

- W oczach widać jedynie noc śmierci.

- Ja zobaczyłem chmury...

- Zabierze je słońce, nie martw się...

Te dni były szczególnie pracowite dla don Fernanda, który poznawał podstawy filozoficzne alchemii i tajemnice hermetyzmu. Al-Razi udzielił mu lekcji:

- W tych czasach wszyscy uczeni postrzegają naukę jako odrębne dziedziny, o których myślą, że nie są ze sobą powiązane. Mylą się. I tym właśnie wyróżnia się alchemia: musisz

wiedzieć, że natura to jedność; to kompendium wszelkiej wiedzy, którą należy zgłębiać jako całość, jako jedyną naukę. Dlatego alchemia jest uporządkowana w koncentrycznych sferach, których środkiem jest poznanie samego siebie i natury. To tajemnica niebiańskiej mechaniki, sekretny sposób wyjaśniający, że wszystkie rzeczy powstały z „Jedni” i poprzez alchemię powinny do „niej” wrócić. Jak podaje *Crisopea*, „»Jednia« jest wszystkim, i z tego wszystkiego, a jeśli nie zawiera wszystkiego, wszystko jest niczym”.

- Będziesz musiał lepiej to wyjaśnić, Al-Razi. - Fernando pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie jest w stanie tego pojąć.

- Zacznijmy więc od początku. - Maur zamknął oczy i nabrał powietrza w płuca. - Musisz zapamiętać myśl, że wszystko, co istnieje, ma podstawową i jedyną przyczynę: pierwszą. I jest tak zarówno w przypadku przejawów życia zwierzęcego, roślinnego, jak i tworów nieożywionych. Nazywamy to uniwersalnym duchem stworzenia.

- Odnosi się to także do człowieka?

- Oczywiście. Hermes był wielkim alchemikiem, dlatego jego nauka nazywa się hermetyzmem. On nam wyjaśnił, że człowiek jest mikrokosmosem albo „małym światem”, który zawiera wszystko to, co posiada „wielki świat” albo makrokosmos. Zwróć uwagę: makrokosmos ma dwa światła, Słońce i Księżyc, które także posiada człowiek: oko prawe, reprezentujące Słońce, i oko lewe, przedstawiające Księżyc. Co więcej, jeśli w makrokosmosie są góry i wzgórza, człowiek posiada ciało i kości; jeśli makrokosmos ma niebo i gwiazdy, człowiek ma głowę i uszy; jeśli makrokosmos ma dwanaście znaków zodiaku, człowiek także je posiada, od małżowin usznych do stóp. Nie zapominaj, dobry przyjacielu, że jeden jest duch, jedna natura i jedna możliwa wiedza. I wszystkie te trzy elementy są ze sobą związane niezakłóconą harmonią.

- Skoro tak jest, skąd bierze się ta jedyna i prawdziwa wiedza? - Fernando jeszcze okazywał niedowierzanie.

- Z Natury.

- I nie wystarczają te liczne narzędzia i wynalazki, które daje nam technika, aby odkryć tajemnice natury?

- Nie, dlatego, że żadne szczytce nie są w stanie otworzyć duszy.

Słowa te były celne, lecz ich zawartość trudna do zrozumienia i do przyjęcia. Don Fernando chciał się na początek dowiedzieć, skąd pochodzą podobne słowa i jak bardzo są wiarygodne.

- Pragnąłbym też usłyszeć, kim w rzeczywistości był ten Hermes.

- Hermes Trismegistos, zwany „trzykrotnie wielkim”, to Thot, egipski bóg chroniący

wszelkie sztuki, bóg stworzenia. Jest także Hermes posłańcem bożym, bogiem materialnego światła, nieba i piekieł. I jest Merkurem, początkiem życia i śmierci. Symbolizuje, jak się dowiesz, całą tajemną wiedzę starożytnych czasów. Wiesz, że wielki Jamblich utrzymuje, iż napisał trzydzieści sześć tysięcy pięćset dwadzieścia dziewięć tomów na temat wszystkich nauk?

- I to prawda?

- Kto wie? Sądzę, że nie, bo ta liczba w przybliżeniu oznacza liczbę dni zawartych dokładnie w stu latach. Prawdą jednak jest, że najmądrzejsi mistrzowie greccy pewnie znali część jego dorobku, choć nie pozostawił aż tyle napisanych dzieł. W przeciwnym razie nie byłoby zrozumiałe, dlaczego Platon pisał z taką precyzją o sferach, Pitagoras z taką lekkością mówił o proporcjach, Demokryt wiedział tak wiele o atomach, Sokrates o ezoteryzmie, a Arystoteles o żywiołach, wszystkich aspektach podstawowych tej pojęciowej myśli alchemicznej.

- Sądziś, że mogli dotrzeć do tej filozofii i podobnej wiedzy w inny sposób? Czy nie wystarczył im rozum albo droga refleksji, której byli tak oddani?

- Nie sądę. Bez wątpienia wszyscy oni znali zawartość Szmaragdowej Tablicy.

- Szmaragdowej Tablicy? Już drugi raz o niej mówisz...

- Tak, ale zostawmy ją na razie... - powiedział bardzo ostrożnie, półgłosem, jakby żałując, że do niej się odniósł. - Jeszcze będzie czas do niej wrócić. Pokażę ci coś...

- Co to takiego?

- Patrz.

Al-Razi rozłożył na stole ogromną grawiurę zawierającą górną połowę Słońca, a wokół niej anioły i inne postacie. W wewnętrznym półkolu gwiazdy jawiły się różne koncentryczne okręgi z różnymi napisami i różnorodnymi skrzydlatymi zwierzętami. Wewnętrzna część grawiury pokryta była chmurami, a pod nimi widniała Ziemia, podzielona pomiędzy światło i mrok, gdzie przedstawiano ludzi, zwierzęta, drzewa i kamienie między małym Słońcem i Księżycem w pełni; pośrodku zaś tego wszystkiego tkwił mężczyzna brodaty i krzepki, okryty królewską peleryną wyszywaną gwiazdami aż do stóp.

- Nie rozumiem, co to oznacza - odezwał się Fernando.

- To część licznych symboli alchemicznych, z którymi będziesz musiał się zaznajomić. Będę ci je stopniowo wyjaśniał. - Al-Razi pokazywał wskaźnikiem różne elementy tworzące grawiurę. - Oto wyobrażenie alchemika, który już wkroczył w tajniki dnia i nocy, światła i mroku. Tryumfuje jak król, widzisz? Po jego prawej stronie przedstawiono pryncypia męskie: lwa gotowego do skoku o dzikim spojrzeniu, Słońce, mężczyznę, Feniksa i

źródło ziemskiego ognia, wszystkie cieszą się światłem dnia. Po jego lewej stronie, i w mroku, przedstawiono pryncypia żeńskie: Księżyc, kobietę, której piersi emanują życiodajnym płynem, orła i źródło czystej wody wydobywającej się z ziemi. Jak widzisz, wokół alchemika tworzą się metale, przedstawione jako krąg drzew z filozoficznego ogrodu, a nad nim widnieją inne zwierzęta symbolizujące kolejne stany Wielkiego Dzieła: kruk od zgnilizny, struś od kalcynacji, rtęciowy smok, pelikan od pochłaniania, Feniks, a tutaj kamień filozoficzny.

- To bardzo ładne... - Fernando z zafascynowaniem oglądał obraz.

- Popatrz teraz tutaj, trochę wyżej, na tych kołach, które nazywamy anielskimi sferami, możesz ujrzeć Świętą Trójcę: mistycznego Baranka, tetragram Boga i Ducha Świętego. Z tej sfery, drogi Fernando, wytryska życie...

- Wielka mozaika! - wykrzyknął Kastylijczyk. - Wszechświat zawarty w grawiurze. Wszystkie nauki w jednej.

- W jednej Nauce - odetchnął głęboko Al-Razi.

- Fantastycznie... - Fernando był podniecony.

- To nie fantazja, tylko rzeczywistość. Ostrzegałem cię...

- I teraz widzę, że miałeś rację.

Al-Razi wyglądał na zadowolonego z uzdolnień swego przyjaciela. Miał właśnie zakończyć pierwszą lekcję i zrobił ruch, aby usiąść i pozwolić odpocząć don Fernandowi, ale nie mógł odeprzeć pokusy wyjaśnienia mu jeszcze jednej rzeczy. Chciał, by uczeń miał o czym myśleć tej nocy, i zdecydował, że będzie to najlepsza chwila, aby wryć mu w pamięci niektóre pryncypia, nawet jeśli ich jeszcze nie zrozumie.

- Zapamiętaj to, co tu napisano, na tym pergaminie, mój dobry przyjacielu: „Podstawowym celem Wielkiego Dzieła jest połączenie przeciwności, rozwiązanie par antynomicznych w trzecim bycie, powstałym z dwóch poprzednich, ale zachowującym naturę zharmonizowaną każdej z nich. Starożytni mistrzowie zwali ją Rebis, rzecz podwójna, gdyż jest rozwiązaniem całej dialektyki harmonii. Zawsze ją przedstawiano jako istotę androgeniczną, istotę stworzoną przez sztukę i duszę. To chwalebne ciało, które przywołują słowa alchemika, kiedy mówi: »Wszystkie się łączą w jedno, które jest podzielone na dwoje«”.

- Wystarczy, proszę - zażądał Fernando. - Zakręci mi się w głowie, jeśli będziesz używał języka hermetycznego...

\* \* \*

Rok Pański 1596 dobiegał końca, kiedy moja matka zapadła na ciężką chorobę. W

Rzymie rządził duszami papież Klemens VIII od 1592 roku, kiedy to zastąpił chorowitego Innocentego IX, który przeżył zaledwie rok pontyfikatu, a rolę świeckiego obrońcy chrześcijaństwa odgrywał nadal król Filip II, już chory, niemal na łożu śmierci, a mimo to zawzięty w zwalczaniu heterodoksji Francuzów i Anglików, tak szkodliwych dla zdrowia katolicyzmu. Miałem dziesięć lat życia za sobą, kiedy zachorowała moja matka, ale doskonale pamiętam zatroskane oblicze don Fernanda, a także naszego dobrego przyjaciela José de Córdoby, którego w domu zawsze zwaliśmy Al-Razim albo po prostu Benem. Obaj zarazili mnie swym zatroskaniem i wprawili w przygnębienie, choć w swej niewinności ja widziałem w matce tylko kobietę, która z powodu przelotnego złego samopoczucia spędzała kilka dni w łóżku.

To prawda, że wyglądała na bladą, zniechęconą i bez życia i że pod oczyma miała ciemne podkowy; kiedy jednak siadywałem obok niej i opowiadałem jej, czego się nauczyłem tego dnia w domu don Fernanda i jakie eksperymenty pozwolił mi przeprowadzić w swoim laboratorium, zdawała się mnie słuchać, a nawet czasem się uśmiechała. Mnie jej przypadłości nie wydawały się poważne, kiedy jednak przychodził mój mistrz i patrzył na ten poważny grymas wykrzywający jej usta, zdarzało mi się odczuwać obawę.

- Mama jest chora? - pytałem go.

- Tak - odpowiadał lakonicznie.

- Umrze?

- Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, Alonso - mówił, kładąc mi rękę na głowie. - Ale na twoją mamę jeszcze nie przyszła pora.

Niemniej siadywał przy niej, mierzył jej gorączkę, badał puls na szyi i patrzył w oczy, może sprawdzając, czy gdzieś na ich dnie nie zaczął się noc. A później rozmawiał z nią, aż przychodził Al-Razi, z którym wymieniał poglądy na temat najskuteczniejszych dla niej lekarstw.

- Oddycha dobrze. Sądzę, że choroba nie dotyczy płuc - informował Maur.

- A serce bije bez pośpiechu - dodawał Fernando. - To też chyba nie jest przyczyną choroby.

- Zmierzyłeś jej temperaturę?

- Nieznacznie podwyższona.

- A fluidy?

- Oddaje niewiele moczu, ale i pije mniej. Nie podoba mi się to, że nie ma apetytu...

- Tak więc, mój kochany licencjacie Ruizie de Alcalá, pacjentka nie należy do mnie. - Al-Razi wzruszał ramionami i kręcił głową. - Cierpi na duszę, a w tej materii to ty jesteś

specjalistą.

- Na duszę?

- Już ci raz powiedziałem. Melancholia jest chorobą duszy. Tylko ty możesz znaleźć na nią lekarstwo.

Don Fernando nie mógł spać tamtej nocy. Słowa Maura były celne jak strzał z kuszy; celne, bo on myślał to samo. Prawdziwe jednak były czy nie, nie miał zamiaru zmieniać swego sposobu myślenia i zawierać związku z Klarą, mimo że ją kochał. I wiedząc, że ją kocha, dręczył się w gorączce i bezsenności, zadawał sobie pytanie, dlaczego jego serce nie przestawało przemawiać nawet na chwilę i sugerowało mu, by połączyć swe życie z jej życiem, skoro w sumie ta perspektywa nie wydawała mu się wstrętą, lecz wręcz przeciwnie, miła i obiecująca. Jednak małżeństwo w takiej chwili, dokładnie w momencie, kiedy miał wkroczyć w dziedzinę poszukiwania odpowiedzi podstawowych dla natury ludzkiej i dla wyleczenia przytłaczającej większości chorób duszy, zdawało mu się nieodpowiednie i nie na miejscu. Noc była długa, bardzo długa, a jego myśli intensywne. Cierpiał przez Klarę, bo ją kochał i dlatego, że rozumiał, iż koniec jej cierpień oznaczał początek jego cierpienia, lecz z drugiej strony, wiedział, że nie czułby się dobrze, gdyby nie próbował zaradzić złu panoszącemu się na świecie. W konflikcie tym szczęście Klary przeciwstawione było kompromisowi badacza, więc dla don Fernanda ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie było w pełni satysfakcjonujące. W małżeństwie byłby co prawda szczęśliwy, lecz ten kompromis zaszkodziłby jego pracy; nie żeniąc się, byłby szczęśliwy jako uczyony, lecz odczuwałby niekończące się wyrzuty sumienia. Tymczasem, myślał, Klara leżała w łóżu, toczona melancholią, czekając, aż ją przytuli i przysięgnie, że nigdy nie przestanie tego robić. Jednak natychmiast odpowiadał sobie, że nie jest typem czułego męża, że złamie każde przyrzeczenie i że następujące po tym zło będzie znacznie gorsze niż przyczyny obecnego jej cierpienia.

Don Fernando nie spał tej nocy. Po głowie chodziły mu myśli o tchórzostwie i egoizmie, ale także o miłości, potrzebie i dobroci, których ataku u siebie nigdy wcześniej by się nie spodziewał. Dlaczego wszystko było takie skomplikowane? Miłość, znowu miłość... Nigdy mu się nie udało dowiedzieć, czym jest, ale jej sakramentalne przedstawienie, małżeństwo, często widywał wokół siebie. Być może powinien ożenić się z Klarą, pomyślał, i położyć kres tym wszystkim utrapieniom a może nie powinien ponownie o tym myśleć, ale zając się Klarą, jak się zajmuje każdym innym pacjentem skarżącym się na przygnębienie, zgorzknienie i melancholię. W sumie, medytował, małżeństwo pewnie nie przysporzy aż tylu kłopotów, a celibat - aż tak wielkiego szczęścia. Po co więc ta cała walka? Jeśli się nie ożeni, skrzywdzi kobietę, którą kocha, małżeństwo zaś oznaczało jedynie niewielkie opóźnienie w

pracy spowodowane koniecznością dzielenia czasu pomiędzy dom i laboratorium.

Powoli zaczynało świtać, a on po tak długim nocnym roztrząsaniu problemu jeszcze nie rozproszył swych wątpliwości. Zaproponowanie małżeństwa Klarze oznaczało także zdradę pamięci najlepszego przyjaciela, jakiego miał; jednak niezaproponowanie małżeństwa pozostawiało w bólu jedyną kobietę, którą kochał. Ani jedno rozwiązanie, ani drugie nie było dobre, mówił sobie, lecz jego opór słabł i głęboko w sercu rodziło się niezłomne postanowienie, by się żenić bez względu na wszystko.

Jako człowiek nauki z doświadczenia wiedział, że kiedy raz otworzy się szczelinę wątpliwości w murze stanowczych przekonań, nowa myśl odnajdzie sposób, by się przez nią precyzyjnie, a potem poszerzy ją i całkowicie rozsadzi hamującą ją barierę.

Niemądre więc byłoby oponowanie: ożeni się z Klarą. Postanowił to nieodwołalnie, kiedy słońce obdarzało swymi pierwszymi promieniami przeciwległy narożnik jego łóżka. Ożeni się z nią, bo ją kocha, ale przede wszystkim dlatego, że nie zamierzał dopuścić, aby jej choroba rozwijała się z jego winy. On mógł ją nadal kochać, nie biorąc z nią ślubu, ale ona nie przeżyłaby, nie wychodząc za niego za mąż.

Jakże skomplikowane jest życie, powiedział na głos, zanim wstał z łóżka. Nie jest warte tego wysiłku, który musimy włożyć w jego przeżywanie...

\* \* \*

Odczekał na właściwy moment poranka, aby jego wizyta nie została uznana za nieelegancką. Chodził niespokojnie podczas śniadania, które ograniczyło się do jednego surowego jajka, dwóch śliwek i garści rodzynek. Następnie usiadł w salonie i zaczynał czytać cztery czy pięć razy pod rząd; szybko zdał sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy kończył pierwszy paragraf, musiał go ponownie przeczytać, bo nie rozumiał treści, a wtedy pojął, że jego głowa znajdowała się daleko stąd i nie pozwalała mu się skupić.

Gwałtowne i niespodziewane wtargnięcie do salonu don Tirsa, zarządcy, który nie wiedział, że jego pan wstał już mimo tak wczesnej pory, dało mu powód do zamknięcia książki i ulżenia sobie. Nie miał zamiaru zranić zarządcy, ale uznał za zabawne, że za jego niepokój zapłaci ten, kto pierwszy stanie mu na drodze, i podziękował Bogu, że tym kimś był księgowy.

- Wężowe języki rozpuściły wieść, że znacznie powiększyliście swój majątek - odezwał się, nie nadając głosowi tonu przygany ani nie zamierzając wszczynać żadnej dysputy, lecz jedynie skarcić skąpca.

- Nie wiem, o czym mówicie, panie - zarządca poczuł się dotknięty.

- O tym, że w okolicy plotkują, iż w moim domu zarabiacie jakoby książęcą pensję,



co, jak sędzę, powinno być powodem do zadowolenia dla nas obu, wszak mówi się dobrze o waszym zarządzaniu i o mojej szczodrości, nie sędzicie?

- To jest ciężka kalumnia! - Don Tirso poczerwieniał, pozwalając, by złość go zdradziła. - Macie do swojej dyspozycji wszystkie rachunki, jeśli chcecie to sprawdzić!

- Ale... ja was nie oskarżam, don Tirso! - ton głosu Fernanda nie był tak poważny, jak służącego. - Doskonale wiecie, że Madryt jest wielkim teatrem, w którym nie ma aktora bez roli i wszystkich bierze się na języki. Czy może jest coś z prawdy w tych plotkach, że aż tak bardzo irytuje was moje pytanie?

- Oskarżyliście mnie, że żyję jak księżę na wasz koszt, panie, a nic z tego nie jest prawdą. - Don Tirso był wyraźnie zdenerwowany. - Może wyrównałem sobie jeszcze raz wynagrodzenie, ale nic poza tym. Zapewniam was, że to nie stanowi żadnego uszczerbku dla waszego majątku...

- Wyrównaliście sobie wynagrodzenie? - Fernanda rozbawiła ta rozmowa, a przede wszystkim to, że jego niemądry zarządca wije się jak piskorz, bo z pewnością obniżył płacę pozostałym służącym w domu, aby nie zauważono wzrostu jego pensji. - Może wyrównaliście płacę o następne dwa eskudy? Pięć? Choć szczerze mówiąc, nigdy nie wiedziałem, ile zarabiacie...

- Teraz wynosi... czterdzieści eskudów, panie. - Księgowy starał się zamknąć sprawę, coraz bardziej niespokojny.

- A przed waszym „wyrównaniem”, jak to nazywacie?

- Trochę mniej, panie... - zarządca spuścił oczy.

- Trzydzieści pięć.

- Trochę mniej.

- Trzydzieści. - Fernanda zdecydowanie bawił skąpiec, ale irytowały go jego kręactwa.

- Nie, panie.

- Powiedzcie mi wreszcie! - Udał złość. - Czy chcecie, żebym przez cały dzień recytował liczby od góry do dołu?

- Dwadzieścia, panie - wyznał don Tirso.

- Z dwudziestu na czterdzieści. Dobrze. To się nazywa podwojenie. Wydaje mi się to słuszne...

- Dużo pracuję, panie, proszę to zrozumieć - starał się tłumaczyć.

- Ja wam podwoiłem z dziesięciu na dwadzieścia, czyż nie?

- To prawda, panie. Przed laty...

- Zatem uczyniliście to samo co ja, czyli zadziałaliście poprawnie. Przyznajcie jednak, że to nie najgorszy zarobek, nie sądzicie? Nie rozumiem tylko, dlaczego się was krytykuje na mieście.

Don Fernando wstał i wyszedł z salonu, nie okazując złości ani nie odczuwając jej, bo nigdy nie przywiązywał wagi do pieniędzy ani nie znał ich dokładnej wartości. Dla odmiany don Tirso z prawdziwą złością spojrzął za odchodzącym panem, a po głowie zaczęły mu krążyć niejasne myśli, tak jak wtedy, gdy czuje się nienawiść i nie wiadomo, w jaki sposób dokonać zemsty. Oczy zarządcy poczerwieniały tego poranka, a wokół nich pojawiły się małe zmarszczki, jakie potrafi wyryć zło, kiedy wiatr wieje na szczytach albo diabeł zyskuje nowego przyjaciela.

Don Tirso ukuł w myślach przewrotny plan.

W klasztorze Trynitarzy były dzwony o dziesiątej godzinie, kiedy don Fernando trzykrotnie zastukał kołatką u drzwi domu Klary. Powiedziano mu, że pani wciąż leży w łóżku i jeszcze nie wezwała służącej, żeby ją uczesała. Nie zważając jednak na usprawiedliwienia, zażądał, by zapowiedziano pani jego przybycie i pilną konieczność porozmawiania z nią. Początkowo pokojowa wahała się, ale widząc żelazne spojrzenie don Fernanda, pobiegła poinformować swoją panią. Wróciła niemal natychmiast.

- Wasza miłość, możecie wejść do sypialni mojej pani.

- Dziękuję. Nie musisz mi towarzyszyć, znam drogę.

- Jak sobie życzycie, panie.

Don Fernando wręczył jej pelerynę i kapelusz i, pokonując po dwa stopnie schodów, wbiegł na wyższe piętro, gdzie znajdowała się sypialnia. Nie zatrzymał się przed drzwiami, zastukał w nie jednocześnie otwierając je z impetem. Klara siedziała na łóżku, wspierając się na wielkich poduszkach, i srebrną szczotką czesała długie i faliste włosy. Jej bladość i białość warg wskazywały, że nie cieszyła się dobrym zdrowiem, dla odmiany jej oczy były szeroko otwarte, a spojrzenie nie wyrażało zaskoczenia, lecz ciekawość.

- Bardzo wcześnie wstajesz, żeby mnie zobaczyć - powiedziała, przerywając na chwilę rozczesywanie włosów. - Mam nadzieję, że nie przynosisz żadnych złych wieści...

- Nie, nie. - Fernando odpiął pierwszy guzik kamizelki, jakby trudno mu się oddychało, i upewnił się, że rozpiął kołnierzyk koszuli, zanim zajął miejsce u stóp łóżka, nie prosząc o pozwolenie. - Sprowadza mnie pewne żądanie. Nie - poprawił się natychmiast. - Prośba.

- Przychodzisz mnie prosić? Mnie? - Teraz Klara rzeczywiście patrzyła zdumionymi oczyma. Przestała się czesać i wsparła się na łokciu, żeby go wysłuchać. Szczotka została

porzucona na pościeli. - Nigdy nie słyszałam, żebyś kogoś o coś prosił, Fernando. Powiedz mi, że wszystko z tobą w porządku.

- W porządku. I proszę cię, żebyś za mnie wyszła.

Klara znieruchomiła, ze spojrzeniem tak bez wyrazu i tak stępałym, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Don Fernando także na nią patrzył, czekając na odpowiedź, ale ona nic nie odrzekła. Stopniowo na jej ustach pojawiał się uśmiech, który nagle zgasł. Oczy jej zaszyły łzami, z których jedna spłynęła po policzku. Znowu się uśmiechnęła, podczas gdy jej serce zaczynało bić, a pierś się rozpaliała; odchyliła się, aby na chwilę się położyć. Don Fernando dalej siedział nieruchomo, z uśmiechem zastygłym na ustach, tak głupim, że wydawał się grymasem idioty, z oczyma pełnymi wyczekiwania. Klara jednak milczała. Zakryła twarz rękoma i zapłakała. Don Fernando czekał, a jego uśmiech nie był już grymasem idioty, lecz wyrazem oszołomienia. Aż w końcu Klara odsunęła dłonie od twarzy, objawiając światu piękny uśmiech, skoczyła na niego i przytuliła się.

- Nie żartujesz sobie ze mnie? Prawda, że nie żartujesz sobie?

- No... oczywiście, że nie...

Klara śmiała się i płakała na ramieniu don Fernanda, do którego się przytulała. Płakała i śmiała się i wciskała palce w jego plecy z siłą kogoś, kto wreszcie zrealizował swoje marzenia, gwiazdę prawdy, nie szklanego ptaka ani szkatułkę z duszą.

- Ale tak czy nie? - Fernando też ją przytulał, choć zaskoczony jej zachowaniem nie mógł zebrać myśli. - Musisz odpowiedzieć na moją prośbę...

Ona mogła tylko śmiać się i płakać. I przytulać się do niego.

- Fernando...

- Wyjdiesz za mnie?

Don Fernando próbował odsunąć ją od siebie, aby zobaczyć jej twarz i odczytać z niej to, czego nie mówiły usta, ale Klara tuliła się do niego, nie wypuszczając z rąk swego marzenia. I w takiej pozycji siedzieli bardzo długo. Don Fernando nie próbował już jej odsuwać i pozwolił, by robili to, czego ona chciała, nie do końca rozumiejąc, co się działo ani o czym mogła myśleć. Klara po jakimś czasie przestała się śmiać i don Fernando czuł tylko łzy roszące mu kołnierzyk koszuli.

- Płaczesz?

Wtedy Klara złożyła mu na szyi bardzo długi i gorący pocałunek. Po czym odsunęła się i spojrzała mu w twarz. Miała zapadnięte oczy i mokre policzki. Wytarła łzy dłonią, pociągnęła nosem i popatrzyła mu w oczy z czułością najbardziej wzruszającą, jaką kiedykolwiek widział u istoty ludzkiej.

- Dziękuję - powiedziała tylko.

- Wydziesz za mnie? Naprawdę to zrobisz...?

- Nie, Fernando. - Klara pocałowała go ponownie, tym razem w policzek, z niebywałą delikatnością. - Ale bardzo dziękuję, że mnie o to poprosiłeś.

- Jak to...? - Fernando w osłupieniu nie wiedział, co powiedzieć.

- No nie, Fernando. Nie wyjdę za ciebie...

- Ależ...

- Słuchaj. - Klara ujęła jego twarz w dłonie, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Wyszłabym za ciebie, kiedy miałam dziewięć lat, dwanaście... I piętnaście, i dwadzieścia. Wyszłabym za ciebie wczoraj i przedwczoraj. I jutro też, a nawet zrobiłabym to w samym dniu mojej śmierci, gdybym nie wiedziała, że to mój ostatni dzień. Dlatego dzisiaj nie mogę. A jutro znowu będzie dzisiaj i pojutrze też. Nie, nie mogłabym wyjść za jedynego mężczyznę, którego kochałam, Kocham i będę kochać, bo nie jestem dobrym towarem, Fernando. Jestem gnijącym jabłkiem, mój Kochany, umrę, wiem o tym, i ty też o tym wiesz. Nie zasługujesz na umierającą żonę. Jestem wigilią śmierci, Kochany, nie rozumiesz tego? Ty nie możesz ożenić się z kimś takim jak ja, ty zasługujesz na słońce i na najpiękniejszą z gwiazd. Nie na mnie, nie na mnie...

- Nie umrzesz, Klara. - Fernando ujął jej twarz w dłonie, tak jak uczyniła to ona, i patrząc jej w oczy, czuł, że kocha ją bardziej, niż kiedykolwiek sądził. - Kto ci powiedział, że umrzesz?

- Wiem o tym...

- Nie! Nie umrzesz! Jak możesz o tym myśleć?

Klara zamknęła oczy i z powiek spłynęły jej dwie łzy, rosząc mu ręce.

- Śmierć nie jest zdradliwą damą, mój Kochany. Oznajmia, kiedy bierze ciało w posiadanie, a ja od wielu dni słyszę jej kroki w swoim wnętrzu, odczuwam jej stąpanie w płucach, w wewnętrznym głosie serca... Czasem moje serce przeszywa strach, a wtedy przestaje bić na kilka chwil i zauważam jego walkę o to, by dalej bić...

- Ależ ja...

- Nic nie mów... - Klara zamknęła mu usta swoimi ustami, aż Fernando uległ, gotów dalej słuchać. - Proszę cię o to, błagam cię, żebyś nigdy nie zostawił Alonsa samego. Kiedy umrę, co nastąpi niebawem, nie będzie miał nikogo u swego boku. Jego dziadkowie nie powinni się dowiedzieć o mojej śmierci, rozumiesz? Nie mogą. Nikt go lepiej nie wychowa niż ty, tak jak wychowałeś mnie. I wiem, że u twojego boku będzie bezpieczny, że będzie człowiekiem prawym, uczciwym i dobrym. Będzie człowiekiem.

- Jesteś w błędzie, Klaro. Jestem lekarzem i wiem...
- Ty jesteś lekarzem, a ja jestem umierająca. Proszę cię...
- Wiesz, że nigdy nie zostawię Alonsa.

- Jeśli jego krewni dowiedzą się o mojej śmierci, na pewno będą chcieli zabrać go do Haro. A tam, wśród nieznajomych, nie będzie szczęśliwy, wiem o tym. - Klara odsunęła się od niego i rzuciła się na łóżko, znowu wybuchając łzami; tym razem niepoohamowanie łkała. - Wiem o tym...

- Przysięgam ci, że don Alonso zawsze zostanie u mego boku - powiedział Fernando, kładąc rękę na głowie Klary, jakby była Biblią. - Przysięgam ci...

- Dziękuję - zdołała wykrztusić moja matka, po czym dalej płakała.

Don Fernando nie mógł zrobić nic więcej. Powoli wstał z łóżka i wyszedł z sypialni w wielkim zmieszaniu. Może później znów postara się ją przekonać. Jednak w tamtej chwili nie był w stanie nawet otworzyć ust.

Kiedy wyszedł z domu, padało. Zresztą niepotrzebnie, gdyż miał już twarz zmoczoną własnymi łzami...

\* \* \*

Al-Razi zdawał się bardziej zainteresowany wprowadzaniem go w tajniki alchemii niż uśmierzaniem jego smutku. Don Fernando rozmawiał z Maurem o zdrowiu Klary, którym był niezwykle zaniepokojony, gdyż Arab twierdził, że wszystko sprowadza się do choroby miłości, i zapewniał go, że jeśli przekona ją co do swej miłości, ona odzyska zdrowie.

- Ależ nie, Maurze - irytował się don Fernando. - Czyż nie powtórzyłem ci tysiąc razy, że nie chce za mnie wyjść?

- Nie ma kobiet, które nie chcą wyjść za mąż, Kastylijczyku.

- Ależ mówi, że nie.

- No, to bardzo musi cię kochać. Wróćmy jednak do naszych spraw...

I wtedy Al-Razi wyrecytował mu tablicę ekwiwalentów, w której złoto odpowiadało Słońcu, srebro Księżycowi, rtęć Merkuremu, żelazo Marsowi, ołów Saturnowi, miedź Wenus, a cyna Jowiszowi.

- Ale czterema podstawowymi żywiołami są woda, ziemia, powietrze i ogień. „Choć można roztrząsać niższe aspekty stworzenia, cztery żywioły zawsze będą podstawą, bez której nie byłoby możliwe stworzenie ani materii, ani duszy. I w ten sposób pojawiają się w każdym procesie, któremu można poddać każdą materię, czy to fluidową, płynną, gazową czy stałą, kiedy chodzi o ogień, wodę, powietrze albo ziemię”.

- Dobrze, dobrze, przyjacielu Al-Razi. - Don Fernando ruchem ręki odpędzał od siebie

uczone dywagacje przyjaciela. - Ja jednak chcę dowiedzieć się czegoś znacznie łatwiejszego. Czy istnieje dusza? Gdzie się znajduje? Dokąd odchodzi, kiedy umieramy?

- Nie odpowiem na twoje pytania, przyjacielu Fernando. Tylko ty możesz na nie odpowiedzieć, kiedy będziesz przygotowany.

- A kiedy to nastąpi?

- Kiedy przysięgniesz na Szmaragdową Tablicę.

Don Fernando nie krył zaintrygowania. Nie pierwszy już raz Al-Razi wspominał o tej tablicy, ale on jeszcze nic o niej nie wiedział. Al-Razi nie chciał na razie o tym mówić. Don Fernando popatrzył na przyjaciela z ciekawością i Arab zrozumiał to wyczekujące spojrzenie, lecz i tym razem nie pospieszył z wyjaśnieniami.

- W swoim czasie. Opowiem ci w swoim czasie. Nie bądź niecierpliwy.

- Kiedy?

- Kiedy poznasz idee kosmologiczne i kosmogoniczne alchemicznej teorii. Kiedy zrozumiesz jej fundamenty, wysublimowane w wierszach Nuysementa: „Jedno ziarnko duszy niebiańskiej natury / większe ma znaczenie niż wszystkie panacea”. Nie chcę przyczynić się do twojej konfuzji, Fernando, lecz musisz wiedzieć, że naszą misją jest doprowadzić do zamknięcia duszy, która przekształca materię, w szczelnym pojemniku, aby nie mogła uciec. Gdy ją posiadziemy, w naszym ręku znajdzie się cała władza.

- Czy jednak komuś się to już udało?

- Ani na Wschodzie, ani na Zachodzie. Jeszcze nie. Jednak pracujemy nad tym bez wytchnienia... Muzułmański król Hali powiedział: „Poznaj wymiar albo znaczenie naczynia naszego dzieła, bo naczynie jest korzeniem i bazą naszego nauczania. I to naczynie jest niczym macica zwierząt, bo w nim płodzi się, powstaje i karmi samo stworzenie. Dlatego jeśli naczynie naszego nauczania nie jest odpowiednie, całe dzieło ulega zniszczeniu, nasz kamień nie owocuje stworzeniem...”

- Dość mam tego ciągłego gadania! Poza tym, ja nie chcę zamknąć swojej duszy, Al-Razi! - Fernando wstał z miejsca, gotowy do wyjścia. - Ja chcę przewyciężyć śmierć...!

- Nie można pokonać czegoś, co nie istnieje - odrzekł szeptem Maur, pozwalając, by Fernando kontynuował swą drogę do drzwi.

Don Fernando usłyszał jednak te słowa i zatrzymał się, jakby poraził go piorun. Odwrócił głowę i zapytał:

- Co powiedziałeś?

- Wątpię, czy jesteś w stanie to pojąć. - Maur uniósł wzrok w stronę don Fernanda. - Wątpię nawet, czy ja jestem w stanie to wyjaśnić.

- Sądysz więc, że śmierć nie istnieje?

- Może usłyszałeś, że to powiedziałem. I ty pewnie też tak myślisz, skoro tutaj jesteś.

Tak: sądzę, że śmierć nie istnieje.

Don Fernando ponownie usiadł naprzeciw Bena al-Raziego i zamknął oczy. Jak to śmierć nie istnieje? - pomyślał. Wszyscy wokół cierpimy z jej powodu. Umierali rodzice, bracia, dzieci, przyjaciele... Widzieliśmy, jak wrywała nam kochane osoby, pozostawiając ogromną pustkę, bardziej podobną do okaleczenia niż straty. Wiemy, że jest wieczna i nieunikniona. Zabiera tych, których kochamy, i pewnego dnia zabierze także nas samych. Jest odpowiedzialna za każdy strach; to najwyższy strach, z którego rodzą się pozostałe, jak gałęzie drzewa. Jak to śmierć nie istnieje? Widzimy ją na co dzień w domach naszego miasta, przynoszą nam o niej informacje z najodleglejszych miejsc, widzimy, jak zbiera żniwo bez wytchnienia, dzień po dniu, jak świat światem. Umierają królowie, umierają papieże, umierają szlachcice i plebejusze; nawet niewolnicy w końcu umierają. Wszyscy umieramy i wiemy, że tak musi być. Kto ośmieli się twierdzić, będąc przy zdrowych zmysłach, że śmierć nie istnieje? Kiedy umiera ktoś z rodziny, nawet kochany przez nas przyjaciel, upadamy na duchu, pęka nam serce, rozplývają się w wodzie nasze oczy. Czy taki zalew uczuć, emocji i fizycznych zmian mógłby nastąpić, gdyby śmierć nie istniała? Nie ma sensu tak myśleć, nie jest to logiczne, nie jest naukowe. A jednak... to była prawda, on także sądził, że śmierć nie istnieje; nie wiedział jeszcze jednak dlaczego. Czy może postradał zmysły? Obaj oszaleli?

- To prawda, Al-Razi. Ty i ja pomyśleliśmy, że śmierć nie istnieje. Ale jesteśmy w błędzie...

- Jesteś tego pewien?

- Nie.

Al-Razi wstał, poszperał w szafie pośród pergaminów, map i rysunków i wyciągnął płachtę woskowanego papieru ze zdaniem napisanym grubymi i wysokimi literami, niezbyt starannymi, jakby jakiś skryba pisał je w ukryciu. Podał ją don Fernandowi, prosząc, by ją przechował, aż porządnie wryje sobie słowa w pamięć. Napis głosił: „Pośród tych sprzeczności, pośród tych pozornych kłamstw odnajdziemy prawdę; pośród tych cierni zerwiemy tajemniczą różę”.

\* \* \*

Codziennie o zmierzchu don Fernando odwiedzał Klarę. Przez pierwsze tygodnie starał się powrócić do rozmowy o swym pragnieniu małżeństwa, lecz kiedy moja matka przeczuwała, że on zacznie o tym mówić, prosiła, by tego nie robił, czasem zdecydowanym spojrzeniem, czasem mówiąc to bez skrępowania, przypominając mu, że już podjęła decyzję i

że żadne słowo nie zmieni jej postanowienia.

Jednak matce się nie polepszyło wraz z nadejściem pierwszych oddechów wiosny i pieśczoży marcowego słońca. Don Fernando myślał o zabranii jej do Głównego Szpitala Miejskiego, otwartego w poprzednim roku w Madrycie, pierwszego w mieście, kiedy jednak wspomniął o tym Al-Raziemu, zgodzili się, że moja matka nie cierpi na żadną fizyczną chorobę, że żaden lekarz lepiej niż oni nie zna jej przypadłości i że, w konsekwencji, żaden nie będzie mógł postawić celniejszej diagnozy ani przepisać lekarstwa, którego oni by nie znali.

- Nie cierpi na chorobę ciała - powtarzał Al-Razi.

- Wiem o tym - zgadzał się don Fernando. - Ale nie potrafię jej wyleczyć.

- Postawiłeś jej diagnozę?

- Przygnębienie.

- A zatem miałem rację. - Kiwał głową Al-Razi. - Ożeń się z nią.

- Nie. - Fernando odetchnął głęboko i przełknął ślinę. - Nie chce tego. Bo jej choroba jest czymś więcej niż przygnębieniem, nawet więcej niż melancholią. Straciła ochotę do życia, taka jest prawda.

Czasem odwiedzał Klarę w jej sypialni, gdzie leżała w łozu. W inne dni, kiedy zebrała w sobie energię, wstawiała i przyjmowała go, siedząc przy oknie, a wtedy mówiła więcej, nawet się uśmiechała. Pamiętam, że w tamte miesiące pytałem ją wiele razy, co jej jest, bo nie wstawiała i nie bawiła się ze mną. Moja matka jednak zawsze mi odpowiadała, że jest bardzo zmęczona, że nie wstanie i że bym się nie przejmował, bo wkrótce wydobrzeje i wtedy będzie się ze mną bawić we wszystko, w co będę chciał. Pamiętam też, że pewnego dnia, przyjmując nauki don Fernanda, mojego preceptora, przerwałem mu, aby zapytać, czy moja matka umrze. On natychmiast odpowiedział, że nie, ale potem zachował milczenie przez kilka sekund, popatrzył mi poważnie w oczy i kiwnął głową:

- Myślę, że twoja mama jest bardzo chora, Alonso.

- Sądzicie, że umrze?

- Tak.

I po raz pierwszy zobaczyłem w jego oczach łzy, które nie miały odwagi z nich wypłynąć. A jeśli tak uczyniły, to nie dla mnie, gdyż don Fernando wyszedł z salonu i wrócił dopiero po kilku minutach.

Miałem jedenaście lat. I od tego dnia przez długi czas na mych ustach nie zagościł uśmiech. Nie płakałem ani wtedy, ani później, ale podsycałem w gardle bryłę kłajstru, który wysychał jak słomiana mata.



I tak wielki był niepokój przed tym, co się zbliżało, że starając się nikomu nic nie powiedzieć, aby moja matka nie cierpiała z mojego powodu, zacząłem odczuwać nieznane symptomy, wprawiające mnie w złe samopoczucie.

W ciągu dnia czułem się zmęczony od pierwszych chwil poranka, a nocami źle sypiałem, budziłem się zaraz po przyjsciu snu, który ze swej strony długo nie nadchodził. Przez cały dzień czułem się pobudzony i irytowały mnie rzeczy nieistotne, które do tamtego czasu nigdy nie zaprzętały mojej uwagi: potykanie się o kamień na ulicy, ochłapanie wodą koszuli przy myciu rąk, niepozdrowienie mnie przez innego chłopca, który nie zauważył mnie z daleka... Kosztowało mnie wiele wysiłku czekanie, aż don Fernando skończy mi coś wyjaśniać, aby zadać mu pytanie o jakieś wątpliwości. Podczas gdy on mówił, myślałem o tym, co będę robił później i pragnąłem, by lekcje się skończyły, a kiedy wreszcie to zaczynałem, chciałem natychmiast przerwać, aby robić coś innego, i jeszcze innego. Wszystko wydawało mi się pilne. Ten niepokój nie pozwalał mi zrobić niczego dobrze, a dodatkowo denerwowało mnie, że tak jest stale, a ja nie potrafiłem tego uporządkować, co irytowało mnie jeszcze bardziej. Znajdowałem się w stanie permanentnego niezadowolenia, sprzeciwiałem się wszystkiemu, złościłem się na bonę Leonardę i na pozostałe pokojowe i służące w domu, a nawet na don Fernanda, którego oskarżałem o to, że stara się mnie nauczyć tysiąca rzeczy jednego dnia, choć w tej chwili wiem, że w głębi ducha nienawidziłem faktu braku lekarstwa na śmiertelną chorobę mojej matki. Wszystko to bywało dopełniane chwilami głębokiego smutku, niepohamowanego pragnienia całkowitego nieróbstwa i brakiem zainteresowania tym, co wcześniej mnie interesowało i bawiło.

W sumie zacząłem czuć się źle, ale długo nie zdawałem sobie sprawy, że jestem chory.

Don Fernando także przez długi czas nie zauważał mojego stanu, pochłonięty troską o zdrowie mojej matki, dysputami z Benem al-Razim, studiami i swymi pacjentami; nadszedł jednak dzień, w którym przyszedłem na lekcje w stanie takiego podniecenia, że nie mógł nie zapytać mnie, co się dzieje.

Początkowo zaprzeczyłem istnieniu jakichkolwiek objawów, ale on dzięki swemu doświadczeniu doskonale wiedział, że taki jest właśnie pierwszy objaw zdradzający moją chorobę. Z uporem zadawał mi pytania, na które nie mogłem nie odpowiedzieć, odnoszące się do moich godzin odpoczynku, apetytu i zainteresowania przedmiotami w laboratorium, które zwykle tak bardzo mnie fascynowały; i nagle zaczął mi opisywać, jeden po drugim, symptomy, na jakie cierpiałem, jak gdybym to ja sam wypisał mu je na papierze albo on był w stanie wtłoczyć mi się pod czaszkę, aby skraść moje myśli.

- Doskonale rozumiem, co się z tobą dzieje - powiedział w końcu. - Będziesz myślał, że to coś przelotnego, że nie dzieje się z tobą nic złego, ale to nieprawda.

- Nie martwi mnie to, że umrę - odrzekłem opryskliwie.

- To godne pochwały - uśmiechnął się. - Przypomnij to sobie, gdy przyjdzie na ciebie pora. Teraz jednak się nie śpiesz, bo nie nadszedł jeszcze czas oddania twojej duszy w ręce spowiednika. Po prostu znajdujesz się pod wpływem bardzo silnych emocji, które zdołały wprawić cię w tak wielki stan niepokoju, że trzeba cię z niego wyciągnąć. Nerwy mają czasami złe zwyczaje, a jednym z nich jest wychodzenie poza pory skóry i branie w posiadanie woli człowieka. Widziałem już takie przypadki z powodu utraty ręki i niemożności kontynuowania pracy rzemieślniczej albo robienia szabłą; także z powodu wielkich kłótni pomiędzy mężem i żoną, lub, jak w twoim przypadku, ze strachu przed śmiercią członka rodziny albo własną. To z powodu twojej matki, wiem o tym. Z powodu twojej do niej miłości. Matka jest przyczyną twojej choroby i nie mogę cię za to winić: może nie powinienem był ci mówić o jej chorobie. Jednak jej choroba nie oznacza, że nie masz próbować wyleczyć swojej.

- Dobrze się czuję...

- To nieprawda. - Preceptor pogładził mnie po głowie. - Niepokój jest składnikiem strachu wywołanym przez rozliczne przyczyny. Jeśli przyznasz, że jest z tobą źle, zaczniesz czuć się lepiej. I czas na pewno wyleczy cię ze wszystkiego. Teraz to z powodu matki, ale któregoś dnia może ci się zdarzyć coś podobnego z powodu frustracji, z powodu zazdrości, z powodu napotykanym przeciwności albo nadmiaru pracy, zawiści lub rozkazów, które otrzymasz od zwierzchników i będziesz musiał wypełnić, nie zgadzając się z nimi. Cierpisz na chorobę duszy, ale to nie powód do strachu. Wiem, jak to wyleczyć.

- Sam to wyleczę.

- Zgłoś się do mnie, jeśli nie dasz rady.

- Wolę, żebyś wyleczył moją matkę.

\* \* \*

Nie zdołał jednak tego dokonać. Wiosną 1597 roku, w wieku trzydziestu dwóch lat, matka zmarła w ramionach don Fernanda, kiedy ja płakałem u stóp jej łoża. Ojciec Gregorio, jej spowiednik, bez ustanku recytował litanie w niezrozumiałej łacinie, wspomagany przez diakona i trzech ministrantów, którzy klęczeli, trzymając wiatyk, krzyż i święty kielich. Była siódma wieczorem na wieży klasztoru Bosej Trójcy, gdzie bito w dzwony, wzywając do żałoby, kiedy mojej matce dano Pana. Nikt dokładnie nie wiedział, jaka była przyczyna jej śmierci, jeżeli przyjmiemy, że nie można umrzeć z braku miłości. Był piętnasty maja,

poniedziałek, dzień świętego Izydora.

Umarła powoli, patrząc na don Fernanda. Uśmiechnęła się przed śmiercią, jakby się umawiała albo przyjmowała to, co on jej daje. Potem zamknęła oczy, jeszcze z ustami rozjaśnionymi radością, i westchnęła z wysiłkiem dwa razy z rzędu. Za trzecim razem nie wciągnęła powietrza, bo wychodząca przez usta dusza nie dopuściła do tego. Jej głowa opadła z delikatnością różanego płatka w ramiona don Fernanda i drobniutka łza, lśniąca jak szmaragd, zastygła w kącie oka, lecz nie spłynęła. Umarła w ciszy, bezdźwięcznie. Jakby nie chciała budzić Boga.

Z tych dni, kiedy odbywały się obrzędy pogrzebowe i ceremonie religijne, niewiele pamiętam. Jedno, co wiem teraz, to to, że wraz ze śmiercią mojej matki zakończyło się dzieciństwo i zaczął płynąć czas mojego życia. Rozpoczęcie odliczania godzin, dni i lat czyni nas śmiertelnymi. W tamtej chwili, mrocznej jak ciemny sen o północy, stałem się mężczyzną. I wyleczyłem się z choroby, bo nie mogłem cierpieć w obliczu okrutnej prawdy, która dotyczy nas wszystkich.

Z tego, co się potem wydarzyło z don Fernandem, a było tego wiele, zostało mi w pamięci tylko coś, co mi opowiedział pewnej zimowej nocy, a nie potrafię jeszcze wyjaśnić, dlaczego tak postąpił. Chcę wierzyć, że melancholia związuje język lub go rozwiązuje i że mistrzowi zrobił się taki węzeł w sercu, że odczuwał potrzebę rozwiązania go i nie znalazł nikogo lepszego, by tego dokonać. Bez względu jednak na to, jaka była przyczyna, nie mająca zresztą znaczenia, pewne jest to, że pomiędzy kolejnymi kieliszkami starego wina powiedział mi, iż tej samej nocy, kiedy umarła Klara, podczas czuwania przy zmarłej miał rozpustny i grzeszny sen, w którym ponownie zobaczył siebie w jej sypialni w gorącą letnią noc; oboje leżeli nadzy w łożu, tak jak zrobili to już wiele lat wcześniej. Z jedyną różnicą, że tym razem odbył z nią we śnie pełen stosunek cielesnego zespolenia do tego stopnia, że poczuł wilgoć w spodniach i pończochach. Przyznaję, że to wyznanie mnie zraniło, bo nie rozumiałem, jak to możliwe, że kiedy ona jeszcze była obecna ciałem, on był zdolny do tak grzesznych myśli, choćby tylko w snach, które są wolne i nie pozwalają sobie kontrolować. Jednak wzburzenie szybko minęło, gdyż dalej opowiadał sen i tajemnica, którą zawierał, pozwoliła odłożyć na bok znaczenie elementu rozpustnego na rzecz sekretu zupełnie innego. A chodzi o to, że kiedy ona jeszcze znajdowała się w jego ramionach, zmieniała się w delikatne błękitne światło, światło nieuchwytnie, które się wysliznęło i wzniosło, aż wypłynęło przez okno i uleciało w kierunku sklepienia niebieskiego. Don Fernando podbiegł do okna, żeby patrzeć, jak się wznosi, wołał ją, by wróciła, ale światło się nie zatrzymało. W nocnej ciszy słyszał jedynie jej głos, jakby dobiegający z dna jaskini, ochryple i spokojny szelest, który mu

powiedział: „Szukaj mnie, a znajdziesz”.

Don Fernando zbudził się z przestraczem; czuł się niezręcznie i w tej samej chwili przyrzekł, że ją odnajdzie. Z tego przyrzeczenia nigdy się nie wycofał.

Powiedział mi też, że w tamtym śnie zrozumiał, iż kochał ją i nadal kocha, tak jak nigdy nie kochano ani na ziemi, ani w niebie. Że fantasmagoria nie tylko pozwoliła zdać mu sobie sprawę z siły swego uczucia, ale także pozwoliła mu je zrozumieć. I że przeciwko śmierci albo Bogu, przeciwko czasowi i przeciwko każdemu, kto odważy się stanąć mu na drodze, będzie szukał i odnajdzie Klarę, aby już przenigdy się z nią nie rozłączać.

Poza tym te dni były szare i brudne, milczące, brakowało w nich powietrza i łez. Niewiele więcej z nich pamiętam; zachowuję jedynie uczucie samotności, ciszy, smutku i przeświadczenie, że noce były bardzo długie. Przeniosłem się do domu don Fernanda, mojego mistrza, z którym od tamtego czasu mieszkalem.

Pamiętam, że jakiś sędzia udzielił zgody na to, by don Fernando Ruiz de Alcalá mnie adoptował, zgodnie z instrukcjami zawartymi w testamencie odczytanym przez notariusza w obecności sędziego, że będę nosił nazwisko mojego ojca, Guzmán, i że sam don Fernando zostanie kuratorem moich dóbr, z których może zatrzymać część, aby uregulować rachunki ze służbą: jedynie bona Leonarda, już stara, została zatrudniona przez mojego mistrza. Zachowam też prawo do hrabstwa Haro, kiedy osiągnę pełnoletność, chyba że w tamtej chwili zrzeknę się wyraźnie wszelkich prerogatyw. Wszystkie szczegóły poznałem później, w następnych latach, bo jak mówiłem, z tamtych dni pamiętam tylko dojmujący zapach błota samotności, przenikający chłód milczenia, głód płaczu powodowany smutkiem i długość nocy, które nigdy się nie kończyły.

Zatem w wieku jedenastu lat zacząłem nowe życie u boku człowieka, którego, choć nie był moim ojcem, zawsze za takiego uważałem.

\* \* \*

Mój mistrz potrzebował pociechy, którą odnajdował tylko w studiach. Musiał znaleźć sposób na zrozumienie śmierci, aby móc stawić jej czoło i wyrwać jej Klarę, i od tego dnia nie myślał o niczym innym.

Zajmowała go każda lektura i oddawał się jej z zapamiętaniem; jeśli jednak przeczytał kilka stron nie wskazujących mu nowej drogi lub zajmujących się roztrząsaniem tego, co już wiedział, wrzucał książkę do szafy w laboratorium albo do kominka w salonie, aby strawiły ją płomienie. Pośród kolb starał się wypróbować stare receptury i mikstury podawane od początku czasów, nie znajdując odpowiedzi na swe pytania. Przynajmniej dwa razy wywołał pożar w laboratorium, używając siarki, a innymi mieszkankami się zranił, poparzył, poddusił,

przez co chorował przez kilka dni.

Z drugiej strony, kontynuował pobieranie nauk u Al-Raziego w przekonaniu, że musi zbadać tę drogę, na wypadek gdyby na niej znajdowało się to, czego z takim zapałem poszukiwał. Maur pocieszał go w strapieniu i starał się zająć nowymi naukami, których don Fernando słuchał, dopóki wierzył, że mogą być użyteczne dla jego projektu. Czasem jednak perory Maura doprowadzały go do rozpacz.

- Teraz przeczytam coś, co cię zainteresuje - zaczynał Al-Razi.

- „Weź cztery części naszego ogniowego smoka, który skrywa w brzuchu Magiczną Stal, i dziewięć części naszego Magnezu; zmieszaj je w płonącym Wulkanie w formie mineralnego płynu, na którym unosić się będzie piana; usuń tę pianę. Odsuń muszlę, wydobądź Jądro i oczyść je po trzykroć ogniem i solą, co będzie łatwym zadaniem, jeśli Saturn dojrzał swe odbicie w Lustrze Marsa”. Rozumiesz?

- Nadużywasz mojej cierpliwości, stary Maurze! - odpowiadał don Fernando poirytowany.

- Musisz przecież wiedzieć, młody Kastyljczyku, że pod znakiem Barana wpływ gwiazd jest najsilniejszy, zawsze gdy noce są gwiaździste, rzecz jasna...

- Jesteś szaleńcem!

Don Fernando był pewien, że Ben al-Razi wie znacznie więcej niż to, co mu wyjawia, a jednak gdy znosił czczą gadaninę przyjaciela, targał nim czasem przyływ złego humoru i jego głos grzmiał w powietrzu.

- Chcesz wejść po schodach, nie stawiając kroków na poszczególnych stopniach, dobry Fernando - strofował go przechrzta. - Podążaj moim śladem, a wszystkiego się dowiesz.

- Nie, Al-Razi. Jak dla mnie idziesz zbyt wolno.

- Skoro wczoraj nie odnalazłeś swoich odpowiedzi, odnajdziesz je nazajutrz. Dziś jednak nastał czas pytań.

- No to pozwól, że ci jedno zadam: znam znaczenie kruka i węża uroboro, który zarysowuje jądro idei alchemii; wiem także, jakie jest znaczenie róży, orła i trzygłowego smoka. Wiem, że dwie ryby w morzu oznaczają ducha i duszę, kiedy morze jest ciałem. To, czym jest czarna ropucha, żółw, smok pokryty łuskami i potrójna róża. Że Feniks odradza się z ognia, że symbolem Ziemi jest kula, na której spoczywa Krzyż, a nawet znam kaduceusz Hermesa, odbicie tej materii, która jest jedyna i jest wszystkimi rzeczami. Mówiłeś mi o naczyniu alchemicznym, o trzech koronach, o soli, siarce i rtęci... Brakuje mi tylko informacji o „języku ptaków”, określeniu hermetycznej kabały stosowanym przez naszych przodków, z

którego zrodziła się legenda o tym, że święty Franciszek z Asyżu, wielki alchemik, rozmawiał z ptakami, bo znał ich język. No, dobrze, skoro o tych i wielu różnych innych rzeczach rozmawialiśmy przez te wszystkie lata, może byś mi wyjaśnił, Maurze z piekła rodem, dlaczego nie powiesz mi w końcu tego, co wiesz o duszy i śmierci? I dlaczego czuję to wielkie niezaspokojenie?

Don Fernando był poirytowany. Patrzył na Al-Raziego oczyma pełnymi wściekłości, a ten ze swej strony spoglądał na niego w zdumieniu.

- Może masz rację - przyznał Al-Razi. - Chyba nadeszła pora...

- No, to mów.

- Nie. - Al-Razi natychmiast pokręcił głową i wstał z miejsca. Przeszedł się po salonie zamyślony. Wreszcie zatrzymał się, spojrzął na don Fernanda i powiedział: - Jeszcze nie można. Najpierw musisz stać się synem Nauki, musisz przejść inicjację w...

- Co muszę zrobić w tym celu, mój dobry Al-Razi? - Fernando zdawał się błagać spojrzeniem. - Powiedz mi, co muszę zrobić?

- Musisz do nas przystąpić, do alchemików.

- Zrobię to. W jaki sposób?

- Przysięgniesz na Szmaragdową Tablicę.

- No, to przysięgnę. Ale niech to się, u diabła, stanie jak najszybciej!

Niecierpliwość don Fernanda nie pozwoliła odwlec ceremonii. Następnego dnia, o świcie, w największej tajemnicy, odprawiono rytuał inicjacji w domu Bena al-Raziego, odpowiednio przystrojonym na tę okoliczność.

Okna zostały zamknięte, dodatkowo przykryte kotarami z czerwonego aksamitu, które nie dopuszczały światła z zewnątrz. Na ustawionym pośrodku stole dwa siedmioświecowe kandelabry, symbolizujące dni tygodnia i miesiące roku, oświetlały pomieszczenie. Wyniesiono z pokoju wszelkie sprzęty oprócz poduszki z orlich piór, na której miał klęczeć don Fernando, modląc się, podczas gdy Ben al-Razi wszystko przygotowywał. Trzy róże złączone łądogami, otwarte w formie wachlarza, spoglądały na trzy pojemniki ze złota, pełne soli, rtęci i siarki. I cztery filizanki, także ze złota, zawierały wodę, ziemię, wosk, z którego wychodził płonący knot, oraz powietrze, bo filizanka była pusta. Panowała absolutna cisza, a światło kandelabrowych rysowało cienie na podłodze. Al-Razi miał na sobie obszerny fioletowy ornat aż do ziemi, a na ramionach narzutkę wyszywaną słońcami, księżycami i gwiazdami. Don Fernando był nagi, okryty jedynie czarnym jedwabnym habitem, przewiązany w pasie szmacianym sznurem.

Na stole leżał rozwinięty pergamin, a obok niego - zapisany plik kartek. Gdy nadeszła

odpowiednia chwila, Al-Razi rozkazał don Fernandowi wstać i pochylić głowę. Następnie miał położyć rękę na pergaminie.

- Oto Szmaragdowa Tablica - zaczął Al-Razi. - Otwórz dobrze oczy i słuchaj, ile w niej się odkrywa, gdyż to jest prawda. Słowa, które usłyszysz, zostały odnalezione przed tysiącami lat w budynku w formie piramidy, strzeżonym przez straż orłów, a zawierają arkana najstarszej wiedzy, alchemii. Pragniesz poznać prawdę?

- Pragnę - odparł don Fernando.

- Dobrze zatem. Niech tak się stanie. Spisana na szmaragdzie, który spadł z czoła Lucyfera w dniu jego pokonania przez Boga; oto słowa Szmaragdowej Tablicy, takie, jakie zostawił Hermes Trismegistos: „Powiadam wam jedną pewną rzecz. To, co jest na dole, odpowiada temu, co jest na górze, a to, co jest na górze, odpowiada temu, co jest na dole, co się tyczy dokonania cudów jedyne go dzieła. I tak jak wszystkie rzeczy pochodzą od Jednej poprzez działanie Jednego, tak samo wszystkie zrodziły się z tej jedynej rzeczy poprzez adaptację. Słońce jest jej ojcem, Księżyc matką. Wiatr nosił ją w brzuchu, Ziemia wykarmiła. Ona jest początkiem doskonałości w całym świecie. Jej władza jest nieskończona, kiedy przemieniła się w ziemię. Wznosi się z ziemi do nieba i z nieba powraca na ziemię, i ustanawia jedność sił rzeczy wyższych i niższych: podążając tym szlakiem, zdobędziesz chwałę w całym świecie i oddalisz od siebie wszelki mrok. Oddzielisz ziemię od ognia, to, co rzadkie, od tego, co gęste, powoli, z wielką biegłością. Ona jest większą siłą niż jakakolwiek inna, bo może przechodzić przez każdą rzecz rzadką i penetrować każdą rzecz stałą. W ten sposób powstał świat. Cudowne są działania, które w taki sposób zostały przeprowadzone. I tutaj kończy się to, co powinienem powiedzieć na temat dzieła Słońca”. A teraz musisz na nią przysiąc. Połóż tu swoją rękę i przeczytaj przysięgę.

Don Fernando wziął plik, który podał mu Al-Razi, i przeczytał:

- „Przysięgam na niebo, Ziemię, światło, mrok; przysięgam na powietrze, ogień, wodę, ziemię; przysięgam na wysokość nieba, głębokość Ziemi i otchłan Tartaru; przysięgam na Merkurego i Anubisa, na szczekanie smoka Chercurobosa i trójgłowego psa Cerbera, strażnika piekła; przysięgam na przewoźnika Acheronu; przysięgam na trzy Parki, na furie i na buławę, że nigdy nie wyjawię tych słów nikomu ponad mego szlachetnego i urzekającego syna”.

- Niech tak będzie. „A teraz idź, odszukaj rolnika i zapytaj go, co jest ziarnem, a co zbiorami. Od niego nauczysz się, że kto sieje pszenicę, zbiera pszenicę, kto sieje jęczmień, zbiera jęczmień. To cię poprowadzi do idei stworzenia i płodzenia; pamiętaj, że człowiek zdradza człowieka, że lew zdradza lwa, że pies rodzi psa. W ten sam sposób złoto produkuje

złoto. Oto cała tajemnica!”.

- Jestem waszym dłużnikiem za to, co mam nadzieję poznać - powiedział wtedy Fernando bardzo poważnie. - Dziękuję, Al-Razi.

\* \* \*

Od tego dnia wszystko zmieniło się w życiu don Fernanda. Podczas nowych rozmów z przyjacielem i mistrzem Al-Razim poznał metody badań otwierające drzwi, które wszyscy ludzie uważają za zamknięte, odkrył tajemnice, których żaden człowiek nigdy sobie nie wyobrażał, i rozwiązał sekrety skrywające samiotką śmierć. Tego 1597 roku od samego początku w swych arkanach Wszechświata mój mistrz dostrzegł światło, które miało mu pomóc ponownie spotkać się ze swą miłością.

Poświęcił wiele godzin w samotności laboratorium i biblioteki, nauczył mnie wszystkiego, co wiem, i leczył chorych na duszę, których potrafił wyleczyć z ich strachów. Był mistrzem, ojcem i uzdrowicielem duszy, jedynym na świecie; i uczonym, który nauczył się zwyciężać nawet najbardziej niewidzialnych wrogów. Bo Klara, moja matka, czekała na niego.

Któregoś dnia, wiele lat później, rozmawialiśmy o miłości. Don Fernando uczył mnie wszystkiego, więc nie zawahałem się zapytać, co to jest miłość.

- Odpowiedź na to pytanie ma tysiąc lat.

- I jak ona brzmi?

- Że prawdziwa miłość rodzi się z braku miłości.

- Nie rozumiem was - powiedziałem, podnosząc wzrok, jakby w oczach mistrza rozpuściła się burza, gdy on pozostawał nieobecny niczym śpiąca wyrocznia.

- To proste. - Fernando doszedł do siebie i popatrzył na mnie, przekonany, że tej lekcji jeszcze mi nie wyjaśnił, a powinienem ją usłyszeć, tak jak on zawsze chciał ją poznać. Odetchnął powoli, nabrał powietrza w płuca i przemówił bardzo wolno: - Kiedy żyje się w miłosnym związku, nie ma żadnych kłopotów, jest tylko radość. Człowiek pozwala się kochać, przekonany, że uczucie drugiej osoby jest wieczne, i żyje w lenistwie, rutynie i spokoju bez zainteresowania, bez uwagi, bez ochrony. Kiedy jednak traci się miłość, kiedy osoba, która nas kochała, zmienia swe uczucia albo zainteresowania i porzuca nas albo umiera, w tej samej chwili zdajemy sobie sprawę z braku prawdziwej miłości i cierpimy jak z autentycznej rozpacz. Miłość jest dobra, albo mówiąc lepiej, jest cudowna, ale rodzi się na określony etap życia i powinno się ją podtrzymywać za pomocą przyjaźni i koleżeństwa, w przeciwnym bowiem razie niebawem nadejdzie fatalna godzina rozstania, która następuje w chwili najmniej spodziewanej przez tę drugą osobę. I w ten sposób w braku miłości



odkrywamy prawdziwą miłość, jako radość i tragedię, jako pełnię i rozpacz.

- Musieliście bardzo kochać - stwierdziłem, nie mrugnawszy okiem.

- Jesteś w błędzie. Nigdy nie kochałem.

- Nigdy? - zachnąłem się z niedowierzaniem.

- Przenigdy. Bałem się szczęścia tak bardzo jak rozpaczy. Ale najbardziej bałem się prawdziwej miłości. Tylko w braku miłości można ją poznać, a na taką cenę moja kieszeń była za płytka.

A jednak, wbrew temu, co mówił, obaj wiedzieliśmy, że kłamię.

Przez następne lata don Fernando studiował i pracował, ale nie zawsze mógł to robić z koniecznym spokojem. A don Tirsowi, zarządcy, pewnego dnia przyszły do głowy ciemne myśli, jak wtedy, gdy czuje się nienawiść, i postanowił się zemścić. Oczy zarządcy napełniły się gniewem tamtego poranka i powstało wokół nich tysiąc małych zmarszczek, z tych, które zarysowuje zło, kiedy wieje lodowaty wiatr na szczytach świata albo kiedy diabeł spotyka nowego przyjaciela. Albo gdy w głowie rodzi się zły plan.

- Urzędnicy Świętego Oficjum pragną zostać przyjęci przez was, panie - powiedział któregoś dnia don Fernandowi, niepokojąc go w bibliotece. - Zdaje się, że to poważna sprawa...

- Wiecie, czego sobie życzą tak godni goście? - zapytał Fernando zaintrygowany.

- Wy pewnie wiecie, panie - odrzekł bezczelnie zarządca. - Ja nie paktuję z diabłem...

**Część trzecia**

**POMIĘDZY 1597 A 1616**

## JEDEN

Byli ubrani na czarno, obaj. Wysocy, chudzi, poważni i uroczyści, jak nazarejczycy czuwający przy Naszym Panu Jezusie Chrystusie w noc Wielkiego Piątku. Byli też aroganccy. Mężczyźni o woskowej skórze, cerze bladej i przezroczystej, jakby słońce nigdy nie miało odwagi jej dotknąć. Więźniowie swych własnych więzień, królowie własnych kloak. Siepacze. Kiedy zapowiedział ich don Tirso, wkroczyli do salonu niczym dwaj żołnierze Chrystusa, strażnicy w służbie sił pozaziemskich, legioniści na wyprawie krzyżowej i stanęli przed don Fernandem wojowniczy i ceremonialni.

- Jesteście don Fernandem Ruiz de Alcalá? - Jeden z nich na chwilę zniekształcił swą woskową cerę, aby przemówić. Ale nie mrugał oczyma.

- Do usług, panowie - przyznał Fernando, wstając.

- W imieniu Jego Świątobliwości i z nakazu Świętej Inkwizycji proszę, byście udali się z nami.

- Za kilka chwil będę do waszej dyspozycji.

Szli szybkim krokiem: don Fernando pośrodku, a krok za nim eskortujący go strażnicy. Musieli dotrzeć do przedmieścia Świętego Dominika, gdzie znajdował się pałac przesłuchań albo „czyściec”, który zajmowało Święte Oficjum, jak je powszechnie nazywano, i chociaż mogli dotrzeć tam w sposób dyskretny, idąc w górę Wzniesienia Świętego Dominika, mistrz był gotowy natrzęsać się ze swych niewzruszonych strażników i zdecydował się obrać inną drogę, krocząc nią z takim zdecydowaniem, że nawet nie odważyli mu się przeciwstawić. Przeszli zatem ulicą okalającą cały Madryt, wzdłuż murów z cegły i gliny zbudowanych w roku 1566, a od dzielnicy Maurów, przy murach z XII wieku, zeszedli ulicą Toledo do bramy na Antón Martín, a stamtąd ulicą Alcalá do przedmieścia Hortaleza i w końcu do placu Świętego Dominika, ich ostatecznego przeznaczenia.

- Wielki dzień na spacer - w pewnej chwili rzucił ironicznie uwięziony i nie otrzymał żadnej odpowiedzi. A ponieważ nie chciał, by znajomi zobaczyli w tym pochodzie powody do uwięzienia ani w jego osobie powody do podejrzeń, bo cały Madryt znał jego dobrą sławę i rozpoznawał w nim osobę szanowaną na dworze, mówił dalej, choć towarzyszący mu funkcjonariusze ignorowali go i wstrzymywali się od odpowiadania: - Proszę spojrzeć, panowie. W końcu kładzie się kres tym nieporządkom w mieście, pełnym dziur, wybojów i

kolein. Słusznie zrobił król, nasz pan, don Filip, tworząc Policję Porządku Publicznego. Nie wydaje wam się? Don Francisco de Mora, który nią dowodzi, działa bardzo rozsądnie, niech Bóg ma go w swojej opiece. Musimy uznać jego zasługi. Nie bez racji, gdyż był pomocnikiem architekta don Juana de Herrery, kiedy budowano klasztor w Escorialu...

- Wasza miłość, proszę zachować milczenie! - Jeden z siepaczy zatrzymał się na środku ulicy.

- Skoro nie podoba się wam miła rozmowa... - Fernando wzruszył ramionami.

- Cisza! - powtórzył strażnik.

- Niech tak będzie.

Kiedy wchodził do budynku, odniósł wrażenie, że nigdy z niego nie wyjdzie. Na pewno jego chłód, surowość i mrok miały na celu powodowanie właśnie takich myśli u wprowadzanych do środka i wysiłek zastraszenia dawał odpowiedni rezultat. Bo rzeczywiście już samo wejście napawało strachem. Za drewnianymi drzwiami, które otwierały się i zamykały tylko po to, by przepuścić wzywanych, rozpościerał się wielki westybul bez okien, o kamiennych ścianach i bez żadnego umeblowania, o kamiennej posadzce i wysokim suficie. Ani jednego obrazu, gobelinu czy nawet krzyża. Dwóch żołnierzy strzegło wejścia i następnych dwóch podwójnych schodów, które w głębi prowadziły na piętro, skąd przenikało trochę światła, i do piwnicy, mrocznej jak wejście do kopalni. Don Fernando wszedł pierwszy i zatrzymał się; następnie udał się za mężczyznami, którzy poprowadzili go do schodów.

- Tędy. Proszę za nami, wasza miłość.

Nie wiedział, czy pójdzie w górę czy w dół, dopóki nie zbliżyli się do schodów, ale wolałby, by go zaprowadzono na piętro. Jednak tak się nie stało: sprowadzono go do piwnicy, jeszcze zimniejszej i bardziej gołej, i kazano mu zająć miejsce na drewnianej ławce stojącej przy długim stole przykrytym obrusem z czerwonego aksamitu, na którym stał drewniany krucyfiks.

- Proszę usiąść i czekać.

Mężczyźni zniknęli bez słowa. Don Fernando starał się przyzwyczaić oczy do półmroku i stopniowo odkrywał nieliczne sprzęty. Sufit i ściany były z szarego kamienia, podłoga z czarnego łupku, a po obu stronach stołu stały kandelabry o trzech świecach, zgaszonych. Wszystko zdawało się czyste, lecz chłód i wilgoć przenikały ubrania i skórę i wywoływały ból kości. Oczekując na sędziów, zastanawiał się nad przyczyną swego zatrzymania i nad tym, co należało odpowiadać.

Jednak znienacka, jak zjawa, pojawiła mu się przed oczyma uśmiechnięta twarz Klary. Przyszły mu do głowy myśli o samotności, zimnie, kamieniach i wilgoci, a następnie myśl o

podobieństwie tego pomieszczenia do grobowca. I w jednej chwili pomyślał o Klarze, która znajdowała się w podobnym miejscu, śpiąca, bez cierpień, bez życia. Ona jednak się uśmiechała, bo nie była martwa, gdyż śmierć nie istnieje. I don Fernando zaczął o niej myśleć, o poszukiwaniu, o ponownym spotkaniu, o miłości, którą jest jej winien i którą ona była winna jemu. Przypomniał sobie jej spojrzenie, twarz, szyję i nagie ciało przy nim, wiele lat wcześniej, kiedy jeszcze nie wiedzieli, co zrobić z młodymi ciałami w duszną noc lipcową. Wtedy spojrzał w górę i uśmiechnął się. Chciał odnaleźć gwiazdę na suficie tego ogromnego grobu, gdzie go zamknięto, aby sprawdzić, czy może odkryć w jej blasku szkatułkę z duszą Klary, lecz widział tylko kamienie i ciemność. Mimo to wciąż się uśmiechał, przekonany, że któregoś dnia w jakimś niebie ją odnajdzie. I tak był pogrążony w myślach, że nie spostrzegł, iż do pomieszczenia weszło trzech mężczyzn i zajęło miejsca za wielkim stołem przykrytym czerwonym aksamitem.

- Proszę wstać! - rozkazał najstarszy z nich, który ulokował się pośrodku.

Dwaj mężczyźni w takich samych mundurach jak ci, którzy przyszli po niego do domu, zapalili świece kandelabrow ustawionych na krańcach stołu, a następnie zostali przy nich, siedząc na skrzydłach sądu. Don Fernando przestraszył się rozkazu, ale w jednej chwili odzyskał ducha i usłuchał.

Przyglądał się sędziom: zdawali się ludźmi bez ust, mieli twarze, które nigdy się nie uśmiechały, oczy, które nigdy nie płakały. Jeden pozbawiony był brwi, inny włosów, trzeci duszy. Mieli na sobie czarne sutanny z wielkimi czerwonymi krzyżami na sercu, białymi kryzami i szerokimi rękawami, także czarnymi. Najstarszy, siedząc już, przemawiał, a więc jednak był żywy; pozostali dwaj, nieruchomi, być może byli martwi.

- Jesteście don Fernando Ruiz de Alcalá.

Don Fernando milczał.

- Proszę potwierdzić! - krzyknął inkwizytor.

- Jestem - skłonił głowę, odpowiadając.

- Jesteście uzdrowicielem dusz.

- Jestem.

- Jesteście czarownikiem.

- Słucham?

- Proszę potwierdzić! - znowu krzyknął trybun.

- Mam potwierdzić, że jestem czarownikiem?

- A może nie jesteście?

- Nie.

- Dobrze. - Inkwizytor nabrał powietrza i spojrzał mu w oczy w taki sposób, że aż zabolalo. - Proszę zapisać, że się nie przyznaje. Proszę też zapisać, że informuję don Fernanda Ruiza de Alcalá, iż nie znajduje się tu jako więzień Świętego Oficjum i że ten wstępny akt nie jest przesłuchaniem dotyczącym jego wiary. A wy, don Fernando, pamiętajcie, że wychodząc stąd, możecie czuć pokusę wykorzystania tego faktu, gdyż nigdy nie było naszym zamiarem więzić ani sądzić tak dobrego chrześcijanina. Jednak jedną rzeczą jest to, że was dzisiaj nie sądzimy, a drugą to, czy nie będziemy was sądzić w przyszłości. Niestety, jak wszyscy wiemy, don Filipowi II, naszemu panu, zaczyna brakować sił...

- Mogę zatem wyjść?

- Nie - odparł surowo inkwizytor. - Proszę najpierw się przyznać, że jesteście czarownikiem.

- Przyznaję, że jestem lekarzem, nie czarownikiem.

- Dobrze. Zaprzecza po raz drugi. Proszę zaprotokołować. A teraz pytam: czy również wasz przyjaciel José de Córdoba czy Ben al-Razi, jak się zwał, zanim przyjął naszą wiarę, jest lekarzem?

- Tak jest.

- Nie uznajecie też więc, że José de Córdoba praktykuje czarownictwo?

- Dobry chrześcijanin nie może składać fałszywego świadectwa.

Staruszek znowu głęboko odetchnął, lecz tym razem jego oddechowi towarzyszył lekki uśmiech.

- Zostajecie poinformowani, że Święta Inkwizycja stosuje poważne obciążenia, aby poznać prawdę. Jeszcze jednak nie ma powodu, by posuwać się do takich granic. Możecie zakomunikować temu trybunałowi, jaka jest wasza profesja?

- Jestem lekarzem, już to wiecie.

- Zaprzeczacie, wasza miłość, że praktykujecie czarownictwo?

- Zaprzeczam. Mój zawód polega na leczeniu chorób umysłu. W każdym razie doskonale znacie moją pracę i ani król, ani papież nie mogą stwierdzić, że wykonując ją, działam nieprawidłowo. Nie uchybiam ani Koronie, ani Bogu.

- Zaprzecza po raz trzeci. Proszę zaprotokołować. Jakkolwiek by było, uważam, że medycyna jest bronią, która działa przeciw Bogu, Naszemu Panu - stwierdził staruszek, być może wystawiając przesłuchiwanego na próbę. - Bóg decyduje o nas. Daje nam życie i odbiera je nam, kiedy uważa za stosowne. Medycyna odwleka wykonanie bożych planów.

- Skoro jednak tak jest... - Fernando zmarszczył czoło. - Nie rozumiem was... Czy nie wierzycie we wszechwładność Boga?

- W tej sali tylko ja zadaję pytania! Jak śmiecie...?

- To, co mówicie, jest kompletnie nielogiczne! - mistrz także podniósł głos. - Bóg dopuszcza leczenie chorób, bo w przeciwnym razie jego wszechwładza czyniłaby niepotrzebnymi remedia i maści. Medycyna nie odwleka realizacji jego planów, bo tylko On decyduje o naszej godzinie. Jaki lekarz mógłby w swej ignorancji wyzywać Boga swymi syropami i ziołami? Wasze oskarżenie jest...

- Cisza!

- Chcę stąd wyjść!

- Jeszcze się nie przyznaliście, że praktykujecie czarownictwo.

- I nie liczcie na to, że to zrobię.

- Czy nie jest właściwe czarownictwu czyszczenie umysłu szaleńców, leczenie pijaków, aby odwrócili się od nałogu, zapisywanie ziół z nieczystych ksiąg, aby zaradzić imbecylnym, wykorzystywanie heretyckich pism do traktowania idiotów, zmaganie się z Maurami o wątpliwą wiarę, żeby leczyć wariatów i czynić z waszego gabinetu, w końcu, pomnik heterodoksji?

- Nie rozumiem was. - Fernando zdecydowanie pokręcił głową.

- Doskonale mnie rozumiecie, wasza miłość. Jednak na razie wystarczy. Możecie odejść. Niebawem się zobaczymy, jestem o tym przekonany.

- W takim razie mam nadzieję, że będą ku temu jakieś powody - odpowiedział zaczepnie.

- Straż! - rozkazał inkwizytor. - Proszę odprowadzić go do wyjścia. A wy, don Fernando, przekażcie moje uszanowanie jego wysokości...

Mistrz nie zrozumiał tego uśmiechu wykrzywającego usta duchownego, ale nie zamierzał go analizować. Odwrócił się plecami do stołu, ruszył przed siebie i wielkimi krokami wyszedł z sali. Zdawał się tak poirytowany, że nikt nie odważył się niczego powiedzieć, kiedy przed jej opuszczeniem odwrócił się, by rzucić:

- Skończycie, żałując waszych poważnych obciążeń.

\* \* \*

Don Fernando wyjaśnił mi wiele lat później, że inkwizycja nazywała poważnymi obciążeniami metodę tortury polegającą na zawieszaniu coraz większych żelaznych odważników na jądrach przesłuchiwanego, do czasu aż oskarżony przyznawał się do winy, służenia szatanowi czy jakichkolwiek innych zarzutów. Powiedział mi też, że jeśli wówczas nie został uwięziony i pozwolono mu opuścić podwoje pałacu przesłuchań lub „czyścica”, to tylko dlatego, że cieszył się królewskimi względami, o których wiedziało Święte Oficjum, a

jego obrona byłaby bezskuteczna, gdyby inkwizycja usiłowała osiągnąć swój cel. Później opowiedział Al-Raziemu, co się wydarzyło, i Maur poczuł strach. Jednak don Fernando uspokoił go, przypominając, że nie ma powodów do strachu, że gdyby taka była wola Świętej Inkwizycji, już dawno smażyliby się na stosie i że to wezwanie powinni traktować wyłącznie jako ostrzeżenie, nic więcej.

- Ale przysięgam ci, Al-Razi, że nigdy nie zmienię moich planów.

- Moje może udać im się zmienić.

- Jeśli choć trochę cię znam, przysięgnę też za ciebie.

W tych dniach don Fernando zajmował się pewną młodą kobietą, która od wielu tygodni nie mogła spać, bo kiedy tylko zasypiała, śniła, że wszystko staje się miękkie: łóżko, podłoga, ściany i meble. Była przerażona, wyczerpana, na granicy wytrzymałości. Po wysłuchaniu przypadku mistrz stwierdził, że szklanka ciepłego mleka z kilkoma kroplami kwaśnego wina pozwoli jej zasnąć, i natychmiast tego spróbował. I rzeczywiście, po wypiciu napoju kobieta spała w jego gabinecie przez cztery godziny, a obudzwszy się, stwierdziła, że nie śniła o zmiękczeniu otoczenia. Wydawało się, że uzdrowiciel dusz ociera się o cud, a w każdym razie ludzie zaczęli go czcić, jakby był zdolny do ich dokonania. Ta sława zarówno budziła podziw, jak i podejrzenia inkwizycji, bo doskonale wiadomo, że brak umiejętności leczenia jest tak samo zły jak robienie tego bez wysiłku.

Po powrocie z przesłuchania don Fernando zamierzał porozmawiać z don Tirsem. Domyślił się, że doniesienie do Świętego Oficjum mogło pochodzić tylko od niego, choć początkowo wcale go nie podejrzewał.

- Proszę do mnie przyjść, don Tirso, chcę z wami zamienić kilka słów.

- Już wróciliście, mój panie? - zarządca skrywał swe zaskoczenie. - Bardzo się z tego cieszę. Poważnie się o was obawiałem...

- O mnie? - Don Fernando usiadł, cierpko się uśmiechając. - Wierzyłem w wasze przekonanie, że mam pakt z diabłem.

- Ja nigdy...

- Skoro tak jest, powinniście się przestraszyć, że już wracam. Mógłbym porozmawiać z szatanem i zażądać dla was kary...

- Nigdy tak nie myślałem, panie! Przysięgam na honor! Wiecie lepiej niż ktokolwiek, że Święte Oficjum....

- Lepiej niż ktokolwiek? Kiedy według was miałem do czynienia z szatanem?

- Nie chciałem tego powiedzieć...

- No to namyślcie się, bo widzę w was zmieszanie. - Fernando tym razem uśmiechnął



się otwarcie. - Zacząłem się zastanawiać, że wasza dieta... Nie wiem. Może nadmiar jedzenia, picia... Wyświadczę wam przysługę i jako lekarz przepiszę wam dietę. W dodatku, abyście mogli uniknąć złych pokus, znowu wyrównam wam pensję, w ten sposób bez wysiłku zastosujecie się do moich zaleceń. Od dziś będziecie otrzymywać dziesięć eskudów.

- Moja pensja wynosiła czterdzieści. Przy dziesięciu eskudach moja rodzina...

- Wiem, że dacie sobie radę. No, chyba że wolicie zmienić pracę...

- Nie, panie, w żadnym razie.

- Dobrze. A teraz zostawcie mnie samego, chcę pomyśleć.

Don Tirso w milczeniu wyszedł z pokoju, zgarbiony. Zmarszczki przy oczach zmały, niemal znikły. Może diabeł zdobył nowego przyjaciela, ale tym razem nie był to on.

Od śmierci Klary don Fernando nie zaznał wytchnienia. Wykorzystywał każdą chwilę na popadanie w zadumę; może pragnął znaleźć sposób na spotkanie się z nią, ale prawda była taka, że myślał tylko o niej: przypominał sobie jej oblicze, spojrzenie, wspominał jej śmiech. Przez kilka miesięcy nie wszedł do laboratorium, niewiele czytał i z coraz większą chyżością zajmował się pacjentami, z których wielu cierpiało na znane już przypadłości, więc stosował wobec nich wypróbowane metody leczenia. A kiedy pojawiał się jakiś nowy przypadek, jak ten sędziego, który unikał noży i sztyletów, bo bał się stracić nad sobą panowanie i zranić jakąś kochaną osobę albo kogoś znajdującego się w pobliżu, co zrujnowałoby mu karierę, don Fernando chciał jak najszybciej położyć kres chorobie. Zmusił sędziego do spędzenia całego dnia w jego obecności, kazał mu się uzbroić w szpadę, sztylet, nóż i topór, aby zdał sobie sprawę z tego, że może je posiadać, mieć pod ręką i dotykać ich bez żadnego impulsu do czynienia zła. Tymczasem wyleczył sędziego, prawdą jednak jest i to, że kilka lat później, w ponownym napadzie choroby, urzędnik zabił żonę i dzieci arabskim sztyletem, a następnie odebrał sobie życie. Może nie zdecydował się wtedy szukać porady u don Fernanda albo stwierdził, że zaoszczędzi pięć marawedów na lekarzu, sam aplikując sobie lekarstwo; kto to może wiedzieć?

Jednak mimo tego i innych przypadków medycznych pewne jest, że w następnych miesiącach don Fernando chodził niespokojny i porytowany. Nawet rozmowy z Al-Razim o zmierzchu nie uśmierzały jego niecierpliwości ani żalu. Czuję ból nieobecności, zwykł mawiać, dodając zaraz, że śmierć jest okrutna, bo zmusza do rozłąki, a rozłąka do tęsknoty.

- Oddalenie - stwierdził. - Śmierć jest oddaleniem.

- Istnieją sposoby na ponowne spotkanie - odparł Maur.

- Pracuję nad tym.

Od dnia, w którym ukończyłem dwanaście lat, miałem śmiałość pytać go o wszystko,

co przychodziło mi do głowy, i o wszystko, co pragnąłem wiedzieć. I muszę powiedzieć, że nigdy nie unikał odpowiedzi. W niektóre wieczory, latem, prowadził mnie na plac Świętego Jakuba i zapraszał do siadania na kamiennym stopniu, gdzie wpatrywaliśmy się w niebo, a on opowiadał mi historie, które dla niej wymyślał, ale czasem przyspieszał powrót do domu, bo głos wiązał mu w gardle i nie potrafił dalej mówić. Wcześniej jednak nauczył mnie rozpoznawać gwiazdy i rysunki magiczne, które tworzyły konstelacje na niebie. Nikt nigdy nie miał lepszego mistrza.

\* \* \*

Miłość jest najintensywniejsza, gdy się ją traci, gdy traci się możliwość dalszego kochania. Jest też wtedy najbardziej rozpaczliwa. Don Fernando myślał o tym raz za razem, winiąc siebie za to, że nie odwzajemniał należycie miłości Klary, kiedy żyła. Myślał o tym i bladł, tracił apetyt, wagę i zdrowie od tych ciągłych żalów i braku snu. Aż któregoś dnia zdał sobie sprawę z osaczającej go choroby, tak jak odkrywał choroby innych ludzi, i pognął do Al-Raziego.

- Potrzebuję medyka - powiedział.

- Na co się uskarżasz?

- Duszę się, myśląc o niej.

Al-Razi pochylił głowę i pokręcił nią. Znał to cierpienie, ale nie zgłębiał tej dziedziny. Napełnił szklanekę chłodną wodą i podał mu do wypicia.

- Ty jesteś uzdrowicielem dusz, nie ja. Wyleczyłeś wiele chorób takich jak twoja, zaaplikuj sobie lekarstwo.

- Jest tylko jedno, ale nie mogę go znaleźć.

- No, to szukaj dalej.

Don Fernando zamyślił się przez chwilę. Wypił wodę, przeszedł się po salonie i popatrzył na obraz: „Prawda jest prosta”. Następnie znowu spojrzął na Al-Raziego.

- Wyjaśnij mi, szatański pomociu, po kiego diabła kazałeś mi przysięgać na Szmaragdową Tablicę? Dowiem się, co mi przyszło z połączenia mojej ignorancji z twoją? Wy, alchemicy, jesteście szaleńcami: trawicie żywot na poszukiwaniu sposobu przekształcenia ołowiu w złoto, a nie wiecie nic o życiu i śmierci. Gdzie jest Klara, co? Gdzie jest jedyna kobieta, którą kochałem i będę kochał przez całą wieczność? Czy twoja nauka może mi to wyjaśnić? Może?

Al-Razi ponownie pokręcił głową na znak dezaprobaty i wstał, by odwrócić oczy od gniewnego spojrzenia don Fernanda. Nalał sobie wody i pociągnął łyk. Następnie odstawił szklanekę na stół i położył rękę na ramieniu przyjaciela.

- Pomyśl chwilę, chrześcijaninie, i wspomnij swoje studia. Ale przede wszystkim uspokój się. Chcesz o tym porozmawiać?

- Czy to w czymś pomoże?

- Chociaż nie pomoże w tym, czego szukasz, przynajmniej poczekaj, aż pokój zagości w twoim sercu. - Al-Razi ponownie poprosił don Fernanda, by zajął miejsce. - Bez tego pokoju nie ma pożytecznego poszukiwania.

- Przysięgnij, że odnajdę Klarę.

- Odnajdziesz.

Don Fernando spojrział na niego nieufnie. Obawiał się, że Al-Razi zwodzi go, tylko po to, by go uspokoić. On jednak był uczonym i nie pozwoli się pocieszyć kłamstwami.

- Kłamiesz, Al-Razi.

- Uważasz, że kłamię? No, to co tu robisz? Dlaczego nie pójdziesz płakać tam, gdzie nikt cię nie może zobaczyć? Nie, nie kłamię. Ty i ja wiemy, że jesteśmy nieśmiertelni, ale ty nie możesz w to uwierzyć, bo brak ci wiary. A nawet jeśli nie wierzysz w naukę, nazywasz siebie chrześcijaninem? Wspomnij więc słowa Jezusa: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem; kto wierzy we mnie, nie umrze”.

- Mówił o Raju.

- Czy byłeś tam, żeby zapytać, o co mu chodziło?

Don Fernando znowu spojrział na niego zmieszany, nie ufał słowom przyjaciela. Zaczynał się irytować.

- Ty nie jesteś chrześcijaninem, Al-Razi. Nie próbuj mnie przekonać, że używasz podobnego rozumowania, bo wierzysz, że zawiera jakąś prawdę...

- Jezus Chrystus mówił o tym samym, co Konfucjusz, a także Mahomet. - Maur przemawiał szeptem, jakby sam sobie coś przypominał. Następnie znowu usiadł. - Co za różnica, czy to słowa Buddy, Allacha czy twojego Boga, uparty Kastylijczyk? Wieczne życie! Wszyscy bogowie zawsze mówili o wiecznym życiu! Dlaczego im nie wierzyć?

Don Fernando wstał, zły, i ruszył w stronę drzwi wyjściowych, złorzecząc:

- Bo widzieliśmy umieranie, widzimy umieranie i dalej będziemy widzieć umieranie...! Dlatego, Maurze. Idź do diabła!

Wziął pelerynę i kapelusz i otworzył drzwi, aby wyjść. A kiedy to robił, usłyszał głos Al-Raziego, który z namaszczaniem wypowiedział dwa słowa:

- Klara żyje.

Don Fernando zastygł w bezruchu. Jego głowę przeszły dwa różne uczucia: jedno skłaniało do rzucenia się na Maura i pobicia go z furją, którą poczuł tamtego razu, kiedy w

szkole poważnie zranił pyszałka don Alfonsa; drugie zrodziło się w żołądku i popychało go do błagania Al-Raziego, by przysiągł, że to prawda, że Klara żyje i że on może się z nią spotkać. Dlatego stał nieruchomo i nawet się nie obrócił, żeby spojrzeć na przyjaciela. Na kilka sekund świat zamarł w ciszy. Don Fernando zdołał opanować wzburzenie, od którego nabrzmiały mu żyły na szyi, i zamknął oczy. A kiedy już poskromił uczucia, ruszył w swoją drogę, nie patrząc za siebie. Na koniec znów usłyszał słowa Al-Raziego:

- Klara żyje. Jeśli w to nie wierzysz, policz dusze...

\* \* \*

Przez następne dni był jeszcze bardziej poirytowany. Złościł się na samego siebie, gdyż okazał brak szacunku Maurowi, któremu winien był wdzięczność, szacunek i miłość; dręczył go niepokój wywołany pragnieniem ukojenia żaru, który go niszczył, lecz nie potrafił go ugasić, gdyż był to żar miłości; i był zakłopotany, bo jego przyjaciel Al-Razi poprosił go, by policzył dusze, a on nie umiał dociec, jakież to sekret zawierało to zdanie. Wiedział, że powinien wrócić do domu Maura, przeprosić za swe zachowanie i błagać alchemika, by mu wyjaśnił to stwierdzenie, lecz duma nie pozwalała mu działać w taki sposób, ponieważ zawsze uważał, iż honoru człowieka nie można zmierzyć tym, ile razy przeprasza, ale tym, ile razy się powstrzymuje, gdy pojawia się taka konieczność. Były to dni wielkich nerwów, kiedy pił ponad miarę i kiedy o zmierzchu, przy kominku trawiącym płonące głownie, opowiedział mi o pierwszych latach swego dorastania, popołudniowych zabawach i chwilach spędzonych z moją matką na snuciu baśniowych opowieści.

Policz dusze, powiedział mu Al-Razi. A don Fernando nie wiedział, jak to zrobić, ani nawet nie rozumiał, czy była to zagadka, czy może przejaw szacunku dla jego wiedzy. Czwartego dnia przeprosił mnie, ponieważ odwołał lekcje, a w zamian wysłał mnie do laboratorium, abym powtórzył eksperymenty z siarką i innymi solami; sam zamknął się w bibliotece, aby rozpocząć lekturę książek teologicznych zajmujących się problemem dusz. Nie wiem, ileż to razy wzywał don Tirsę, zarządcę, aby poszedł zakupić inkaust, pióra i papier, ani ile razy wysyłał bonę Leonardę z zapisaną wiadomością lub ile książek walało się po ziemi; wiem jednak, że w kilka dni później, kiedy wyszedł z biblioteki, uśmiechał się jak szaleniec.

- Chodź, Alonso - powiedział, wskazując na kilka stosów książek leżących na stole, przy którym pracował, i na podłogę zawaloną pogniecionymi kartami papieru. - Wiesz, że Bóg stworzył ograniczoną liczbę dusz? Wiedziałaś o tym?

Co ja mogłem wiedzieć? Jednak radość rozjaśniająca jego oblicze sprawiła, że poczułem się dobrze. Spędziłem wiele dni, cierpiąc z powodu samotności i porzucenia, i

wiele godzin pełnych przygnębienia w domu, w którym zawsze się rozmawiało głośno i lekko; za towarzystwo miałem jedynie bonę Leonarde, która w tych chwilach przywodziła mi na myśl miłość, jaką winien byłem don Fernandowi, i szacunek, jaki powinienem okazywać jego pracy.

- Poszukuje twojej matki, Alonso, pozwól mu marzyć - wyjaśniła mi któregoś dnia. - Wielkie marzenia poruszają światem.

- Tak, bono.

W końcu don Fernando znowu się uśmiechał. Pomyślałem, że może tym razem ponownie usiądziemy na kamiennym stopniu, aby patrzeć na taniec gwiazd. On jednak zrobił to, co powinien był zrobić: pobiegł do domu Al-Raziego, przytulił się do niego i poprosił o wybaczenie z powodu złego humoru i okazanego braku szacunku, na co Maur odpowiedział szerokim uśmiechem i zdaniem, które mistrz doskonale znał:

- Tak piękna wydaje ci się róża, że nie bolą cię rany od jej kolców...

- Wiesz więc, dobry przyjacielu, co odkryłem?

- Że Bóg stworzył skończoną liczbę dusz.

- Tak jest! - Don Fernando popatrzył na niego, tym razem zaskoczony. - Ale skąd to możesz wiedzieć...?

- Bo znam twój upór, zawzięty Kastylijczyk, i wiedziałem, że nie spoczniesz, póki nie zrozumiesz znaczenia moich słów...

Don Fernando uśmiechnął się i radośnie przyjął wyjaśnienie Maura. Zajął miejsce, odetchnął głęboko i powiedział:

- To logiczne. W jaki sposób Bóg ma zajmować się przydzielaniem duszy każdemu rodzącemu się człowiekowi? A jeszcze bardziej absurdalne jest myślenie, że każda istota ludzka przy urodzeniu poszukuje własnej duszy albo tworzy ją dla siebie, jakby dusze rosły w gwiazdach i można było o nie zebrać. Nie, dusze są zawsze te same, ta sama jest ich liczba, którą stworzył Bóg, i liczba tych, które teraz istnieją pomiędzy nami.

- Skoro jednak tak jest, w pewnej chwili będzie ich za dużo albo za mało? - argumentował Al-Razi. - Nie zawsze ta sama liczba ludzi żyje na Ziemi.

- To prawda, to prawda - zgodził się Fernando. - Też o tym myślałem. Rozsądnie jednak jest myśleć, że kiedy jest ich za dużo, zostają w niebie, czekając na swe przeznaczenie, a kiedy ich brak, dzielimy się nimi. Pamiętam, że mój mistrz don Antonio Sánchez de Tovar opowiedział mi, iż podczas jednej ze swych podróży do Genui nagle spotkał się ze swym sobowtórem, ku wielkiemu zdumieniu ich obu. Czasem, kiedy zbiory są mizerne i panuje niedobór, istoty ludzkie podwajają się albo dzielą duszę. Nie uważasz, że tak jest?

- Nie wiem - uśmiechnął się Al-Razi, wysilając się, by widać było jego sarkazm. - Ja jestem tylko biednym alchemikiem...

- Jeszcze nie wybaczyłeś mi mojego zachowania?

- Oczywiście, że tak - ponownie uśmiechnął się Maur. - Ale nie jestem pewien tego, co mówisz.

- Ależ nie można tego jaśniej wyłożyć! Dusze ewoluują, tak, i uczą się na swych błędach! Ale ich liczba jest stała!

- Dobrze, dobrze. - Maur wyrozumiale potraktował entuzjazm Kastylijczyka. - Jednak w ten sposób nie za bardzo idziemy naprzód. Proszę cię tylko, żebyś nie porzucał swoich studiów, żebyś trwał przy swoich badaniach i pamiętał, że jeszcze długa droga przed nami.

- Zaczynam wierzyć w naszą nieśmiertelność.

- Zawsze w nią wierzyłeś.

- Teraz jednak czuję, że mogę jej dowieść.

- Nie zatrzymuj się.

- Wiesz, Al-Razi? Chcę dotrzeć tam, gdzie jest Klara. Nie spocznę, dopóki tego nie osiągnę.

- Będę się modlił, żeby ci się udało.

- Pomożesz mi?

- Czy kiedyś tego nie robiłem?

\* \* \*

W Roku Pańskim 1598 zmarł król, nasz pan, don Filip II, co spowodowało wielki wstrząs w całej Europie, choć od dłuższego czasu wiadano o jego słabowitym zdrowiu i ciężkich chorobach. Był jednak panem świata, cesarzem dwóch ziem i królem Hiszpanii, najpotężniejszego państwa na Ziemi, dlatego po jego śmierci usłyszano bicie w dzwony wzywające do żałoby we wszystkich kościołach, nawet w najodleglejszych zakątkach znanego świata. Zasiadający na watykańskim tronie Klemens VIII rozkazał odprawić niezliczone msze za jego duszę, a nie rezydujący jeszcze w królewskim alkazarze don Filip III, nasz nowy król, nakazał przygotowanie uroczystych i wspaniałych obrzędów pogrzebowych, które po wsze czasy będą wspominane w chrześcijańskich krajach. Don Filip II był wielkim królem, bez wątpienia, władcą absolutnym, wykorzystującym Świętą Inkwizycję dla tępienia herezji tam, gdzie rządził, i zdołał doprowadzić do tego - choć kazał stracić don Juana de Lanuzę, najwyższego sędziego królestwa Aragonii - że nikt nie odważył się nie usłuchać jego poleceń. Wielki król, mocny, prawy, skuteczny i z żelazną ręką, taki jaki powinien być władca, choć jego wrogowie uważają go za tyrana i człowieka pysznego,

nieostrożnego w niektórych sytuacjach i zbyt roztropnego w innych. Pewne jednak jest to, że za jego panowania Hiszpania zachowała pozycję imperium, a cena, jaką musieli za to zapłacić jego poddani, nie była zbyt wysoka, tak mi się zdaje; choć don Fernando powtarzał mi wielokrotnie, żebym nigdy nie wyrażał swoich opinii o polityce, aby to bowiem robić, potrzeba mniej niewinności i więcej wiedzy, niż ja posiadałem.

Don Filip III, nasz pan, kończył dwadzieścia lat, kiedy zasiadł na tronie, a ja jeszcze nie miałem trzynastu. Lecz mimo tak młodego wieku uczestniczyłem w ceremonii jego koronacji, bo don Fernando został zaproszony na tę uroczystość i postanowił, że ja będę mu towarzyszył. Jakże wspaniałą demonstrację władzy i bogactwa można było zobaczyć w całym królewskim alkazarze! Jakże mały może czuć się młody człowiek, taki ignorant jak ja, w obliczu niewyobrażalnego przepychu! Don Fernando, mój mistrz, zajął honorowe miejsce, z polecenia króla, a mnie posadzono obok niego tylko dlatego, że przyszedłem razem z nim. I w ten sposób mogłem podziwiać z najlepszego miejsca najwyborniejszy dwór w Europie, najbardziej olśniewające suknie kobiet, najwytworniejsze mundury, najbardziej urzekające klejnoty i najcenniejsze szpady. Nigdy ołtarz nie wypełnił się wyższymi dostojnikami kościelnymi, a chór większą liczbą dziecięcych głosów. Światło południowego słońca zdawało się matowe w porównaniu z pochodniami i świecami, które iluminowały alkazar, jakby tylko tam panował słoneczny dzień, a na zewnątrz zapadł zmrok. A pomiędzy złotem, srebrem, szlachetnymi kamieniami i luksusowymi szatami trudno było skupić na czymś wzrok, aby nie stracić szczegółów tego całego majestatu. Nigdy, nawet na ceremonii zaślubin naszego króla z Małgorzatą Austriacką, która odbyła się w rok potem i na której byłem obecny, również towarzysząc mojemu mistrzowi, nie widziałem niczego podobnego. A jednak don Fernando, gdy wracaliśmy kareta do domu, i ja ciągle znajdowałem się pod wrażeniem tego całego bogactwa, wyraził opinię, której wtedy nie zrozumiałem i której nigdy nie zapomnę:

- Dzisiaj wszyscy uważają się za królów, a wczoraj byli może tylko żebrakami spod kościoła.

Mój pan zawsze lekcewał przepych świata, nawet wtedy, gdy był jedną z najważniejszych osobistości swych czasów, z racji swej wiedzy i łask królów, zawsze pragnących mieć go obok siebie. W młodości podjął decyzję, że poświęci życie zwyciężeniu śmierci i nigdy nie zszedł z tak obranej drogi. W dodatku od chwili śmierci mojej matki przyświecał mu cel, który uszlachetniał wszystkie jego działania: chciał się z nią znowu spotkać.

Czego w końcu dokonał.

\* \* \*

Wrócił do laboratorium, aby pracować bez wytchnienia nad różnymi związkami siarki, arszeniku, amoniaku, rtęci i innych soli i kwasów, w poszukiwaniu Bóg jeden raczy wiedzieć jakich to formuł, które pozwolą mu odkryć, w jaki sposób chemia wpływa na mierzenie czasu. W książce, której nigdy nie przeczytałem, *De alchemia traditio summae perfectionis in duos libros divisa*, napisanej przez Abú Musę Sufiego, odnalazł część dawnej wiedzy Arabów, a od Syryjczyków, Chińczyków i Hindusów dowiedział się o związkach alchemii i mistycznej matematyki sześćdziesięciu czterech heksagramów, tych figur składających się z wariacji sześciu linii, których powszechnie używa się w sztuce przepowiadania przyszłości; kiedy jednak poznał sposób na tworzenie eliksirów nieśmiertelności, używając tylko rtęci, siarki, soli siarki i arszeniku, zrozumiał wartość alchemii i to, jak bardzo powinien być wdzięczny Al-Raziemu za wprowadzenie go w tajniki owej tak hermetycznej nauki. Kwas azotowy mógł otrzymać poprzez destylację saletry, wotriolu i ałunu, lecz w naczyniach bardziej wytrzymałych na ciepło, bo musiał używać ognia drugiego stopnia; kwas chlorowodorowy zaś z soli amoniaku i wotriolu. Jednak bez względu na to, jak się starał, nie zdołał odkryć eliksiru nieśmiertelności albo „długiego życia”, dlatego zanim dobiegł końca rok 1598, powrócił do domu Al-Raziego i wyznał mu swą rozpacz.

- Może jest prawdą, że śmierć istnieje.

- Jest prawdą, że istnieje czas.

- Ależ... nie rozumiem cię, Al-Razi: zdawałeś się ze mną zgadzać co do nieistnienia śmierci...

- A czy ty się zgadzasz ze mną co do nieistnienia czasu?

Don Fernando wytrzeszczył oczy tak szeroko, że Al-Razi zaniepokoił się o jego zdrowie. Pytanie Maura nagle otworzyło prześwit w murze, który do tamtego czasu zdawał się nieprzenikniony dla niego, ale o który czasami się rozbijał, aby sprawdzić, czy ustąpi. Czy zatem istnieje czas? To pytanie zadawał sobie tysiące razy i tyleż samo razy dochodził do wniosku, że tak. Teraz jednak Al-Razi zdawał się zapraszać go do ponownej próby skruszenia muru.

- Czy znasz jakiś sposób udowodnienia, że nie istnieje? - odważył się zapytać, a w jego oczach dalej kryło się zaskoczenie.

- Istnieje, bo możemy go zmierzyć, mój dobry Kastyljczyku. - Al-Razi ledwie się uśmiechnął. - Ale bardzo wątpię, by był rzeczywisty.

- A więc?

- Przysięgłbym, że to coś, co istnieje wyłącznie w naszym umyśle i co wymyśliliśmy,



aby liczyć nasze dni.

- Przecież widać wyraźnie, że istnieje dzień i noc, godziny, dni, miesiące, lata... Oto miara czasu.

- Sposób pomiaru, tak. Ale jakiego rodzaju czasu? Tego, który wymyśliliśmy? A może rzeczy nie zdarzałyby się w taki sam sposób, jak się teraz dzieją, gdybyśmy nie potrafili mierzyć godzin i lat?

- Przypuszczam, że tak. - Fernando zmarszczył czoło, starając się nadażyć za sugestiami Araba.

- A nie sądzisz, że czas jest tylko formą pomiaru, nie zaś rzeczywistością?

- Nie wiem.

- Więc ja cię zapewniam, że czas nie istnieje.

Nie sposób było się na to zgodzić, nie popadając w szaleństwo, jednak jego przyjaciel jawił się tak zdecydowany w swym przekonaniu, że don Fernando nie potrafił mu się przeciwstawić. Wstał i przeszedł się po salonie, zastanawiając się. Spojrzał na Al-Raziego, znowu popatrzył w przestrzeń i ponownie usiadł.

- Pozwól mi dokończyć... Twierdzisz, że czas nie istnieje?

- Tak jest. - A więc jeśli nie istnieje, wszyscy jesteśmy nieskończeni.

- Nieskończeni albo wieczni, jak wolisz to nazywać.

- Nieskończeni, wieczni i nieśmiertelni?

- Tak jest.

- To niemożliwe.

Al-Razi uśmiechnął się. Otworzył don Fernandowi furtkę na ścieżkę wątpliwości, a jeśli ten zdecyduje się przekroczyć próg, wejdzie na drogę nauki. Znał swego przyjaciela i wiedział, że nie przestanie studiować i oddawać się refleksji, dopóki nie odnajdzie rozwiązania zagadki, którą mu zadał. Nie chciał jednak, aby z braku przekonania natychmiast porzucił drogę, na którą wszedł, zapytał go zatem:

- Wyobraź sobie, że czas istnieje, Hiszpanie. Powiedziałbyś, że jego trwanie jest ograniczone czy nieograniczone? Albo mówiąc w inny sposób: czas jest skończony czy nieskończony?

- Skończony, rzecz jasna. Jak możesz w to wątpić? Bóg stworzył świat w określonej chwili, tak mówi Biblia...

- Zatem zakończy się pewnego dnia, czyż nie tak? Skoro jest skończony...

- W dniu Sądu Ostatecznego, tak.

Al-Razi znowu się uśmiechnął. Tym razem się podparł, żeby zbliżyć się do don

Fernanda:

- Dobra, dobra, mój przyjacielu Fernando... Jesteśmy przecież uczonymi... Ani ty, ani ja nie wierzymy w Stworzenie, a już na pewno nie w Sąd Ostateczny.

- Nie chcę ciągnąć tej rozmowy. To, co mówisz, to herezja.

- Ale czy wierzysz w to? Naprawdę?

Don Fernando zachował milczenie. Lecz pokusa była zbyt silna, a jego wiedza nie pozwalała mu na wycofanie się z dysputy.

- Dobrze. Przypuśćmy, że w to nie wierzę. Ale upieram się przy tym, że świat miał swój początek i będzie miał koniec, dlatego czas jest skończony.

- Dobrze, załóżmy, że jest skończony, to znaczy, że miał początek. No, to co było wcześniej? Powiedz mi.

- Wieczność zamieszkała jedynie przez Boga.

- Wieczność czasu, chcesz powiedzieć? Czyli, że czas trwał wiecznie. A więc przecyzysz sam sobie, prawda? Bo jeśli trwał w nieskończoność, nie jest skończony. O ile dobrze rozumiem twoje słowa, chcesz powiedzieć, że czas nie jest skończony. Chociaż w tej wieczności mieszkał Bóg.

- Tak, wierzę, że tak jest.

- Ależ to jest jeszcze bardziej absurdalne! - Al-Razi pokręcił głową i znowu się uśmiechnął. - Jeśli do dzisiaj minęłoby nieskończenie dużo czasu, nastąpiłoby też nieskończenie wiele zdarzeń, niemożliwa do policzenia liczba wydarzeń, co jest absurdalne, bo stoi w sprzeczności z każdą logiczną myślą. Bez względu na to, jakie to wydarzenia, jakkolwiek wiele by ich było, zawsze można je wymienić i z definicji nie byłyby nieskończone...

- Oczywiście.

- W takim przypadku, jak wyjaśnić, że istniała tylko określona liczba wydarzeń w nieskończoności czasu? Nie wydaje się to rozsądne...

- Oczywiście. W takiej jednak sytuacji, skoro czas nie jest nieskończony, nie jest też skończony Czy chcesz mi, przekłety Maurze, powiedzieć, że jest?

- Nie jest.

- Nie jest niczym?

- Jest fikcją. A może czymś jeszcze bardziej niezrozumiałym: przestrzenią.

- Przestrzenią czasu?

- Nie, przekłety Kastylijczyku. Zwykłą przestrzenią pomiędzy dwoma zdarzeniami naszej osobistej egzystencji, pomiędzy dwoma faktami naszego pamiętanego albo

studiowanego życia. My, istoty ludzkie, mierzymy ją godzinami, dniami i latami, i to właśnie nazywamy czasem, skoro jednak doszliśmy do wniosku, że czas nie może być skończony ani nieskończony, to znaczy, że nie istnieje.

- Tak po prostu?

- Prawda jest prosta, nigdy o tym nie zapominaj...

\* \* \*

Don Fernando poczuł strach po raz pierwszy w życiu. Jednak nie strach przed rzeczywistym lub wymyślonym niebezpieczeństwem, jak to widział u tak wielu chorych w swym lekarskim gabinecie, ale chwilowe zamroczenie w obliczu prawdy znacznie bardziej nieuchwytej, niż jego rozum był w stanie pojąć. Nieistnienie czasu nagle prowadziło do nieśmiertelności, bo kiedy zniknęła idea czasu, istota ludzka stawała się nieśmiertelna. Było to znacznie prostsze, niż mogło mu się kiedykolwiek wydawać: skoro czas stawał się bytem nieistniejącym, skoro można się było obejść bez czasu w chwili mierzenia istnienia człowieka, ludzie żyliby, dopóki by żyli, i w tym okresie byłiby nieśmiertelni, a kiedy umierali, przestawali być, istnieć, dlatego nie byli też śmiertelni, bo nie byli niczym. Dokąd wiodły go te rozważania? Donikąd, z pewnością donikąd, ale myślenie o tym wywoływało zawroty głowy, strach nieznanym i niezrozumiałym, bo odczuwał go po raz pierwszy. Musiał przeanalizować swój strach, aby lepiej zrozumieć strach innych ludzi, i musiał w szczególności poświęcić się studiom nad czasem i nad wszystkimi teoriami, jakie na ten temat stworzono, bo od odkrycia jego natury zależało też zbudowanie broni, którą pokona strach.

Teraz już wiedział wystarczająco dużo. Po pierwsze, nauczył się, że wszystkie pomniejsze strachy zawierały i skrywały jedyny i prawdziwy strach: strach przed śmiercią; jeśli zatem zdoła odkryć sposób pozbycia się strachu przed losem, wszystkie inne jego rodzaje też znikną, dzięki czemu jego pacjenci zostaną natychmiast wyleczeni i nikt nigdy więcej nie będzie cierpiał ze strachu. Uzdrowiciel dusz stanie się w końcu najbardziej użytecznym z lekarzy, jacy kiedykolwiek istnieli. Po drugie, był przekonany, że Bóg stworzył ograniczoną lub skończoną, jak mówił Al-Razi, liczbę dusz, które ludzie dziedziczyli po sobie albo, jeśli istniała taka konieczność, dzielili je, choć taka sytuacja była niewygodna i obaj osobnicy czuli się wówczas źle, dopóki nie zniknął jeden z nich i nie zostawiał duszy wolnej dla drugiego. Po trzecie, wiedział, że alchemia mogła mu umożliwić - jeśli będzie pracował nad nowymi formułami i poszukiwał skutecznych metod rozwinięcia swych teorii - odkrycie eliksiru nieśmiertelności albo zjawiska podróży dusz, aż odnajdzie Klarę, gdziekolwiek się znajdowała.

A jeśli ponadto, jak twierdził Maur, czas nie istnieje, jest też możliwe, że nic nie

istnieje. Ani przestrzeń, ani strach, ani nawet Bóg.

- Ale Bóg istnieje - powiedziałem mistrzowi pewnego mglistego i deszczowego dnia, gdy siedzieliśmy przed główniami strzelającymi w wielkim kominku w salonie.

- Tak nas nauczyli nasi rodzice - odparł.

- Arystoteles zdołał dowieść tego teorią Pierwszej Przyczyny - powtórzyłem to, czego on mnie nauczył. - Skoro wszystko, co się porusza, musiało zostać wprowadzone w ruch przez coś innego, w ten sposób można dojść do pierwszej przyczyny sprawczej, która rozpoczęła ruch. Tą pierwszą przyczyną był Bóg.

- Bardzo rozsądne - stwierdził zadowolony, że pamiętałem swe lekcje.

- A święty Tomasz wykazał to w podobny sposób w *Summa theologiae* swymi pięcioma dowodami na istnienie Boga - ciągnąłem. - Dwa z nich są bardzo podobne do dowodów Arystotelesa, przede wszystkim jeden, ten, który mówi, że wszystkie zdarzenia zachodzą dzięki istnieniu uprzedniej przyczyny i tak dalej, aż do Przyczyny Sprawczej albo Pierwszej Przyczyny, którą jest Bóg.

- Twoje studia dają wyniki, Alonso. Dobrze.

- W takim razie, jak możesz mówić, że Bóg nie istnieje?

- Nie twierdzę tak. - Mistrz dalej popijał wino. - Tylko głośno myślałem.

- Ani czas, ani przestrzeń, ani nawet Bóg. Tak powiedziałeś.

- Arystoteles powiedział także, że świat istniał zawsze, a jest oczywiste, że się mylił. Ale nie zwracaj na mnie uwagi, Alonso. Czasem mówimy rzeczy, w które nie wierzymy albo których nie jesteśmy w stanie dowieść. Sam widzisz, nawet Grek się pomylił, bo wszyscy wiemy, że to Bóg stworzył świat...

- Co do tego, widzisz, mój panie don Fernando? - Popatrzyłem w górę, jakbym medytował. - Co do tego, nie jestem już tak bardzo przekonany...

- No, to idź do łóżka i módl się przed snem, bo szatan zje ci uszy tej nocy jako grzesznikowi, jeśli nie pożałujesz tego, co powiedziałeś.

Poszedłem do swojej sypialni, a don Fernando został rozciągnięty przy ogniu, pijąc wino i wspominając Klarę. Z łóżka słyszałem, jak płacze i mówi na głos, prosząc ją, by na niego poczekała, i przyrzekając, że niebawem do niej dołączy.

## DWA

W roku 1599 zbudowano Puerta de Alcalá, u zbiegu ulic Alcalá i Sevilla, na rozkaz burmistrza miasta i jako prezent od ludu Madrytu dla naszego pana don Filipa III z okazji jego ślubu z dożą Małgorzatą Austriacką, naszą panią. W inauguracji wzięli udział wszyscy mieszkańcy miasta, a zabawy, które potem zorganizowano, zakończyły się późnym popołudniem korridą na Przedmieściach Świętego Krzyża, przed Casa de la Panaderia, w czasie której zginął jeden toreador, a pięciu pomocników zostało zranionych. Ja byłem przy Puerta de Alcalá, otoczony mężczyznami, którzy mówili o tym, by później pójść obłapiać dziewczki, jednak nie wziąłem udziału w korridzie tego popołudnia, ale dowiedziałem się o jej opłakanych skutkach, bo Al-Razi musiał spędzić noc na zszywaniu ran i wkładaniu flaków na swoje miejsce, co szeroko i prześmiesznie opowiedział w naszym domu następnego dnia. Powiedział nam też, że choć nigdy nie był szczególnie zapalonym miłośnikiem tauromachii, jako doskonały znawca ludzkiej natury rozumiał umiłowanie, jakim lud darzy te zabawy, wszak symbolizowały walkę człowieka z bestią i tryumf inteligencji nad siłą.

Wybudowano więc Puerta de Alcalá, a dla mnie rozpoczął się okres zdobywania wiedzy na temat metod leczenia chorób duszy, które stosował mój mistrz wobec swoich pacjentów. Skończyłem trzynaście lat i don Fernando wspominał mi o konieczności kontynuowania studiów pod okiem duchownych, tak jak zrobił on, odnosząc się do klasztoru Augustinos Recoletos, założonego przed kilku laty i mającego siedzibę na lewo od drogi do Alcalá, i o owocach, jakie mógłbym zebrać z udzielanych tam nauk. Ja jednak nie byłem pewien tego, czy duchowni mogą nauczyć mnie więcej niż don Fernando, i poprosiłem, aby mi pozwolił jeszcze przez rok pomagać mu w badaniach i leczeniu chorych, po czym, jeśli uzna, że nie zrobiłem zbyt dużych postępów, przyjmę każdą podjętą przez niego decyzję w sprawie mojego wykształcenia i, jeśli takie będzie jego życzenie, udam się po nauki do klasztoru Recoletos.

Mój mistrz uznał, że moja propozycja godna jest szacunku i uznania, więc zgodził się, bym został u jego boku. Ja jednak nie zaproponowałem tego tylko po to, by odwlec odejście od niego, ale dlatego, że wiedziałem, iż jeśli pozwoli mi zgłębić dziedziny, które go zajmowały, stanę się niezbędny i nauczę się jego fachu bez potrzeby interwencji obcych, których się obawiał, nie wiem z jakich to powodów.

W ten sposób w krótkim okresie nauczyłem się odróżniać amoniak od arszeniku, ogień pierwszego stopnia od drugiego stopnia, tygiel do topienia od kolby, naczynie nieprzezroczyste od porcelanowego. Nauczyłem się też filtrować, używać młotka do dzielenia i serpentyny do destylacji, nie zaniehbując przy tym produkowania kwasów i podtrzymywania ognia w palenisku. Początkowo mistrz patrzył na mnie z wielką nieufnością i pilnował wykonania polecanych mi zadań, gdyż bał się bez wątpienia, że przez lekkomyślność albo z niewiedzy spalę laboratorium. Jednak po upływie kilku miesięcy, nie więcej niż dwóch czy trzech, z całym spokojem polecał mi produkcję maści, warzenie eliksirów i przygotowywanie prostych medykamentów, które stosował jako leki usypiające albo uśmierzające, różnych remediów, które przepisywał czasem jako kojące, a czasem jako uśmierzające ból albo niepokój. A co okazało się dla mnie najważniejsze: dopuścił mnie do swoich chorych, pozwalał słuchać ich historii, być przy ich leczeniu i poznawać aplikowane im lekarstwa. Było to niczym studiowanie specjalizacji medycznej na uniwersytecie bez konieczności przebywania w Alcalá czy poświęcania temu lat nauki.

Dzięki niemu poznałem sposoby odkrywania różnych rodzajów strachu i zwalczania ich. Stwierdziłem, że ludzie miewają przedziwne sny jak ten, że chce się biec i nie można, że nagle spada się w otchłań, że człowiek jest grzebany żywcem i budzi się później w ciemnościach grobowca albo że traci zmysły i staje się nieznośnym ciężarem dla rodziny.

- To zawsze jest strach przed śmiercią - wyjaśniał mistrz. - Wielki strach. Jeśli nie potrafią odkryć, że boją się tylko śmierci, w swych głowach przekształcają ten strach przed czymś innym i uważają go z kolei za główną przyczynę swych cierpień.

- Ale ze strachu przed śmiercią nie sposób się wyleczyć - mawiałem.

- Można się z niego wyleczyć, kiedy się zrozumie, że śmierć nie istnieje.

- Ale czy nie istnieje? Mama umarła...

- Jak to nie istnieje? - przerywała bona Leonarda, która przechodziła przez salon i się zatrzymała.

- Może masz rację, stara Leonardo - zgadzał się mistrz. i wtedy smutniał, mogłem to zobaczyć w jego spojrzeniu zza przymrużonych powiek i usłyszeć w ciszy, jaka zapadała na dłuższy czas. Don Fernando skrywał w umyśle zawsze jedną wątpliwość i nie miał spocząć, dopóki jej nie rozwiąże. Lecz jak dotąd nie znał odpowiedzi.

Pewnego popołudnia widziałem, jak płacze. Wrócił z domu Al-Raziego i zamknął się na długo w bibliotece, bez wątpienia poszukując w książkach odpowiedzi, lecz tam ich też nie znalazł. Wyszedł niepokieszony, przygaszony jak świeca na wietrze, z przymkniętymi oczyma i bladymi ustami. Zapytałem, co się z nim dzieje, a on nie odpowiedział. Jednak po

jakimś czasie ujrzałem, jak siedzi w fotelu i płacze. Nie chciałem ponownie go pytać, ale na pewno znowu stracił nadzieję. W moim wieku już wiedziałem, że są chwile, w których lepiej zamilczeć i czekać bez niepokoju, aż nadejdzie koniec burzy, która czasami rozpętywała się w jego duszy.

Kiedy ustawał rześysty deszcz w sercu mojego mistrza i jego oczy ponownie spojrzały na mnie z melancholią, opowiedziałem mu to, co usłyszałem podczas otwarcia Puerta de Alcalá, i chciałem się dowiedzieć, do czego odnosili się ci mężczyźni.

- Mówili o obłapieniu dziewczek.

- Kobiet sprzedających ciało. Tak się je nazywa.

- Sprzedają je? Po co?

- Tak naprawdę nie sprzedają go, pożyczają na chwilę, żeby zarobić kilka groszy.

- A co można zrobić z wypożyczoną kobietą? Pomóc jej cerować halki?

Don Fernando uśmiechnął się, załamując ręce nad moją niewinnością. Powiedział mi, że w wieku trzynastu lat powinienem wiedzieć pewne rzeczy o życiu, i przez długą godzinę wyjaśniał mi wszystkie sprawy związane z ludzką miłością. Początkowo zawstydziła mnie moja ignorancja, ale rumieniec zaczął ustępować miejsca ciekawości, a zaskoczenie prawdziwemu zainteresowaniu, którego nie byłem w stanie ukryć. Po jakimś czasie już nie miała dla mnie znaczenia ignorancja i interesowało mnie tylko pogłębianie wiedzy.

- Czy to jest takie przyjemne?

- Nie mam zbyt wiele doświadczenia, ale zapewniam cię, że tak.

- No, to dlaczego jest zabronione?

- Nie jest.

- To grzech. Kościół mówi, że jedno z przykazań bożych brzmi: „Nie cudzołóż”.

- Grzechem jest tylko spółkowanie z kobietą nie będącą twoją żoną.

- Ale ci mężczyźni...

- Tak. Ci mężczyźni mieli zamiar zgrzeszyć, bo zamierzali obłapiać dziewczki.

- Dziewki, tak powiedzieli. - Zamyśliłem się przez chwilę. - Co to są dziewczki?

- Kobiety wypożyczające swe ciało w zamian za kilka groszy.

Powtórzył odpowiedź, zatem nie rozwiał moich wątpliwości. Ale w jakim celu je wypożyczają? Ciągłe byłem zmieszany, nie potrafiłem powiązać spółkowania z dziewczkami z miłością ciała, o której mówił mi przez dłuższy czas.

- Nie zastanawiaj się już nad tym, Alonso - powiedział w końcu.

- Oddają swoje ciało na kilka minut, żeby robić z nimi to samo, co robi się z żonami, ni mniej, ni więcej. Robienie tego z nimi jest grzechem; z żonami - nie. Mężczyźni wolą

jednak zabawiać się w taki sposób, bo sądzą, że ciekawsze jest robienie tego z coraz to nowymi kobietami. Zrozumiesz to, jak będziesz trochę starszy.

- Skoro jednak grzechem jest cudzołożenie z tymi kobietami, dlaczego są wolni i nie zajmują się nimi Święte Oficjum? - upierałem się.

- Bo wszyscy mężczyźni, w tym księża, czasem je odwiedzają.

- Po co?

- Aby zaspokoić swe potrzeby płciowe.

- Co za okropność!

Don Fernando westchnął zmęczony. W końcu przekonał się, że sprawa wymaga dokładniejszych wyjaśnień, tak więc pomyślawszy o tym przez kilka chwil, zdecydował, że jestem już dość duży, aby otworzyć mi oczy.

Powiedział mi, że w samym Madrycie istnieje ponad osiemset domów publicznych; rzeczywiście bardzo wiele, przyznał, przy ludności nie przekraczającej dwustu tysięcy. Że w tych domach publicznych mieszka kilka tysięcy dziewczek, nierządnic, kokot, wszetecznic i utrzymanek, a nawet miesięcznic, zwanych tak dlatego, że są wynajmowane na miesiące do wyłącznego użytkowania przez jakiegoś pana. Podkreślił, że nigdy nie brakowało chętnych na te wszystkie dziewczki pośród szlachty, studentów, aktorów, obcokrajowców, graczy, mnichów, bakalarzy i poetów, a nawet pośród żebraków, których liczbę w mieście szacowano na jakieś trzy tysiące. I wreszcie wyjaśnił, że wiele z tych domów publicznych było po prostu domami schadzek, gdzie mogli spotykać się w ukryciu, bezkarnie i z dala od oczu postronnych ludzi mężczyźni i kobiety zakochani, którzy w ten sposób unikali kontroli swych współmałżonków i łączyli się, aby zaspokoić potrzebę przyjemności bez skandali ani konsekwencji, które w przypadku cudzołożnych kobiet mogły doprowadzić do utraty czci, kary i więzienia. Święta Inkwizycja, zakończył don Fernando, nie pochwała grzechów przeciw czystości, ale gdyby je ściagała, nie miałaby czasu na zajmowanie się heretykami, których uważa za znacznie bardziej niebezpiecznych dla wiary niż ludzi grzeszących przeciw przykazaniom bożym, bo w końcu ci ostatni istnieją także w jej szeregach i w sumie nikomu nie szkodzą. Później powiedział mi, że dla uniknięcia chorób, które roznoszą się wskutek rozwiązłości płciowej, nakazano sędziom dopuszczenie do praktykowania prostytucji, ale narzucenie zasad higieny, które sami uznają za stosowne, aby dziewczki były kontrolowane przez lekarzy ze Szpitala Miejskiego i leczone, jeśli zarażą się jakąś chorobą, co bardzo często się zdarza.

- A wy, panie, poznaliście jakąś dziewczkę? - zapytałem, nie zważając na to, że mógł się na mnie obrazić.

- Nie, Alonso - odparł sucho, ale bez cienia złości. - Musisz jednak wiedzieć, że gdyby



nawet tak było, kawalerowi nie należy zadawać takiego pytania ani on nie ma obowiązku na nie odpowiadać.

\* \* \*

Don Fernando nadal spotykał się z Al-Razim co wieczór, najczęściej w naszym domu. W bibliotece gabinetu spędzali długie godziny na rozmowach, recytując wyuczone teorie albo prezentując hipotezy, nad którymi dyskutowali czasem z wielkim animuszem, i tracąc poczucie czasu. Wiele razy zjadałem kolację sam albo w towarzystwie bony Leonardy i kładłem się spać, kiedy oni ciągle dyskutowali. A kiedy kończyli szybko, było jeszcze gorzej: wtedy mistrz wpadał do domu, krzycząc i zarzekając się na sam nie wiem jakich to pogańskich bogów, że nigdy więcej nie siądzie z tym twardogłowym Maurem, zjadał w pośpiechu kolację, irytując się z powodu różnych bezsensownych rzeczy. Do następnego wieczoru, kiedy znowu odwiedzał Al-Raziego albo przyjmował jego wizytę, rozpoczynając dyskusję w tym samym albo w innym punkcie z dnia poprzedniego.

W tych dniach kończących stulecie, kiedy rodził się rok 1600, prowadzili spór na temat natury czasu. W końcu się zgodzili co do zaakceptowania istnienia czasu, przynajmniej Al-Razi ustąpił w swych ideach, bo uznał to za użyteczne w dysputach, które toczyli. I wtedy rozpoczęła się wielka batalia nad tym, czy czas jest linearny czy kolisty, czy rozwija się w sposób ciągły od początku do końca (od stworzenia do końca świata) jako droga prosta, po której można się przemieszczać, czy jak droga, która zaczyna się i kończy w tym samym punkcie i zatacza koło, aby trafić do punktu wyjścia.

- Jednak upieram się, że czas nie istnieje, Fernando.

- Gdybyś miał rację, nie wiedziałbym, gdzie szukać. Zatem założmy, że tak. Proszę cię.

- Ale po co chcesz to zakładać?

- Nie sprzeciwiaj mi się, Al-Razi, bo aż za dobrze wiem, po co tego chcę.

- Dobrze.

I wtedy podejmowali dysputę na temat natury czasu, nad tym, jak następują po sobie nieskończone chwile, czy jedna po drugiej, w linii prostej, czy w sposób krzywy, aż się spotykają.

- To oczywiste, że w sposób liniowy, Al-Razi - zapewniał don Fernando. - Bóg stworzył świat w określonej chwili i od tego czasu następują po sobie wydarzenia.

- Niemal wszystkie cywilizacje starożytne uważały coś przeciwnego.

- Maur wzruszył ramionami. - Nawet w samej Biblii...

- Może nie czytałeś świętego Augustyna? Bóg umarł tylko jeden raz za nas

wszystkich. Gdyby czas był kolisty i wydarzenia powtarzały się raz za razem, ileż razy musiałby umrzeć i zmartwychwstać Pan Nasz Jezus Chrystus?

- Nie sądzę, byś chciał w naszej rozmowie dojść do tego aspektu, bo nie znam na to odpowiedzi. Zwróć jednak uwagę, że wszystko, co znamy, następuje w sposób cykliczny: dzień i noc, zima i lato, ciepło i zimno, fazy księżyca, życie i śmierć... Wszystko powtarza się raz za razem, w nieskończoność. Dlaczego czas miałby się wymknąć temu kołu? To nielogiczne.

- Bo wszystkie te rzeczy, powtarzające się w sposób cykliczny, zachodzą właśnie w czasie. - Fernando zachowywał uporczywe stanowisko.

- Tylko on trwa niczym koryto rzeki, którym płynie woda, zawsze inna.

- Przypominam ci, że Chińczycy obliczyli, iż świat powtarza się co dwadzieścia trzy tysiące sześćset trzydzieści dziewięć lat...

- Chińczycy to poganie. Nie można im wierzyć, Maurze.

- A Hindusi, zarozumiały Kastylijczyku? Dla nich cykl czasowy trwał trzysta miliardów lat, czas życia bogów.

- Poganie, poganie... - Fernando ręką odganiał idee Al-Raziego.

- W księdze Genesis mówi się, że Bóg przyrzekł Mojżeszowi, iż nigdy więcej nie ześle następnego potopu, i na potwierdzenie swego przyrzeczenia zesłał mu tęczę. A może Bóg kłamał?

- Nie, ale Kohelet zapewnia, że „to, co było, będzie; to, co zrobiono, będzie zrobione; nie ma nic nowego pod słońcem”. Chcesz lepszego dowodu na to, że czas jest kolisty? - Nie mieszaj mi w głowie, Al-Razi! Od 1277 roku doktryna czasu kolistego zajmuje szóste miejsce spośród dwustu dziewiętnastu opinii, które należy uznać za heretyckie! Usmażymy się na stosach Świętego Oficjum, jeśli dalej będziemy brnąć po tej drodze!

- Nie bardziej boję się inkwizycji niż kłamstwa, mój panie Ruiz de Alcalá. Powinieneś już o tym wiedzieć.

- Ale nie słuchasz argumentów. Święty Augustyn napisał, że idea czasu kolistego nie tylko jest głupia, ale bezbożna. Nie uznajesz jego nauk?

- Tak jak ty nie uznajesz nauk Arystotelesa. - Al-Razi wsparł się na łokciu. - Coś ci powiem: czyż nie jest prawdą, że ty sam codziennie robisz te same rzeczy? Wstajesz o tej samej godzinie, idziesz do kościoła każdego dnia tygodnia, wykonujesz identyczne czynności we wszystkie dni roku... Powtarzasz fakty raz za razem, tak samo jak my wszyscy powtarzamy wszystko w sposób cykliczny. Czas więc się powtarza raz za razem. Zyskałem właśnie wiedzę, że nawet plemiona zamieszkujące Nowy Świat, Aztekowie i Majowie, myślały

tak samo. Aztekowie uważają, że światu zagraża zagłada co pięćdziesiąt dwa lata, a Majowie są przekonani, że klęski żywiołowe następują w sposób cykliczny.

- Bardzo dobrze - uśmiechnął się kpiąco Fernando. - Zatem według tych teorii, raz za razem będzie się odkrywać Indie, podbijać Granadę, a nawet toczyć wojny punickie. Nie mogę dać wiary w takie niedorzeczności...

- Czy jesteś mądrzejszy niż Arystoteles, Pitagoras i Zenon z Kitionu, stoik?

- Moja skromność nie pozwala mi odpowiedzieć.

- Wszak ci Grecy wierzyli w „wielki rok”, kiedy świat się skończy, aby zacząć się na nowo. I tak samo twierdzi się w mitologii nordyckiej, wyjaśniając, że niebo i ziemia zniszczą się w ostatecznej bitwie pomiędzy bogami i olbrzymami, aby zrodziła się nowa rasa ludzka.

- Paganie - upierał się Fernando.

Al-Razi popatrzył na niego z pewną irytacją. Miał wysunąć ciężki zarzut i jego spojrzenie stało się surowe.

- Zauważam z zaskoczeniem, że używasz epitetu „pogański” z lekkością niegodną człowieka nauki. Nie zauważyłeś, że skoro dla nas Chińczycy, Hindusi, Aztekowie, Majowie i Skandynawowie są poganami, bo czczą innych bogów, różnych od naszego, który jest prawdziwy, my także jesteśmy poganami dla nich, bo nie czcimy ich bogów? A skoro tak, czy zgodziłbyś się z takim dyskredytowaniem siebie w dyskusji naukowej?

Don Fernando zamilkł. Bardziej jednak po to, by nie powiększać oczywistego zdenerwowania swego przyjaciela, niż dlatego, że nie kusiło go, by odpowiedzieć z lekceważeniem dla wszystkiego, co pochodzi z wiedzy ludów nie służących prawdziwemu Bogu.

- Dobrze, dobrze - powiedział po chwili. - Jednak z tysięcy istniejących kultur tysiące nie miałyby racji, gdyby twierdziły, że teraz jest dzień, skoro księżyc lśni nad naszymi głowami.

- Chyba że nazywałyby dzień nocą, a noc dniem.

- Ty mnie rozumiesz.

Jednak nie rozumieli się. Albo rozumieli się tak doskonale, że zagłębiali się w dyskusji z czystej przyjemności debatowania i przeciwstawiania się sobie w poszukiwaniu odpowiedzi, których nie potrafił udzielić żaden z nich. I tak się działo zimą, wiosną, latem i jesienią i znowu zimą, według naturalnego cyklu czasowego, cyklu wszystkich rzeczy...

\* \* \*

W Roku Pańskim 1601 wydarzyło się coś zaskakującego, czego wtedy nie potrafiłem zrozumieć, choć dla wszystkich pozostałych wydało się to naturalne i bez znaczenia. Król,

nasz pan Filip III zdecydował się przenieść do Valladolid, zabierając ze sobą dwór, tak więc od tamtej chwili to kastylijskie miasto w miejsce Madrytu zostało stolicą królestwa i siedzibą władcy wszystkich posiadłości Hiszpanii; było to wydarzenie być może bez znaczenia, ale dla mnie niepokojące. Dla odmiany don Fernando był z niego zadowolony i wielu madrytczyków także. Bez dworu, powiedział, powróci spokój do miasta, spokój, który utracono w połowie dekady lat sześćdziesiątych, kiedy królowie przenieśli stolicę z Toledo do Madrytu; bez dworu nie będzie więcej przywilejów dla arystokracji ani prebend dla mieszkańców alkazaru i przyjaciół mieszkańców; bez dworu zmniejszy się liczba domów publicznych i tawern, a noc odzyska swój spokojny charakter, ostatnio tak gwarna i pełna przygód; bez dworu w końcu ani obecność ważnych zagranicznych gości, ani ceremonie Korony nie będą zmieniać biegu życia w mieście, które nigdy nie przyzwyczyło się do blichtru.

Mój mistrz szczególnie się cieszył z przeniesienia dworu. Być może utracił któregoś ze swych najlepiej uposażonych pacjentów ku rozpaczycy don Tirsa, zarządcy, który jeszcze nie doszedł do siebie po reprimendzie za swą nikczemność i ledwie było słycać jego głos, chyba że łajający służbę za brak uwagi przy zaspokajaniu potrzeb pana, który ze swej strony potrzebował bardzo niewiele, a mniej jeszcze wymagał. Właśnie don Tirsowi szczególnie było żal wyjazdu króla z Madrytu, bo jego wezwania zawsze kończyły się okazywaniem wdzięczności i szczodrością, co umacniało pozycję don Fernanda jako zasłużonego obywatela, ale don Fernando przeżywał chwile tak osobiste i pełne przygnębienia, że nie zależało mu nawet na królewskiej łasce. Albo przynajmniej tak to okazywał, kiedy dowiedział się o wyjeździe dworu do interioru Kastylii.

Okazywał to przedwcześnie, bez wątpienia. Bo gdy król udał się do swego nowego miejsca pobytu, zaraz nastąpił ciąg ostrzeżeń i grózb, które nie wróżyły niczego dobrego. Najpierw rozbrzmiał jakby szept w ustach don Tirsa, oznajmiający don Fernandowi, że Święte Oficjum wezwało go ponownie na przesłuchanie na temat działań jego pana i że tym razem nie puścił pary z ust, ale ze strony przesłuchującego go sądu nie zaznał ani krztyny zrozumienia. Następnie pojawił się, niczym krzyk nocną porą, wyrok przeciw alchemikom oskarżonym o herezję za rozpowszechnianie doktryn niezgodnych z doktryną Kościoła i autodafe, które miało się odbyć przed końcem roku. I wreszcie szepty i głosy stały się ostrzegawczymi krzykami, kiedy Maur Ben al-Razi bez wyraźnego powodu został zatrzymany, uwięziony i zamknięty w lochu i nikt nie miał do niego dostępu.

Przez cały ten czas don Fernando budował zamki z piasku swymi studiami i dociekaniem, aby stworzyć teorię ludzkiej duszy. Był coraz bardziej przekonany, że Bóg stworzył skończoną liczbę dusz, które istoty ludzkie przyjmują w samotności albo dzielą

wedle potrzeb chwili. Sam Al-Razi przekonał go do tego, kiedy pewnego wieczoru powiedział:

- Kiedyś stwierdziłeś, że Bóg nie może być nieskończenie dobry i wszechmocny jednocześnie, bo pozwala, że niewinne dzieci umierają po wielkim cierpieniu. No tak: cóż ty wiesz o boskich planach? Czy Bóg nie może odebrać im życia, bo potrzebuje ich dusz do swoich celów? A może chcesz, biedny i ciemny chrześcijaninie, zrozumieć tok myślenia Boga?

Al-Razi przemówił do niego, jakby rzeczywiście wierzył w Naszego Pana, lecz ten cynizm był w tym wszystkim najmniej istotny. Prawda jest taka, że miał rację, że czasem brakowało dusz i Bóg musiał wybierać, aby pozwolić istnieć światu wedle swych boskich planów. Czyli że dusz było mało, a ludzi wiele i rozsądnie było myśleć, że skoro dzisiaj dusza zamieszkuje jedno ciało, jutro będzie zamieszkiwać drugie i tak dalej. O ile ta teoria jest słuszna, śmierć nie istnieje, albo dla większej precyzji - śmierć nie jest niczym więcej niż formą mierzenia życia umożliwiającą jego trwanie.

Gdzież więc była dusza Klary? Bo jeśli żyła dusza Klary, żyła też ona. Nawet śmierć nie mogła zniszczyć łączącej ich miłości; nie mogła przeszkodzić w tym, aby jego miłość pewnego dnia stała się rzeczywistością.

Klara często gościła w myślach Fernanda, aby podsycać jego chęć do życia. Na wspomnienie jej oblicza wiercił się w samotności łoża i pragnął wymieniać z nią porozumiewawcze spojrzenia, których nie odważył się jej posłać za życia. Ileż razy nocą, w ciszy, słyszałem jego kroki ze swojego pokoju, jak chodził tam i z powrotem u siebie, czuwając przy wspomnieniach, jak błędni rycerze czuwają przy broni. Ileż to razy nocą słyszałem, jak rozmawia sam ze sobą, wychylony przez okno na poddaszu, na pewno przyglądając się szklanym ptakom, aby odkryć, co zrobiły z duszą Klary, i udać się na jej poszukiwanie. Ileż to znowu razy wolałem nie zasypiać, żeby słuchać, jak płacze z tęsknoty za moją matką, aż ja też wybuchiałem płaczem i każdy z nas w swej samotności czuł się pocieszony, bo nie płakał sam.

\* \* \*

W dniu, kiedy przyszli po Al-Raziego, don Fernando zrozumiał, że musi się przygotować na to, co się zbliża. I o poranku, w którym zjawili się w jego domu, rzeczywiście był przygotowany nawet na to, że jego nieobecność znacznie się wydłuży, o co się obawiał.

- Przysięgam wam, panie, że tym razem ja... - zarządca obwieścił wizytę ze łzami w oczach.

- Wiem o tym, don Tirso. - Mistrz poklepał go po plecach. - Wiem o tym. Teraz

jednak chcę prosić, żebyście zajęli się moim majątkiem, jakby należał do was; i co najważniejsze - żebyście chronili przed wszelkim złem Alonsa, jakby był waszym synem. Po powrocie odpowiednio was wynagrodzę, sami się przekonacie.

- To ja błagam was, panie, abyście mnie zaszczylili zaufaniem i pozwolili mi to robić... - don Tirso niemal płakał.

- Chodźmy, chodźmy... A ty, Leonardo, dbaj o to, żeby im niczego nie zabrakło, tak jak dbałaś o mnie. I przestań płakać, kobieto, bo nie dzieje się nic złego!

- Panie...

Dwóch mężczyzn w żałobie poprowadziło go ponownie do „czyścica”. I powtórzyło z nim ten sam rytuał co za pierwszym razem. Jednak drugie spotkanie z inkwizycją nie zrobiło na don Fernandzie aż tak głębokiego wrażenia, bo wiedział już mniej więcej, czego może się spodziewać.

- Oznajmiłem wam, panie, że jeszcze się spotkamy - powiedział przewodniczący trybunału, zwieńczony biretem obszytym lamówką i w takiej samej sutannie jak poprzednio.

- Z najwyższą satysfakcją zauważam, że poza wieloma innymi cnotami, które was ozdabiają, jesteście też wielkim prorokiem. - Uśmiechnął się mistrz, nie kryjąc sarkazmu.

- Cisza! - Staruszek nie życzył sobie, by jakieś niegodne plamy pojawiły się na jego majestacie.

Przewodził trybunałowi ten sam duchowny, który poprzednim razem chciał osaczyć don Fernanda; ubrany był w wielką czarną sutannę, na której na wysokości piersi wyhaftowano czerwony krzyż. Być może towarzyszyli mu również ci sami przybocznicy, ale don Fernando nie mógł albo nie chciał sobie tego przypomnieć. Teraz nie pamiętał, że jeden z nich nie miał włosów, a drugi brwi, ale był przekonany, że uważał ich obu za martwych. Skryba nawet niczego nie zapisywał. Przemówił ponownie ten najstarszy, siedzący pośrodku wielkiego stołu:

- Przypuszczam, don Fernando, że znowu będziecie zaprzeczać, iż uprawiacie czarownictwo.

- Dobrze przypuszczacie.

- W porządku. - Duchowny wbił wzrok w oczy swojego mistrza.

- Tym razem jednak sugeruję wam rozagę i szacunek dla tego trybunału: ani Jego Wysokość nie znajduje się w pobliżu was, ani, jak się obawiam, Bóg nie trzyma waszej strony. Dlatego starajcie się zachowywać godnie, bo cierpliwość nigdy nie była cechą, której przypisywałem wielkie znaczenie, a ja sam nie jestem dzisiaj w zbyt dobrym humorze. Czy rozumiecie, co mówię?

- Doskonale.

- To dobrze. Zaczę to przesłuchanie bez większych wstępów, wszak znam wasze imię i inne okoliczności sprawy. Proszę was więc, abyście poinformowali ten trybunał, na czym konkretnie polega wasza praca.

Don Fernando patrzył mu w oczy przez kilka chwil, zanim odpowiedział, może zastanawiając się nad rzeczywistym niebezpieczeństwem, a może przemyślując nad odpowiedzią, która zadowoliłaby inkwizytora.

- Można by powiedzieć, że moja praca polega na leczeniu chrześcijan z różnych rodzajów strachu.

- Leczycie strach? A czy to jest ludzka praca, don Fernando? Czy nie będzie to raczej praca demona?

- Wręcz przeciwnie, uważam, że demon napawa nas strachem, jak doskonale wiecie, wasza miłość. Ośmielił się nawet kusić Boga.

- Obawiam się, że to wy nie wytrzymujecie kuszenia, tak jak wytrzymał je Nasz Pan Jezus Chrystus. - Inkwizytor zwrócił oczy na leżący przed nim na stole plik. - Wyznajecie, że kusił was szatan?

- Nigdy nie musiałem się bronić, bo nigdy nie stałem się celem jego ataków, chwała Bogu. - Mistrz natychmiast zrozumiał, że powinien odwrócić bieg przesłuchania, bo w kwestii demonów duchowny na pewno miał nad nim znaczną przewagę. Zatem dodał: - Ale dla odmiany widziałem wielkie przerażenie na twarzach ludzi, którzy mi zaufali, a ja ich wyleczyłem.

- Czy możecie, wasza miłość, wyjaśnić nam, jak się dokonuje tylu i tak dziwnych uleceń? Poprzedza was wasza sława...

- Medycyna pomaga, ale w moim zawodzie lepsza jest perswazja, zrozumienie i upór. Leczenie nie jest dziwne, wasza ekscelencjo, dziwne są choroby. Jeśli jednak mi pozwolicie, wyjaśnię to, bo metoda jest prosta. - Mój mistrz odetchnął głęboko i przyjął ton uczonego, który wydał mu się najbardziej przekonujący. - Wiele lat studiów nauczyło mnie, że wszystkie rodzaje strachu sprowadzają się do jednego, do strachu przed śmiercią; tak więc jeśli perswaduję chorym, że nie muszą się bać tego, co nie istnieje, szybko odzyskują harmonię ducha i pokój wewnętrzny...

- Herezja! - krzyknął wściekle inkwizytor, podskakując na siedzeniu. - Właśnie powiedzieliście, wasza miłość, że śmierć nie istnieje? Jak śmiecie...? Nawet sam Jezus Chrystus umarł za nas wszystkich, ofiarowując nam w ten sposób Odkupienie!

Don Fernando zrozumiał, że czekają go poważne kłopoty i postanowił być bardziej

ugodowy.

- To prawda, święta prawda. Macie rację, ale Nasz Pan Jezus Chrystus umarł na krzyżu i zmartwychwstał trzy dni później. Wtedy śmierć mogła odejść wraz z jego śmiercią.

- Mówicie o śmierci? - Wzburzenie zdawało się coraz bardziej ogarniać starego duchownego, który odwrócił się do siedzących przy stole pomocników. - Nie daję wiary temu, co słyszą moje uszy! Zanotujcie to dobrze, bo jego herezja jest jeszcze większa, niż sądził ten trybunał! Chcecie powiedzieć, panie Ruiz de Alcalá, że śmierć nie jest posłuszna Bogu, lecz że istnieje poza Nim, w taki sposób, że mu się przeciwstawia lub go wyzywa? Nigdy nie słyszano równie bezczelnej impertynencji! Ale czy wy wierzycie w Boga?

- Wierzę - zgodził się potulnie don Fernando.

- A w religię katolicką?

- Wierzę. - Oskarżonemu jego sytuacja wydała się delikatna.

- Wierzycie w doktrynę Świętej Matki Naszej Kościoła?

- Wierzę. Tak, wierzę.

- W takim razie czy moglibyście powiedzieć temu trybunałowi, jak to możliwe, że osmielacie się negować istnienie śmierci?

- Nie przeczę jej istnieniu, panie. - Mistrz wskazał palcem w górę. - Wiem tylko, co On powiedział, i Jemu wierzę: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem; kto we mnie wierzy, nie umrze”. Wielka obietnica Boga.

- Nie używajcie pokretnych wybiegów, żeby ukryć swe przewrotne doktryny! - Inkwizytor wstał wzburzony. - Przyznaliście, że śmierć nie istnieje!

- Niedokładnie, panie. Stwierdziłem, że przekonuję swoich chorych o jej nieistnieniu, żeby doprowadzić do ich wyleczenia.

- Ale przez to doprowadzacie do tego, że nie tylko nie boją się śmierci, ale nawet żyją bez bojaźni Boga!

Don Fernando zastanowił się przez chwilę nad odpowiedzią, zanim przemówił, poszukując słów, które mogłyby ich uspokoić.

- Moi pacjenci są dobrymi i bogobojnymi chrześcijanami, to możecie przyjąć za pewnik. Kiedy jednak im mówię, że ich dusza jest nieśmiertelna, przyjmują dar boży wieczności i tracą większą część strachu przed śmiercią. Świadomość, że czeka ich nieśmiertelność u boku Boga Ojca, podnosi ich na duchu i uspokaja. Następnie, te drobniejsze rodzaje strachu...

- Dość tego, don Fernandzie Ruiz de Alcalá! Oskarżam was o herezję! Uwięzić go! Ten trybunał rozpocznie sąd przeciwko wam w czasie, który uzna za stosowny!



- Ależ... Popełniacie wielką niesprawiedliwość, zapewniam was...

- Straże! Oskarżony zostanie odprowadzony do lochu i będzie tam przebywał, aż trybunał postanowi kontynuować przesłuchanie! Odprowadzić go do celi!

Po kilku tygodniach otrzymałem pozwolenie odwiedzenia mistrza w towarzystwie bony Leonardy w celi tego tajnego więzienia, usytuowanego w centrum miasta. Kiedy go zobaczyłem, leżał wyciągnięty na pryczy, z kajdanami na nogach, oświetlony zaledwie jedną pochodnią, która przygasiała u wysokiego sklepienia piwnicy. Strażnik odprowadził nas do celi i zabronił mi dotykać więźnia i podchodzić bliżej niż trzy kroki. Mistrza zaskoczyła ta wizyta i podparł się na łokciu, aby nas przywitać.

- Jak zdołałeś się tu dostać, dobry Alonso? - odezwał się, gdy tylko nas zobaczył.

- To przysługa, za którą jestem wdzięczny don Tirsowi, mój panie. Porozmawiał z alka-dem, a ten najwyraźniej ulitował się nad moim młodym wiekiem, tak powiedział. Przyszliśmy wraz z nim, a on czeka na zewnątrz.

- Jakkolwiek było, cieszę się, że was widzę - stwierdził bez entuzjazmu i ponownie się położył.

- Panie... - załkała Leonarda.

- Jestem taki zmęczony... - rzekł po chwili, nie zwracając uwagi na łzy bony. - Może nie powinieneś oglądać mnie w takim stanie, Alonso, przepraszam cię. Chcę jednak, abyś wiedział, że ani nie jestem winny, ani nigdy nikogo nie skrzywdziłem. W każdym razie, jeśli obraziłem Boga, ci ludzie nie mogą tego wiedzieć...

- Ja wiem, że tego nie zrobiliście...

Było zimno i śmierdziało wilgocią. W pomieszczeniu panował półmrok. W ciszy tych piwnic słyhać było tylko chrobotanie szczurów za ścianami i monotonne kroki strażnika chodzącego po celi. Brudna i chybotliwa prycza kontrastowała z czystym i wyniosłym wyglądem, jaki zachował mój mistrz, mimo wielu spędzonych tam dni. Przy łóżku stał talerz z resztkami chleba, a obok niego przewrócony dzban zawierający jeszcze ślady wody, która była w nim z rana. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Don Fernando także wiele nie mówił. Ograniczył się do zapewnienia, że niebawem wróci do domu, i polecenia mi, żebym kontynuował studia, nie zapominając o codziennych modlitwach ani o wizytach w kościele w dni świąteczne, aby zachować pokój w stosunkach z Bogiem. Później nastąpiło milczenie, bo strażnik wtrącił się i rozkazał nam wyjść.

Droga powrotna w dziennym świetle upłynęła nam w ciszy i smutku; szliśmy kamiennymi przejściami, które skręcały w prawo i w lewo bez wyraźnej przyczyny, pod czarnymi i niewidocznymi sklepieniami, pnąc się po długich schodach z nierównymi i

krzywymi stopniami. Kiedy w końcu zamknięto za nami z trzaskiem drzwi wyjściowe, słońce poraziło mi oczy, wypełniając je łzami; jednak zarówno bona Leonarda, jak i ja wiedzieliśmy, że nie wzbudziły ich promienie południowego słońca, lecz dojmujący ból. Kiedy zostawia się człowieka w więzieniu, zostaje wraz z nim część naszej własnej wolności.

\* \* \*

Pobył mistrza w „czyścicu” nie trwał zbyt długo. Kilka miesięcy potem, pod koniec 1602 roku, został przeniesiony do Salamanki, gdzie początkowo osadzono go w klasztorze Maria de las Buenas, a potem w klasztorze Franciszkanów San Antonio el Real, w specjalnej celi: Święte Oficjum wykorzystywało ją do przetrzymywania więźniów, wobec których dowody były zbyt mało przekonujące, aby przeprowadzić publiczne autodafe, ale których również nie można było uznać za niewinnych. Inkwizycja nigdy nie wybaczyła don Fernandowi, gdyż uważała, że wybaczenie może uzyskać tylko człowiek, który wyznał swoje winy i odpokutował je, a nie ten, który „jeszcze” nie popełnił wykroczenia. Uważała, argumentując to na tysiąc sposobów, że każdy podejrzany o herezję jest potencjalnym heretykiem, choćby jeszcze nie wpadł w łapy szatana.

Żądza utrzymania nietkniętej doktryny nie pozwalała więc Świętemu Oficjum wystawić niewinnego na pokusy świata, demona i ciała bez zabezpieczenia i ochrony, bo zwykle, padające na niego podejrzenie dowodziło, że jest słabowitą duszyczką, a przez to łatwą ofiarą dla Lucyfera, który zaraz zabierze się do ponownego kuszenia, aby zwerbować go w swoje szeregi. Za najlepszy sposób uchronienia delikwenta przed zakusami diabła uznawane było aresztowanie niewinnego, aby uniknąć przekształcenia go w winnego. A ponieważ don Fernando nie mógł zostać skazany, bo przez cały proces okazywał szacunek wobec praw bożych i dogłębną znajomość podstaw katolicyzmu, których (choć zastawiano na niego pułapki i sidła) bronił żarliwie, a czasami z wielką dozą wzburzenia, świętego gniewu i niezłomnej wiary, nic nie wskórano przeciwko niemu poza „uchronieniem” go na wygnaniu.

Adwokat diabła, którego oddano do jego dyspozycji, aby bronił go przed trybunałem, nie mógł zbyt często interweniować, mimo wielkich wysiłków, które wkładał w studia nad wszczynanym postępowaniem. Don Fernando miał dość inteligencji i zręczności, aby okazywać większą niezłomność w swych przekonaniach niż sam obrońca. Kiedy przyznano mu adwokata diabła, don Fernando oznajmił, że go nie potrzebuje; a kiedy poddano go szesnastu przesłuchaniom z rzędu po pięć godzin każde, z przerwami, podczas których nie pozwolono mu spać ani się pożywić, zniósł je od początku do końca, w żadnej chwili nie okazując objawów słabości ani nie popadając w sprzeczności. Najstarszy inkwizytor zmęczył się prędzej niż on, a obaj pomocnicy, którzy raz za razem poruszali te same kwestie, aby

doszukać się przejawów herezji u oskarżonego, w końcu skapitulowali w obliczu spraw oczywistych.

- Może sędzimy samego demona - zasugerował jeden z nich.

Adwokat diabła, którego przydzielono don Fernandowi, brat Gabriel de Sigüenza, był młodym duchownym o doskonałym przygotowaniu teologicznym, zaskakującym w jego młodym wieku. Wykształcił się w trybunałach inkwizycji w Sigüenzie i tam, w najokrutniejszych procesach Kastylii, które wykazywały najwięcej zaciekłości w zwalczaniu demona, szybko stał się ekspertem w sprawach herezji. Jego misją jako obrońcy było utrzymywać i wyjaśniać zeznania oskarżonego, jakby były pewne, choć nie musiał w nie wierzyć, rzecz jasna, bo także zło miało prawo do obrony przed trybunałami Świętego Oficjum. Chociaż, co logiczne, w końcu zostawało potępione, ośmieszone i skazane.

Młody brat Gabriel, tak dobrze przygotowany, jakby nie robił w życiu nic innego poza studiami nad wielkimi mędrkami chrześcijaństwa, świadom był własnej wartości i zamierzał ją wykorzystać, niemniej ku swemu wielkiemu nieszczęściu nie potrafił znaleźć odpowiedniej okazji, aby popisać się przed Świętym Oficjum, co pozwoliłoby mu zyskać pochwałę i uznanie dla swej osoby. Dlatego gdy wybrano go, by wziął udział w procesie przeciw mojemu mistrzowi, uznał, że nadarzyła się wyjątkowa sposobność niezapomnianego przedstawienia swej wiedzy, co w końcu otworzyłoby mu drzwi do sławy.

I w ten sposób do tego podszedł, choć wyniki okazały się w końcu zupełnie inne od tych, których się spodziewał. Bardzo często dyskutował z don Fernandem w celi o szczegółach oskarżenia, aby poznać pryncypia, inspirujące myśli mojego mistrza. Kiedy jednak znalazł się na sali sądowej, gotowy do zabrania głosu i okazania swych talentów, przez cały czas miał zamknięte usta, bo don Fernando aż nadto dobrze wypełniał rolę swego własnego obrońcy.

- Proszę jednak wreszcie nam wyjaśnić, w imię Boga Wszechmogącego! - ryknął inkwizytor. - Człowiek jest śmiertelny czy nie jest?

- Jest oczywiste, że umieramy. - Mistrz nie tracił spokoju nawet po czterech dniach bez snu. - To jednak nie zmienia faktu, że jesteśmy nieśmiertelni.

- Tylko Bóg jest nieśmiertelny! - zawył duchowny.

- To prawda, myślę tak jak wy - odpowiedział oskarżony, zachowując pokorny ton głosu. - Bóg jest wieczny, panie. Nieśmiertelny, wieczny i nieprzemijalny. Istniał przed wszystkim i będzie istniał po tym, jak wszystko obróci się w nicość. Wierzę w Niego.

- Dlaczego więc przeczycie temu trybunałowi?

- Nigdy nie było to moim zamiarem. Ośmielam się tylko twierdzić, że człowiek został

stworzony na obraz i podobieństwo Boga, tak jak to powiedział Nasz Pan Jezus Chrystus. Nie mówię nic ponad to. Dlatego dusza ludzka także jest nieśmiertelna oraz wieczna, bo tak chciał Stwórca.

- Dobrze, dobrze... - Zmęczenie było bardziej widoczne w oskarżającym niż w oskarżonym. - Zakończmy to. Twierdźcie, że dusza jest nieśmiertelna. Zgadźcie się zatem, że człowiek jest śmiertelny...

- Jesteś tylko duszą przenoszoną przez trupa, powiedział Epiktet. Jesteśmy śmiertelni, to prawda, ale w zależności od tego, co rozumiemy przez słowo „śmiertelny”...

I tak raz za razem. W takich chwilach inkwizytor walił pięścią w stół, rozkazywał zabrać mistrza do celi i poddawać go bezsenności i głodowi, aż zostanie ponownie wezwany. Adwokat diabła, młody brat Gabriel, odwiedzał go w celi, aby stępić ostrze jego uporu.

- Na rany Chrystusa, panie Ruiz de Alcalá - prosił go. - Proszę już przestać toczyć niezrozumiałe dyskusje, które prowadzą jedynie do niepotrzebnego przedłużania procesu. Ta historia o śmiertelności i nieśmiertelności zawiedzie was prosto do sali tortur.

- Świętego Augustyna nigdy nie torturowano za jego słowa. Ani świętego Tomasza z Akwinu, którego z pewnością studiowaliście.

- Ale ich idee nie mają nic wspólnego z waszymi...

- Naprawdę tak uważacie? Przestudujcie u nich ideę czasu, bracie Gabrielu - wzdychał mistrz, kładąc się na pryczy, żeby odpocząć. - A gdyby to było możliwe dla was, którzy jesteście osobą wpływową, moglibyście zdobyć odrobinę wody dla mojego gardła, które jest zdarte, jakby przekształciło się w pustynną ziemię.

- Nie mogę, wiecie o tym - odpowiadał adwokat diabła. - I boję się bardzo, że jeśli zacznie się dyskusja nad naturą czasu, wasze gardło stanie się jedną wielką raną, kompletnie zasuszoną.

- Wy jesteście przekonani, że czas jest linearny, prawda?

- A wy nie?

- Uważam, że jest linearny, tak, ale przykro mi wyznać, że jeszcze nie mogę być tego pewien.

- Znacie *O państwie bożym* świętego Augustyna?

- Tak jak i wy - odpowiedział mistrz. - Przeczytałem tę książkę z dziesięć razy. Ale on ją napisał, aby przekonać Rzymian, że pokonanie ich przez Alaryka I nie było karą pogańskich bogów za nieposłuszeństwo, lecz godnym pochwały wysiłkiem wizygockiego króla w celu ustanowienia chrześcijaństwa. Jego książka jest odpowiedzią na podstępny astrologów i ich umiejętność przepowiadania przeznaczenia ludzi i rzeczy. Nie są to więc

argumenty naukowe, lecz argumenty wiary, a zarówno wy, jak i ja wierzymy w Boga.

- Dlatego właśnie.

- W takim razie jesteśmy zgodni: Bóg dał nam rozum, abyśmy rozpoznawali, inteligencję, żeby myśleć, i myślenie, aby kojarzyć. Nie chciał, abyśmy gardzili prawdą, kiedy znajdziemy ją na jakimś zakręcie drogi.

Młody duchowny, choć w głębi duszy sprawiała mu przyjemność rozmowa z człowiekiem zdającym się posiadać aż nadto atrakcyjną inteligencję, którą wbrew sobie podziwiał, ponownie poprosił go, aby dla swego dobra nie wchodził przed obliczem sądu w tę starożytną debatę i żeby zostawił ją na okazję, w której oni dwaj będą mogli wymienić opinie na ten temat, jak uczonego z uczonego, wykształconego z wykształconym.

- Skoro tego pragniecie, zrobię to dla was, bracie Gabrielu - zgodził się mój mistrz, pragnący przecież, aby ten bezsensowny proces zakończył się jak najszybciej. - Nie proście mnie później jednak o deklaracje co do natury czasu, bo jako uczonego nie znam definitywnej odpowiedzi, chcę być z wami szczery.

- Cieszy mnie taki rozsądek w ustach człowieka tak uczonego. Przyniosę wam miskę wody, don Fernando.

- A ja będę wam wdzięczny na wieczność.

- Wieczność?

Obaj się uśmiechnęli. Powołanie się na wieczność w takiej chwili było przypadkowe, ale miało w sobie wielką symbolikę. Jakkolwiek by było, obaj znali nieugiętość Świętego Oficjum i sprawiali wrażenie ludzi, którzy nie chcą go prowokować, tak samo jak udawali, że uczucie przyjaźni było nagrodą natury i że wobec nich okazała się szczodra, pozwalając, by w tak krótkim czasie zaczęło rodzić się między nimi. Nim brat Gabriel wyszedł z celi, don Fernando zapytał:

- Macie jakieś wiadomości o Benie al-Razim?

- Nie są dobre. Cenicie go?

- To dobry przyjaciel.

- Nie wiem, czy właściwie dobieracie sobie przyjaciół.

- Może kiedyś będziecie zmuszeni przyznać, że właściwie, jeśli choć trochę darzycie siebie estymą. - Mistrz wiedział, że młodzieniec nie może odpowiedzieć na podobne pochlebstwo.

- Obyście mieli rację. - Adwokat uśmiechnął się nie bez próżności. - Na razie mogę wam tylko powiedzieć, że Maur jest uwięziony. Jego przypadek jest trudny, ale nie drżycie o jego życie, według mnie nie jest w niebezpieczeństwie.

- Dziękuję wam.

Kiedy został sam, don Fernando wspomniiał swego przyjaciela Al-Raziego i zasmucił się nad jego losem. Był to człowiek o tak głębokim umiłowaniu wolności, że być może nie wytrzyma w więzieniu przez zbyt wiele czasu. Jednak się mylił - Al-Razi znał tajemnicę nadziei, cnotę szmaragdu i nieistnienia czasu. Kiedy kilka lat później szczegółowo wyjaśnił, w jaki sposób przetrwał zamknięcie i niedostatki, don Fernando zaczął go szanować jeszcze bardziej. Przejść przez gardło Świętej Inkwizycji i nie zostać naznaczonym ranami jej kłów było przywilejem zastrzeżonym jedynie dla ludzi obdarzonych wielką wiedzą.

- Od 1478 roku Święte Oficjum pod nadzorem hiszpańskiej Korony ściga niezmordowanie fałszywych przechrztów, bigamistów, bluźnierców, czarowników, heretyków oraz autorów, posiadaczy i czytelników zakazanych ksiązek... - wyrecytował Al-Razi. - I jeszcze nie zdołało z nimi skończyć. Myślałeś, że skończy ze mną w cztery lata? Jak nisko mnie cenisz, zarozumiały Kastylijczyku!

- Przepraszam, że się o ciebie obawiałem, przeklęty Maurze.

Don Fernando wiedział, że z inkwizycji nie należy sobie żartować, ale Al-Razi zdawał się znacznie bardziej nieufny. Kiedy Hiszpan starał się mu wyjaśnić, że inkwizycja miała pod sobą sądy we wszystkich wielkich miastach i w znakomitej części mniejszych i że zawsze działała pod ochroną hiszpańskich królów i z przyzwolenia papieżstwa, Maur uśmiechnął się.

- Szybko zatrzymają jej się nogi, Fernando.

- Wątpię, przyjacielu. Bo choć czasami nie otrzymuje papieskiej bulli, w taki sam sposób kontynuuje swą oczyszczającą pracę w nadziei, że następny papież ponownie uzna jej zasługi. Inkwizycja cechuje się mądrością i hipokryzją: ogranicza się do publikowania swych wyroków na autodafe, które organizuje publicznie, ku przestrodze, ale egzekucję woli zostawić królewskim żołnierzom, aby zachować czyste ręce. Mówię poważnie - zakończył Fernando - bałem się, że zostaniesz stracony, cierpiałem za ciebie.

- Człowieku małej wiary... - uśmiechnął się Maur kpiąco.

Don Fernando nie miał czasu na wypicie wody obiecanej przez młodego duchownego, bo został ponownie wezwany przed oblicze trybunału.

- Znowu obstajecie przy nieśmiertelności - inkwizytor rozpoczął kolejne przesłuchanie. - Sądziłmy z waszych słów, że w rzeczywistości chcecie powiedzieć, iż czas jest kolisty, nie linearny, i dlatego wydarzenia, wliczając w to życie, powtarzają się raz za razem.

Don Fernando spojrzał na adwokata diabła zbity z tropu. Brat Gabriel skłonił głowę i pokraśniał, ale nagle uniósł czoło i twardo stanął naprzeciw mistrza:

- Oskarżony właśnie mi wyznał w swojej celi, że wierzy w kolistą naturę czasu, wysoki trybunale. Podążając śladem heretyckich opinii ustalonych przez biskupa Paryża w 1277 roku, muszę zeznać, choć jestem jego obrońcą, że oskarżenie go o herezję jest słuszne.

Zdrada była jedyną rzeczą, której nie wyobrażał sobie don Fernando w swych długich godzinach czuwania i postu. Zdrada człowieka uczonego jest najgorszą ze zrad, bo zna on dokładnie jej naturę i konsekwencje. Ignorantowi można wybaczyć; uczonym można tylko gardzić. Niemniej tym razem don Fernando także nie pozwolił się zdruzgotać niespodziance: to wtedy mój mistrz zrozumiał, że inkwizycja wykorzystuje wszystkie instrumenty znajdujące się w zasięgu jej rąk, nawet węża kłamstwa, aby dowiedzieć się prawdy. Pomyślał o tym przez chwilę, kiedy dochodził do siebie po wstrząsie, i wydało mu się to strategią zręczną i inteligentną, i zamiast go zirytować, wprawiło go w podziw.

- Szanuję waszą pracę - zwrócił się do młodego duchownego z litościwym uśmiechem, który musiał tamtego zabołec. - Każda droga jest dobra, jeśli służy Bogu.

- Zatem przyznajecie się do swej herezji - inkwizytor w końcu się uśmiechnął, spoglądając w jedną i w drugą stronę, aby jego pomocnicy odetchnęli wreszcie z ulgą.

- Nic z tego - bronił się mój mistrz, nie tracąc rezonu. - Po prostu jako uczony wyraziłem swe wątpliwości wobec człowieka tak wykształconego i mądrego, jakim jest przyznany mi adwokat. Byłem przekonany, że brat Gabriel mi je wyjaśni. Bo tak naprawdę pytałem o to, że skoro czas jest linearny, to znaczy skoro czas rozpoczął się w chwili stworzenia Wszechświata przez Boga Naszego Pana, co robił Bóg, zanim go stworzył? Czym zajmował się przez całą wieczność...

- Co robił, pyta oskarżony? - zirytował się inkwizytor. - Jak to, co robił? Przygotowywał piekło dla takich, co zadają podobne pytania! I dosyć już! Trybunał jeszcze dziś wyda wyrok! Niech oskarżony wróci do celi!

Don Fernando spojrział na brata Gabriela i uśmiechnął się z żalem, że człowiek tak błyskotliwy musi żyć z tak nikczemnej pracy. Duchowny zrozumiał spojrzenie i tym razem rzeczywiście zawstydzony, spuścił wzrok. W jego wnętrzu wzrosła korona cierniowa, która przyczepiła się do trzewi z siłą orlich szponów chwytających gołębia.

Don Fernando pomyślał, że nigdy więcej już o nim nie usłyszy.

\* \* \*

- Naprawdę inkwizytor odpowiedział w taki sposób o zajęciach Boga? - zapytałem mistrza, kiedy opowiadał mi o tych dniach posiedzeń i dysput.

- Wydaje mi się to zręczną odpowiedzią.

- Ale nie zrodziła się z jego inteligencji, dobry Alonso - odrzekł don Fernando. -

Według legendy, takiej odpowiedzi udzielił święty Augustyn tym, którzy zadali mu identyczne pytanie.

- I rzeczywiście w taki sposób im odpowiedział? - dopytywałem się.

- Nie. - Mistrz popił jeszcze jeden łyk czerwonego wina. - Nie wiedział, jak odpowiedzieć, ale udało mu się wykręcić stwierdzeniem, że czas istniał przed stworzeniem świata. Powiedział, że czas i świat zostały stworzone jednocześnie i że to, co istniało przed stworzeniem, nie było wiecznością czasu, lecz że Bóg istniał poza czasem. Jak widzisz, święty Augustyn nigdy nie miał konkretnej teorii na temat natury czasu.

- A wy tak?

- Odpowiem ci tak, jak to zrobił on: „Jeśli mnie o to nie zapytasz, to; jeśli muszę to wyjaśnić, nic o tym nie wiem”.

Gdy myślę o tym teraz, wydaje mi się, że mistrz spędził krótki czas na wygnaniu w Salamance: zaledwie cztery lata. W 1606 roku wrócił do Madrytu, kiedy ja skończyłem dwadzieścia lat, ale mnie ten okres wydawał się nieskończenie długi. Potrzebowałem jego obecności. Don Tirso traktował mnie dobrze, niemal jak ojciec, a bona Leonarda dbała o to, by niczego mi nie brakowało; co do reszty, dni były długie, a noce samotne. Jego nieobecność była niczym okaleczenie: nie mogłem uczyć się od nikogo, nikogo nie ośmielałem się pytać, z nikim nie mogłem dzielić się wątpliwościami pobudzonymi przez lektury. Spędzałem dni, noce i całe lata pośród książek w jego bibliotece i na eksperymentach, które sam wykonywałem w laboratorium bez wielkich postępów, bo w nieskończoność powtarzałem te same formuły. Pamiętam z tych lat tylko to, że przypadkiem poznałem poetę don Miguela de Cervantesa, który napisał powieść rycerską i po kilku prośbach przyjaciół don Fernando zgodził się, abym ją przeczytał, bo don Miguelowi wydało się słuszne, abym wyraził o niej swoją opinię jako człowiek młody, don Miguel nie był pewien, czy powinien ją oddać do druku. Był rok 1604, a książka nosiła tytuł *Przemysłny don Kichot z Manczy* i, jak się później okazało, została opublikowana w następnym roku w pobliskiej drukarni Juana de la Cuesta i przyjęta z wielkim entuzjazmem przez tych, którzy potrafili czytać. Mnie, po cóż kłamać, początkowo bardzo zajmowała, traciłem zainteresowanie w miarę czytania, bo pomyślałem, że główna postać była człowiekiem chorym, który potrzebował uzdrowiciela dusz, don Fernando wyleczyłby go w cztery dni naparami swej produkcji spokojną rozmową na temat zła, które przynosi przesadne zagłębianie się w lekturze.

Pamiętam też, że śmierć Klemensa VIII nastąpiła w czasie nieobecności don Fernanda, jak również wybór Leona XI, a w kilka miesięcy potem, jeszcze przed końcem tego samego 1605 roku, Pawła V. Następnego roku - trzech papieży, jak już się wydarzyło w



odległym 1590 roku. Samotność moja była wielka, ale pozwoliła mi zmienić się w mężczyznę, który po powrocie don Fernanda potrafił podjąć decyzję o kontynuowaniu edukacji u jego boku. Don Fernando zapytał mnie o plany na przyszłość. Ofiarował się pokryć koszty studiów w Alcalá, na tym samym uniwersytecie, na którym sam studiował w młodości, ale po chwili zastanowienia zdecydowałem, że wolałbym zostać u jego boku.

- Nikt nigdy nie nauczy mnie więcej, niż mogę się nauczyć od was. Pozwólcie mi zostać waszym pomocnikiem.

Widział moją stanowczość i moja propozycja wydała mu się sensowna. Od tego czasu widziałem tylko to, czego mnie uczył, i słuchałem tylko tego, co mówił; a dzisiaj, tak wiele lat później, wiem, że moja decyzja nie mogła być trafniejsza.

Podczas swego pobytu w Salamance mistrz poświęcał całe godziny dnia medytacjom nad istnieniem dusz i następstwami ich zmiennej natury. Nocami, dla odmiany, kiedy gaśły światła i cisza rządziła w całym mieście, świat stawał się jakby ugięciem tajemniczości, tylko Klara pojawiała się w półmroku jego celi, kobieta o wiecznym uśmiechu i porozumiewawczym spojrzeniu. Widział ją i rozmawiał z nią, aż zwyciężał go sen, pytał ją, gdzie jest, jak znaleźć do niej drogę, w jaki sposób może się po nią udać i jaką cenę zapłaci diabłu za zamianę jej duszy, aby zostać, choć przez jedną chwilę, u jej boku. Mówił szeptem albo bardzo głośno, spokojny albo pogrążony w szaleństwie, w zależności od dnia i stanu ducha; mówił jednak bez ustanku, aż jego słowa odbijały się grobowym echem i rozumiał, że powinien uszanować godziny odpoczynku mnichów. Jeśli utracił zmysły którejs nocy, co podejrzewam, nigdy tego nie wyznał. Jednak jego ciało stało się bardziej wymizerowane, usta cieńsze, a twarz nabrała ostrzejszych rysów. Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem, że może don Kichot naprawdę istniał, że żył w don Fernandzie albo obaj dzielili ze sobą duszę, bez wiedzy Cervantesa.

Bóg stworzył milion dusz albo miliard, albo więcej, tak sądził mój mistrz; dusz, które się dzieliły i których używano tak samo, jak dziedziczy się kawałki ziemi albo zaraża się ziewaniem. Bóg używał duszy Klary tak, jak don Fernando używał duszy jakiegoś innego śmiertelnika, ale nie sposób było poznać, ani kto używa tej, ani kto otrzymał tamtą. Było też możliwe, że skoro w tej chwili panował niedobór, dwóch albo więcej ludzi dzieliło tę samą duszę i, nieszczęśliwie, walczyło o miłość tej samej kobiety. Klary.

Don Fernando notował swe wnioski w zeszycie, ale gdyby go nie spalił przed powrotem z banicji, bez wątplenia zostałby wysłany do szpitala dla chorych na głowę. Napisał: „Patrzę na niebo przez okienko mojej celi i wiem, że za nim istniejemy tylko ona i ja. Będę na nią czekał przez całą wieczność”. A to nie było najgorsze, bo zapisał też: „Dusze

uczą się na swych błędach podczas każdej reinkarnacji, ewoluują. Ale ciągle są te same”. Następnie dodał: „Bóg zsyła śmierć, choć w sposób niezrozumiały dla biednych ludzkich istot, bo dusze są policzone i potrzebuje ich dla innych istot, bardziej użytecznych dla jego celów”. Albo: „Kiedy nie ma wojen lub epidemii, czasem zdarza się, że jest więcej ludności niż wolnych dusz. Wtedy niektóre dusze muszą się podzielić, dlatego niektórzy ludzie są do siebie tak bardzo podobni”.

„Dopóki się żyje, jest się żywym. Kiedy się umiera, przestaje się być. Na cóż więc nam potrzebna dusza?”, zdarzyło mu się też napisać.

Jednak wielka myśl, którą kilka razy mi wyjawiał, brzmiała: „Czas, znikając, czyni ludzi nieśmiertelnymi”.

Długo nie mogłem pojąć znaczenia tych słów.

\* \* \*

Czternastego dnia miesiąca czerwca Roku Pańskiego 1606 don Filip III, nasz król, powrócił do Madrytu z całym dworem. W pierwszych dniach swego pobytu nakazał przygotowanie zabaw i ceremonii, aby wszyscy się dowiedzieli, że od tej chwili Madryt jest stolicą królestwa i w nim ustanawia się rządy nad wszystkimi hiszpańskimi ziemiami, zarówno kontynentalnymi, jak i zamorskimi. Lud bawił się na ulicach, a na królewski bal w alkazarze zostali zaproszeni wszyscy ważni mieszkańcy miasta.

Króla zaskoczyła nieobecność don Fernanda Ruiza de Alcalá. Zapytał, czy usprawiedliwił swą nieobecność, lecz najbliżsi współpracownicy nie potrafili odpowiedzieć na to pytanie. Wtedy kazał zbadać, czy przypadkiem lekarz nie jest na niego obrażony, a ponieważ i tym razem jego ciekawość nie została zaspokojona, zirytował się do tego stopnia, że opuścił bal i swych zaproszonych gości przed ustaloną godziną. Po kilku minutach książę Lerma wszedł do jego komnat, aby wyjaśnić sprawę:

- To nie był brak szacunku ze strony don Fernanda Ruiza de Alcalá, Wasza Wysokość.
- Proszę wyjaśnić, don Francisco.
- Don Fernando został wygnany - wybąkał minister.
- Wygnany? - zdziwił się król. - Z czyjego rozkazu?
- Świętego Oficjum, Wasza Wysokość.

Filip III, nasz pan, wstał i szybkim krokiem przeszedł po komnacie, najwyraźniej oburzony. Następnie zatrzymał się, spojrzął wprost na don Francisca de Sandoval y Rojas i krzyknął:

- Mam dość tych strażników wiary, książę Lerma! Mam dość! Wy zajmujecie się moim królestwem, wam powierzyłem dbanie o całe imperium i przez wasze ręce przechodzi

złoto utrzymujące Koronę! A nie jesteście zdolni położyć kresu zakusom tych mnichów! Kto rządzi w moim królestwie, Rzym czy ja?

- Wy, panie. - Księżę znowu odwrócił wzrok.

- A mnie się zdaje, że rządzi Kościół! Natychmiast rozkażcie uwolnić don Fernanda i przyprowadźcie go przed moje oblicze! A może nie wiecie, że to mój przyjaciel?

- Wiem o tym, Wasza Wysokość. Ale Święte Oficjum...

- Skoro nie odważycie się wy - prowokował go król - przekażcie mandat markizowi Siete Iglesias. Zobaczycie, że on nie boi się kościelnych sukienek...

- W żadnym razie, panie. - Minister przyjął niezłomną postawę, niczym kapitan gwardii. - Ja sam wypełnię wasz królewski rozkaz...

Po trzech dniach don Fernando śmiał się otwarcie, podczas gdy król relacjonował mu rozmowę z księciem, który marszczył brwi, stojąc w kącie komnaty i starając się wytrzymać kpiny. Zanim mój mistrz podążył do alkazaru, przyszedł do domu, przytulił mnie, okazując uczucie ze wszystkich sił i po kilku godzinach rozmowy ze mną przebrał się i udał do pałacu. Pocałował też w czoło bonę Leonardę i przytulił don Tirsa, któremu podziękował za opiekę nade mną i w dowód wdzięczności przywrócił mu wysoką pensję. Don Fernando był wylewny i wdzięczny wszystkim, ale dało się zauważyć, że znacznie schudł, a oczy lśniły mu blaskiem błękitnawego szmaragdu. Nie wydawał się zmęczony, lecz pełen projektów i pomysłów. Śmiał się, a przy każdym uśmiechu wydobywało się z niego światło, przywracające jasność salonowi. W całym mieście zapadał zmrok, tylko nie w jego obliczu.

- Cieszę się, że jesteście tak radośni, mistrzu.

- Kocham, Alonso - powiedział. - A miłość czyni z porcelany skórę, ze śmiechu zaś duszę.

- Wciąż doña Klara, prawda?

- Doña Klara.

- Nie możecie kochać jej bardziej...

- Nie mógłbym kochać jej mniej...

Don Filip III, król, okazał wzburzenie z powodu tego, jak don Fernanda potraktowała inkwizycja, i przeprosił go w jej imieniu.

- Nie mogę się jednak bez niej obyć, Fernando - powiedział. - Mój ojciec, mój dziadek i mój pradziadek pokładali w niej wielkie zaufanie, a wiesz przecież, że Francja i Anglia ciągle czekają, żeby diabeł luteranizmu opanował Hiszpanię.

- Nie musicie usprawiedliwiać swoich rządów przede mną, panie. Wiem, że jesteście wielkim królem.

- Ale powiedz mi, dlaczego wygnanie? O co cię oskarżono?

- Nie wiem tego za dobrze, panie. Nie skazano mnie, zatem sądzę, że nie znaleziono przeciwko mnie dowodów. Powiedziano mi tylko, że zostanę wygnany, żeby demon, który mnie osaczał, nie przerobił mnie na heretyka.

- Ale coś musiałeś powiedzieć...

- Przesłuchiwali mnie przez wiele dni. - Mistrz popił następny łyk wina, zanim rozwinął temat. - Zapytali mnie o moją pracę, kazali się wypowiedzieć, co sądzę o duszy, co sądzę o naturze czasu... Sami wiecie, Wasza Wysokość, Święte Oficjum lubi wyciągać wszystko krok po kroku, a kiedy coś błysnie w tym błocie, zdaje mu się, że zasłużyło na wieczną wdzięczność Nieba.

Król zaśmiał się, ale to mu nie wystarczyło.

- A co ty sądzisz o duszy, o czasie i o tych sprawach tak trudnych dla nas, biednego ignoranta?

- Być może będziecie kazali mnie uwięzić, kiedy wam wyjaśnię.

- Zrobię tak, jeśli nie powiecie mi wszystkiego.

Wtedy don Fernando przedstawił w skrócie swe zeznanie i aby zilustrować swe słowa, uznał za stosowne opowiedzieć o tym, co przytrafiło się jego mistrzowi, don Antoniowi Sánchezowi de Tovar, w Genui, kiedy stanął twarzą w twarz z drugą częścią jego podzielonej duszy, tym handlarzem, który tak bardzo był do niego podobny. Jednak historia chyba nie spodobała się monarsze, bo nagle zmienił wyraz twarzy i nie mógł pohamować oburzenia.

- Tak więc myślisz, przeklęty Ruizie de Alcalá, że w jakimś miejscu na Ziemi istnieje jakiś król Filip III, plebejusz, dzielący ze mną duszę? Jak śmiesz, żałosny medyku, składać moją chwałę w tak nikczemne ręce?

- To nie tak, Wasza Wysokość. - Mistrz nie wiedział, co powiedzieć. Nagle poczuł się zmieszany i zawstydzony.

- Takim szacunkiem darzysz swego króla, łotrze? I skarżysz się na karę, którą nałożyła na ciebie Święta Inkwizycja?

- Ja... Wasza Wysokość...

- Loch! Tylko na loch zasługujesz! Może stos...! Ogień i oczyszczenie! - Król przedstawił rękoma rośnięcie płomienia.

- Zapewniam was, Wasza Wysokość, że...

- Jak to stos? Wydaje mi się, że to mało! Myślmy, myślmy, że... Książę Lenna, co myślmy?

- Pragniecie, Wasza Wysokość, bym rozkazał go uwięzić? - Minister był również

zaskoczony jak mój mistrz.

- Myślimy, że... jesteś geniuszem, don Fernando! - Król wybuchnął śmiechem, wstał, podszedł do niego i objął go pośród tubalnego śmiechu. - Przemysłne! Naprawdę przemysłne! Widzicie, o czym wam mówiłem, książę? Natrzęsa się ze Świętego Oficjum pod samym jego nosem. Oni są głupkowaci jak nowicjuszka, wierzą w każde słowo tego mędrca! Jakże ciebie podziwiam, Fernando! Bardziej niż ja zasługujesz na imperium!

Don Fernando i książę Lerma nie wiedzieli, czy śmiać się, czy raczej się od tego powstrzymać. Król nie przestawał poklepywać po plecach swego ulubieńca pośród głośniego śmiechu, zachwycając się jego mądrością, aż dostał zadyszki i od gwałtownego kaszlu o mało co by się udusił.

- Zasługujesz na prezent, Fernando - powiedział król, gdy doszedł do siebie i zajął miejsce w fotelu. - Chcesz złotą szpadę, arabskiego konia? Czego pragniesz?

- Tylko żebyście uwolnili mojego przyjaciela Bena al-Raziego, uwięzionego z tych samych powodów co ja.

- Niech tak będzie - odrzekł król i zwrócił się do swego ministra:

- Rozkażcie to jeszcze dzisiaj. I przekazcie inkwizycji, żeby nigdy nie więziła ludzi, których darzę tak wielkim uczuciem. Nie chcesz niczego więcej, Fernando?

- Dalej cieszyć się waszymi względami, panie.

- Tak będzie zawsze. - I wyciągnąwszy rękę, aby don Fernando ucałował pierścień, król opuścił komnatę, jeszcze zaśmiewając się po korytarzach pałacu w kolorach tęczy i zapachu wiosny.

\* \* \*

Don Fernando znalazł Al-Raziego starszym i bardziej podejrzliwym, jak gdyby czas spędzony w więzieniu odmalował lasy w jego obliczu i pustynie w spojrzeniu. Bez tej wyniosłości, do której mnie przyzwyczaił, Al-Razi tysiące razy dziękował mu za wstawienie się za nim i w dowód wdzięczności ofiarował mu wszystko, czego tylko mógł chcieć, każdą rzecz, czy to ludzką, czy ponadnaturalną. Don Fernanda zaskoczyła ta oferta. Cóż mógł mu Al-Razi ofiarować nie z tego świata, jaką wiedzę posiadał Maur, której jeszcze mu nie przekazał? Al-Razi nalegał, żeby poprosił o to, czego pragnie, powtarzając, że jeśli nie będzie tego posiadał, poszuka przez przyjaciół z Europy, Afryki i Azji, aż znajdzie.

- Dziękuję, przyjacielu - mój mistrz nie wiedział, co powiedzieć. - Ale twoje uwolnienie nie jest moją zasługą, lecz naszego króla. A ja chcę tylko jednej rzeczy, w niej zaś ani ty, ani nikt inny nie może mi pomóc.

- Wieczna miłość, prawda? - zapytał Maur z uśmiechem.

- Ty to powiedziałaś.
- No, to może będę umiał ci pomóc.

Mój mistrz przyjął to jako okazanie dobrej intencji i więcej już nie mówili o tych sprawach. W następnych dniach opowiedzieli sobie perypetie przeżyte podczas tyłu lat uwięzienia. Al-Razi przetrzymywany był na przedmieściach Madrytu, w zamku prowadzonym przez franciszkanów, którzy nie traktowali go źle. Nie pozwolili mu czytać, wyjaśniał, ale nie mogli mu zabronić myślenia. A myślał wiele o nowych sposobach eksperymentowania w ramach nauki alchemicznej, o naturze czasu i w hołdzie złożonym swemu kastylijskiemu przyjacielowi - o istnieniu duszy i sposobie zwalczania śmierci. Don Fernando zgodził się z nim w tym, czego mógł dociec także w odniesieniu do tego ostatniego aspektu natury ludzkiej, ale wyznał mu, że nieszczęśliwie doszedł do niewielu nowych wniosków i do jeszcze mniejszej liczby rozwiązań.

- Śmierć istnieje, to fakt - powiedział Fernando.
- Mówisz to jako wniosek czy jako coś głupiego, żeby mnie pociągnąć za język?
- Jako nieszczęsną prawdę.
- Wiele się jeszcze musisz nauczyć - uśmiechnął się Al-Razi, kiwając głową.

I zmienił temat rozmowy, żeby opowiedzieć o piekielnym rozkładzie dnia mnichów, którzy wstawali przed trzecią nad ranem i kończyli dzień o szóstej po południu, kiedy to wszyscy zamykali się w celach z nakazu klasztornej reguły, przez co nie mógł zasnąć do późna, przede wszystkim od maja do listopada, z powodu światła dziennego oświetlającego celę. Jedli dwa razy dziennie zieleninę i owoce, bardzo rzadko z jajkami i chlebem. Pracował w ogrodzie, a nakaz zachowania kompletnego milczenia był tak surowy, że gdyby nie obowiązek uczestniczenia w obrzędach religijnych, żeby się modlić, jest pewien, że zapomnieliby posługiwania się mową.

- Nie wzruszają mnie twoje skargi, Al-Razi - Fernando przerwał jego opowieść. - Powiedz, co mi jeszcze zostało do nauczania.

- Jak żyć.

Mistrz przez cały czas mówił mi o matce, opowiadał niemal wszystko, co o niej wiem, i o tym, co razem przeżyli. Rano pracowaliśmy w gabinecie lekarskim, uczyłem się zajmować pacjentami, którzy na nowo przybywali do naszego domu po pomoc, i spełniałem polecenia, które mi wydawał: przygotowywałem receptury w laboratorium, poszukiwałem nowych metod leczenia w książkach albo zanosilem napary i pomady chorym na duszę, którzy nie wychodzili z domu. Później, wieczorami, przyglądałem mu się, kiedy pracował w laboratorium albo z zapamiętaniem szperał w książkach, a o zmroku, przed kolacją, w jej

trakcie i po niej, opowiadał mi o swoim dzieciństwie i młodości, godzinach spędzonych u boku mojej matki, o jej związku z Alfonsem, moim ojcem, i pozostałych wydarzeniach, które teraz znam. W miarę zagłębiania się w noc i znikania wina z dzbana jego zwierzenia były coraz bardziej intymne i kłopotliwe, ale w chwilach trzeźwości powtarzał, że gdyby tego nie powiedział mnie, z kim mógłby o tym mówić, dodając, że mam prawo znać swoje pochodzenie i okoliczności, które zaszły, abym mógł dzielić z nim życie, z czego, ze swej strony, tak bardzo się cieszył.

Przyjemne były te noce spędzane u boku mistrza. Mówił i mówił, a słowa padały jak ulewny deszcz, tak zwykła mawiać moja matka; ponadto miał zwyczaj opowiadania zdarzeń w taki sposób, jakby to nie jemu się przytrafiły, nadając historii formę bezosobową i daleką, przez co stawała się atrakcyjna. Zdawało się, jakoby żaden dramat nie zaistniał w jego życiu, a wszystkie opowiadane historie czerpał z książek czytanych przez kawalerów na dworze. Poważny głos i wysmukła postać, wydłużona jeszcze bardziej płomieniami ognia na kominku, zmieniały jego fizjonomię w widmowy pejzaż, choć bliski niczym pojawienie się znajomego ducha albo obrazu sympatycznej śmierci. Po zgaszeniu wszystkich lamp w pomieszczeniu oświetlonym zaledwie blaskiem ognia, w ciszy pogrążonego we śnie domu, słychać było tylko szmer miarowego i niezmordowanego głosu, rozbrzmiewającego o każdym zachodzie słońca niczym kołysanka, która jednak tak mnie ekscytowała, że nie mogłem później przez długi czas zasnąć. Poznanie przeszłości don Fernanda, a zwłaszcza poznanie przeszłości mojej matki i ojca, było uczeniem się tego, kim jestem ja sam i ciągłym zyskiwaniem potwierdzenia, że rzeczywiście mieszkam z człowiekiem, z którym mieszkać powinienem, i który wychowywał mnie jak najlepszy z ojców. Jemu zawdzięczam wszystko, czego się nauczyłem; jemu zawdzięczam to, czym jestem.

A on, mój mistrz don Fernando, także nigdy nie wypierał się tego, jak wiele zawdzięcza Al-Raziemu. Pewnego popołudnia Maur wyjaśnił, że ludzie żyjący w dalekiej Azji są przekonani co do reinkarnacji istoty ludzkiej, do następowania po sobie różnych form życia i że mniej boją się śmierci, bo mają pewność, że będzie następne życie, choć odmiennej natury. Al-Razi długi czas wierzył, że w przyszłym życiu będzie rybą, lecz od niedawna przychylił się do przekonania, że jednak będzie tygrysem. Oznajmił nam to, kiedy siedzieliśmy we trzech, a ja okazałem tak wielkie zdziwienie, że zbliżył się do mnie, położył mi rękę na głowie i powiedział:

- Ty, Alonso, będziesz panienką w służbie wielkiego pana w Arabii. I, oczywiście, będziesz bardzo piękna.

- To nieprawda!

Al-Razi żartował, ale jego słowa dotknęły mnie tak głęboko, że wyszedłem z salonu obrażony, krzyżąc, że to niktzemność. Usłyszałem tylko, uciekając przed jego żartami, że wybucha tubalnym śmiechem. Don Fernando wyjaśnił mi potem, że nie zachowałem się odpowiednio, bo skoro wiedziałem, że chodzi o żart, nie powinienem był się obrażać, a skoro nie wiedziałem i sądziłem, że chodzi o przepowiednię, tym bardziej powinienem był okazać zainteresowanie. „Nauczyć się można, tylko słuchając”, powiedział mi i dodał, że Maur zainicjował niezwykle ciekawy temat rozmowy i gdybym z nimi pozostał, dowiedziałbym się, o czym mówili później.

Doszli do wniosku, że ludzie Orientu nie boją się śmierci tak jak chrześcijanie, gdyż wierzą w różnorodne formy życia, następujące po sobie, aż dochodzą do ostatniej, docierając na wyższy stopień, który przemienia ich w istoty nieśmiertelne, zamieszkujące miejsce dla wybranych. Reinkarnują się w różnych postaciach nawet siedem albo dziewięć razy, i mogą stać się zarówno ludźmi, jak i zwierzętami albo roślinami, i muszą poprawiać się w każdym wcieleniu, aby wejść w następną postać i wspinać się po stopniach prowadzących do szczęścia.

- Śmierć - powiedział Al-Razi - przeżywa się wśród nas jako ogromne nieszczęście. Myśli się niejako, że ona nigdy nie nadejdzie, a kiedy przychodzi, zdradza coś lub kogoś. Powinniśmy wiedzieć od urodzenia, że jedynym pewnym przeznaczeniem jest śmierć, ale nikt tego nie przyjmuje do wiadomości i każdy stara się żyć, jakby natura zrobiła dla niego wyjątek i pozwalała mu na nieśmiertelność. Kiedy umiera chory, z tych, którzy przychodzą do mego domu, powinienem nad nim płakać, jakbym to ja był winien, jakby jego śmierć nastąpiła z powodu braku mojej biegłości w sztuce albo z powodu zaaplikowania nieodpowiedniego remedium. Członkowie rodziny powątpiewają, że zadziałałem w sposób odpowiedni, a nawet ja sam czasami w to powątpiewam. Czego chcemy? Czy chcemy, aby nasi sąsiedzi żyli szczęśliwi, sądząc, że zdobyli dar nieśmiertelności? Nadejdzie dzień, w którym chorzy zostaną zamknięci w ukrytych pokojach szpitali, aby nikt nie widział ich śmierci, kiedy wyda się prawo, aby ciała były spalane w tajemnicy, a jeśli będzie musiał się odbyć pogrzeb, nastąpi to bez świadków ani notariuszy, którzy mogliby zaświadczyć o pogrzebaniu zwłok. Grobowce zostaną zrównane z ziemią, cmentarze zniszczone, a na nich staną tawerny i domy gry, nawet aleje drzew, aby zakochani mogli spacerować w cieniu akacji. Sosny i cyprysy, w których cieniu skrywają się groby, zostaną wycięte, nasiona chryzantem wysuszone, zabronione będzie mówienie o śmierci i surowo karana żałoba. A kiedy wszyscy już będą wierzyć w nieśmiertelność, spadnie na nas znudzenie, bo bez czasu na odmierzanie żniw całą pracę będzie można zostawić na dzień jutrzejszy, który nigdy nie



nadejdzie. Czy nie jest celniejszą filozofia skośnookich ludzi? Dlaczego obawiać się śmierci i ją skrywać, skoro istnieje reinkarnacja? Szczęściem azjatyckich ludzi jest wiedza, że raz za razem będą powracać do życia; naszym nieszczęściem jest fałsz nieśmiertelności, podczas gdy dokoła nas, bezustannie pojawia się śmierć, przypominając nam, że musimy umrzeć.

- Zatem śmierć istnieje - odparł mistrz.

- Ileż razy będę musiał to powtarzać, Fernando? Tak piękna zdaje ci się róża, że nie bolą cię rany od jej cierni...

- Chyba już nigdy cię nie zrozumie, Al-Razi.

- Nie istnieje ani nigdy, ani zawsze, mój kochany don Fernando... Bądź cierpliwy, a w końcu do tego dojdiesz.

Rzeczywiście Al-Razi był starszy i bardziej rozważny po tak długim czasie spędzonym w więzieniu, ale nie utracił ani odrobiny ze swej wiedzy. Nadal był panem tajemnicy, która tak bardzo nęciła don Fernanda, i strażnikiem sekretu, który podsycił jego żądzę wiedzy.

\* \* \*

Brat Gabriel de Sigüenza miał w trzewiach zaczepioną koronę cierniową, której nie potrafił uznać za poświęcenie ofiarowane Bogu. Przez lata śniło mu się lekceważące spojrzenie don Fernanda, jego gest kpiny, zuchwałej wzgardy. Zdrajca nie cierpi dlatego, że nim jest, ale dlatego, że jego zdrada wyszła na jaw; brat Gabriel przez kilka dni był przekonany, że wypełnił swój obowiązek dla lepszej służby Bogu i wobec Świętego Oficjum, lecz potem okazana nikczemność moralna zaczęła dręczyć jego sumienie, a koszmary podminowały jego zdrowie do tego stopnia, że nie potrafił zasnąć, aby jego oczy nie spotkały się z żelaznym wzrokiem mojego mistrza, ani nie miał apetytu, bo wymiotował pokarmy z czystego obrzydzenia, jakie go nachodziło. Był młody i uczony, lecz don Fernando także; był erudytą i oratorem, ale don Fernando, nie będąc nim, okazał mu pogardę, wskazując na niską jakość moralną jego zachowania. I ta mieszanka wstydu, oburzenia i żalu połączyła się we wściekłości zwycięzcy zniszczonego rękoma pokonanego. Po kilku tygodniach od zakończenia procesu brat Gabriel de Sigüenza porzucił Święte Oficjum, zniknął w ciemnościach klauzury, aby spróbować oczyścić swe sumienie i szukać bożego odpuszczenia i przebaczenia, którego udzieliłby sobie sam. Kiedy jednak nie otrzymał go i stwierdził, że jego wściekłość początkowo zmienia się w żal, a w końcu w nienawiść, porzucił klauzurę, powiesił habit na kołku w klasztorze i postanowił uzdrowić swą duszę w jedyny możliwy sposób, który uznał za użyteczny dla zaznania ulgi: odszukać don Fernanda i odkryć pakt z szatanem, który według niego niechybnie podpisał mój mistrz.

Zainstalował się w Madrycie, zawinięty w czarną pelerynę i uzbrojony w pozbawiony ozdób sztylet. Zamieszkał w jednej z gospód na ulicy Mayor, kazał się nazywać Gabriel de Sigüenza, bez religijnego tytułu, i ukryty w ten sposób spędzał noce w tawernach, dnie na placach, a wieczory w okolicach don Tirsa, zarządcy, z którym starał się zawrzeć przyjaźń. Zarządca nie widział w tym niebezpieczeństwa ani dla siebie, ani dla swego pana, a ponieważ zaskakiwała go wielka kultura i wyszukana kurtuazja mieszczanina tak źle ubranego, początkowo czuł ciekawość, a później pociąg, dzięki czemu coraz bardziej zaciskała mu się wokół szyi pętla sympatii.

W ten sposób dawny duchowny dowiedział się, że mistrz wciąż zajmuje się uzdrawianiem dusz, że ciągle odwiedza José de Córdoba, czyli Maura Bena al-Raziego, i że spotykali się w wielkiej tajemnicy bez wątpienia dlatego, iż prowadzili doświadczenia nad nieznanym lekarstwem, zapewniał don Tirso, które mogło powstać tylko dzięki ich niebywałej wiedzy albo zręcznym podszeptom diabła. Gabriel de Sigüenza nie wątpił w tę drugą możliwość, nie posiadał jednakowoż dowodów, lecz nienawiść skrywana w jego sercu i krwawienie, jakie wywoływała korona cierniowa wbita w trzewia, sprawiły, że uznał, iż znajduje się o krok od zdemaskowania sługi Lucyfera, żeby rzucić go na głównie świętego stosu, który podpali osobiście.

- Wy, don Tirso, z waszą niewątpliwą inteligencją, nie byliście w stanie dociec sedna tej tajemnicy? - Brat Gabriel starał się pieścić jego uszy, aby go podjudzić. - Tak utajony i skryty jest temat ich rozmów?

- Nigdy nie podsłuchuję, panie - odparł zdecydowanie zarządca. - Nigdy nie odważyłbym się szpiegować pana, który traktuje mnie tak dobrze.

- Gdybyśmy jednak poznali ten tak wspaniały wynalazek, nigdy nie zabrakłoby złota w naszych mieszkach, don Tirso - kusił go. - A może wolicie spędzić resztę życia, służąc panu, niż mogąc cieszyć się nadszkakiwaniem tysiąca sług?

- Odejdźcie, odejdźcie - pośpieszył z odpowiedzią don Tirso. - Przemawiacie w sposób, który mnie przeraża.

- Dobrze. Już idę - odparł brat Gabriel, wstając i zakładając kapelusz. - Pomyślcie jednak o tym, co wam mówiłem. Jeszcze się zobaczymy.

- Odejdźcie...

Kuszenie nie jest dobrym napitkiem przed pokrzepiającym snem. Don Tirso kochał don Fernanda i był mu wdzięczny. Miał dobrą pracę, nikt mu nie przeszkadzał i nawet ja, tak młody i zuchwały, nigdy nie uchybiłem mu w niczym. Jednak jego nowy przyjaciel włożył palec w ranę, która pozostawała otwarta od wielu lat: czemu tak naprawdę poświęcał się jego

pan? Jakie tajemnice dzielił z Maurem? Bo pewne było to, że nigdy nie zdołał się dowiedzieć, o czym rozmawiają i nad czym dyskutują, czasem tak głośno krzycząc, że nieraz podchodził pod dom nocny ront, sądząc, że w środku odbywa się jakiś zbrojny pojedynek, a nie tylko uczona debata. Czy rację ma jego przyjaciel, że obaj uczeni znajdują się w posiadaniu tajemnicy kamienia filozoficznego, którego każdy posiadacz stałby się okrutnie bogaty? Bezsenność jest ostrzem śmiałego sztyletu, diabelskim szeptem w uchu. Don Tirso przez wiele nocy pragnął zapomnieć o niehonorowej propozycji Gabriela, tak jak dawny duchowny chciał zapomnieć o bólu wywoływanym cierniową koroną. Jednak najgorsza w nocy nie jest ciemność, lecz jej trwanie. I jeśli ktoś stara się knuć przewrotne plany, o świcie odkrywa, że serce zarosło mu pleśnią.

Połączenie żalu i skapstwa płodzi dzieci niewczesnej duszy.

\*

Odlegli od niecnych knowań tych dwóch mężczyzn, don Fernando i Al-Razi dalej zajmowali się swoimi sprawami i trawili popołudnia na nie kończących się dysputach. Poza jednak tą pasją do zgłębiania wiedzy z upływem czasu zrodziło się pomiędzy nimi uczucie, którego nic nie mogło zastąpić. Miłość do Klary wzrastała z dnia na dzień w don Fernandezie w taki sam sposób, w jaki wzrastał afekt do człowieka, którego najbardziej szanował i podziwiał. Wielokrotnie przerywał dyskusję, by mu o tym powiedzieć bez najmniejszego skrępowania:

- Wiesz, że nie mogę przestać o niej myśleć...
- Wiem.
- I bez twojego towarzystwa oszalałbym już dawno.
- Nie schlebiaj mi, Kastyljczyku. Nie musisz tego robić.
- Muszę, aby być sprawiedliwym i szanować samego siebie.

Czasem zostawiali też na boku uczone dysputy, aby mówić o mojej matce. Don Fernando czuł, że w sercu pojawiają mu się rysy wraz z upływem dni, a Al-Razi zapewniał go, że Klara też na niego czeka, że szybko odnajdą do niej drogę.

- Czasem myślę, że już postradałem zmysły - mówił przygnębiony mistrz.
- Byłbyś szaleńcem, gdybyś we mnie nie wierzył.
- Ale jak możesz w taki sposób podsycać moje nadzieje, skoro pewni jesteśmy tylko oceanu naszej ignorancji?
- Tą pewnością jest nasza wiedza. Czekaaj i ufaj.

Mistrz czekał i ufał, gdyż Al-Razi go o to prosił i dlatego, że otrzymywał od niego dar prawdziwej przyjaźni. Nie potrzebowali słów, aby wiedzieć, że będą stali jeden obok

drugiego bez względu na to, jak złe byłyby chwile, które szykuje im przyszłość, i że mogli liczyć na wzajemną pomoc, gdyby tego wymagała sytuacja. Al-Razi bał się z racji swego pochodzenia, a don Fernando z racji swego nieposłuszeństwa. Jednak jeden drugiego wspierał, kiedy w deszczowe popołudnia odkrywali w obcym spojrzeniu, że duch przywdział żałobę, a sił zostało już tylko na to, by pragnąć spacerów po cmentarzu i rzucania okruchów chleba dla zmarłych. Tak długo się znali i tak bardzo za sobą przepadali, że ciepłe słowo jednego wystarczyło, żeby przestał prosić śnieg w duszy drugiego.

- Bulla.

- Obiecał ci ją?

- Wydał rozkaz.

- Boję się inkwizycji, Fernando.

- Król rozkazał, żeby trzymała się od nas z daleka, Al-Razi. Póki żyje, nie będą nas niepokoić.

- Wierzysz mu?

- Wierzę.

- Dlatego, że cię ceni?

- Dlatego, że mnie potrzebuje.

- Pyszałek...

- Nie, Maurze. On boi się o swoje zdrowie bardziej niż ty Świętego Oficjum. A pan zdrowia króla jest panem świata, którym on rządzi.

Pewnego listopadowego wieczoru Roku Pańskiego 1608, w którym zima oszukała jesień i zajęła jej miejsce, Maur i mój mistrz przeprowadzili najważniejszą rozmowę w swoim życiu. Wszystko rozpoczęło się od wspomnienia książki Platona, którą obaj znali, *Parmenides*, w której postać o tym imieniu mówi, że „wszystko, co się starzeje, musi jednocześnie być coraz młodsze”. Zgodzili się, że Parmenides miałby rację, gdyby czas miał naturę kolistą, bo w takim razie rzeczywiście człowiek starzejący się jednocześnie zbliżałby się coraz bardziej do początku, gdzie ponownie by zaczynał. Jednak don Fernando nie był przekonany, że czas jest kolisty, sądził raczej, że linearny, dowodząc, że w pewnym momencie musiał się zacząć, skoro był stworzony przez Boga czy kogokolwiek innego - ale nie zamierzał się o to spierać. Al-Razi dla odmiany uważał, że świat mógł się rozpocząć i zakończyć po wielekroć, zawsze tworzony przez Boga czy kogokolwiek innego - i też nie miał zamiaru się o to spierać. Nie starając się obalić przekonań przyjaciela ani nie starając się pogodzić obu stanowisk, don Fernando zacytował stoików, którzy przekonani, że rzeczy powtarzają się cyklicznie, woleli nie działać, bo przeznaczenie już miało naznaczony

kierunek. Rzeczywiście, stwierdził, gdyby Zenon miał rację, nie warto byłoby zmieniać rzeczy, bo my, ludzie, bylibyśmy skazani na ciągłe powtarzanie naszej egzystencji.

- I w ten sposób mógłbym czekać na spędzenie życia z Klarą, Al-Razi. Boże! Jakże bym chciał w to wierzyć!

- Wierzyli też w to Seneka i Cynceron.

- Ale nie święty Augustyn - żałował Fernando.

- Spójrz, Fernando. - Al-Razi podparł się w fotelu. - Pewnego poranka rozpoczął się świat, a wraz z nim czas i pewnej nocy zakończy się, a wraz z nim życie. Jeśli nie zacznie się od nowa, cóż zrobiłby Bóg z resztą wieczności? Nudziłby się?

- Nie wiem.

- I nie ma potrzeby, byś to wiedział. Ani dla ciebie, ani dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. Chcemy jednak wiedzieć, czy czas istnieje, czy jest tylko wymysłem służącym do pomiaru dni naszego istnienia. Zatem słuchaj dobrze, co ci powiem, bo tego nie powtórzę: kiedy się żyje, jest się żywym, a kiedy przestaje się żyć, przestaje się być, istnieć. Nie jest ważne to, co było, ani to, co będzie, bo nas nie będzie, nie będziemy istnieli. Zatem nasze życie jest naszą wiecznością, jesteśmy w nim wieczni. Gdybyśmy zdołali przekonać siebie do tego, zrozumielibyśmy, że czas nie istnieje, że istnieje tylko przestrzeń, w której żyjemy, kiedy żyjemy. Zatem czas, znikając, czyni ludzi nieśmiertelnymi. Pomyśl o tym. Jakie ma znaczenie, czy jego struktura jest linearna, czy kolista? Jakie znaczenie mają sądy Seneki czy świętego Augustyna albo naszego króla? Wiecznie przeżywamy nasze życie, a te, które przyjdą po nas, zajmą inną wieczność.

- Gdzie więc żyje Klara?

- Dokładnie w miejscu, w którym ją odnajdziesz.

Tego zimowego wieczoru, skradzionego jesieni, nawiedziła Madryt największa śnieżycy, o jakiej kiedykolwiek słyszano. Jednak pierś don Fernanda płonęła i roztopiła jego usta w najszczerzym z uśmiechów.

- Wierzę w ciebie, Al-Razi.

- Nie pożałujesz tego...

\* \* \*

Sprawa ciągnęła się od dawna. Już w roku 1567 don Filip II, wielki król, zdecydował się wydać edykt o bardzo surowej treści, zgodnie z którym zabraniano moryskom noszenia swych tradycyjnych ubiorów pod groźbą ciężkich kar; usankcjonował też zakaz praktykowania lub celebrowania ich zwyczajów i tradycji w jakimkolwiek miejscu i z jakiegokolwiek powodu, a jakby tego było mało, stanowczo zakazał używania języka

arabskiego. Chrześcijanom te środki wydawały się słuszne, nie bez kozery bardzo powszechne było przekonanie, że moryskowie są tylko muzułmanami, którzy po zakończeniu rekonkwisty i przyłączeniu królestwa Granady w roku 1492 zostali na miejscu, przyjmując chrzest i przechodząc na religię katolicką przez zwykłe kunktatorstwo, choć wiadomo było, że w rzeczywistości nadal byli muzułmanami i niewiernymi. I nie można im było ufać.

Jednak dla morysków edykt był niesprawiedliwy, upokarzający i nie do zaakceptowania. W granadyjskiej dzielnicy Albaicin i w górskich rejonach Alpuhary zbuntowali się ludzie nie godzący się z królewskim edyktem, choć doskonale wiedzieli, jakie konsekwencje spowoduje rewolta. Powstanie, jak się należało spodziewać, zostało zdławione, ale trwało ponad cztery lata i kosztowało setki zabitych pośród królewskich hufców i mnóstwo złota i srebra. Korona nie chciała ryzykować kolejnych zamieszek, toteż poddała morysków totalnemu uciskowi, aby nie kusiło ich powtórzenie zbrojnych protestów ani nawet składanie ustnych skarg.

Do don Filipa III, naszego króla, dotarły wiadomości, że coś podobnego do buntu z 1567 roku mogli przygotowywać moryskowie z południa Kastylii i we wschodniej Andaluzji. Usłyszał pierwsze plotki w Roku Pańskim 1608, a książe Lerma wyolbrzymiał niebezpieczeństwo, nie wiadomo w jakimż to konkretnym celu, na początku 1609 roku. Don Filip III obawiając się, że jego minister może mieć rację, ale przede wszystkim pragnąc, by zostawiono go w spokoju z jego zabawami, sokolnictwem i wyprawami łowieckimi, co w sumie było jedyną interesującą go rzeczą, nie zastanawiał się wiele. Wiosną 1609 roku, tak jak już uczynił wcześniej jego ojciec, podpisał edykt, którym bezwzględnie wypędzał trzysta tysięcy morysków żyjących w Hiszpanii. Wszystkich, bez wyjątku ani uprzednich spraw sądowych, aby nie dopuścić do faworyzowania kogokolwiek albo zakłócania mu spokoju.

Pewnego razu wyjaśnił mi don Fernando, że nasi królowie zawsze mieli na względzie głosy swych ministrów, bo to oni zajmowali się rozwiązywaniem codziennych problemów, które nigdy nie docierały do królewskiego gabinetu, lecz najbardziej szanowali szpiegów, bo ich praca była zarówno czysta, jak bezinteresowna i apolityczna: otrzymywali wynagrodzenie za dostarczanie informacji i ciężar złota w ich kieszeniach był ich jedyną ambicją. Tak więc należało napełniać im sakiewki bardziej, niż mogli to zrobić wrogowie, aby zapewnić sobie ich wierność.

Don Filip III nauczył się tego od ojca, a ten od swoich rodziców, którzy najechali Granadę, bo konfidenci Aragonii donieśli o istnieniu pewnych tajnych rozmów pomiędzy granadyjskim królestwem i sułtanem Turcji, niebezpiecznych dla chrześcijaństwa. Jeśli dodać do tego, że Turcy zajęli Konstantynopol w 1453 roku i że dodatkowo niebawem wylądowali

we włoskim porcie Otranto, gdzie podejrzewano postój solidnej floty wojennej, logicznym wnioskiem było to, że gdyby zadziałał sojusz pomiędzy Abu-Abdallachem (zwanym przez chrześcijan Boabdilem Małym) i sułtanem tureckim, Arabowie z wielką łatwością mogli wylądować w porcie w Almerii albo Almuñécar, wspierając w Granadzie opór nazarów i, co okazywało się jeszcze bardziej niebezpieczne, zagrażając koronie Aragonii i w konsekwencji całemu Zachodowi.

Czy mieli rację szpiegów w swych raportach, czy nie, don Ferdynand, król Aragonii, przestraszył się i po rozmowie z królową doña Izabelą Kastylijską, swoją żoną, drugiego stycznia zmusił Granadę do kapitulacji. Otrzymał klucze do miasta bez walki. Przekonał się, że poddanie się nie nastąpiło z tchórzostwa, lecz dlatego, że bogaci mieszkańcy miasta nakłonili króla do kapitulacji, nie bez racji najbardziej na świecie pragnąc ochronić przed zniszczeniem piękne budynki stolicy tego pokonanego królestwa, swoje cenne majątki. Z pewnością takie posunięcie było słuszne. Było tak czy nie, chodzi o to, że don Filip III, nasz król, naśladując w tym przypadku swoich dziadków, usłuchał tak jak oni podszeptów szpiegów i konfidentów, dlatego nakazał powszechne wygnanie morysków, co nastąpiło natychmiast w Madrycie i zostało dopełnione w całym królestwie w ciągu pięciu lat. Zatem wiosną 1609 roku przed upływem maja don José de Córdoba, zrodzony jako Al-Razi, otrzymał nakaz wygnania i mógł mu się tylko podporządkować.

Bezskutecznie don Fernando zabiegał o audiencję u króla, aby wstawić się za przyjacielem. Bezskutecznie poszukiwał sposobu na porozmawianie z jego wysokością na osobności. Podpisane rozkazy królewskie, tak jak przekazali to markiz Siete Iglesias i książę Lerma, były kategoryczne: żadnych łask ani wyjątków. Don Fernando upierał się, aż otrzymał list z królewskiego alkazaru z króciutką notatką napisaną odręcznie przez monarchę: „Przykro mi, Filip III, król”. Te dwa słowa zawierały przyznanie się do niesprawiedliwości, a może prośbę o wybaczenie, ale nie oznaczały zmiany decyzji; don Fernando przeczytał i zrozumiał, niczego więcej nie potrzebował. Al-Razi musiał wyjechać natychmiast w drogę powrotną do swego świata.

Odwiedził go w domu ostatniego wieczoru, kiedy ten zamykał kufry i objuczał muła torbami, workami i małymi skrzynkami. Ubrany w strój podróżny: płócienne spodnie, pełne buty, koszulę, skórzaną kamizelkę i czapkę z grubej wełny, Maur nie wydawał się pogrążony w żalu, lecz zrezygnowany. Przyjął don Fernanda uściskiem i poprosił o pozostawienie go samego jeszcze przez kilka chwil, aby mógł dokończyć pakowanie. Al-Razi osiodłał konia, przywiązał go dokładnie do bramy i zaprosił gościa do spokojnego wypicia dzbana lemoniady; siedzieli po raz ostatni w gabinecie medyka na wielkich krzesłach, które miały

zostać porzucone.

Ben al-Razi nie wydawał się smutny. Don Fernando dla odmiany czuł się współwinny całej tej sytuacji, choć nie miał żadnego wpływu na decyzje króla. Starał się dać do zrozumienia przyjacielowi, jakie wysiłki poczynił, by dostać się przed oblicze króla, poinformował go o bezskutecznych zabiegach u księcia Lemy i w końcu o zawartości listu skreślonego ręką don Filipa III, naszego króla, jakby to kogokolwiek usprawiedliwiało i przy okazji zwalniało Koronę i wszystkich Hiszpanów z odpowiedzialności za królewski edykt.

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać, Fernando.

- Chcę, byś wiedział, jak bardzo jestem zmieszany...

- A myślisz, że wątpię w to, co mówisz, a nawet w to, co pewnie przemilczasz? - Al-Razi uśmiechnął się, współczując przyjacielowi. - Jeszcze pomyślę, że cierpisz bardziej ode mnie.

- Może tak jest. - Fernando skinął głową. - Bo to ja zostaję, a ty wyjeżdżasz. Poza tym nie potrafię zrozumieć powodów, które mogły skłonić naszego króla do podjęcia tak surowej decyzji, zapewniam cię.

- Nie ma powodów, Fernando. - Al-Razi popił łyk lemoniady. - Tylko strach...

- Strach przed czym? - zdziwił się Fernando. - Przed powstaniem? Wojną?

- Nie! - zaśmiał się wesoło Maur. - Strach przed pomieszaniem krwi, Kastylijczyku! Niezrozumiały strach, że utracona zostanie czystość krwi, jakby po ośmiuset latach życia na jednej ziemi nasza krew nie została już wystarczająco wymieszana. Królewski strach nie dotyczy wojny, niewinny don Fernando, ale nadmiaru obcokrajowców na tych ziemiach, jakbyście wy wszyscy, łącznie z królem, nimi nie byli.

- My jesteśmy Kastylijczykami, a wy nie, uparty Maurze - mój mistrz podjął polemikę. - Wasza ojczyzna jest na południu.

- Wy Kastylijczykami? - zaśmiał się znowu Al-Razi, przyjmując wyzwanie; tym razem nie zdołał opanować ironicznego grymasu twarzy.

- Ale czy ty wiesz, zarozumiały Ruizie de Alcalá, co naprawdę oznacza bycie Kastylijczykiem? Trudno mi uwierzyć w twoją ignorancję, a jeszcze trudniej, że nagle bujasz w obłokach...

- Nie rozumiem cię - wzruszył ramionami Fernando. - Nigdy nie przestajesz mnie zaskakiwać, Al-Razi. Zrób to raz jeszcze.

- Nie wiem, czy będziesz w stanie to wytrzymać... - zaśmiał się złośliwie Maur.

- Wystaw mnie na próbę... - odpowiedział stanowczo mój mistrz.

Al-Razi zamknął oczy i odetchnął głęboko. Z jednej strony chciał, aby jego przyjaciel



zachował o nim jak najlepsze wspomnienie, żeby został przekonany co do szczerości ich prawdziwej przyjaźni. A to, co zamierzał teraz powiedzieć, mogło zirytować go w ostatniej chwili, przed samym ich rozstaniem. Z drugiej jednak strony obaj byli uczonymi, więc czuł się w obowiązku otworzyć mu oczy i udowodnić, że na żadnej ziemi nigdy nie ma obcokrajowców, że wszyscy jesteśmy braćmi i możemy jedynie, jeśli jesteśmy nieuczciwi, być obcy dla siebie samych. Pomyślał o tym przez kilka chwil, dostrzegł wyczekujące spojrzenie don Fernanda, ponownie zamknął oczy i w końcu uznał, że udzieli mu ostatniej nauki.

- Pragnąłbym, dobry przyjacielu, żebyś nie czuł żadnego upokorzenia, bo prawda nigdy nie rani: ty i ja wiemy, że może to zrobić tylko kłamstwo - zaczął Al-Razi. - Dlatego chcę, abys się dowiedział czegoś, czego nikt nigdy nie ośmieli ci się wyłożyć, nawet na uniwersytecie ani na królewskim dworze.

- Powiedz.

- Rzeczywiste korzenie Kastylii są umiejscowione w dawnym rejonie Vardulii, gdzieś na północ od Ebro, jak możesz przeczytać w *Crónica Albeldense*. Jednak ta Vardulia była bardzo małą ziemią, osiedlem w pobliżu rzeki Odra, która, jak możesz się spodziewać, wzięła nazwę od Udri, ludu przybyłego z drugiej strony Gibraltaru albo Geb al-Taher, które jest jego prawdziwą nazwą. Niech cię więc nie zaskakuje, że Kastylia jest ziemią Berberów przybyłych z Tunisu, i to im zawdzięcza swój początek. Kastylijczycy nie pochodzą z Kastylii, lecz z Afryki Północnej.

- Afryka, mówisz? I Kastylia ziemią Arabów? No, Al-Razi, ciężko mi w to uwierzyć...

- Mistrz zmarszczył brwi, zmieszany.

- No, to uwierz w to, bo jesteśmy dopiero na początku - kontynuował Maur powoli i spokojnie, od czasu do czasu popijając łyk ze szklanki. - Ile „medin” znasz, nie tylko jako nazwę miasta, lecz jako nazwisko starych rodów kastylijskich? Czyż można wątpić w ich arabskie pochodzenie? A „zalania”? Nie przypomina ci słowa *salama*, co po arabsku oznacza „pokój”? Miast z tym elementem w nazwie istnieje aż nadto, znacznie więcej niż jestem w stanie wymienić w tej chwili: Villazulema, Abuzalema, Grazalema, Villacelama, Benzalema, Villar Salama, Baños de Benzalema... Czy nie uznasz, że Villamar pochodzi od *ammar*, co oznacza „pobożny”, Villamor od *amur* „życia”, a Villaviad od *avyad*, co oznacza „biały”?

- Tak. Podajesz wiele przykładów. Ale i tak nie widzę uzasadnienia twojej teorii.

- Bo nie chcesz myśleć. Przeraza cię, że to może być prawda. Musisz więc wiedzieć, że przykładów jest znacznie więcej - ciągnął Al-Razi.

- Bo Kastylia została założona przez Berberów, Mauretańczyków i Muladi, nie wątp w

to. A może Villabarba nie oznacza Miasta Berberów od *al-barbar*? A plemię Rekana, które dotarło do Lewantu przed tysiącem lat, nie dało początku miastu Requena?

- Być może ludy te mieszkaly w Kastylii i Aragonii, nic poza tym - mistrz upierał się przy negocjowaniu, nie mogąc sobie wyobrazić, do czego zmierzał Al-Razi.

- Jak chcesz. Przyjmij jednak przynajmniej, że wywodzi się od nich większość kastylijskich rodów, panie Ruiz de Alcalá. A może myślisz, że twe własne nazwisko, Alcalá, nie jest arabskie? Jakże ma być, jeśli nie arabskie?

- Tutaj możesz mieć rację.

- A ile nazwisk rodowych pochodzi od słowa *medina*? Bo nazwiska Medinabeitia, Medinagoitia i Medinazcoitia to nie jedyne derywaty z arabskiego *madina*. Wiedzieliś, że *medina* to *civitas*, miasto?

- Zgadza się, ale to wszystko niczego nie wyjaśnia, bo Kastylija nie jest nazwą arabską, Al-Razi - zaproponował Fernando, nie wiedząc, gdzie szukać broni, która przerwałaaby tok rozumowania Maura. - A może Kastylija nie pochodzi od *cast'illa*, to znaczy od rzymskiego i łacińskiego *castellum*?

- Nie, Fernando - uśmiechnął się Maur z satysfakcją, jakby już dopadł przyjaciela w ślepym zaułku, do którego go zapędził. - Bo słowo „zamki” zamieniłoby się w *castellus*, latynizm. Jednak to słowo jest tak powszechne, tak pospolite, że nigdy nie utworzyłoby nazwy, o której mówimy, przynajmniej nie z inicjatywy kościelnej. Jest zbyt pospolite, by mogli je zaakceptować zwolennicy łacińskiego puryzmu, jaki obowiązywał w opactwach i klasztorach.

- Więc? - mistrz nie wiedział, co ma o tym myśleć.

- Gdyby pochodziło z Rzymu, jego rdzeniem byłoby *castulo*, nieprawdaż? A gdyby nazwa wynikała z wielkiej liczby zamków, jako określenie zastosowano by *castro*, bo *castros* było wiele na tych ziemiach. Pewne jednak jest, że Arabowie nazywali te ziemie ziemiami tysiąca zamków *al-Quilā* liczba mnoga od *qal'a*, czyli było to oczywiste odniesienie do „zamków”. Dobrze - ciągnął Al-Razi - nie wiesz, że na południe od Tunisu istniała od ponad tysiąca dwustu lat prowincja zamieszkała przez chrześcijańskich Berberów, zwana Qastilya, której stolicą była Madinat Qastilya?

- Qastilya? - zdumienie wstrząsnęło don Fernandem. - Niemal dokładnie tak samo nazywa się Kastylija...

- Ziemia Berberów, na której mieszkaly rody Mena, Morilla, Quejana, Berberana, Quintana... - uśmiechnął się Al-Razi. - Wszyscy ci kawalerowie kastylijscy, którzy teraz nas wypędzają z twojego kraju, nie wiedząc, że o ile może nie być nasz, nie jest także ich, bo oni

przybyli z Tunisu i stamtąd wywodzą się ich rody. - Al-Razi zamilkł na krótką chwilę, aby zobaczyć efekt swych słów na twarzy mego mistrza, który zdawał się kręcić głową z niedowierzaniem.

- To niemożliwe... To niemożliwe...

- Tam, w Afryce, Qastilya była bastionem w walce o niepodległość berberyjską przeciw arabskim muzułmanom w obronie religii chrześcijańskiej - dodał Maur. - Nie powinno cię dziwić, że po przepłynięciu cieśniny Berberowie spróbowali odtworzyć te nazwy na nowym miejscu, aby na zawsze upamiętnić bohaterską walkę.

- W takim razie - Fernando już nie wiedział, jak się bronić - chcesz powiedzieć, że korzenie nas wszystkich, kawalerów kastylijskich, są w Tunisie?

- Widzę, że dobrze to zrozumiałeś.

Don Fernando zamilkł, zmieszany i zaskoczony. Nigdy nie został oszukany przez Al-Raziego i nie istniał żaden powód, by teraz było inaczej. Jednym haustem wychylił zawartość szklanki i napełnił ją lemoniadą po brzegi, z drżącymi rękoma i oszołomioną głową. Skoro on także nie był Kastylijczykiem, jak nie był nim nawet sam król, wypędzenie Al-Raziego było więcej niż niesprawiedliwe. Było absurdalne. Musiał o tym wszystkim porozmawiać z don Filipem III, królem, nie tracąc czasu. Musiał uzyskać anulowanie tak szkodliwego edyktu, bo zastosowany do końca, doprowadziłby do wygnania do Afryki wszystkich, zaczynając od samego monarchy.

- Do tego jeszcze Madryt został założony przez Mohammeda I, Fernando.

- Nie mów więcej, Al-Razi. Proszę cię.

- Dobrze, zamilknę. Pora ruszać... Proszę cię jednak, abyś nigdy nie mylił Maura z muzułmaninem. Maurowie zawsze byli chrześcijanami... Dlatego schronili się w Hiszpanii, bo chcieli żyć u boku ludzi wyznających tę samą religię...

- Nigdy nie przestanę się od ciebie uczyć, uparty Maurze.

- Nigdy, jeśli zachowasz o mnie wspomnienie, zarozumiały Kastylijczyku.

I wtedy mocno i długo się uściśniły. Łzy napłynęły do oczu don Fernanda i w piersiach poczuł ogień. Al-Razi, ukrywając twarz na ramieniu przyjaciela, nie chciał dopuścić do tego, by wilgoć z oczu wypłynęła na policzki. Mijały sekundy, ale ten uścisk się nie kończył: ciepło bliskości, przyjaźń wykuta przez tyle lat, tysiące dysput kazały im myśleć o dzieleniu tej samej duszy, którą z pewnością się zamieniali, żeby nie czuć się z dala jeden od drugiego, nigdy.

Noc, która wchodziła do salonu niczym żałobny welon, zapowiadała koniec czasu przyznanego Al-Raziemu na opuszczenie Madrytu w kierunku południowym. Don Fernando,

z bólem hamując smutek, sucho poklepał go po plecach i odsunął się od niego.

- Już pora.
- Termin upłynął przed kilkoma minutami.
- Nie pragnę twojej nieobecności.
- Nie poczujesz jej, jeśli zachowasz mnie w myślach.
- Już w nich jesteś, Benie, jak zawsze byłeś w moim sercu.
- Przestań mówić albo będę musiał użyć sztyletu.
- Twój wyjazd jest jak pchnięcie sztyletem.
- Żegnaj, Fernando. Przyrzekam ci, że jeszcze któregoś dnia się zobaczymy.
- Żegnaj, Benie.

Morysk odwrócił się plecami, pośpiesznie wyszedł z domu i wskoczył na konia. Don Fernando, przesunawszy wierzchem dłoni po oczach, aby ztrzeć ślad jeszcze gorących łez, wyszedł przed bramę, aby zobaczyć go po raz ostatni.

- Zaczekaj - powiedział nagle Al-Razi. - Mam coś dla ciebie.

I zsiadłszy z konia, podszedł do muła, po czym otworzył jedną z sakw zwisających z boków zwierzęcia. Poszperał w niej i wyciągnął książkę. Don Fernando popatrzył na nią, nie rozumiejąc znaczenia tego aktu.

- Zabierasz wszystkie swoje książki?

- Tylko te niezbędne. Ta jednak jest bardziej niezbędna dla ciebie niż dla mnie. Weź ją. To ostatni egzemplarz na świecie.

- Nie wiem, czy powinienem ją przyjąć - odrzekł, wyciągając rękę.

- Dbaj o nią. Odnajdziesz w niej odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

Don Fernando spojrział w oczy przyjaciela, które lśniły uśmiechem w półmroku nocy. Nie wiedział, co zrobić. Nie powinien był przyjąć prezentu; on sam powiedział, że to niezbędna książka, jedyna, ale po raz kolejny jego ciekawość przewyciężyła wahanie.

- Jedyne egzemplarz... Naprawdę chcesz go ofiarować mnie?

- Dzięki niemu skończysz ze swoimi strachami.

- Nigdy ich nie miałem, Maurze.

- Wątpliwość to największy ze strachów, Kastylijczyku.

Don Fernando obserwował uśmiech przyjaciela i przyjemność, którą zdawał się odczuwać, ofiarowując mu prezent. Wziął więc książkę i przeczytał: LIBER SMARAGDI. Pogładził ją niczym róża policzki nowo narodzonego.

- Księga szmaragdu - wyszeptał.

- Koniec twojej podróży - stwierdził Al-Razi z oczyma utkwionymi w dal. - Oto ona.

Wcześniej jednak wyświadczyć sobie przysługę: wróć do teraźniejszości, don Fernando.

I wsiadłszy na konia, odjechał na południe, nie odwracając głowy ani nie wznosząc ręki w geście pozdrowienia.

Don Fernando widział go, jak oddala się w ciemności, odprowadzał go wzrokiem, aż Al-Razi wjechał w ulicę Toledo. Wtedy jednak, nie mogąc sobie wyjaśnić, co widzą jego oczy, dojrzał, że postać jego przyjaciela się rozplywa, patrzył zaskoczony, jak zacierają się jego zarysy, tak samo jak rozwiewa się para wodna albo gasnący płomień. I nie mogąc dać wiary temu, co się działo, ale nie przestając tego widzieć absolutnie wyraźnie, stwierdził zdumiony, że Al-Razi robi się niebieskim dymem, później przemienia się w przezroczyste opary i w końcu w delikatne światło, które powoli zaczęło ulatywać w niebo, aż zlało się z blaskiem jednej z gwiazd, w której zostało uwięzione na zawsze.

Kiedy mi to opowiedział, nie mogłem uwierzyć. Oczywiście pomyślałem, że mistrz postradał rozum, że ciemność nocy oszukała jego zmysły i to, co zobaczył, było wynikiem halucynacji spowodowanych głębokimi emocjami wywołanymi pożegnaniem. A jednak od tamtego dnia, kiedy ponownie mi to opowiadał, bez żadnych wątpliwości wielokrotnie powtarzał, że Al-Razi był samym Rasisem, towarzyszem Lucyfera, i że on miał szczęście być najlepszym przyjacielem demona.

## TRZY

Wyświadczyć sobie przysługę: wróć do terażniejszości, powiedział mu Al-Razi przy pożegnaniu. Don Fernando nie mógł zapomnieć tych słów, starając się odnaleźć ich prawdziwe znaczenie. Nieobecność przyjaciela i ból niespełnionej miłości do Klary ledwie pozwalały mu się skoncentrować i myśleć, ale najlepszym prezentem od Al-Raziego było zdanie, którego nie umiał rozszyfrować i które męczyło go do tego stopnia, że spędzał długie noce na czuwaniu i próbach jego odczytania.

A od wyjazdu Maura nie potrafił zasnąć. Żadne medykamenty dające tak dobre wyniki u chorych nie wywierały na nim pożądanego efektu. Już w ostatnich latach nie sypiał najlepiej, pił dużo wina przed udaniem się na spoczynek i starał się nie dostrzegać postaci swej ukochanej w półmroku pokoju, jednak na koniec, pomiędzy działaniem alkoholu i zmęczeniem dnia, usypiał o brzasku. Lecz od chwili, gdy Al-Razi zostawił po sobie pustkę osierocenia, przymykał oczy tylko po obiedzie, a po kilku minutach drzemki wstawał i nie potrzebował więcej snu. Noce były dla niego tak pełne jasności jak świt dla ptaków. Dlatego mięśnie stopniowo zaczęły mu zanikać, tak jak wosk wypala się w miarę sycenia płomienia; oblicze stawało się coraz bardziej kanciaste, oczy wytrzeszczone, a zmarszczki na twarzy i na rękach nadały mu przedwcześnie wygląd starca.

Trwał Rok Pański 1610 i don Fernando niemal nie jadł, nie spał w nocy i pił tyle wina po kolacji, że choć znałem jego mądrość, zacząłem się poważnie o niego obawiać. On mawiał mi w te wieczory, kiedy słowa padały z jego ust jak krople ulewnego deszczu, żebym się o niego nie bał, że śmierć nie ma twarzy i że kiedy on spotka się z moją matką, narodzą się rumieńce na obliczu jego duszy, tak jak róże kwitną w początkach maja. A potem wyznawał mi swe jedyne niepokoje, odnoszące się do niemożności odpoczęcia tyle, ile trzeba, bo nie potrafił zasnąć, póki nie zrozumie, co, u diabła, chciał powiedzieć Al-Razi przy pożegnaniu, zanim się rozplątał i odszedł do wnętrza gwiazdy, której nikt nigdy więcej nie zobaczył na niebie.

- Może chciał powiedzieć, żebyście nie cierpieli z powodu waszej przyszłości, mistrzu  
- odrzekłem, aby podtrzymać go na duchu. - Skoro ciągle tylko zastanawiacie się nad tym, co będzie jutro...

- To możliwe...

I wtedy znowu opowiadał mi o swoim życiu u boku mojej matki, dziecięcych przygodach, zmierzchach na kamiennych stopniach na placyku Świętego Jakuba naprzeciw szklanych ptaków, które trwały nieruchomo na niebie, miłości, której nie potrafił odkryć w odpowiednim czasie, i uporze Klary, która nie przyjęła go za męża, kiedy owdowiała, co dla niego oznaczałoby szczęście.

- Tysiące razy mi opowiadaliście, że już było za późno - zauważyłem, aby bronić matki. - Postąpiliście słusznie, biorąc pod uwagę czystość jej miłości, co dało jej siły, żeby nie wyjść za mąż, choć nie pragnęła niczego innego. Nie wybaczyłaby sobie, że prowadzicie chorą do małżeńskiego łóżka, tak od was słyszałem, panie.

- Twoja matka nie była chora, Alonso! - zdawał się irytować, nalewając sobie kolejną szklankę z dzbanka. - Melancholia jest tylko przypadłością duszy, a Bóg wie, że ja przepędziłbym ją na Wszystkich Świętych!

Don Fernando nie spał tamtej nocy ani następnej, ani jeszcze następnej. Jednak w porze śniadania na trzeci dzień pojawił się w jadalni w lepszym nastroju.

- Zrozumiałem już słowa Maura, Alonso - powiedział, nie starając się ukrywać zadowolenia. - Na Boga, tak właśnie jest! Myślę, że tej nocy miałem objawienie...!

I wyjaśnił mi z wielką dbałością o szczegóły, ale dodając ze swej strony znacznie więcej rzeczy, które sobie wyobraził i które zinterpretował, że Al-Razi chciał powiedzieć, iż jesteśmy więźniami tego, czym byliśmy, i niewolnikami tego, czym będziemy. W przeszłości żałujemy dokonanych czynów i swoich błędnych decyzji, tak samo jak narzuconych celów, jakie sobie obraliśmy, oraz kompromisów, które później musimy spełnić. Przeszłość jest strażnikiem więziennym, przypominającym nam, co przyrzekliśmy wczoraj, i każe nam przeżywać karę, którą nałożono na nas za nasze czyny, strażnikiem, który mówi, jakie będzie nasze życie i jacy mamy być my sami. A przyszłość, ciągnął, jest hydrą lernejską, której za każdym razem, gdy Herkules obcinał głowę, z rany wyrastały dwie nowe. Przyszłość jest wiecznym zmartwieniem, przypominającym nam, co mamy zrobić, aby nie popaść w niełaskę, bankructwo albo więzienie, a ilekroć dowiadujemy się, jak uniknąć zła, nowe zmartwienia pojawiają się na drodze lekarstwa, które zdawało nam się skuteczne. I dzięki temu Herkules odkrył, że jedynym sposobem na pokonanie hydry jest włożenie jej w ranę pochodni, aby się zablizniła i nie mogła rodzić podwójnych głów, jedynym sposobem na nasze przypadłości jest uznanie przeszłości za nieusuwalną i przyszłości za niepewną, zrozumiała tylko, kiedy nadejdzie, a naszym obowiązkiem jest cieszyć się i znajdować szczęście i satysfakcję w najdrobniejszym codziennym działaniu.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, co mówię. - Popatrzył na mnie z wyczekiwaniem, nie

tracąc światła, które tego poranka emanowało z jego oczu, blasku, którego od dawna w nich nie widziałem.

- Rozumiem, mistrzu - powiedziałem, nie będąc pewnym, że tak jest w rzeczywistości.

- Ale nie wydaje mi się łatwe dokonać tego w praktyce.

- Bo nie wracasz do terażniejszości, Alonso. Wyświadcz sobie przysługę: żyj tylko terażniejszością - Al-Razi powiedział to jasno, a był bardzo uczony.

- W takim razie chcecie powiedzieć, że już nie cierpicie z powodu niemożliwości spotkania się z moją matką w przyszłości? Że od dzisiaj będziecie żyć tylko terażniejszością?

- Cóż - wybąkał mistrz i zamilkł na kilka chwil. - Sprawa Klary, twojej matki, jest trochę inna. Żegnając się ze mną, Al-Razi na pewno nie miał tego na myśli...

\* \* \*

Od tamtego dnia don Fernando wrócił do pracy z pacjentami, poświęcał długie godziny studiom, zamykał się z piecami, narzędziami i wytworami chemicznymi laboratorium. Czasem prosił mnie, żebym wysłuchiwał chorych, szczególnie tych, których przypadkom umiałem już zaradzić z taką samą biegłością jak mistrz; czasem kazał mi przeglądać tę czy ową książkę w poszukiwaniu formuły albo teorii, której potrzebował do kontynuowania swej rozpaczliwej podróży do Klary; a pewnego razu, jeszcze to pamiętam, poprosił, żebym pilnował wejścia do laboratorium niczym królewski żołnierz, bo miał zamiar wypróbować na samym sobie miksturę swego wynalazku i nakazał mi, bez względu na to, co się będzie działo, nie wpuszczać nikogo, nie bacząc na możliwe krzyki i wszelkie inne konsekwencje spożycia substancji. Przez drzwi niczego nie słyszałem, a z ulicy nikt nie wszedł. I kiedy po trzech godzinach mistrz wyszedł przygnębiony, nie musiałem o nic pytać: jeszcze jedna z porażek, których nadużywa natura, by przywrócić pokorę mędrcom.

Jednak dwa lata później, w połowie 1612 roku, w jednym ze swych badań nie poniósł klęski. Przez wiele lat szperał wewnątrz ludzkich głów od dnia, w którym sprofanował grób jako młody student; piłował czaszki i przewracał mózgi, analizował je i szukał przekonującego wyjaśnienia dla chorób umysłu, wyjaśnienia, które położyłoby kres przypadłościom jego pacjentów. Czasem kupował od rady miasta niezidentyfikowanych nieboszczyków, żeby przeprowadzić sekcję zwłok i kontynuować badania, a kiedy indziej sam zabijał koty, psy, króliki i szczury, aby porównać ich mózgi z mózgiem człowieka. Z zakrwawionymi rękoma, skalpelem rozdzierającym martwe głowy i niekiedy raniąc samego siebie, poszukiwał w mózgu jego natury i przy okazji zakątka, w którym ukrywa się dusza, bo wiedział, że jeśli znajdzie coś, co nie istnieje w głowach zwierząt, będzie bliski sukcesu.

Właśnie w ramach tych badań dokonał najgenialniejszego ze swych odkryć i na tej



podstawie dopełnił teorię, której nie odważył się wyłożyć nikomu oprócz mnie w obawie, że będzie sprzeczna z doktryną i że zainteresuje się nim Święte Oficjum, a wtedy nawet sam don Filip III nie będzie mógł stanąć po jego stronie, gdyż nie ośmieli się wystąpić przeciw oficjalnym naukom Kościoła.

Don Fernando wyjaśnił mi, że mózg ludzki składa się z czterech odrębnych elementów, a każdy z nich spełnia tylko jedną funkcję, będąc przyczyną naszych zachowań i naszych chorób, kiedy elementy nie działają w należyty sposób. Najpierw był mózg gadzi, umieszczony w części tylnej, tam, gdzie znajduje się potylicica. To jest ślad naszej dalekiej przeszłości, zanim ludzie stali się inteligentni, powiedział, i w nim ulokowane są instynkty, impulsy ataku, zranienia lub ucieczki bez żadnej ewidentnej przyczyny, tylko z konieczności przeżycia. Mózg gadzi posiadały też inne badane zwierzęta, stwierdził, które także działają w sposób instynktowny, kiedy są głodne lub ze strachu. Ta część mózgu znana jest w nauce arabskiej jako rdzeń przedłużony i mój mistrz również zamierzał ją tak nazywać.

Później, bardziej w środku, znajdowała się masa mózgowa tworzona przez śródmózgowie, mózdzek i ogólnie przez układ limbiczny, gdzie znajdują się emocje. Rzymianie potrafili już operować tę część mózgu i przeprowadzać trepanacje oraz leczenie guzów, zapewnił mnie. U człowieka, dodał, masa mózgowa postrzega wszystkie wrażenia pochodzące z zewnątrz: hałas, zapach albo obrazy, które widzą nasze oczy, i w niej kończą się wszystkie nerwy organów z różnych części ciała. Dociera do nas szum i wiemy, co go wytworzyło bez potrzeby obawiania się tego; czujemy chłód i wiemy, że nie powinniśmy się go bać, tylko ciepłej się ubrać; z kolei jeśli jest nam za ciepło, ubieramy się lżej; a jeśli zobaczymy ogień, usuwamy się, aby nie poparzyć się płomieniem. W taki sam sposób odczuwamy pragnienie śmiechu, płaczu albo smutku, ale rozumiemy przyczyny. Ta część mózgu nie jest większa czy mniejsza od mózgu innych zwierząt, dodał: po prostu ma więcej fałd, czyli jak się ją rozciągnie, zajmuje większą powierzchnię i zawiera znacznie większą liczbę nerwów, łączących ją z pozostałymi częściami ciała. To masa mózgowa dzięki otrzymywaniu impulsów emocjonalnych jest kołem młyna mielącego wszystkie nasze zbiory.

Ponad nią, wyjaśniał mi dalej, jest głowa, czaszka, kora. W niej siedzibę mają rozum i myśli, co czyni nas odmiennymi od zwierząt, bo jest to pudełko inteligencji racjonalnej, danej nam od Boga.

Jednak prawdziwym odkryciem, podstawową różnicą w porównaniu z wszystkimi pozostałymi gatunkami, które badał, zakończył z euforią, jest mały element znaleziony w najskrajniej ukrytej części mózgu, mający kształt kasztana albo migdała. Nie znał jeszcze dokładnie jego funkcji, ale był przekonany, że stanowi swego rodzaju tamę albo służę, jakby

rów nawadniający, który otwiera się i zamyka, aby pozwalać przepływać emocjom i procesom ludzkiego umysłu. Jeśli nie otwiera się i nie zamyka dobrze, działając wedle natury swej funkcji, nie pozwala racjonować impulsów otrzymywanych przez masę mózgową, emocji zewnętrznych i myśli je wyjaśniających, przez co zmienia nerwy i całą ludzką inteligencję, wywołując choroby, które on musi leczyć u swych pacjentów. Zasadniczą przyczyną chorób jest ten mały ukryty organ, zapewniał mnie, ten kasztan czy migdał, zmieniający naturalne funkcje rozumowania i sprowadzający na ludzi choroby, aż czasami popadają w szaleństwo. Gdyby zdołał wyleczyć tę małą grudkę złota, zapewnił, wtedy wszystko byłoby możliwe.

- Jednak niestety nie można tego zrobić - podsumował z bardzo smutną miną.

- Dlaczego, mistrzu? - zapytałem.

- Bo nie wiem, w jaki sposób to działa, Alonso, zaledwie odkryłem miejsce zazębienia duszy.

- W takim razie to tam znajduje się dusza, mistrzu?

Don Fernando zamyślił się ze spojrzeniem utkwionym w oknie, z uniesioną brodą, jakby poszukiwał w docierającym z daleka powietrzu odpowiedzi, która mogłaby go zadowolić.

- Przynajmniej, zdrowie duszy, chłopcze. Samo zdrowie duszy...

\* \* \*

Od tamtej chwili don Fernando uznał swe studia za zakończone i poświęcił większą część czasu przekonywaniu swych pacjentów oraz wszystkich, którzy stawali mu na drodze, że powinni powrócić do terażniejszości, aby znaleźć szczęście. Była to bełkotliwa porada tak rozprzestrzeniona po mieście, że wielu doszło do przekonania, iż uzdrowiciel dusz postradał rozum.

Wielu oprócz brata Gabriela de Sigüenzy, który zaczął uważać, że nadszedł właściwy moment, aby stanąć przed don Fernandem jako przyjaciel i stronnik, ze skrywanym zamiarem poznania jego planów. Don Tirso, zarządca, nie okazał się w tej kwestii nazbyt pomocny: był ambitny i gotów na wszystko, aby napełnić sakiewkę całym złotem, jakie mógłby otrzymać za sprzedanie swego pana, lecz był też tchórzem drżącym przed karą i bojącym się odkrycia, zwolnienia z pracy i utraty pensji, która mniej lub bardziej zwiększała mu fortunę i majątek. Don Tirso spiskował z bratem Gabrielem przeciwko swemu panu, ale z dnia na dzień odwlekał wejście do laboratorium i nie spieszył się ze zdemaskowaniem intencji mojego mistrza, które odpowiednio przedstawione przed Świętym Oficjum posłałyby don Fernanda na stos, co w końcu pozwoliłoby ośmieszonemu zarządcy odzyskać utraconą godność.

Brat Gabriel dał don Tirsowi ultimatum, że jeśli nie przedstawi go swojemu panu przed końcem miesiąca, jakby chodziło o starego i dobrego przyjaciela, także bardzo zaufanego, on sam pójdzie do don Fernanda i z nim porozmawia.

- Nie wiem, jak mógłbym to zrobić, don Gabrielu - odparł zarządca pełen dobrych chęci, ale i strachu. - Doskonale wiecie, że chcę wam pomóc. Ale jaki pretekst wymyślić? Jaka mogłaby być przyczyna tak niezwyklej prezentacji?

- To proste, don Tirso - odparł z tupetem duchowny. - Don Fernando został bez przyjaciela, z którym mógłby prowadzić uczone dysputy. Z pewnością taki człowiek jak ja, odpowiednio wykształcony, wzbudzi w nim zaufanie i nakłoni go do wyznań. Stracona przyjaźń pozostawia koryto samotności, przyjmujące każdy strumyk. Ja będę wodą, której potrzebuje suchość jego łez.

- Nie wiem...

- Wy decydujecie - uciął mnich. - Pod koniec czerwca ja sam udam się do jego domu.

- Zrobię to.

Od tej chwili don Tirso wykorzystywał każdą okazję, aby rzucić, że poznał bardzo uczonego człowieka, który rzeczywiście wzbudzał zdumienie swoją wiedzą, a jeszcze bardziej, kiedy spojrzało się na jego wygląd, wcale nie zadbany. Komentował to w porze śniadania z boną Leonardą, udając, że sparzył się gorącą czekoladą; powtarzał to niby przypadkiem, kiedy przechodził obok don Fernanda na korytarzach domu; upierał się przy tym w piątek, kiedy mistrz miał dość dobry humor, by przejrzeć rachunki, i jeszcze raz, gdy żegnał się przed pójściem do domu. Początkowo don Fernando go nie słuchał, później zaczął uważać, że don Tirso jest zauroczony jakimś poetą, takim jak jego preceptor don António Sánchez de Tovar, którego nigdy nie zapomniał. Lecz zarządca tak bardzo upierał się przy swoim, że mojemu mistrzowi nie pozostało nic innego, jak zainteresować się sprawą.

- Jaką gałęzią nauki zajmuje się ten wasz protegowany, skoro zrobiło to na was aż tak wielkie wrażenie, don Tirso? - zapytał.

- Tyloma dziedzinami, że aż nie potrafię odpowiedzieć na wasze pytanie - odparł przebiegle zarządca, podsycając ciekawość swego pana.

- Mówi o rzeczach, których nie rozumiem, ale z takim przekonaniem, że zdaje się, iż to on stworzył wszystkie rzeczy na świecie. Zna teologię, francuski, literaturę, filozofię i nie wiem ile tam jeszcze dyscyplin.

- I lubicie go? To znaczy, chcę zapytać, czy jest waszym przyjacielem...

- Tak jest, don Fernando. Chcielibyście go poznać któregoś dnia?

- Skoro macie takie pragnienie, nigdy nie odmawiam poznania kogoś, kto może mnie

czegoś nauczyć. Zaproście go na podwieczorek.

- Jutro jest wtorek. Co o tym sądzicie? - Oczy zarządcy stały się płomieniami zachłanności.

- Lepiej w sobotę.

- Będzie tu. Na pewno...

Gdy tylko go zobaczył, choć przybysz wyglądał był żałośnie i przedwcześnie się postarzał, od razu go rozpoznał. Minęło pół tuzina lat, ale nie zapomniał tego wyniosłego spojrzenia, zdrady czającej się w oczach i podstępного uśmiešku, tak właściwego duchownym. Przypomnił go sobie i nie pozwolił mu przekroczyć progu salonu, w którym czekał na zaanonsowanie jego przyjścia.

- Zatrzymajcie się, bracie Gabrielu - powiedział, wstając i wyciągając rękę, aby pokazać mu dłoń. - Nie jesteście mile widziani w moim domu.

- Dziwne przywitanie, mój panie don Fernando - udał zdumienie duchowny. - Zbyt dawno temu toczyliśmy spór, abyście jeszcze skrywali w swoim sercu tyle żalu.

- Zdrada nie ulega przedawnieniu, mnichu. A gdyby nawet tak było, nie ulega przedawnieniu podstępne udawanie szczerości. Z waszego stroju wnioskuję ponadto, że byliście nieuczciwi nie tylko wobec mnie. Skoro nawet Kościół odsunął was od siebie, nie można oczekiwać od was niczego dobrego...

- Nie odsunął mnie, lecz odszedłem - odparł przewrotnie, z wyższością unosząc twarz. - Znużyły mnie praktyki inkwizycji, tak jak i was.

- Bardzo źle kłamiecie, bracie Gabrielu. - Mój mistrz chciał mu okazać, że dobra pamięć to jeszcze jedna z jego cnót. - A może sądzicie, że nie wiem o waszym żalu wobec mnie? Mam pakt z Lucyferem, nie zapominajcie o tym...

Gabriel de Sigüenza popatrzył na don Tirsa z wielkim zdumieniem i wbił w niego wzrok z furią wścieklej kotki. Tylko on mógł poinformować swego pana o jego przeszłości i zamiarach, tylko on mógł go zdradzić.

- Ja wam przysięgam... - usprawiedliwiał się zarządca, przerażony spojrzeniem duchownego.

- Znowu wy, don Tirso? - mój mistrz uśmiechnął się z wysiłkiem. - Zaprzecie się mnie trzy razy jak Judasz Chrystusa?

Zarządca nie wiedział już, przed kim się usprawiedliwiać. Popatrzył na jednego i drugiego, zmieszany i przestraszony, i po chwili wahania wybiegł z salonu, żeby schować się w swoim gabinecie.

- Was nie zdradził - powiedział mistrz ponurym głosem i czyniąc surowy gest. -

Zdradził tylko mnie. A co się odnosi do was, wiedźcie, że zobaczyłem żal w waszych oczach i wyobraziłem sobie, że wymyśliliście taką dziecinną intrygę, aby dostać się do mego domu, ponieważ sądziliście, że mam pakt z demonem. Że sami się zdradziliście, to nie moja wina, mnichu. Teraz odejdźcie i żebym was więcej nie widział wężącego w pobliżu.

- Jeszcze o mnie usłyszycie, don Fernando - odwrócił się rozzłoszczony Sigüenza. - Przysięgam, że jeszcze o mnie usłyszycie.

- Będzie to oznaka, że jeszcze jesteście żywi...

Mnich wyszedł z domu wyraźnie zdenerwowany, zirytowany, robiąc wielkie kroki i szepcząc niezrozumiałe litanie, przynoszące echo grózb. Don Fernando popatrzył na mnie, zadowolony z okazanej nieugiętości, i uniósł głowę, jakby pytając mnie, co zrobić z don Tirsem, który jakoś nie rezygnował z prób posłania swego pana na inkwizycyjny stos.

- Przestał być użyteczny dla waszych celów, mistrzu - powiedziałem z pewnością siebie, która zaskoczyła mnie samego, jakbym miał wielkie doświadczenie w podejmowaniu ważnych decyzji. - Jeśli chodzi o rachunki, jestem przekonany, że nawet ja sam mógłbym je prowadzić.

- Myślę tak jak ty, kochany Alonso - dodał, kładąc mi rękę na ramieniu. - Poza tym posiadanie wroga w domu zakłóca dobry sen, a ludzie sprawiedliwi lubią porządnie się wyspać.

- Chcecie, żebym przekazał mu waszą decyzję, mistrzu?

- Nie. Ja sam to zrobię. Wiele razy mówiłem twojej matce, że mam szpadę, by uciszyć tych, którzy mnie obrażają. Dzisiaj jej użyję.

- Wy z bronią?

- Bronią rozumu, Alonso. Nie ma ostrzejszej niż ta...

\* \* \*

Klara była igłą służącą do zszywania wspomnień don Fernanda, nicią tkającą jego myśli, krosnami splatającymi melancholię jej nieobecności. Nawet w chwilach nauki albo największego skupienia, spędzonych pośród retort i pieców laboratorium, nigdy nie schodziła mu sprzed oczu jej wdzięczna postać. Klara była mlekiem na śniadanie, pieczenią na obiad i słodkim deserem wszystkich jego kolacji; sztucami i dzbanem, serwetką i obrusem. Nawlekał pragnienia na słowa, fastrygował marzenia teoriami, które nie zawsze osłabiały jego rozpacz, cerował samotność rozmowami z samym sobą, których nie chciał powtarzać, gdy o nie pytałem, łątał swój ból winem i w końcu stebnował uszy bełkotanymi toastami, jakby każda upływająca sekunda była jedną sekundą mniej pozostającą do spotkania z nią. Nocami, po deserze, lamował swym monotonnym i niezmordowanym głosem salę oświetloną wielkim

plamieniem kominka, a słowa padały jak krople ulewnego deszczu, ale wybierał taką formę, abym ja nie zrozumiał, że kocha Klarę tak, jak kochają tylko szaleńcy albo ludzie samotni. Albo jak nigdy nikt nie kochał.

Klara była igłą i nitką, krosnami, tkaniną i chusteczką, w której zbierają się wszystkie łązy. Don Fernando nie spędził ani jednego dnia, nie widząc jej, nie rozmawiając z nią i nie zapewniając jej o swej miłości. Czy ona go słuchała, czy nie, tego nie wiem. On jednak pewnie myślał, że po drugiej stronie świata i czasu, tam gdzie kwiaty wybierają kolor, który przywdzieją tego roku, a motyle sukienki na dzień balu maskowego, pośród pociągnięć pędzla tęczy i noża ostrzącego róg jednorożca, ona go słyszała i powtarzała te słowa na trawie, zapisywała je, aby któregoś dnia wręczyć mu je jako miłosny prezent. Don Fernando kochał, nie rozumiejąc tego, bo nigdy nie zrozumiał, czym jest miłość, i bezgranicznie tęsknił. Nie wiedział także, że zdradził sam siebie: przyrzekł poświęcić życie studiom, aby jej nie kochać, a teraz poświęcał życie pragnieniu urzeczywistnienia swej miłości.

- Nie zdołacie jej odnaleźć, mistrzu - powiedziałem mu kiedyś, gdyż było mi go żal.

- Dowiodę ci, że śmierć nie istnieje, Alonso - odparł. - Zobaczysz, że któregoś dnia ci to udowodnię.

- Nie wiem, jak wam się to uda - pokręciłem głową z lekceważeniem.

- Dzisiaj znowu widziałem ją w krypcie świętego Genezjusza. Zmarł ojciec Gregorio, kapelan mojej matki... Śmierć...

- Pewnego dnia, Alonso. Bądź cierpliwy...

- Skoro tak mówicie...

Don Fernando wypijał dużo wina, przede wszystkim wieczorami, zanim udawałem się na spoczynek. Jadł też coraz mniej, aż kiedyś udało mi się policzyć kości na jego twarzy i torsie, gdy zobaczyłem go nagiego w kąpielni. Kiedy pytałem, dlaczego nie weźmie sobie dokładki albo przynajmniej nie skończy porcji, którą ma przed sobą, oświadczał, że pełne jelita nie pozwalają myśleć i że pokarm tępi przenikliwość umysłu, bo kiedy krew zajmuje się trawieniem, nie dopływa do mózgu, gdzie spełnia znacznie ważniejsze zadania. Innym razem błagałem go, żeby nie chodził po swoich pokojach do świtu i spróbował zasnąć, bo ciało potrzebuje odpoczynku, ale wtedy on kręcił głową, pociągał następny łyk z dzbana i zamyślał się ze zmarszczonym czołem, jakby na dnie szklanki ujrzał lot ważek nad pustynią.

- Gdybym mógł. Gdybym mógł.

- Wasi chorzy śpią... Przepisujecie im lekarstwa i śpią...

- Moi chorzy nie czczą Boga.

- Wy też nie - odważyłem się powiedzieć, nie odsuwając wzroku od jego oczu i nie

obawiając się, że to stwierdzenie go zirytuje.

- Ja tak, bo Klara jest Bogiem.

Kiedy zdarzało mu się mówić takie rzeczy, wiedziałem, że nadeszła chwila, aby zostawić go samego i odejść do swego pokoju. Wiedziałem też, że będzie siedział przy ogniu, rozmawiając ze sobą albo opowiadając jej rzeczy, które może słyszała i zapisywała na trawie, aby któregoś dnia mu je sprezentować, i że dopóki nie wysączy dwóch dzbanów wina stojących w zasięgu jego ręki, nie wtoczy się po schodach prowadzących do sypialni. I tak ciągnęło się to noc za nocą, przez wiele miesięcy, aż zakończył się Rok Pański 1614.

Wówczas bowiem, gdy obchodziliśmy Boże Narodzenie, wszystko nagle się zmieniło.

Aż do wtedy Klara była igłą zszywającą wspomnienia don Fernanda, nicią tkającą jego myśli, krosnami splatającymi melancholię jej nieobecności. Z nią żył i o niej marzył; bez niej nie potrafiłby przeżyć. Może właśnie to zawsze chciał mi powiedzieć, a ja nie zdołałem tego zrozumieć: dopóki żyje miłość, śmierć nie istnieje.

Może wszystko było aż takie proste.

\* \* \*

Pewnego dnia zapytałem go, na jakiej podstawie tak usilnie wierzy, że znowu zdoła znaleźć się u boku mojej matki, chociaż ona zmarła już ponad piętnaście lat temu, a my pomimo wielu doświadczeń, jakie razem przeszliśmy, nie słyszeliśmy nigdy o nikim, kto wróciłby z zaświatów, aby o nich opowiedzieć. Śmierć jest końcem, mistrzu, powiedziałem; to jedyna rzecz, której możemy być pewni, kiedy się rodzimy. Sprzeciwianie się prawdzie jest otwieraniem na oścież drzwi prowadzących do szaleństwa.

- Nie jesteś już taki młody, Alonso - odpowiedział mi z wielkim spokojem. - Ani nie wychowałem cię po to, żebyś podzielał poglądy pospolitych ludzi, wszystkich tych ignorantów bojących się śmierci, bo sądzą, że ich życie jest jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne i kiedy zwiędnie, nic im nie zostanie.

- A czy może tak nie jest?

- Słuchaj uważnie, dobry Alonso. Czy nie zgodziliśmy się, że czas jest nieskończony, że będzie trwał wiecznie?

- Tak jest.

- I nie nauczyłeś się od greckich mistrzów, że wszystkie rzeczy są kombinacją atomów łączących się, aby stworzyć nową materię? A to szklanę, a to górę, a to człowieka...?

- Tak mówili, zgadza się.

- W takim razie - odetchnął głęboko - nietrudno dojść do wniosku, że miliony milionów atomów stworzą w milionach możliwych kombinacji wiele milionów różnych

rzeczy. Te, które znali nasi przodkowie, te, które znamy my, te, które poznają ci, co przyjdą po nas... Wiele milionów...

- Rzeczywiście. Nieprzeliczonych...

- Nieprzeliczonych - tak, ale skończonych. - Wskazał na mnie palcem, abym zrozumiał to, co właśnie powiedział. - Skończonych! To znaczy bez względu na to, jak wiele jest możliwych kombinacji nieokreślonej, ale nie nieskończonej liczby atomów, bez względu na to, jak wiele jest milionów sposobów, w jakie można je połączyć, aby stworzyć tę czy inną rzecz. Ponieważ czas jest nieskończony, nastąpi taka chwila, w której powtórzy się pewna kombinacja, czy to będzie szklanka, czy góra, czy człowiek...

- Ale będzie to trwało, nie wiem ile czasu...!

- Co za różnica, ile to będzie trwało, skoro ta chwila nadejdzie? Pamiętaj, że wiemy, iż czas jest nieskończony, wieczny...

- Chcecie zatem powiedzieć, że kiedyś, w którejś chwili, choć będzie trzeba czekać miliony wieków, aby to nastąpiło, atomy ponownie się połączą w identyczny sposób, aby zaistniał inny Alonso, inny ja?

- Może minąć ten czas, to prawda, albo znacznie dłuższy - powiedział zadowolony, że go zrozumiałem. A następnie dodał: - Ale może się zdarzyć, że skoro łączą się na chybił trafił, nastąpi to już jutro. Jesteśmy jak lampa oliwna, Alonso. Może skończyć się oliwa i zgasnąć płomień, ale przy odrobinie nowej oliwy powrócimy do życia, rozpalimy się płomieniem, choć będą temu starały się zapobiec podmuchy diabła. Tak, chłopcze: lampa oliwna, bo nie jesteśmy niczym innym, trwa i walczy o życie... Może dzisiaj istnieje stu Alonsów takich jak ty na świecie...

- Phi, żartujecie...

- Nigdy nie żartuję z nauki, Alonso.

Powiedział to z taką powagą, że już nie potrafiłem odpowiedzieć. Skinąłem głową, wyszedłem na zewnątrz i usiadłem na schodach domu. Musiałem się zastanowić nad tym, co usłyszałem. Skoro to była prawda, a argumentacja zdawała się bez zarzutu, żyłbym przez całą wieczność, w sposób powtarzalny, z jedynym zastrzeżeniem, że nie pamiętałbym poprzedniego życia i nie byłbym świadom co do następnych. Ale mój mistrz, z tego, co zrozumiałem, mówił o życiu wiecznym, o życiu wiecznym wszystkich i każdego z osobna. Gdyby udało mi się w to uwierzyć, dlaczego miałbym się bać śmierci, jeśli oznaczałaby koniec tylko jednej z wielu dróg życiowych, które ponownie by następowały i też kończyły się śmiercią?

Jednak w swej argumentacji, pomyślałem, mistrz nie wziął pod uwagę nauk naszej



religii, która mówiła o Sądzie Ostatecznym. Jeśli więc istniał Sąd Ostateczny, świat nie mógł trwać w nieskończoność, musiał kiedyś się skończyć, aby człowiek mógł zostać wezwany przez Boga. Mistrz pomylił się i ja czułem się zobowiązany zwrócić mu na to uwagę.

- Wybaczenie, mistrzu - odezwałem się, przerywając mu lekturę.

- W waszej argumentacji zapomnieliście o dniu Sądu Ostatecznego. W takiej sytuacji czas nie jest wieczny...

- Dzień Sądu Ostatecznego? Jesteś głupcem, Alonso - odpowiedział, unosząc wzrok znad książki i zaraz do niej wracając. - Sąd Ostateczny... - powtórzył, kiwając głową.

Don Fernando trawił godziny nad studiami o przeznaczeniu dusz. Podczas gdy ja przyjmowałem coraz więcej pacjentów i więcej godzin spędzałem nad kociołkami, fiolkami, tyglami i moździerzami, przygotowując eliksiry, nalewki i remedia, które przywracają zdrowie. Żaden z nas niemal nie wychodził z domu. Ani król, nasz pan, którego niech Bóg zachowa w dobrym zdrowiu, nie wzywał do siebie don Fernanda, ani ja nie potrzebowałem więcej spacerów niż te do kościoła albo w poszukiwaniu ziół i soli w pobliżu rzeki lub do magazynu na ulicy, która dochodziła do Puerta de Guadalajara. Mój pan, don Fernando, poza uczestnictwem w obrzędach, i to nie wszystkich, których wymaga Kościół, nie wychodził nigdy. Rachunki domowe, jak się spodziewałem, prowadziłem bez kłopotów i biorę Boga za świadka, że od odejścia don Tirsa, zarządcy, służba w domu zdawała się szczęśliwsza, nikt nie skarżył się ani razu i nie spowodował poważniejszych problemów ani mnie, ani mojemu mistrzowi.

Zacząłem leczyć przypadłości ducha z taką samą łatwością, z jaką robił to don Fernando. Przypadki, jakie docierały do gabinetu, były zazwyczaj do siebie podobne, czy to odnosiły się do koszmarów, strachu przed samotnością, trwogi przed przegraną, czy do choroby spowodowanej nadmiarem alkoholu albo uzależnieniem od laudanum. I żaden z nich nie leczył się długo, bo lekarstwem była rozmowa albo magiczna maść, czasem fałszywy eliksir składający się z wody, wina, soku cytrynowego i mięty albo oregano, który chorzy, wierząc w jego działanie, zażywali i zostawali wyleczeni. Bo gdy chodzi o przypadłości duszy, wystarczyła wiara w dobroczynny wpływ lekarstwa, aby ono podziałało. Mówiłem im, to prawda, że receptura została specjalnie skomponowana i przygotowana przez mojego pana, don Fernanda, bo zaufaniem darzyli jego, jeszcze nie udało mi się nikogo przekonać, by zaufał mnie.

Tylko jednego chorego musiałem oddać w ręce mojego mistrza. Chodziło o don Juana de Pastranę, starego marynarza, który ponad jedenaście razy odbył podróż do Ameryki, tam i z powrotem, a teraz, po skończeniu siedemdziesięciu lat, tak bardzo się bał wody, że nie mógł

spacerować nad brzegami rzeki Manzanares bez ataków paniki, które zmuszały go do ucieczki biegiem jak najdalej od wody, z łomoczącym sercem i czołem zlanym zimnym potem. Nie potrafiłem zaradzić jego chorobie ani nawet nie zbliżyłem się do sposobu mającego oczyścić jego duszę ze strachu, skonsultowałem się więc z mistrzem, a on po krótkim namyśle postanowił go przyjąć.

Nie wiem, w jaki sposób, za pomocą jakich sztuk i wybiegów podjął jego leczenie, bo spotkania odbywali sam na sam; pewne jednak jest to, że nie minęły trzy miesiące, a don Juan de Pastrana poczuł się wyleczony i przestał odwiedzać mojego mistrza.

- Musicie mi wyjaśnić, jak rodzą się strachy - powiedziałem mu kiedyś, gdy zachwyciły mnie wyniki leczenia starego marynarza.

- Istnieje tylko jeden rodzaj strachu, Alonso - odrzekł. - Strach przed śmiercią. Mówiłem ci to wiele razy.

- Ale wasi pacjenci skarżą się na tysiąc różnych rodzajów strachu...

- Tylko na jeden - powtórzył. - Wszystkie pozostałe skrywają prawdziwy strach.

- Także strach przed tym spokojnym strumykiem, który opływa Madryt?

- Tak - wyjaśnił mi spokojnie. - Wszystkie istoty ludzkie w którymś momencie swego życia odczuwają trwogę przed czymś. To tak jakby trwoga była sposobem obrony używanym przez ciało. A może się ona objawiać na tysiąc sposobów, tysiąc różnych rodzajów strachu i chociaż chorzy mówią, że przerażają ich otwarte przestrzenie albo ciasne miejsca, bliskość czegoś niepewnego, wysokość, noc, bezbronność w obliczu samotności lub awersja do niegroźnego szczura, ostateczny strach jest ten sam, a jego symptomy są ci znane: drżenie, zimne poty, pragnienie ucieczki, mdłości, duszność w piersiach albo ból w brzuchu, ściśnięte gardło, kłopoty z oddychaniem... Mów do nich o ich strachu, jakbyś go dzielił, a nigdy się go nie pozbędą. Mów do nich przeciwnie, że absurdalny jest strach przed czymś, czego nikt inny się nie boi, a sprowadzisz ich na drogę ku wyleczeniu. Niech ci wyjaśnią, kiedy po raz pierwszy poczuli ten strach i co się stało, że go poczuli. A później niech ci powiedzą, jakie troski ich dręczyły w tych dniach. Jeśli uda ci się nakłonić ich do szczerości, zrozumieją, dlaczego się boją.

- Wiedzieć to jeszcze nie znaczy być wyleczonym, mistrzu.

- Ale bez tej wiedzy nigdy się nie wyleczą - zakończył. - Przywróć im ufność i poproś, aby zrobili sobie przysługę i wrócili do terażniejszości. Jeśli uda ci się przewyciężyć ich upór, nigdy się nie pomylisz.

To była ostatnia lekcja, jakiej udzielił mi don Fernando na krótko przed nadejściem Bożego Narodzenia 1614 roku, kiedy wszystko uległo zmianie.

Kiedy nastąpił początek końca.

\* \* \*

Dzień Bożego Narodzenia rozpoczął się zimny i taki pozostał aż do nocy. Kołysani obłokami pary wyrzucanymi przez ogień z kominka w salonie, don Fernando i ja spędziliśmy znaczną część dnia, rozmawiając i jedząc marcepany, ciasta, ciastka, lukrowane migdały i orzechy i popijając je słodkim winem i anyżówką z wodą. Szyby okien i balkonów były zasnuwane parą i od czasu do czasu płakały łzami wypływającymi kręte ścieżki w matowym tiulu, jakby wypacały żal. W salonie jaśniały światłem kandelabry i świece, a służba, panny pokojowe i usługujące przy stole zapełniały dzbany i nieustannie wносиły nowe dania, którymi one też się porządnie syciły w kuchni, za pozwoleniem mojego pana, rzecz jasna. Don Fernando spędził znakomitą część poranka na nieustających rozmowach ze mną, a po jedzeniu, odpocząwszy dłuższy czas, znowu wrócił do wspomniania mojej matki, nie szczędząc szczegółów, bym dowiedział się o niej nawet najmniej istotnych drobiazgów, tak że gdy zapadał zmrok, byłem już nimi znużony i prosiłem, żeby trochę odpoczął, w przeciwnym bowiem razie rozchoruje się na gardło.

- Nie sądziłem, że twoja beczelność może być tak wielka - skarcił mnie. - Już czujesz się uprawniony, żeby kazać mi zamilknąć?

- Mówię to dla waszego dobra - uśmiechnąłem się. - Gdyby przynajmniej Al-Razi był w mieście, żeby zaradzić waszej utracie głosu...

- Al-Razi? - mistrz był zaskoczony i pogrążył się w milczeniu, gdy usłyszał to imię. - Gdzie też może teraz być Al-Razi, mój kochany przyjaciel?

- Płonie we wnętrzu jakiejś gwiazdy - zażartowałem. A ponieważ zauważyłem, że nie rozbawiło go to, uznałem, że czas się z nim pogodzić.

- Proszę, don Fernando. To mój prezent bożonarodzeniowy.

Wstałem i z szuflady wyciągnąłem książkę, którą włożyłem w jego ręce.

- Liber Smaragdi - przeczytał, mrużąc oczy. - Księga szmaragdu...

- To w sumie jego ostatni prezent. Schowałem ją, bo zdałem sobie sprawę, że celowo jej unikacie. Na pewno nawet jej nie przeczytaliście...

- Nie... Dobrze, nigdy nie chciałem jej przeczytać, nawet jej otwierać... - powtórzył tonem usprawiedliwienia. - Czekałem na jego powrót, żebyśmy ją przeczytali razem...

- Minęło już ponad pięć lat, mistrzu - powiedziałem, nie pozwalając zwyciężyć się melancholii, która malowała się na jego twarzy. - Daję ją wam w prezencie, żeby wam pomóc. Nie powinniście nią gardzić w taki sposób...

- Może masz rację - zgodził się w końcu.

- Proszę, byście ją przyjęli i przeczytali. Nasz dobry przyjaciel Al.-Razi zasługuje na to.

- Masz rację, Alonso. Dziękuję. To najlepszy prezent bożonarodzeniowy, jaki mogłeś mi dać...

*Księga szmaragdu.* Don Fernando zaczął ją czytać, studiować i rozumieć tej samej nocy. Chodziło o manuskrypt skopiowany przez pewnego alchemika z Kordoby, którego imienia nie potrafię sobie przypomnieć, o tekst przetłumaczony z greckiego na arabski w IX wieku w Domu Wiedzy w Bagdadzie, a następnie przetłumaczony po raz drugi na łacinę w wieku XII. Litery były okrągłe i dobrze wykończone, doskonale czytelne. Na marginesach parzystych stron rysunki i mapy ilustrowały treść tych hermetycznych tekstów, wyjaśniając je lub interpretując. I choć widać było, że księga jest bardzo stara, po kruchości stron i spłowieniu skóry okładek, była też zachowana w całości i w dobrym stanie.

*Liber Smaragdi.* Nigdy nie dowiedziałem się, jakie to cuda zawierały jej strony; mogę tylko powiedzieć, że przez siedem miesięcy, do połowy lipca, don Fernando jej nie odłożył: robił notatki, przeliczał, zapisywał całe strony i zużył wiele atramentu i piór, aż pewnego dnia zamknął ją z hukiem, uśmiechnął się z zadowoleniem, otworzył na oścież drzwi od biblioteki i ruszył do pieca, w którym rozdmuchał ogień, aby wrzucić weń jedyny istniejący egzemplarz tej cudownej książki i patrzeć, jak płonie aż do końca.

W tamto Boże Narodzenie wszystko uległo zmianie i wszystko rozpoczęło się od nowa dla mojego mistrza. Kiedy w lipcu porzucił studia nad książką, już nigdy nie był taki sam. Przede wszystkim stał się o wiele miłszy, śmiał się z byle powodu, przytulał mnie bez żadnej wyraźnej przyczyny i gratulował mi bez względu na to, co zrobiłem z jego chorymi, którzy już w końcu byli moi, bo on nie chciał nic o nich wiedzieć przez miesiące swego zamknięcia w bibliotece. Zaczął porządnie jeść, pić z umiarem i spać osiem albo dziesięć godzin na dobę bez żadnego skrepowania. Czasem słońce południa jeszcze zastawało go w łóżku, śniadanie mieszało mu się z obiadem, a radosna rozmowa z kolacją, jakby w jego głowie nie było żadnych trosk. A musiało tak być, bo już nigdy nie rozpacział za moją matką. Od tego lipcowego dnia Klara nie była dla niego snem, wyzwaniem, celem ani śmierć nie była nieprzyjacielem. Ta książka, której zawartość poznałem bardzo pobieżnie, na tyle, na ile mogłem wyciągnąć jakieś wnioski z jego wypowiedzi, przywróciła mu szczęście utracone tyle lat temu.

Jedyny egzemplarz *Księgi szmaragdu* spłonął doszczętnie w piecu w laboratorium i nie pozostał po nim najmniejszy ślad. Lecz treść tego dzieła była jedynym światłem lśniącym w żrenicach mojego mistrza do jego ostatniego dnia.

- Al-Razi, cóż za demon! - powiedział przy jakiejś okazji, myśląc na głos, a następnie spojrzał na mnie, zaskoczony moim wzrokiem pełnym niezrozumienia. - On nauczył mnie korzystać ze wszystkich kluczy do przeznaczenia dusz. Tak, Alonso: miałem szczęście być przyjacielem diabła...

\* \* \*

Brat Gabriel de Sigüenza także zdobył informacje o zmianie nastroju don Fernanda Ruiza de Alcalá, ponieważ pojawianie się uczonego w najbardziej niespodziewanych miejscach wywoływało takie zaskoczenie, że na placach miejskich nie mówiono o niczym innym. Uzdrowiciel dusz, zamknięty w sobie i introwertyczny lekarz wariatów, najbardziej enigmatyczna postać na dworze i najmniej lubiąca życie dworskie, w końcu stał się zwykłym mieszkańcem, bez najmniejszych oznak pretensjonalności. Bo tego lata, Roku Pańskiego 1615, mój mistrz spacerował po ulicach Madrytu, pozdrawiał wszystkich znajomych, których spotykał, chodził do najróżniejszych tawern i gawędził z kowalami, studentami, poetami i doktorami; widziano go, jak kupował i czytał na placu Świętego Jakuba drugą część *Don Kichota*, która też wyszła spod pióra don Miguela de Cervantesa; a ciemną nocą niejedną raz spędzał czas w Taberna de Lepre, grając i pijąc w towarzystwie innych lekarzy, którzy zapytali go o przyczynę nagłego nawrócenia się na życie społeczne, ale bezskutecznie, bo nie otrzymali satysfakcjonującej ich odpowiedzi.

Jednak mój mistrz, jak celnie się domyślił przebiegły brat Gabriel, nie czynił tego wszystkiego pod wpływem impulsu ani z pragnienia współżycia z kimkolwiek, bo takich zachcianek nigdy nie miał. Wiedział, że dla zrealizowania swych celów musi zachowywać się w taki sposób: nie mógł ryzykować, by jego obecność w pewnej chwili, nawet w godzinach nocnych, na ulicy wzbudziła czyjeś podejrzenia.

Bo największa ze wszystkich ksiąg, jakie kiedykolwiek napisano, jedyny egzemplarz zawierający najważniejsze arkana wiedzy, jakby dyktował je sam Lucyfer, ten szczyt nauki, nie został strawiony przez płomień, nie odpowiedział uprzednio na wszystkie pytania mojego pana don Fernanda. *Księga szmaragdu* zawierała bardzo skomplikowany obraz kabał oraz szerokie i zwięzłe kompendium wzorów matematycznych, które odpowiednio zastosowane, rozwiązywały najbardziej nieprawdopodobną tajemnicę: przeznaczenie wszystkich dusz. Miesiące spędzone przez mistrza w jej towarzystwie otworzyły mu oczy i pokazały drogę; odpowiednie użycie tej wiedzy wskazało mu dokładnie to, czego poszukiwał. I kiedy wreszcie to odkrył i nauczył się tego, zdecydował się cisnąć księgę do ognia, aby uniknąć pokusy przekazania jej komuś, kto wzbudzi w nim żal albo litość, gdyż wielka tajemnica nie powinna zostać wyjawiona, a na pewno on nie powinien

zdradzić zaufania, które pokładał w nim Ben al-Razi, gdy ofiarował mu księgę.

Teraz zrozumiałem, co naprawdę oznaczała dla niego lektura *Księgi szmaragdu*. Jednak w 1615 roku i pierwszych miesiącach 1616 nie mogłem pojąć pobudzenia don Fernanda ani ekstrawagancji, którą jął przejawiać. Wychodził nocami, często po kryjomu, aby nikt w domu nie wiedział o jego przygodach. Nagle zaczął wymagać od służby, żeby kupowała jedzenie w nadmiarze, znacznie więcej mleka, niż było potrzeba, i mnóstwo koszy owoców; następnego dnia wszystkie te zapasy znikaly, a kiedy zaskoczony pytałem, co się z nimi stało i czy po chrześcijańsku byłoby podejrzewać kogoś ze służby, mawiał mi, żebym nie przestawał ufać służbie, że o północy miał apetyt i sam zjadł znakomitą ich część, nie zwracając uwagi na ilość. A pewnego razu, nie wyjaśniając przyczyn, poprosił mnie o przekazanie mu znacznej sumy pieniędzy, które stracił w grze w karty w tawernie, jak utrzymywał. Teraz wiem, że tak nie było, a jeśli wtedy tego nie podejrzewałem, to z powodu mojego zmieszania, bo doskonale wiedziałem, że mojego mistrza nigdy nie pociągały gry hazardowe ani nigdy nie przestał okazywać surowości swej natury.

Przy całym zamieszaniu, jakie spowodował ten nowy i zaskakujący sposób zachowania się don Fernanda, nie zwróciłem szczególnej uwagi na to, że w te październikowe dni mówiono w mieście także o porwaniu jakiejś kobiety mieszkającej w pobliżu klasztoru Augustinos Recoletos, na północnym wschodzie miasta. Była zamężna z pewnym królewskim żołnierzem, który wyjechał do Flandrii, dlatego mieszkała sama i, jak twierdziła jej sąsiadka, była w trzecim lub czwartym miesiącu ciąży. Nic nie było wiadomo o losie Crescencii, tak bowiem miała na imię, a ponieważ królewscy strażnicy i dworscy halabardnicy bezskutecznie poszukiwali jej przez miesiąc, i robili to bardzo intensywnie, zakończono poszukiwania i porwanie przestało ludzi interesować. Po nadejściu Bożego Narodzenia już więcej o tym nie mówiono.

Tylko brat Gabriel dobrze wiedział, co się wydarzyło, ale zastanowiwszy się gruntownie nad problemem, postanowił zachować tajemnicę.

Kiedy jednak w niedługi czas potem, w marcu 1616 roku, zaginęła druga brzemienna kobieta, o imieniu Teresa, a po upływie kilku dni nikt nie zażądał za nią okupu, strażę zaś nie natrafiły na żaden jej ślad, okoliczni mieszkańcy popadli w przerażenie, przekonani, że pośród nich grasuje morderca porwijący kobiety nie po to, by je sprzedawać, lecz by żywić się owocem ich trzewi. Najpierw Crescenda, potem Teresa mieszkająca w leżącym na uboczu domu w pobliżu Aranjuezu; ciekawe, która będzie następna?

Brat Gabriel znów był świadkiem tego, co się wydarzyło, ale podobnie jak poprzednim razem teraz również zachował tę wiedzę dla siebie, wszak dla swych poszukiwań

i zaspokojenia ambicji musiał poznać prawdziwy cel tego całego zamieszania.

Bo chorobliwie śledząc mego mistrza, zauważał różne rzeczy: po pierwsze, że don Fernando Ruiz de Alcalá kazał sobie wybudować wygodny i ciepły dom z drewna dzięki pomocy wynajętych w sekrecie wieśniaków z odległego miasta Pastrana, na końcu ogrodów Casa de Campo, na polanie tej lesistej góry i w miejscu najbardziej niedostępnym. Na jego zbudowanie wydał tę sumę, o którą mnie poprosił, a w zamian za milczenie robotnicy zainkasowali dodatkowo po dwa eskudy w złocie po zakończeniu budowy. Inną rzeczą, którą odkrył mnich, nie znając jej przyczyn, lecz skrywając swe badanie, aby zobaczyć, do czego zmierza ta nikczemność, był fakt porwania przez mego mistrza kobiety zwanej Crescencią, którą wyciągnął z domu pod osłoną nocy i zaprowadził, związaną i zakneblowaną, do dalekiego domu w lesie, gdzie zostawił ją skutą łańcuchami, chociaż obiecał ją odwiedzać codziennie i dostarczać wszystko, czego będzie potrzebować do zapewnienia utrzymania i wygod. A trzecią rzeczą, której świadkiem był ksiądz de Sigüenza, było porwanie w marcu przez mego mistrza drugiej kobiety, o imieniu Teresa, którą także zakneblował i poprowadził do drewnianego domu, gdzie skuł ją łańcuchami i poczynił te same obietnice co Crescencii.

Brat Gabriel, dobrze ukryty w mroku, był świadkiem porwań, a później śledził mego mistrza z oddali, aby poznać miejsce jego knowań. I przez okno, nie pozwalając się zobaczyć, słyszał uspokajające słowa don Fernanda, przysięgi na honor, że nie zrobi im nic złego, i zapewniał, że przez cały czas będą pod najlepszą opieką, a kiedy nadejdzie ich godzina, otrzymają konieczną pomoc przy powiciu dzieci.

- A później będziecie wolne. I przysięgam wam na Boga albo na samego Lucyfera, jeśli tak wolicie, że każda odejdzie z wielkim mieszkiem złota - obiecał z powagą. - Zaufajcie mi.

O tym wszystkim, rzecz jasna, nie miałem najmniejszego pojęcia. To prawda, że zaskakiwało mnie codzienne wychodzenie mego mistrza, stopniowo zwiększane wydatki bez podania żadnego uzasadnienia oraz niespotykana tajemniczość, jaką zachowywał w odniesieniu do swych nocnych wypadów. Jednak najbardziej mnie zadziwiło, że pewnego dnia zdecydował się zabrać z domu sędziwą bonę Leonardę, która żyła z nami od śmierci mojej matki, i ani on nie podał powodu podróży, ani ona się jej nie sprzeciwiła. W dzień wyjazdu ze łzami w oczach zapewniała mnie, że nie muszę się o nią martwić. A ponieważ upierałem się przy poznaniu przyczyn wyjazdu, sama Leonarda mi je wyjaśniła:

- Spędzę kilka miesięcy w służbie pana niedaleko stąd, niedługo wrócę. Ma dobre i rozsądne powody.

- Nie rozumiem was, bono.

- Niebawem zrozumiesz.

To od niej dowiedziałem się później wszystkiego, co teraz wiem. Leonarda była akuszerką przy porodzie porwanej Crescencii, który nastąpił 23 kwietnia 1616 roku, na pół godziny przed północą. Dziewczynka ważyła bardzo niewiele po urodzeniu, ale była silna i o tak nieposkromionym charakterze, że od pierwszej chwili jawiła się jako podenerwowana i niespokojna i choć dzięki bonie Leonardzie nie brakowało jej matczynego ciepła, nie przestawała płakać i kwilić przez całe dni. Ledwie jadła: rzucała się na pierś matki i ssała przez kilka krótkich minut, aby potem znowu zacząć płakać, jęczeć i wiercić się z niepohamowanym żalem, jakby zawładnął nią diabeł. Zasypiała na kilka chwil, po czym nagle budziła się i znowu uderzała w płacz, przygnębiona, smutna, rozżalona, zrozpaczona. Widać było wyraźnie, że dzieli duszę z jakimś skazańcem na galerach albo że szklana szkatułka, z której wyszła, miała głębokie bruzdy z lodu i cytryny na ścianach.

Don Fernando nawet trochę się bał o zdrowie noworodka. Co noc brał małą w ramiona z wielką czułością, pieścił jej główkę i szeptał na ucho, żeby była cierpliwa, że zbliża się wielki dzień. Crescencia, matka, także przybita, pytała, czy już może wrócić z córką do domu i przyrzeczoną sakiewką złota, ale don Fernando powtarzał, że musi jeszcze trochę poczekać, aż Teresa powije swoje dziecko.

- Spokojnie, kobieto. Jeszcze kilka dni i będziesz miała złoto i wolność. Zapewniam cię.

Brat Gabriel był świadkiem narodzin, ukryty w gęstwinie leśnej, z której mógł widzieć ruchy wewnątrz domu poprzez jedno z oświetlonych okien. I dalej szpiegował z tak oddalonego miejsca, bo wciąż nie rozumiał nic z tego, co się działo, choć był pewien, że dopełniał się tam satanistyczny rytuał, w którym don Fernando wykonywał polecenia samego Lucyfera. Dlatego spędził dwa miesiące w poszukiwaniu pretekstu do aresztowania mego mistrza; dlatego czekał nieopodal drewnianego domku na rozwiązanie całej intrygi i dlatego w nocy 24 czerwca Roku Pańskiego 1616 zobaczył, jak przychodzę z mistrzem na polanę i wchodzę do domu, odkrywając, co się dzieje. Był to dzień, w którym po zejściu ukrytą ścieżką, prowadzącą do najgłębszej części lasu, mój mistrz żwawym krokiem brnął naprzód, jakby znał drogę na pamięć albo przeszedł nią już milion razy.

I wtedy mi powiedział:

- Wyda ci się to nieprawdopodobne, ale w końcu odkryłem, że śmierć nie istnieje. Mogę ci to udowodnić. Chodź za mną.

To była najdłuższa noc w moim życiu. I przysięgam na wszystko, co najświętsze, że zdołałem całkowicie zrozumieć znaczenie wieczności.



A także dowiedziałem się, na czym polega tajemnica nieśmiertelności.

\* \* \*

Było zbyt gorąco w tę noc świętojańską. Mistrz zachęcał mnie do podążania za sobą, ciągnął mnie w dół zbocza, a potem po polanie do oświetlonego domu, w którym otworzono wszystkie okna.

- Chodźmy, Alonso. Osuszmy morza strachu...

- Ależ, panie... Jesteście zali cieśłą marzeń...

- I zrealizuję najstarsze marzenie świata.

Coraz bardziej się bałem. A do tego z dala słychać było wyraźnie płacz dziecka, płacz przejmujący niczym wycie zranionego kota. Niepokój odmalowany na mojej twarzy musiał być tak ewidentny, że mój mistrz spojrzął na mnie, uśmiechnął się, aby mnie uspokoić, i powiedział:

- To dziewczynka. Urodziła się ledwie dwa miesiące temu, a już jest smutna niczym zrozpaczona wdowa. Dlatego płacze i kwili przez cały czas. Od 23 kwietnia, kiedy się urodziła, nie zaznała spokoju.

- Dziewczynka? Ależ, nie rozumiem... Kim są jej rodzice?

- Matka ma na imię Crescencia; ojciec - nie wiem. To żołnierz najemny.

Kiedy weszliśmy do domu, bona Leonarda zajmowała się Teresą rodzącą już od kilku godzin. Wspomagała ją Crescencia, która od czasu do czasu podchodziła do córki ucałować jej czoło, aby przestała jęczeć i wiercić się, lecz bezskutecznie. Bona Leonarda dojrzała, że wchodzimy, i uśmiechnęła się z ulgą.

- Dziękuję, że przyszliście, panie. Wydaje mi się, że ten poród nie będzie łatwy.

- Spokojnie, dobra Leonardo - powiedział mój mistrz. - Zobaczymy, co się dzieje.

Don Fernando pochylił się nad Teresą i obmacał jej brzuch, wprawnie i fachowo. Tymczasem Leonarda skierowała się w moją stronę, przytuliła mnie i powiedziała mi do ucha:

- Widzisz? Mówiłam ci, żebyś mu ufał.

- Jeszcze nie wiem, co tu robimy - odpowiedziałem.

- Niedługo się dowiesz.

- To nic takiego - stwierdził mistrz po zakończeniu rozpoznania. - Ma wielką głowę.

Będzie z niego bardzo uparty młodzian, zobaczycie.

W tej chwili Teresa wydała z siebie przenikliwy krzyk, wykrzywiła twarz z bólu i naparła z całej siły, jakby musiała rozerwać brzuch na tysiąc kawałków.

- Już jest! - obwieściła Leonarda.

- Dalej, dalej - zachęcała Crescencia swą towarzyszkę porwania.
- Wszystko się wypełniło - zawyrokował mistrz, jakby mówił do siebie.

Popatrzyłem na niego, nic nie rozumiejąc, i zapytałem:

- Co musiało się wypełnić, mistrzu?
- Przeznaczenie - odpowiedział lakonicznie.

A następnie zachował głębokie milczenie, jakby nagle znalazł się w obliczu cudu.

Dziecko urodziło się w kilka minut potem. Bona Leonarda wzięła je w ramiona, obmyła mu twarz i głowę ścierką zanurzoną w letniej wodzie i położyła je na piersi matki, która zmęczona i szczęśliwa nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- To chłopak! - obwieściła Crescencia, kołysząc córkę, żeby przestała kwilić.
- Chłopak - powtórzył mistrz. - Jak należy. Chciałbym, żeby na imię miał Fernando.
- Nie! Lepiej będzie go nazwać Lucyfer!

Potężny głos dochodził od drzwi. Wszyscy odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy postać zawiniętą w czarną pelerynę, stojącą w drzwiach na rozstawionych nogach i ze sztyletem w ręku. Brat Gabriel de Sigüenza popatrzył na nas, jakby starał się dobrze zapamiętać nasze twarze, by ich nie zapomnieć, kiedy będą się wykrzywiać z bólu w płomieniach stosu, który już dla nas gotował. Następnie zatrzymał swe nienawistne spojrzenie na don Fernandzie, uśmiechnął się, jakby zaspokoił swą żądzę zemsty, i zbliżył się do mego mistrza, pokazując broń.

- Wyjaśnij mi to - powiedział, przykładając mu sztylet do gardła. - Jeśli natychmiast nie poznam prawdy, przysięgam na Boga, że dziś zrosisz ziemię swoją krwią.

- Co chcesz wiedzieć, klecho? - mistrz również się uśmiechnął, jakby groźba była bryzą, a sztylet niepotrzebnym grzmotem.

- Wszystko - odpowiedział. - Choć i tak cię zabiję.

Mistrz uśmiechnął się, pokręcił głową w jedną i drugą stronę i popatrzył z tą samą pogardą, z jaką patrzył na brata Gabriela wiele lat wcześniej przed trybunałem inkwizycji, który go sądził.

- Ale czy nie rozumiesz, że nic mi nie możesz uczynić, bo ja już jestem martwy?

- Możesz być pewny, że jesteś - zgodził się inkwizytor, coraz bardziej raniony pogardą tego spojrzenia.

Don Fernando podszedł do kołyski, w której kwiliła dziewczynka, i z wielką miłością dotknął jej czoła.

- Przestań płakać i się niecierpliwic - powiedział jej szeptem na ucho - już tu jestem, Klaro.

- Rozkazuję ci wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć! - krzyknął mnich z oczyma nabiegłymi krwią.

Jednak don Fernando nie zwrócił na niego uwagi. Podszedł do noworodka, który spoczywał na kolanach matki z otwartymi oczyma, i także dotknął jego czoła. Dziecko utkwilo w nim spojrzenie, jakby go rozpoznało.

- Witaj w wiecznym życiu, Fernando - wyszeptał mistrz.

Kobiety patrzyły na niego, nie ośmieliwszy się wypowiedzieć ani słowa.

Ja patrzyłem na niego tak zbity z tropu jak one, nie rozumiejąc nic z tego, co mówi. A brat Gabriel, coraz bardziej zdenerwowany, siekł sztyletem powietrze drżącą ręką i z wytrzeszczonymi oczyma.

- Będziesz już gadał, stary satanisto? Rozkazuję ci mówić!

Don Fernando zerknął na niego z ciekawością i żalem. Bałem się, że mnich w końcu oszaleje z potrzeby odkrycia tajemnicy, a nauczyłem się, że nic nie powoduje większego niepokoju niż żądanie odpowiedzi od kogoś, kto może, ale nie chce jej udzielić.

- Uspokój się, bracie. Wydarzyło się tylko to, co musiało się wydarzyć, bo tak zostało zapisane. Księga ksiąg wyjawiała mi przeznaczenie dusz i tutaj mamy dowód na to, że śmierć nie istnieje.

- Że śmierć nie istnieje? - Gabriel de Sigüenza popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem, przekonany, że mój mistrz jest nie tylko heretykiem, ale i szaleńcem.

- Tutaj jest dusza Klary - powiedział mistrz, wskazując kołyskę dziewczynki, która nie przestawała płakać, coraz bardziej zaciekle, z coraz większym bólem. - A tutaj moja. Te dzieci je odziedziczyły. Ale cóż ty możesz o tym wiedzieć, biedny ignorancie? Czego cię nauczono poza tym, że zmartwychwstanie nastąpi w dzień Sądu Ostatecznego, kiedy Bóg tak postanowi? Może i tak jest, może, ale wcześniej umiera się tysiące razy, zapewniam cię, bo żyje się też tysiące razy. Dlatego jesteśmy nieśmiertelni, prostacki klecho. Dlatego śmierć nie istnieje. Ale nie obawiaj się o mnie. Ja oddałem swoją duszę, żeby spotkała się z jej duszą. Nie widzisz tego. Ja już jestem martwy.

I wtedy znowu na niego spojrział tak jak wtedy w katakumbach Świętego Oficjum, kiedy doprowadził go do wściekłości. Brat Gabriel de Sigüenza nie mógł tego znieść.

- Martwy? W tym masz całkowitą rację, szatanie! - krzyknął.

I rzuciwszy się na don Fernanda, zatopił sztylet w jego piersiach z wielką furią tyle razy, ile mu na to pozwoliły siły. Wreszcie upadł ciężko na rannego i wypuścił broń.

Wtedy ja nie zawahałem się ani na chwilę, chwyciłem sztylet, uniosłem go wysoko w górę i z całych sił dźgnąłem inkwizytora w plecy; był niczym wilk, zanim rozstał się z duszą

i padł jak długi na ziemię.

Brat Gabriel de Sigüenza wyzionął ducha natychmiast. Don Fernando w kilka godzin potem zmarł w moich ramionach z uśmiechem na ustach.

- Al-Razi miał rację - powiedział.

- Twierdziliście, że to był sam demon.

- Może Lucyfer przed swą wieczną klęską poznał tajemnicę Boga.

- Nie mówcie więcej...

- Myślę, że nadeszła chwila, żeby dusza Klary przestała cierpieć - rzekł już bez sił, oddychając z wysiłkiem. - Połóżcie chłopczyka obok dziewczynki. Zanieście mu moją duszę, i wszystko się skończy.

- Zrobimy, jak każecie.

Dałem więc znak bonie Leonardzie, żeby usłuchała. Dziewczynka płakała i kwiliła bez przerwy. Bona pobiegła, aby odebrać chłopczyka od piersi Teresy, zniosła go w ramionach do kołyski dziewczynki i położyła go u jej boku. Ona dalej roniła łzy, które wyglądały jak szmaragdy toczące się po skroplonej parze na szybach w zimowy wieczór, jednak po kilku chwilach, beztładnie machając rączkami, natrafiła jedną z nich na rączkę chłopczyka i zamilkła. Zatrzymała się przy niej, dotykała jej, jakby chciała się upewnić, że tam jest, silnie chwyciła jeden z palców i po raz pierwszy od dwóch miesięcy swego życia przestała kwilić. W jednej chwili oboje słodko zasnęli ze złączonymi rękoma.

Don Fernando odemknął oczy, popatrzył na mnie, kiwnął głową i powiedział:

- *Ut demonstratum, mors non est*\*.

I wyzionął ducha z wielkim uśmiechem na ustach.

Pochyliłem się i pocałowałem go w czoło jeszcze ciepłe z całą miłością, jaka może zmieścić się w synowskim sercu. Chciało mi się płakać i aby tego nie robić, wyjrzałem przez okno. Nagle zrozumiałem, że on miał rację, że jedne gwiazdy są szklanymi ptakami, a inne szklanymi szkatułkami, i że w jednej z nich, najjaśniejszej, tamtej nocy nie było gwiazdy zarannej, tylko mrugające spojrzenie Al-Raziego, który też się uśmiechał.

Noc, w którą odszedł don Fernando Ruiz de Alcalá, była bardzo długa. Może dlatego, że była pierwszą z jego nowego życia.

---

\* (łac.) Jak dowiedziono, śmierci nie ma.